

ANNA KARPIŃSKA

Czy jesteśmy gotowi  
na to, że zatajona  
prawda odmieni  
nasze życie?

Jestem  
twoją  
córką

Prószyński i S-ka

ANNA KARPIŃSKA

Jestem  
twoją  
córką

Prószyński i S-ka

## **CHOMIKO\_WARNIA**

Copyright © Anna Karpińska-Plaskacz, 2022

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

[www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Zdjęcia na okładce

© Sandra Cunningham | Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Ewa Charitonow

Korekta

Katarzyna Kusojć

Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-735-8

Warszawa 2022

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

## Prolog

Weronika

*styczeń 2019 r.*

Tato zmarł tydzień po sylwestrze, zaskoczywszy wszystkich swoim odejściem. Zarówno rodzinę, przyjaciół, jak i pracowników firmy, którą przejął po swoim teściu, a moim dziadku. Pozostawił w żałobie również kolegów z uczelni. Mimo prowadzenia biznesu nigdy nie porzucił pracy naukowej, będącej jego drugą pasją, i konsekwentnie pokonywał kolejne szczeble kariery naukowej. „Odszedł wybitny profesor chemii, który rozsławił imię uniwersytetu, a swoimi osiągnięciami przyczynił się do jego rozwoju”, przeczytałam w nekrologu będącym laurką dla profesora Sambora Jaremy, mojego ojca.

Dla mnie jednak i moich braci, Krzesimira i Jędrzeja, był najlepszym tatą, człowiekiem, na którego zawsze mogliśmy liczyć, chociaż rozliczne obowiązki nie pozwalały nam spędzać ze sobą tyle czasu, ile byśmy chcieli. Ale wbrew ogólnie panującej modzie na rozluźnianie rodzinnych więzów nasza familia należała do wyjątkowo zgranych. Wszyscy mieszkaliśmy w tym samym mieście i celebrowaliśmy nasze rocznice, spędzając również wspólnie święta.

Sześć lat temu opłakiwaliśmy mamę i wspieraliśmy tatę po jej stracie. Całe życie byli sobie wierni i oddani dzieciom, wykształcili całą naszą trójkę i nie szczędzili grosza, kiedy nadszedł czas na usamodzielnianie się. Osiem lat starszy ode mnie Krzesimir podjął pracę w firmie taty i zamieszkał w domu po dziadkach sąsiadującym z naszą rodzinną posesją, a wraz z nim jego żona Daria i wówczas pierwszy syn Rysiu, do którego wkrótce dołączył Misiek, a siedem lat później Majka.

Jędrzej, nasz rodzinny obieżyświat, też dostał swoje – dwupokojowe mieszkanie na nieodległym osiedlu. Postanowił urządzić je w stylu loftowym, wzięwszy mnie na konsultantkę, a nawet na projektantkę łamaną przez kierownika budowy.

– Siostra, przecież prowadzisz galerię sztuki, więc chyba zadanie cię nie przerośnie? – zapytał, drukując bilety do Frankfurtu, z którego kolejne loty prowadziły w stronę Somalii. Wybierał się tam, by „spróbować czegoś nowego” i napisać o tym reportaż.

Uśmiechałam się z powątpiewaniem, czy znajdzie wydawcę, a jeżeli tak, to czy honorarium pokryje koszt przelotu w obie strony, ale znałam swojego brata i nie dyskutowałam. Nikt ani nic nie było w stanie powstrzymać go przed kolejnym wyjazdem.

– Niczym się nie martw. – Zobowiązałam się przygotować mu odlotowy loft. Tym bardziej że z przyjemnością podejmowałam nowe wyzwania. – Ale pamiętaj, następnym razem zabierasz mnie ze sobą! – ostrzegłam nie po raz pierwszy, a on jak zwykle gorliwie przyklasnął.

– Siostra, kiedy tylko zechcesz – odparł, kłaniając się teatralnie. – Upchnij tylko gdzieś Jasia – wspomniał mojego dwuletniego synka – i w drogę!

Żartowaliśmy, ale echo naszych rozmów dudniło w duszy. Też miałam ochotę na wyjazdy, nie tylko wakacyjne. Marzyłam o innym świetle, innych krajobrazach, o twarzach, które mogłabym fotografować. Ale na razie musiałam odłożyć plany na dalszą przyszłość. Kilkuletnie dzieci wymagały opieki, a galeria, którą prowadziłam z Anielą, moją przyjaciółką, wymagała pańskiego oka.

W naszym tandemie to Anieli studiowała sztuki piękne. Ja byłam absolwentką socjologii, którą wybrałam bez głębszego namysłu. Jak się okazało po studiach, z pracą było krucho, więc Anieli zaproponowałam mi otwarcie niewielkiego sklepiku z obrazami i rękodziełem. W naszym mieście nie brakowało artystów, którzy chętnie wystawiali u nas swoje dzieła, a tato zobowiązał

się płacić czynsz, dopóki nie staniemy na nogi. Tym sposobem zyskałam własną zawodową przystań, miłą kanciapkę na starówce i doborowe towarzystwo Anieli. A że czasami gnało w świat?

Z marzeń nie zwierzałam się mężowi. Paweł, informatyczna mrówka, dużo pracował, również dla firmy ojca, a dziecko było małe. W głębi duszy wiedziałam jednak, że kiedyś na wszystko przyjdzie czas.

Porzuciłam zamiar wyremontowania własnej kuchni w mieszkaniu, które kilka lat temu kupili nam rodzice, i przy wsparciu Anieli urządziłam Jędrzejowi przytulny azyl. Nie mogłam się doczekać jego powrotu i podziwu dla mojego dzieła.

Wyprawa zajęła mu trochę czasu. Tak dużo, że mama zdążyła zachorować; droga do śmierci zajęła jej niecałe dwa miesiące. Mimo telefonów i komunikatorów nie udało się nam namierzyć brata, który, jak się później okazało, przemierzał amazońską dżunglę pozbawiony zasięgu i trwał w niewiedzy, podczas gdy nasza mama żegnała się ze światem, pragnąc przytulić syna po raz ostatni.

Byłam na niego wściekła. Ocierałam łzy na cmentarzu, nie tylko z powodu odejścia mamy, ale i nieobecności brata. W myślach wyzywałam go od egoistów i samolubów. Szykowałam ciężkie działa na jego przyjazd.

I jak zwykle jedno słowo przeprosin, kiedy przyjechał kilka dni po pogrzebie mamy, nieskrywana skrucha i żal rozkleiły moje serce. Wybaczyłam.

Tamtego wieczoru upiliśmy się jak norki. Łkaliśmy z tęsknoty za dzieciństwem, użalaliśmy się nad sobą, alkohol potęgował emocje. Zamroczeni niemal nie usłyszeliśmy dzwonka do drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – Nagle otrzeźwiałam.

– Nie. To pewnie sąsiad. Przycisz muzykę – poprosił Jędrzej i poszedł do przedpokoju otworzyć.

W drzwiach stanął Krzesimir.

W pierwszym momencie wpadłam w popłoch. Nasz starszy brat zawsze był *correct* i zapewne pojawił się, by wytknąć nam niestosowność popijawy w obliczu śmierci mamy. Nieco spięta przyjąłam jego nieoczekiwany uścisk, ale po chwili zobaczyłam flaszkę wódki, którą postawił na stole.

Nieporadnie rozejrzał się wokół, szukając, jak się miało okazać, barku. Nierozeznany w nowym wystroju w końcu go znalazł i sięgnął po trzy kieliszki do wódki.

– Nie mogłem usiedzieć w domu. Za mamę, żeby jej tam – połał i spojrzał w górę – było dobrze.

Ostatnie słowo rozmyło się we łzach.

Nie tylko jego, naszych również. Stanęliśmy spleceni ramionami, ledwie panując nad emocjami.

Mama znalazła się w lepszym ze światów, jak sądzą niektórzy, a my wciąż tkwiliśmy w miejscu i próbowaliśmy złapać oddech. Nawet nam się udało. Zamówiliśmy pizzę i każdy próbował podnieść na duchu każdego.

Nie wiem, jak wróciłam do domu, ale Janek już spał. Paweł doprowadził mnie do łóżka.

Następnego dnia miałam wyrzuty sumienia z powodu balangi, ale w moim sercu zapanował względny spokój i narodził się plan działania. Musiałam zająć się tatą, który stracił na śmierci mamy najwięcej – wieloletnie małżeństwo, zawsze zgodne i bez skazy. Wzór cnót i okazywanej sobie miłości. Obserwowałam siebie i Pawła, więc zdawałam sobie sprawę, jak wielki lej pozostawił po sobie wybuch bomby w życiu taty. Trzymał się dobrze, ale wiedziałam, że cierpi. Musiałam być silna dla niego i bardzo się starałam, chociaż wizyty w rodzinnym domu,

a już szczególnie w kuchni, która wciąż pachniała mamą, a każdy sprzęt ją przypominał, nie należały do najprzyjemniejszych. Chociaż nie wyobrażałam sobie przy ojcu innej kobiety, nie raz w akcie desperacji, widząc jego przygnębienie, miałam na końcu języka radę, by znalazł sobie partnerkę.

Uciekł w pracę i znalazł ukojenie. I zapewne właśnie ona, dawkowana bez umiaru, go zabiła. Skończyło się niespodziewanym zawałem serca.

Chcieliśmy skromnego pogrzebu, w gronie najbliższej rodziny, ale się nie udało – profesor Sambor Jarema musiał być pochowany w glorii i chwale. Przystaliśmy na prośbę rektora i pozwoliliśmy uniwersytetowi oddać tacie należny hołd, zachowując dla siebie intymność stypy, na której spotkałam się z braćmi, rodziną Krzeska (bo Jędrzej wciąż był singlem), ciotką Konstancją, bliźniaczą siostrą mamy. Przybył brat taty, wuj Waldemar z żoną, ciotką Marią, najbliższy przyjaciel ojca, a jednocześnie jego prawnik, czyli wuj Marian. Zaprosiłam też Anielę z Leszkiem, a Krzesimir swoich przyjaciół, Anetę i Marka, których dobrze znałam.

Po tym, jak sześć lat wcześniej przeżyłam pogrzeb mamy, myślałam, że nic gorszego nie może mnie spotkać. A jednak życie potrafi nas niemiło zaskakiwać. Kolejne dni bez taty raniły. Łapałam się na tym, żeby do niego zadzwonić, ale jego już nie było.

Nie miałam siły, by wykasować z listy kontaktów numer telefonu, który tak często wybierałam, czasami nawet nie zwracając uwagi na porę dnia. Tata zawsze odbierał, bez względu na grafik zajęć. Nieraz słyszałam, jak przerywa ważne spotkanie, bym mogła przekazać mu jakąś bzdurę.

Dla niego kontakt ze mną był ważny. Byłam jego kochaną córeczką.

I tak się czułam.

Teraz telefon zamilkł na zawsze.

Po stypie wuj Marian poprosił naszą trójkę o spotkanie na osobności. Usiedliśmy w bibliotece taty i zamieniliśmy się w słuch.

– Zapraszam was do notariusza – powiedział. – W najbliższy wtorek o godzinie jedenastej. – Podał nam adres kancelarii na starówce. – Wasz ojciec zostawił testament, z którym będziecie mogli się zapoznać.

Spojrzelśmy po sobie zdezorientowani. Krzesimir, najbardziej z nas odpowiedzialny, wyraził zdziwienie.

– Nie rozumiem. Po co testament?

Wuj Marian potarł czoło, jak zwykle, kiedy był zdenerwowany.

– Zapraszam na spotkanie u notariusza – powtórzył. – Zabierzcie z sobą panią Konstancję, której, o ile wiem, też coś zapisał. Nic więcej nie powiem.

Pozostawił nas w zadziwieniu i niepewności. Przykry to czas, kiedy żalobę wypiera myśl o spadku.

Wątpliwościami podzieliłam się z mężem.

– Pawełku, o co tu może chodzić? Dlaczego tato spisał testament?

– Nie mam pojęcia. – Mój informatyk oderwał się od komputera. – Może chciał przeznaczyć jakieś środki na cele charytatywne? Albo ukrywał przed nami kochankę?

– Jak możesz stroić sobie żarty w takich okolicznościach?! – zawołałam. Nie pozwoliłam na obłaskawienie przytulankami. – Idę spać – rzuciłam i wściekła na Pawła wybrałam kierunek łazienka.

Długo nie mogłam zasnąć, zastanawiając się nad słowami męża i tłumiąc niepokój. Krzesek słusznie pytał. Dlaczego tato zrobił swoim prawowitym spadkobiercom taki numer?

Na wizytę u notariusza włożyłam granatowy taliowany kostium i białą bluzkę. Czułam się jak maturzystka, ale okazja wymagała schludnego wyglądu i pokory. Powtarzałam sobie

w duchu, że cokolwiek się wydarzy, zachowam kamienną twarz i przyjmę wolę taty. Jeśli chciał przeznaczyć część majątku na dobroczynność, nie będę mieć nic przeciwko.

Uzbrojona w kostium, koszulę i złoty łańcuszek z serduszkami, który dostałam od rodziców na osiemnastkę, stawiłam się przed kancelarią.

Zastałam tam Krzesimira i Jędrzeja. Starszy brat był wyraźnie zdenerwowany, młodszy popalał papierosa, przytupując i rozcierając ramiona w obronie przed mrozem, który tego właśnie dnia postanowił przypuścić atak.

Weszliśmy do środka, gdzie dołączyliśmy do ciotki Konstancji.

Sekretarka dopełniła formalności: imię, nazwisko, PESEL, adres, i znaleźliśmy się w wyłożonym ciemnym drewnem gabinecie z ogromnym dębowym biurkiem, za którym zasiadał poważny pan.

Przyznam, że poczułam się niepewnie. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego teraz siedzę przed obcym człowiekiem, który ma nam obwieścić wolę taty. Przecież to tato powinien nas z nią zapoznać.

Głos notariusza przywołał mnie do rzeczywistości. A potem usłyszałam treść testamentu.

Temu to, temu to, tej to.

Znużona tyradą ocknęłam się, kiedy padło nieznane mi nazwisko.

– Przekazuję przedsiębiorstwo w równych częściach moim dzieciom: Krzesimirowi, Jędrzejowi i Weronice, a pozostałe składniki majątku w równych częściach: Krzesimirowi, Jędrzejowi, Weronice i mojej córce Dobrosławie Kuszewskiej.

Spojrzeliliśmy zdezorientowani. To nie może być prawda. Jakiej córce?

Notariusz mówił coś jeszcze o zapisie windykacyjnym dotyczącym firmy, ale nie mogłam się skupić na jego słowach. Usłyszałam jedynie, że zgodnie z tym zapisem wszyscy troje staliśmy się właścicielami Fabryki Syntezy.

Nie miałam pojęcia, czym to będzie skutkować, ponieważ w mojej głowie huczała wyłącznie myśl o drugiej córce mojego ojca.

Część pierwsza

Marta i Blanka

## Rozdział 1

Marta

*1987 r., koniec września*

Będziemy rodzić – usłyszałam decyzję lekarza, na którą czekałam na patologii ciąży już kilka długich dni. Nie przyniosła oczekiwanej ulgi, za to wzbudziła lęk z powodu nieuchronności.

Byłam już dwa tygodnie po terminie, niemal przyzwyczajona do codziennych badań, bezskutecznego jak do tej pory wywoływania skurczów porodowych, do życia na oddziale. Z jednej strony chciałam zakończyć przedłużającą się ciążę, pozbyć się ogromnego brzucha i sprawdzić, czy po dwóch synach powitam na świecie dziewczynkę, z drugiej jednak z każdym dniem narastał lęk przed porodem. Dwa poprzednie pozostawiły po sobie trudne wspomnienia. Nie należałam do kobiet, którym los pozwalał rodzić lekko, i nie spodziewałam się radykalnej odmiany.

– To już, panie doktorze? Dlaczego? Czy z dzieckiem jest coś nie w porządku? – zadawałam pytanie za pytaniem w czasie, gdy pielęgniarka odłączała mnie od detektora tętna płodu.

Instynktownie broniłam się przed zimnymi ścianami porodówki. Wyłożone niebieskimi kafelkami przypominały wnętrze sklepu mięsnego, a nieprzyjazny „samolot”, do którego dziesięć lat temu, w trakcie narodzin Krzesimira, przywiązano mi nogi rzemiennymi pasami, budził nieopisany lęk.

– Nie będziecie mnie krępować? Czy doktor Gasiński jest na oddziale? – dopytywałam nerwowo, mając nadzieję ujrzeć przy sobie znajomego ginekologa.

– Proszę się nie martwić, będzie pani miała opiekę. Wszyscy lekarze są na oddziale.

Chwała Bogu, że moje kolejne dziecko miało przyjść na świat w dzień, a nie w nocy, kiedy można liczyć wyłącznie na lekarza dyżurnego.

Przerażona dopiero po chwili zauważyłam, że skurcze przybierają na sile. Leżałam, próbując nie narzekać, jednak w pewnym momencie musiałam poprosić o pomoc.

– Jest mi niedobrze, będę wymiotować – wymamrotałam.

Ledwie zdążyłam wcelować w podaną mi przez siostrę nerkę.

– Jadła pani. – Bardziej stwierdziła niżeli zapytała, ocierając mi twarz mokrym ręcznikiem.

– Śniadanie – wyszeptalam i ponownie dałam upust torsjom. – Bardzo boli.

– Może na drugim boku będzie lepiej?

Bezskutecznie szukałam lepszej pozycji. Nieuchronne nadchodziło z siłą wodospadu, dosłownie i w przenośni. Kiedy chlusnęły wody płodowe, położna popędziła po lekarza, a kiedy wróciła, podeszła do mnie ze strzykawką.

– Dam pani zastrzyk znieczulający, tylko proszę nic nie mówić lekarzowi. Będzie mniej boleć.

– Co chce pani mi podać? – zapytałam z niepokojem.

– Dolargan.

– Jestem uczulona.

Z wrażenia pielęgniarka usiadła na krześle.

– Jak dobrze, że pani mówi... Mogłam zrobić ogromną krzywdę pani i dziecku. Proszę nie wspominać lekarzowi.

Rozmowę przerwał nam potężny skurcz, który nadszedł z nienacka. A kiedy doszłam po nim do siebie, przy fotelu stało już kilku lekarzy. Nie uszło mojej uwagi, że dzieje się coś złego, jednak porażona kolejnym skurczem nie miałam siły dopytywać. Chciałam, żeby już było po wszystkim.

Minęło kilkanaście minut i poczułam ulgę. Moje dziecko krzyczało głośno, więc żyło.

– Ma pani córkę. – Doktor Gasiński podniósł spory pulpecik i zaprezentował mi jego pupę.

– Co z nią? Jest zdrowa? – wykrztusiłam głosem zniekształconym przez łzy.

– Wszystko dobrze – odparł po wstępnym badaniu. – Dziewięć punktów. Jeden odjeliśmy z powodu lekkiego zasinienia.

Później dowiedziałam się, że Weronika, bo tak mimo sprzeciwów Sambora chciałam jej dać na imię, urodziła się w zielonych wodach. Na szczęście dla nas skurcze nadeszły w porę. Szczęśliwa odsuwałam od siebie myśl o potencjalnej tragedii.

Półtoragodzinne szcicie było już niemal przyjemnością. Miałam upragnioną córeczkę, której istnienie było jeszcze tajemnicą dla mojego męża. Miał się dowiedzieć o drugiej po południu, bo na tę godzinę umówiliśmy się w szpitalu.

– Przyjdź po obiedzie – prosiłam Sambora dzień wcześniej. – I nie dzwoń do mnie wieczorem.

Mimo zaleceń pielęgniarek, żeby chodzić i pobudzać skurcze, byłam tak ociężała, że z trudem toczyłam się do łazienki ulokowanej na końcu korytarza. Wycieczki do telefonu przy pokoju sióstr stanowiły problem.

O chłopców byłam spokojna. Pozostawali pod opieką moich rodziców, a właściwie mamy, ponieważ ojciec z Samborem całymi dniami potrafili nie wychodzić z firmy. A do tego mój mąż nie zrezygnował z pracy na uczelni i habilitacji. Rozumiałam, że także jego kariera naukowa przekłada się na sukces firmy założonej przez mojego tatę, ale liczne zajęcia wymiatały go z domu na wiele godzin.

– Zrezygnuję, kiedy tato przejdzie na emeryturę i będę musiał sam pociągnąć ten biznes.

– Sambor miał plan, a ja zgadzałam się z nim w całej rozciągłości.

Tandem obu panów sprawdzał się doskonale. A że obaj nie mieli czasu na nic oprócz pracy? Obie z mamą zdążyłyśmy przywyknąć, chociaż ona, nauczona dłuższym doświadczeniem, była bardziej wyrozumiała dla pracoholizmu męża.

Usiłowałam jej dorównać, ale nagle pojawił się Maciej. Facet, o którym jak najszybciej pragnęłam zapomnieć. Zwłaszcza teraz, kiedy na świat przyszła Weronika.

Wylądowałam na sali poporodowej, z pięcioma innymi kobietami. Cztery wyglądały bardzo młodo. I fakt, kiedy dyskretnie zerknęłam na zawieszony na łóżkach karty pacjenta, poczułam się stara. Trzydziestoczworoletka wśród nastoletnich młodzieżówek i mam, które ledwie przekroczyły dwudziestkę. Na szczęście naprzeciwko mnie, przy zlewie i lampie, której nie wyłączałyśmy na noc, by ustrzec się przed karaluchami, leżała moja rówieśniczka.

– Marta Jarema. – Wyciągnęłam do niej dłoń następnego dnia, kiedy zabrano nam dzieci po karmieniu.

– Blanka Kuszewska. – Oddała mi uścisk, rzuciwszy przenikliwe spojrzenie.

Zerknęłam, czy przypadkiem mleko nie poplamiło mi szlafroka, ale wszystko było w porządku.

Próbowałam nawiązać rozmowę, ale moja sąsiadka wymówiła się zmęczeniem. Uszanowałam tę powściągliwość, tym bardziej że pielęgniarka wywołała mnie z sali.

– Pani Jarema, ma pani gościa. Przyszedł mąż.

Z trudem wyszłam z oddziału na szpitalny korytarz i wpadłam w ramiona Sambora.

– Już wiem! Dzielnie się spisałaś, kochanie – przywitał mnie, odłożywszy na bok bukiet kwiatów. – Wiem, że nie mogę ich zostawić, więc tylko na pokaz, ale przyniosłem ci pomarańcze, mandarynki i szynkę. Pewnie kiepsko tu karmią. Kiedy zobaczę małą?

Zrobiłam mu niespodziankę. Pielęgniarka zgodziła się przynieść Weronikę i pokazać ojcu przez niewielkie okienko.

– Śliczna! Wypisz wymaluj Dobrusia.

– Sambor, proszę... Wybrałeś już imiona dla Krzesimira i Jędrzeja. Przecież wiesz, jak zależy mi na Weronice. – Spróbowałam babskiego szantażu.

Wiedziałam, że nie pójdzie łatwo, ale liczyłam na sprzyjające okoliczności. W końcu byłam zaledwie kilka godzin po porodzie, słaba, wymęczona i prosząca.

Nie odmówił.

– Dobrze. Skoro aż tak ci zależy, niech będzie Weronika. Dobrze się czujesz?

Czułam się wspaniale. Niedaleko leżała nakarmiona mała, dostałam rysunki od chłopców, a mój mąż zaakceptował imię dla córeczki. Pełnia szczęścia.

– Ale ty chyba jesteś zmęczony? – Dostrzegłam cienie pod oczami Sambora.

Był twardym facetem, który nigdy nie użalał się nad sobą. Ale tym razem w jego zamyślonym spojrzeniu mignął cień niepokoju.

– Coś nie tak w firmie?

– Absolutnie nie. Wszystko w jak najlepszym porządku. – Powrócił do mnie duchem. – Kiedy wychodzicie?

Sądziłam, że wypiszą nas następnego dnia, ale lekarze musieli zatrzymać małą z powodu wysokiego poziomu bilirubiny i podejrzenia żółtaczki poporodowej. Przez kolejne trzy dni towarzyszyła mi obawa o zdrowie córeczki i potencjalną transfuzję. Aż wreszcie w trakcie porannego obchodu dostałyśmy upragnioną wiadomość o powrocie do domu.

Blanka została wypisana dwa dni wcześniej. Zagadywałam do niej w przerwach między karmieniami, ale nie była specjalnie rozmowna. Może dlatego, że nikt jej nie odwiedzał?

– Jak pani da córeczce na imię? – Zdobyłam się na intymne pytanie, którego natychmiast pożałowałam.

– Jeszcze nie wiem – ucięła ostro Blanka. – Musimy się zastanowić.

A więc jednak miała kogoś, z kim zamierzała podjąć decyzję.

Zniknęła z sali, kiedy byłam w łazience, a jej miejsce zajęła kolejna szczęśliwa mama.

Przez jakiś czas ta mało rozmowna kobieta, z której oczu wyzierała tęsknota, zaprzętała moje myśli. Ale z chwilą powrotu do domu z małym zawiniątkiem, z naszą wspaniałą Wercią, zapomniałam i o sali poporodowej, i o jej mieszkankach, stając w szranki z noworodkiem i jego potrzebami. Czekał już pokój dla naszej córeczki, czekała chętna do pomocy mama.

Wykonałam dobrą robotę, sprowadziwszy na świat kolejne z trójki naszych wspaniałych dzieci.

## Rozdział 2

Blanka

*1987 r., koniec września*

Magda, moja koleżanka z pracy, przypomniała mi o wizycie u ginekologa, ostatnią przed wyznaczonym terminem porodu. Dziecko było ułożone pośladowko, doktor chciał sprawdzić, czy obróciło się do właściwej pozycji.

Ciążę znosiłam gładko, bez żadnych komplikacji, a tu nagle pod koniec wizja ewentualnej cesarki.

– Pani Blanko, mamy jeszcze miesiąc, poczekamy. Zaufajmy naturze – pocieszał. Wyznaczył datę kolejnej wizyty, która przypadała na dziś.

Niepokoje usuwałam w najgłębsze zakamarki myśli do tego stopnia, że zapomniałam o terminie.

– I w ogóle uważam, że powinnaś iść na zwolnienie i przestać przesiadywać w oparach tych smrodów! – dodała Magda, zatroskana moimi codziennymi obowiązkami w zakładzie konserwacji malarstwa i rzeźby uniwersytetu, gdzie zajmowałam się przygotowywaniem dokumentacji fotograficznej.

– Lekarz nie zabronił – ucięłam dyskusję. – Mam całymi dniami przesiadywać w hotelu asystenckim? Umarłabym z nudów i obaw, a tak przynajmniej mogę pogadać z moją zrzędliwą koleżanką. – Posłałam jej uśmiech, przyglądając się precyzyjnym ruchom pędzelka krążącego wokół jakiegoś detalu na średniowiecznym obrazie.

– Na którą idziesz? – zapytała, nie podnosząc oczu znad płótna.

– Na siedemnastą. Masz ochotę coś zjeść? – Poczułam nagły skurcz w żołądku.

Lubiłam te nasze lunche w wydziałowym barku. Wprawdzie menu nie powalało, ale chwila przerwy przy stoliku z widokiem na pełen studentów pasaż prowadzący od rektoratu do biblioteki i budynków mieszczących inne wydziały zawsze nastrajała mnie optymistycznie.

Lubiłam ruch, obrazy życia, które toczyło się wokół mnie. Jeszcze niedawno sama biegałam do biblioteki i świętowałam obronę pracy magisterskiej na wydziale sztuk pięknych wtopiona w tłum setek podobnych mi kolegów bez problemów i zobowiązań. A teraz... Teraz dużo się zmieniło. Oni nadal byli swobodni, ja miałam swoją ciążę i lawinę dręczących myśli, co dalej.

– Idziemy – usłyszałam zdecydowany głos Magdy.

Zanim zdążyłam dźwignąć swój pokaźny brzuch, moja koleżanka już wycierała ręce. Wskazała właściwy kierunek.

Właścicielka barku nie musiała nas pytać. Zawsze zamawialiśmy to samo.

– Naleśnik ze szpinakiem i pierogi z mięsem – przekazała kuchni, upewniając się spojrzeniem.

Zanim zdążyłam rozsiaść się przy oknie, Magda przyniosła świeżo tłoczony sok z pomarańczy. Nie smakował mi od pierwszego łyku.

– Jest wyjątkowo kwaśny. – Potrząsnęłam głową. – Piecze mnie w przełyk.

– Jest taki jak zawsze. – Magda spróbowała swojego. – Masz zgagę.

Zgagę to miała ciotka Waleria, wspomniałam dziewięćdziesięcioletnią siostrę mojej babci.

– Przejdzie ci po porodzie – dodała i spojrzała z troską. – Przygotowałam już rzeczy dla dziecka?

Dopytywała, chociaż chodziła ze mną do sklepów, pomagała wybierać ciuszki, podarowała mi wózek, nosidełko i inne akcesoria po swoich maluchach. Przeznaczenia tego wszystkiego nie byłam w stanie zapamiętać. Gdyby nie Magda, stateczna mama dwóch córek, nie miałabym pojęcia, czym jest gondolka czy mata edukacyjna.

– Przecież wiesz – odparłam i zamilkłam ze wzrokiem wlepionym w okno.

– Naleśnik ze szpinakiem i pierogi! – przerwał nam głos barmanki.

– Przyniosę. – Magda gestem zatrzymała mnie na krześle.

Mam wszystko oprócz ojca dziecka.

Nawet Magda nie była w stanie wyciągnąć ode mnie jego imienia. Trwała w przekonaniu, że to Jaromir, mój były. Z bólem serca wspominałam wykładowcę, który miał ze mną zajęcia z rzeźby. Zakochałam się w nim jak nastolatka, nie bacząc na jego rodzinne zobowiązania. Także on nie pozostawał obojętny. Ocieraliśmy się o siebie na wydziałowych korytarzach, wpadałam na jego żonę, panią doktor od historii sztuki, warowałam w Czarnej Róży, miejscowej knajpie sztuk-mistrzów. Pozwoliłam, by zawładnęło mną uczucie, którym rozkoszowaliśmy się po kryjomu, z nieznaną mi dotąd namiętnością, trudną do porównania z młodzieńczymi wlotami w otoczeniu licealnych kolegów.

Jaromir był pięknym brodatym mężczyzną. Nosił wąskie spodnie i klasyczną bordową apaszkę w rzucik, jego znak rozpoznawczy. Dużo pił i palił, lubił – i potrafił – mówić o sztuce. Z perspektywy czasu wiem już, że zaimponował mi, wybierając właśnie mnie spośród wielu innych studentek na wydziale. Ja, rodowita gdańszczanka, mieszkanka akademika, zakochałam się bez pamięci. To, że miał tych kilka – no kilkanaście – lat więcej i żonę, nie stanowiło problemu. Zaślepiona miłością przystałam na jego warunki, by nie wchodzić w oczy doktor Aleksandrze i być tą drugą. Młodej i głupiej wystarczyło, żeby był. Czasami.

Pamiętam obronę pracy magisterskiej, która poszła mi świetnie. W towarzystwie ojca i brata rozpromieniona rozglądałam się po korytarzu za Jaromirem. Mimo końca czerwca na wydziale pojawiło się kilku kolegów z roku, by razem ze mną cieszyć się sukcesem. Przyjmowałam kwiaty i zapraszałam ich na jutro, na piwo w Czarnej Róży, którą wybrałam ze względu na Jaromira, bo spodziewałam się go tam zastać.

Wprawdzie był to jeden z wieczorów „dla rodziny”, ale Jaromir przyszedł, mimo wszystko. Dołączył do nas. Niestety, w gronie kolegów musiałam udawać, że nic nas nie łączy.

– Jutro w znajomej knajpce na starówce – szepnął, kiedy przez chwilę byliśmy sami. – Gratuluję. – Dyskretnie wręczył mi niewielkie puzderko.

Wieczorem odkryłam wisiorek z serduszkami z napisem „Dla jutra”.

A zatem widzi przed nami przyszłość! Ta myśl sprawiła, że wyrosły mi skrzydła. Dał znak, że teraz wszystko się zmieni!

Niestety, nadzieje były płonne. Wprawdzie pomógł mi dostać pracę na konserwacji i załatwił hotel asystencki, ale wciąż spotykaliśmy się ukradkiem.

– Kochanie, nie mogę teraz zostawić Aleksandry – tłumaczył, kiedy podejmowałam temat.

Jego żona nieustannie wymagała wsparcia: leczyła się na bezpłodność, niańczyła chorych rodziców, miała kłopoty z habilitacją.

Po trzech latach huśtawki straciłam cierpliwość, z którą wygasła miłość do Jaromira, a mimo to nie byłam w stanie zakończyć związku. Pomogła mi propozycja wyjazdu.

Dzień, w którym szef wezwał mnie do siebie i ją przedstawił, miałam w oczach do dziś.

– Pani Blanko, trzeba zrobić dokumentację prac naszej ekipy w Paryżu. Zamierzam wysłać tam panią – powiedział, wskazując miejsce w fotelu. – Pół roku. Zapewniamy lokum i wynagrodzenie. Może się pani zapoznać z warunkami. – Położył przede mną dokument. –

Wyjazd za tydzień. Czy to możliwe?

Nie zastanawiałam się ani chwili.

– Skoro musisz... Ale może chociaż uda ci się przyjechać na rocznicę naszego ślubu? – dopytywał tato, który przyjechał do mnie sam. Nieobecność mojej macochy tłumaczył różnymi rodzinnymi obowiązkami.

– Tato, nie przyjadę. Przecież wiesz, że Jadwiga za mną nie tęskni. A wyjazd to dla mnie szansa – uciełam temat.

Uzbrojona w propozycję wyjazdu stanęłam przed Jaromirem z otwartą przyłbicą.

Przyszedł na wyznaczone, tym razem przeze mnie, spotkanie pewny siebie. Mimo to dostrzegłam na jego twarzy cień niepokoju.

– Stało się coś? Mieliliśmy zobaczyć się w piątek.

– To koniec, Jaromir. Wybacz, ale nie mogę dłużej – wyrzuciłam z siebie przygotowaną kwestię.

– Co się stało, kochanie? – Przysunął się, żeby mnie objąć.

Wysupłałam się z jego ramion. Potrzebowałam przestrzeni.

– Ty nigdy nie odejdziesz od Aleksandry, ja mam dość czekania. Wyjeżdżam na staż do Paryża. Przyszłam się z tobą pożegnać.

Jeżeli miałam nikłe złudzenia, że będzie mnie błagał, bym została, pogrzebało je jego spojrzenie. I żadne słowa, które padły, nie były w stanie tego zmienić. Jaromir nie traktował mnie poważnie.

Przeryczałam wieczór nad straconymi latami miłości, nadziei i własnej głupoty, a następnego dnia spakowałam walizki. W Paryżu zamierzałam zebrać siły do nowego życia.

Wróciłam z brzuchem i wspomnieniem poznanego tam Sambora.

– Miał być naleśnik ze szpinakiem! Dlaczego nie jesz? Źle się czujesz? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Magdy.

Próbowałam skubać, by nie wzbudzać podejrzeń, ale nie byłam w stanie przełknąć kęsa. Wyszłam, wymigawszy się telefonem od ojca.

– Kiepsko wyglądasz. Może zadzwonię po lekarza? – zawołała za mną, ale tylko uniosłam dłoń w geście pożegnania i zniknęłam.

Ledwie udało mi się pokonać pieszo te kilkaset metrów dzielące budynek chemii od hotelu asystenckiego. Poprosiłam portierkę o wezwanie pogotowia.

– Pani Wandziu, chyba się zaczęło... – Skuliłam się pod nagłym naporem bólu. – Pójdę po rzeczy.

Nie miałam czasu, żeby powiadomić ojca. Zresztą niepokój o poród kazał skoncentrować się na najważniejszym w tym momencie zadaniu.

Co, jeżeli dziecko nadal leży nóżkami do dołu? – myślałam, jadąc karetką do szpitala. Byłam w czarnej dziurze. Tylko spokojnie, tylko spokojnie... – powtarzałam jak mantrę. Tyle że jeśli mi się coś stanie, nikt nawet nie będzie wiedział...

Nie wiedzieć kiedy znalazłam się na sali porodowej. Za parawanem rodziła inna kobieta. Zatykałam uszy, żeby nie słyszeć jej krzyków.

– Proszę przeć. Jeszcze raz, dwa i będzie po wszystkim. – Głos lekarza przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Czy z dzieckiem wszystko w porządku? – Zdobyłam się na wydanie dźwięku.

– Proszę przeć!

Podjęłam kolejny wysiłek i usłyszałam głos noworodka. Ale kiedy zaczął nadciągać spokój, lekarz krzyknął jeszcze raz, żebym się skupiła.

Urodziła kobieta obok.

– Przec!

Po chwili i moje dziecko znalazło się na świecie.

Leżałam obezwładniona bólem, czekając na kolejne ponaglenia, w miejsce których usłyszałam kojącą wiadomość.

– Ma pani córkę.

Położna pokazała mi dziecko i zabrała je do mycia, ważenia, badania. Trzy trzysta, pięćdziesiąt cztery, dziewięć punktów.

– Można panią przewieźć na salę – polecił doktor.

Po półtorej godziny przywieziono inną kobietę, chyba tę, która rodziła ze mną. Nie spałam, chociaż sen czał się pod powiekami. Wyglądała na wycieńczoną i zasnęła niemal od razu.

Powinnam zawiadomić rodzinę i Magdę, pomyślałam. Ciekawe, kiedy będę mogła wstać i podejść do telefonu.

Z każdą godziną było coraz lepiej.

Magda nie mogła przyjść z powodu choroby dzieci, na nikogo innego nie mogłam liczyć. Zrezygnowałam z myśli, żeby zawiadomić Sambora. Skoro nie powiedziałam mu o ciąży, powinnam być konsekwentna, postanowiłam, powstrzymawszy nagły impuls.

Nie zauważyłam, kiedy podeszła do mnie kobieta z naprzeciwka.

– Marta Jarema – przedstawiła się i zapytała o samopoczucie.

– Blanka Kuszewska – odparłam nie swoim głosem na dźwięk tak dobrze znanego mi nazwiska.

Powstrzymałam odruch, by zapytać, czy jej mąż ma na imię Sambor, a do sali weszła pielęgniarka.

– Pani Jarema, ma pani gościa. Przyszedł mąż.

– Przepraszam – powiedziała Marta z uśmiechem. – Porozmawiamy później. To Sambor! Jeszcze nie widział córeczki.

## Rozdział 3

Marta

1987 r.

W domu wszystko było gotowe na przyjęcie Weroniki. Z aptekarską dokładnością, tak charakterystyczną dla farmaceutki, zadbałam o każdy szczegół. A nawet jeśli zapomniałam o czymś, miałam zawsze skłoną do pomocy mamę.

Kiedy rodzice kupili dużą działkę na peryferiach miasta, nam przypadła w udziale połowa posesji. Domy budowaliśmy równolegle. Na spółkę wynajęliśmy projektanta ogrodów i mimo płotu, który nas dzielił, żyliśmy niemal pod wspólnym dachem. Sambor nigdy nie sprzeciwiał się rodzinnej komitywie, doceniając fakt, że teść finansuje nam gniazdko, a niepracująca teściowa pomaga w opiece nad chłopcami, ośmioletnim Krzesimirem i pięcioletnim Jędrzejem.

Ja również nie mogłam narzekać, chociaż częste odwiedziny mamy bywały czasami niekomfortowe. Najczęściej w chwilach, kiedy chciałam pobyc z własną rodziną i przeżyć choć jedno niedzielne popołudnie według własnego scenariusza, co z każdym rokiem stawało się coraz trudniejsze.

Mama nie wyobrażała sobie niedzielnego obiadu bez naszej obecności, a jej nadopiekuńczość wobec chłopców wręcz porażała. Z trudem udało mi się wywalczyć, by pięcioletni Krzesimir poszedł wreszcie do przedszkola, ale przy Jędrku musiałam spasować. Pozwalałam przetrzymywać go w domu, mimo że jak każde dziecko odczuwał potrzebę obcowania z kolegami w swoim wieku. Zmobilizowała mnie dopiero kolejna ciąża i po cichu załatwiłam młodszemu synkowi miejsce w przedszkolu. Miał dołączyć do grupy w przyszłym tygodniu.

Niezaspokojone przy jedynaczce macierzyńskie instynkty mamy realizowały się zatem w pomocy przy małej, chociaż i tę chciałam nieco ukrócić. Ostatnio coraz częściej zwierzałam się Jagodzie, mojej koleżance i pracownicy mojej apteki. Nie licząc Agnieszki, niezawodnej przyjaciółki, którą znałam lata świetlne, była bliską, godną zaufania osobą. Aptekę, oczywiście, urządził tato. Zadbał, bym nie miała zbyt daleko do pracy. Mieściła się kilka minut jazdy samochodem od domu.

Jagoda nie potrafiła zrozumieć biadolenia „księżniczki na ziarnku grochu”, jak mnie nazywała, ale przynajmniej potrafiła słuchać.

– Jędrus nie może się doczekać pójścia do przedszkola – zagadałam, korzystając z nieobecności klientów. – Mama jeszcze o tym nie wie.

– Nie powiedziałaś jej?

– Jagoda, jestem pod koniec dziewiątego miesiąca i muszę odłożyć nerwy na półkę. Po co mi powtórka z rozrywki?

– Myślisz o Krzesimirze?

– No tak. Obraziła się na mnie śmiertelnie, kiedy wspomniałam o oddaniu go do przedszkola. Potem było tylko gorzej, a miała jeszcze Jędrusia. Czasami myślę, żeby uciec od tego wszystkiego. Zabrać Sambora, dzieciaki i wynieść się na koniec świata!

– Spokojnie, pani ciężarna – pocieszała Jagoda. – Hormony w tobie buzują. A tak w ogóle to co ty tu jeszcze robisz? Nie powinnaś odpoczywać przed porodem? Ogarnę nasze podwórko. – Podeszła i objęła mnie ramieniem.

Jak dobrze, że trafiłam na Jagodę! Zawsze podnosiła mnie na duchu, rozbrajała śmiechem, ustawiała do pionu.

– Chcesz mnie wysłać do domu?! Kiedy mówię ci o emigracji na koniec świata?

Pokiwała głową ze zrozumieniem dla rozkapryszonej ciężarówki i podeszła do okienka, by obsłużyć klienta.

Wracając do domu ze szpitala, nie pamiętałam o smuteczkach i wątpliwościach. Odeszły w siną dal na widok chłopców pędem zbliżających się do samochodu, mamy i taty w drzwiach i Sambora, który zanim chwycił nosidełko, pomógł mi wypełznąć z auta. Nie przeszkadzała mi nawet obecność bliźniaczej siostry mamy, ciotki Konstancji, osoby tyle życiowo samotnej, ile marudnej i pełnej rozgoryczenia na cały świat. Z braku innych zajęć stacjonowała u rodziców częściej, niż było to konieczne, rzadko powstrzymując się od kąśliwych komentarzy na tematy wszelakie. Na szczęście po latach nikt już nie zastanawiał się nad tym, co sądzi ciotka. Konstancja po prostu była.

Krok za krokiem, z perspektywy kilku metrów przyglądałam się rodzinie pochylonej nad okutaną w kocyki Wercią i wymieniającej pierwsze opinie.

– Zobaczcie, jakie ma ciemne włoski! – To mama. – Otworzyła oczy! Jesteś podobna do mojej matki, prababci Walerii. Dwaj blondyni, a teraz będzie brunetka w naszej rodzinie. Zobacz, Walenty, wnuczka wrodziła się w babcię Walerię!

– Przecież kolor włosów może się zmienić – zaproponowała ciotka. – A poza wszystkim mama zawsze była siwa.

– Mogę jej dotknąć? – pisał Krzesimir.

– Kiedy będzie się ze mną bawić? – zamarudził Jędrus.

– Przepuście Sambora! – polecił tata. – Gadacie tylko i gadacie, a dziecko musi wejść do domu. Chodź, Martuś, pomogę ci. – Podał mi ramię.

W radosnym oszołomieniu z przyjemnością opadłam zmęczona na fotel i zabrałam małą od męża.

Mama opanowała rozemocjonowanych chłopców i teraz dyrygowała ruchem między kuchnią a pokojem. Na ławie przede mną stanęły przygotowane smakołyki. A kiedy wywiązała się już z obowiązków pani domu, zaoferowała pomoc przy Weronice.

– Chcesz ją przewinąć, a może nakarmić? Jeżeli jesteś zmęczona...

– Nie jestem, mam – przerwałam jej. – Posiedźmy chwilę.

Przywiozłam do domu trzecie dziecko, wiedziałam, jak poskromić emocje i co robić. Najchętniej pozbyłabym się gości i została z Samborem i chłopcami, ale nie mogłam pozbawić ich prawa do radości. W stosownym momencie poprosiłam o chwilę spokoju.

Chłopcy, skuszeni obietnicą obejrzenia ulubionego filmu, pognali do domu dziadków, a my zostaliśmy sami. Ja uspokojona, Sambor zestresowany.

– Co mam robić? – zapytał niepewnie.

– Posiedzisz z małą? Muszę pójść pod prysznic.

– A jak zacznie płakać?

– Przecież nie twój pierwszy raz – odparłam ze śmiechem.

„Po raz pierwszy po urodzeniu malucha przegoniłaś mamę i zostawiasz mnie z dzieckiem samego”, zobaczyłam w oczach mojego męża kwestię, której nie odważył się wyartykułować.

Właśnie tak, panie doktorze. Teraz się pan nie wywinie.

– Prawda, że piękna? – zapytałam, przekazując zawiniątko w ręce męża.

– Bardzo! Cześć, córeczko. – Sambor nachylił się i delikatnie pocałował meszek na czole małej.

Mogłam spokojnie iść do łazienki.

Pierwsze uniesienia zastąpiła codzienność przy noworodku. Po kilku tygodniach opanowałam kłopoty z laktacją, uregulowałam pory karmienia i spacerów. Niestety, Weronika

nie należała do śpiochów, więc noce zazwyczaj miewałam bezsenne. Odsypiałam je dzięki mamie, która w ferworze opieki nad maluchem nawet nie zauważyła pójścia Jędrzeja do przedszkola. Sambor usiłował znajdować czas dla rodziny, ale kolejny kontrakt, nad którym pracował z ojcem, pochłaniał ich obu. Jak dawniej – bywali w domu gośćmi.

Zaproponowałam mężowi, żeby spał w gościnnym. W nocy Werka domagała się wzięcia do łóżka, a ja ulegałam.

– Jeszcze trochę, kochanie – obiecywałam szybki powrót do normalności. – Przejdą kolki, przyzwyczaję małą do spania w jej łóżeczku.

– Nie ma sprawy. – Sambor ochoczo zgarnął pościel. – To ja cię przeproszam, że nie pomagam, ale ten kontrakt to dla nas wielka szansa. Może poprosisz mamę, żeby została z dziećmi, i pójdziesz sobie do kosmetyczki albo do fryzjera?

– Tak źle wyglądam?

– Nie to miałem na myśli. Wyglądasz olśniewająco. – Przyciągnął mnie do siebie. – Po prostu pomyślałem, że może chcesz gdzieś wyjść.

I mam poprosić o pomoc mamę? – spojrzałam, ale nie skomentowałam. A może choć raz dostałabym ją od ciebie? – pomyślałam kąśliwie.

– Zastanowię się – odparłam. – Pamiętaj, że obiecałeś chłopcom wyjście na karate.

– Oczywiście. – Sambor zasalutował w postawie na baczność. – We czwartek o szesnastej.

– We wtorek o siedemnastej – poprawiłam go, uśmiechając się do jego pleców.

Wszystko wróciło do normalności. Na przemian z mamą to zawoziłyśmy, to przywoziłyśmy chłopców ze szkoły i przedszkola, dzieliłyśmy się opieką nad Weroniką, która traktowała nas jak dwie mamy. W niedzielę jadaliśmy wspólne obiady urozmaicone zrzędeniem ciotki Konstancji.

Sambor zaangażował się w pisanie pracy habilitacyjnej. Sensu w tym nie dostrzegałam, ale potrafił mnie przekonać.

– Firma może upaść, a stopień pozostanie. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość, Martusiu. Jeszcze raz przeproszam, że was zaniedbuję. I jeszcze w perspektywie te wyjazdy do Krakowa...

Miał na myśli ośrodek naukowy, z którym współpracował i często musiał dojeżdżać na seminaria.

– Rozumiem, Sambor. Przecież wiesz, że nie jestem sama. Rób, co musisz. Ale na wakacje chyba dokądś wyjedziemy?

– Oczywiście. – Twarz mojego męża rozświetlił uśmiech. – Wynajmiemy domek u mojego znajomego w Dąbkach i zakopimy się z młodymi na plaży. Poczekasz do lata?

Czekałam, karmiąc, przewijając, spacerując, odrabiając lekcje z Krzesimirem i grając z Jędrusiem w wojnę. Mama, czego już jej nie wypominałam, wspomagała mnie czasem opieką nad dziećmi czy obiadami. A ja planowałam najbliższe wakacje.

## Rozdział 4

Blanka

1987 r.

Nie miałam ochoty na rozmowy z żoną Sambora, ale, niestety, znalazłam się w orbicie jej zainteresowań. Pewnie dlatego, że jako moja rówieśnica, na tle leżących na sali nasto- i dwudziestolatek, dostrzegła we mnie partnerkę. Tymczasem mnie bliżej było mentalnie do młodszych mam. Ona w wieku trzydziestu czterech lat urodziła trzecie dziecko, ja byłam pierworódką.

Wspomniała, że ma już dwóch synów, a oczekiwana córka spełnia jej marzenia o pełnej rodzinie. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby nie była żoną Sambora.

Z ulgą przyjąłam decyzję lekarzy o wypisie do domu, nawet jeśli ten mieścił się chwilowo w jednym z dwóch hoteli asystenckich, a warunki daleko odbiegały od wymarzonych. Dzieliłam dwupokojowy segment z Adą i Marcinem, rodzicami niemal siedmioletniego Jasia, weteranami wśród mieszkańców, choć niebawem sytuacja miała się zmienić. Powstające obok osiedle uniwersyteckie, którego budowę zainicjowali pracownicy uczelni, dawało nadzieję, że hotele się wyludnią, a ja być może dostanę drugi pokój. Co prawda kuchnia wciąż byłaby wspólna, ale przynajmniej łazienkę miałabym dla siebie i dziecka. Istniała szansa na namiastkę wygody.

Powrót do rodzinnego domu w Gdańsku nie wchodził w rachubę. Od kiedy zmarła mama, a ojciec ułożył sobie życie z Jadwigą, jego mieszkanie stało się dla całej rodziny zbyt ciasne. Podzieliłam los bajkowego Kopciuszka, ustąpiwszy miejsca córkom mojej macochy i jej wnukom, częstym gościom w domu mojego ojca, jednak bez szczęśliwego zakończenia. Nikt nie zaprosił mnie na bal, na którym spotkałam księcia. Mój książe Sambor miał już swoją królową. Ale nie mogłam narzekać. Wiedziałam o tym, kiedy po raz drugi wchodziłam do tej samej rzeki, uległszy fascynacji żonatym mężczyzną.

A że moje serce wciąż po nim krwawi? To w tym momencie musi przestać. Magda właśnie wiozła mnie taksówką do hotelu, z dzieckiem, które było tylko moje.

Sambor, żegnając się ze mną przed moim wyjazdem z Paryża, podjął decyzję dotyczącą naszej przyszłości, zanim zdążyłam mu powiedzieć o ciąży.

Tamtego dnia spotkaliśmy się w niewielkiej knajpce w pobliżu naszego akademika, oddalonej o kilkaset metrów od Porte d'Orleans, ostatniej stacji metra linii numer cztery. Po półrocznym pobycie znałam to miejsce jak własną kieszeń. Przyszedł z wiązanką kwiatów i niewielką torebką od jubilera. Zerknęłam kątem oka i stwierdziłam, że dostanę jakiś drobiazg na koniec znajomości. Po Jaromirze nabrałam doświadczenia, które mnie nie zawiodło.

– Gdzie chcesz usiąść? Z prawej czy z lewej? – Wskazał na miejsca pod oknem.

Zajęłam jedno z nich i zamówiłam to samo, co on.

Przez moment trwaliśmy bez słowa, ja zrezygnowana, on zestresowany. Postanowiłam milczeć i nie ułatwiać mu zadania. Jak się okazało, przewidziałam każde zdanie.

Kocha mnie, ale Marta zaszła w trzecią ciążę. Są związani latami małżeństwa i rodzinnym interesem.

Nie wyobraża sobie życia beze mnie, ale nie chce komplikować mojego. Gdybym zechciała przyjąć od niego skromny prezent na pamiątkę...

Odmówiłam.

Mimo to w domu odkryłam w torebce puzderko. Nie miałam odwagi wyrzucić leżącego w nim pięknego wisiorka ze szmaragdem, kamieniem, jak twierdził Sambor, szczególnie

pasującym do moich zielonych oczu. Wierzyłam albo może raczej chciałam wierzyć, że on żałuje decyzji o naszym rozstaniu, bo naprawdę było nam bardzo dobrze razem. Ale czy ja, ta druga, rzeczywiście miałam prawo go oceniać i oczekiwać czegokolwiek?

Przełknęłam ostatnie łyki soku pomarańczowego i wstałam z krzesła, zostawiwszy nietknięte danie. Zresztą nadciągające mdłości i tak skutecznie powstrzymywały mnie od jedzenia.

Sambor wybiegł za mną i zastąpił mi drogę.

– Jesteś blada. Dobrze się czujesz? – zapytał zaniepokojony.

– A jak myślisz? – Spojrzałam mu prosto w oczy, nie wspomniawszy o nagłej żołądkowej niedyspozycji wynikającej z ciężowych dolegliwości.

– Blanka, nie chciałem...

– Przepuść mnie. – Odsunęłam go i na zewnątrz z ulgą zaczerpnęłam świeżego, mroźnego lutowego powietrza.

Następnego dnia, wsiadając do autobusu, który przez niemal dobę miał mnie wieźć do Polski, wzrokiem poszukiwałam Sambora. Nie przyszedł.

Wróciłam do pracy.

Do końca semestru nie czułam się komfortowo. Obawiałam się spotkania z Samborem, który mógł przecież zrobić sobie przerwę od pobytu w Paryżu i przyjechać. Wprawdzie chemia, na której pracował, zajmowała prawie skrzydło budynku, a moja konserwacja lewe, ale dzieliliśmy korytarz. Z obawą przemykałam do barku, każdego dnia odczuwałam stres, oddając klucze portierowi.

Szczęście mi sprzyjało. Do końca czerwca Sambor był nieobecny. A później wakacje wyгнаły mnie z pracy na dwa miesiące. Udało mi się nie wpaść na niego także we wrześniu. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy jeszcze pracuje.

Prawdopodobnie dzwonił, ponieważ od czasu do czasu ktoś informował o telefonach do mnie. Nie reagowałam. Gdyby Sambor chciał pogadać, wiedział, w którym pokoju pracuję. Pożegnałam się z tym panem, chociaż emocje czasami brały górę, powodując bezsenne noce i niczym niepohamowany płacz, za który karciłam się kolejnego ranka przy parzeniu kawy we wspólnej hotelowej kuchni.

– Głupia, głupia, głupia! – wyrzucałam sobie cichaczem, pukając się w czoło. Jasna cholera! Mimo upływu miesięcy od ostatniego spotkania z Samborem czułam do niego miętę.

Gdyby nie Magda, straciłabym chyba poczucie godności i poleciała do Paryża, zaprezentowała swój wielki brzuch i rzuciła się Samborowi w ramiona. Moja przyjaciółka nic wprawdzie o nim nie wiedziała, znała za to historię związku z Jaromirem. Myślała nawet, że zatajenie informacji o ojcu dziecka ma go chronić.

– Powinnaś mu powiedzieć – radziła z przekonaniem. – Gnojek zrobił dzieciaka, to niech teraz płaci. Tyle lat cię zwodził!

Ale to nie on! – miałam na końcu języka.

Jednak faktycznie, Magda miała dużo racji. Łamałam sobie głowę, jak utrzymać dziecko, chociaż ostatnie słowa Sambora uwolniły we mnie pokłady samodzielności. Wychowam je sama! – decydowałam w jednej chwili, by w kolejnej się wycofywać.

Ostatecznie zdecydowałam zachować narodziny malucha w tajemnicy, dać mu swoje nazwisko i zacząć życie od nowa. Bez Jaromira i bez Sambora.

Kiedy Magda przywiozła mnie z małą ze szpitala, wyznałam jej prawdę.

– Powiedziałam ci o wszystkim, ale proszę, nie komentuj. Będę samotną mamą.

Z ciężkim sercem pokiwała głową i została z małą, kiedy poszłam zarejestrować córeczkę w urzędzie stanu cywilnego.

– Proszę wpisać tu imię i nazwisko dziecka. – Urzędniczka wskazała rubryki w formularzu.

Dobrosława, nakreśliłam imię małej drżącą ręką. Wolałam nie myśleć, dlaczego zdecydowałam się na to, które podobało się Samborowi. Kuszewska, podałam swoje nazwisko. Ojciec N.N.

Początki z Dobrusią nie były łatwe. Nie wiem, jak bym sobie poradziła, gdyby nie pomoc bratowej Mileny, która poratowała mnie tygodniową obecnością. Nie dość, że Dobrusia często płakała i domagała się karmienia, to jeszcze kłopoty z laktacją przyprawiły mnie o zawrót głowy.

Mieszkałyśmy we trzy w maleńkim pokoju. Płaczący noworodek był uciszany, żeby jak najmniej przeszkadzał sąsiadom za drewnianym przepierzeniem. Suszące się pieluchy były źródłem nieprawdopodobnej tropikalnej wilgoci, a nieuregulowany tryb funkcjonowania mojej małej córeczki poprzestawiał mi dzień z nocą.

Jednak Milena wróciła do domu, a ja w trakcie kolejnej zarwanej nocy zapłakałam nad swoim losem.

– Madziu, jeżeli tak ma wyglądać macierzyństwo, to ja nie dam rady – żaliłam się przyjaciółce, spoglądając w lustrze na znękaną twarz.

– Skontaktuj się z Samborem. – Przepuściła kolejny atak.

– Nie. Teraz mam dużo roboty. Nie chcę sobie dokładać stresu – odparłam, ucinając dyskusję w tej kwestii raz na zawsze. – Przeżyję.

Determinacja przyniosła skutki, powoli nadciągało lepsze. Zaczęłyśmy wychodzić na coraz dłuższe spacerunki, Dobrusia nauczyła się ssać, ja byłam coraz lepsza w rutynowych czynnościach: praniu, prasowaniu, usypianiu. Znajdowałam nawet czas na przeczytanie kilku stron i umycie głowy. Za szczyt organizacji czasu uznałam jego wygospodarowanie na przycięcie paznokci i korektę brwi. A kiedy łowiłam w ciągu dnia dwie godziny na sen, byłam wniebowzięta.

Poczułam, że sobie poradzę.

Mijały tygodnie, jesień zagościła na dobre. W Święto Zmarłych nie pojechałam do Gdańska na groby.

– Włodek, zapal mamie świeczkę ode mnie – poprosiłam brata przez telefon, jednocześnie z prośbą, by został ojcem chrzestnym Dobrosławy.

Na matkę wymyśliłam sobie Magdę.

Nie miałam pojęcia ani kiedy wyprawię chrzciny, ani jak potoczą się moje zawodowe losy, ale na razie postanowiłam się tym nie martwić. Urlop macierzyński kończył się dopiero za półtora miesiąca. Moja córeczka zaczęła zachowywać się nieco bardziej przewidywalnie, więc mogłam zacząć żyć z dnia na dzień, a nie z godziny na godzinę. Codziennie o tej samej porze spacerowałam w okolicach uniwersytetu i w pobliskim lasku, podziwiając (czego nigdy bym się po sobie nie spodziewała!) naturę i czerpiąc radość z każdej spokojnej chwili. Cieszyła mnie najmniejsza przemiana Dobrusi.

Do czasu, gdy krótko przed świętami na mojej drodze stanął Sambor.

## Rozdział 5

Blanka

1987 r.

Właśnie robiłam kolejną rundkę z wózkiem po lesie, po raz trzeci przemierzając czarną drogę, by skręcić w czerwoną, w kierunku akademików. Zdążyłam już obejść basen, budynek chemii i pozostałych wydziałów usytuowanych na uniwersyteckim kampusie.

Spacerowa trasa, którą przemierzałam każdego dnia o tej samej porze, zajmowała mi dwie godziny, dokładnie tyle, ile trwał sen Dobrusi. Może i odsypianie dziecka na spacerze nie było najwygodniejszym pomysłem dla mnie, ale miałam przeświadczenie, że pobyt na powietrzu dobrze robi córce.

– Gdyby ci spała w domu, miałabyś dwie godziny dla siebie – wskazywała racjonalna Magda.

– Przecież ja też korzystam – odpierałam argumenty. – Mam trochę ruchu i czas, by pogłównkować.

Zwłaszcza że zмагаłam się z różnymi myślami. W lutym powinnam wrócić do pracy, a nie rozwiązałam jeszcze kwestii opieki nad Dobrusią. Przy moich dochodach zatrudnienie kogokolwiek nie wchodziło w rachubę, a trzymiesięczne niemowlę nie kwalifikowało się do żłobka. Rozważałam kwestię przenosin do Gdańska, niestety, nikt tam na mnie nie czekał. Co prawda Milena deklarowała pomoc w znalezieniu pracy, ale żadna z nas nie miała pomysłu, gdzie mogłabym zamieszkać. Ona z Włodkiem i chłopcami zajmowali niewielkie mieszkanie i dopiero co rozpoczęli budowę domu. Przytulny pokój na pięterku, który mogłabym ewentualnie zająć, musiał pozostać w sferze marzeń. Aczkolwiek i tak byłam wdzięczna bratu i bratowej za wsparcie i obietnicę pomocy, kiedy tylko pojawią się warunki.

Zajęta myślami ledwie dostrzegłam pierwsze w tym roku płatki śniegu opadające na ziemię w równym rytmie. Mimo woli uśmiechnęłam się do tego nieoczekiwanego prezentu od pogody. Zanim doszłam do pasażu przed akademikami, ścieżkę pokrywała już delikatna warstwa białego puchu.

Może święta w tym roku też będą białe? – pomyślałam z nadzieją, jak gdyby mogło to zmienić cokolwiek w moim położeniu. Na zaproszenie od ojca i macochy nie miałam co liczyć. Najważniejsze, że Milena z Włodkiem zaprosili mnie i Dobrusię do siebie.

Podniesiona na duchu perspektywą spędzenia świąt z rodziną, oddałam się rozmyśleniom o prezentach i przyspieszyłam kroku.

Skromny budżet nie pozwalał na szaleństwa, ale dla chłopców musiałam znaleźć coś specjalnego. Miałam bardzo fajnych bratanków w wieku synów Sambora i bardzo ich kochałam. Wiedziałam o nich chyba więcej niż on o swoich chłopakach. Pozwalał się wciągać w rozmowy o dzieciach, choć przypominały one raczej moje monologi.

– Aż mi wstyd, że jesteś lepszą ciotką niż ja ojcem – usłyszałam w trakcie jednej z nich w Paryżu, przed ubiegłorocznymi świętami Bożego Narodzenia.

– Za dużo pracujesz. Moja mama zawsze mówiła, że dzieci szybko rosną i dużo można stracić, nie poświęcając im czasu. Potem może być za późno.

Nie odpowiedział, ale poprosił mnie o pomoc przy wybieraniu prezentów. Dla Krzesimira i Jędrusia kupiliśmy naprawdę nietuzinkowe: starszy miał dostać od Mikołaja grę w katapultę, młodszy duży, niedostępny w Polsce zestaw klocków Duplo.

Byłabym szczęśliwa, mogąc teraz sprawić podobne Irkowi i Zbyszkowi.

Zjeżdżając z leśnej drogi na asfalt, utknęłam na krawężniku. Koła zahaczyły o przeszkodę, a ja cofnęłam wózek, by nagły wstrząs nie obudził Dobrusi.

– Może pomogę? – usłyszałam znajomy głos i zeszywniałam.

Podniosłam głowę i zobaczyłam Sambora. Był równie zaskoczony jak ja.

– Blanka?

Różnie wyobrażałam sobie nasze pierwsze spotkanie po czasie, ale jak widać, niczego nie dało się przewidzieć ani tym bardziej wyreżyserować. Staliśmy naprzeciwko siebie porażeni nagłą bliskością. Zdziwieni i zażenowani. Pytanie o dziecko powinno być oczywistością, jednak Sambor go nie zadał.

– Od roku próbuję się z tobą skontaktować – zaczął, kątem oka zerkając do wózka.

– Po co?

– Bo... Blanka, po prostu chciałem cię zobaczyć.

– Oto jestem. Pomóż mi wjechać na asfalt – poprosiłam oschle. – Mała zaraz się obudzi, muszę wracać do hotelu.

– To twoje dziecko? – Nie zaprzeczyłam. – Kiedy zdążyłaś urodzić?

– Minęło trochę czasu od naszego ostatniego spotkania. – Wciąż byłam zasadnicza. – Dwudziestego ósmego września.

Konkretna data stanowiła celny cios. Tego samego dnia przyszła na świat córka jego i Marty. Tyle że wbrew postanowieniu, by nie ujawniać prawdy, popisałam się długim językiem. Co za cholerny brak konsekwencji!

Informacja dała Samborowi do myślenia.

– Blanka, czy ja dobrze rozumię? – zapytał.

– Na jaki temat? – Udałam głupią.

– Czy to ja jestem ojcem?

Cisza była jak potwierdzenie.

Stał zaskoczony i bezradny. Zmarszczka między brwiami świadczyła o głębokim namyśle.

Nie oczekiwałam entuzjazmu. W ogóle nie oczekiwałam niczego. Chciałam wrócić do domu, przewinąć małą i dać jej jeść. Jak najszybciej uciec od niekomfortowej sytuacji w bezpieczne cztery kąty hotelowego pokoju. Drogi, moja i Sambora, rozeszły się rok temu. I tak miało pozostać.

– Sambor, muszę wracać. Dobrusia jest głodna i ma mokro – zakomunikowałam.

– Dziewczynka? Dałaś jej na imię Dobrusia? – Obdarzył małą uśmiechem.

– Też mi się spodobało.

– Blanka... Wiesz, że musimy porozmawiać? – Spowaźniał i przytrzymał moją dłoń.

– Nie ma o czym.

– Jest – powiedział. – Kiedy możemy się spotkać?

– Może jutro o dwunastej – odparłam, znów wbrew sobie, spuściwszy głowę. – Uśpię małą i będę miała chwilę. Hotel dwójka, pokój trzydzieści cztery.

Tego dnia długo nie mogłam zasnąć.

## Rozdział 6

Blanka

1987 r.

Mimo usilnych starań nie dałam rady ułożyć Dobrusi do snu. Stawałam na głowie, by nie zasnęła na spacerze, nakarmiłam ją, przewinęłam, huštałam w wózku, przemierzając dwa wolne metry kwadratowe pokoju wpatrzona w otwarte oczy mojej córki, z coraz bardziej nikłą nadzieją na powodzenie.

W końcu rozwrzeszczała się na dobre i zagłuszyła pukanie do drzwi.

– To ja. Mogę? – odczytałam z ruchu warg, gdy Sambor wsunął głowę, nie doczekawszy się zaproszenia.

– Wejź. – Gestem poprosiłam go, by zamknął drzwi, i podjęłam próbę uciszenia małej na rękach.

Patrzył na nas, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Na niewielkim stoliku położył kwiaty.

– Może ja spróbuję? – zapytał.

– Umyj ręce. Łazienka jest w korytarzu.

Dobrusia przestała płakać, gdy tylko znalazła się w ramionach ojca.

– Przygotuję kawę. Taką jak zwykle? – Miałam na myśli śmietankę i cukier.

– Poproszę.

Zostawiłam go z małą w segmencie i poszłam do kuchni z duszą na ramieniu, gotowa na kolejny atak płaczu córki. Nic takiego nie nastąpiło, a po powrocie czekała mnie niespodzianka. Dobrusia spała smacznie w łóżeczku.

– Jak ci się to udało? – zapytałam uradowana nagłą ciszą. – A zresztą nic dziwnego. Pewnie zaowocował trening z własnym dzieckiem – dodałam kąśliwie. – Proszę. Tu jest kawa. Cukier na stole. – Postawiłam przed Samborem filiżankę.

Siedział w milczeniu, nie przerywając mi nerwowej krzątaniny. Zasłoniłam do połowy okno, żeby małej nie raziło słońce, podciągnęłam jej kocyk pod brodę, wygładziłam stos pieluch. I prawdopodobnie zabrałabym się do sprzątnięcia szuflad, gdyby Sambor się nie odezwał.

– Blanka, usiądź na chwilę. Przyszedłem porozmawiać.

– Już. Tylko sprawdzę, czy wyłączyłam gaz pod czajnikiem. – Podjęłam ostatnią próbę wykręcenia się od rozmowy i zniknęłam.

– Cześć, Blanka. Co się dzieje? Mała daje w kość? – Stojąca przy garnku z zupą Ada dostrzegła moją nerwowość.

Tylko machnęłam ręką.

Sambora zastałam w miejscu, w którym go zostawiłam. Popijał kawę. Ale podczas mojej nieobecności zdążył wstawić kwiaty do wazonu.

– I co z czajnikiem? – zainteresował się.

– Z jakim czajnikiem?

– Usiądź wreszcie. – Nie skomentował mojej odpowiedzi. – Blanka, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Potrzebna ci do czegoś taka wiedza? – odcięłam się. – To moje dziecko.

– I moje, jeżeli to prawda.

Zdenerwowałam się.

– Sądziś, że w Paryżu co wieczór zmieniałam partnera? Jeżeli wątpisz, to tym bardziej

nie mamy o czym rozmawiać.

Tym razem nerwy poniosły Sambora. Chwycił mnie za nadgarstek i nie pozwolił wstać z krzesła.

– A zatem Dobrusia jest moja, tak? – zapytał twardo.

Przytaknęłam skinieniem głowy i wypuściłam powietrze. Poczułam, że mnie odblokowało.

– Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie przy Porte d’Orleans? Chciałam powiedzieć ci o dziecku, ale ty wręczyłeś mi kwiaty i prezent na zakończenie znajomości.

– Marta była w ciąży. Skąd miałem wiedzieć, że ty też?

– Sambor, usłyszałam, kogo wybrałeś. Nie zamierzałam traktować dziecka jako karty przetargowej. I w ogóle żałuję, że teraz, w chwili słabości, wyznałam ci prawdę. Jak się ma twoja córka?

– Skąd wiesz, że to córka?

– Mam swój wywiad – zbyłam go.

– Dobrze – odparł krótko. – Ma na imię Weronika. A ty dałaś małej moje ulubione imię...

A nazwisko?

– Nosi moje.

Przerwał przepytwanie, by po chwili przedstawić mi propozycję, którą miał czas przemyśleć od wczoraj. Na wstępie poprosił, żebym mu nie przerywała.

– Blanka, jestem poważnym facetem i nie zamierzam unikać odpowiedzialności za córkę. Będę płacił na jej utrzymanie, odwiedzał was i w miarę możliwości pomagał przy dziecku. W tym zakresie nie obiecuję zbyt wiele, nie mam czasu nawet dla swojej rodziny... – urwał, usłyszawszy własną niezręczność. – Proszę cię jednak, żeby Dobrusia nosiła moje nazwisko. Chcę oficjalnie, a nie pokątnie, być jej ojcem, nawet jeśli tylko na doskok. Możemy umówić się co do wysokości alimentów między sobą lub przeprowadzić to sądownie. Blanka, nie jesteście same.

Z przemowy Sambora zrozumiałam jedno: on nigdy nie opuści Marty i dzieciaków. Wiedziałam o tym od zawsze. Ale kiedy tak siedział naprzeciwko i przemawiał tym swoim aksamitnym głosem, przypominałam sobie, dlaczego w Paryżu się zakochałam, nie bacząc na obrączkę. Zakazany owoc. Dojrzały i nęcący. Szkoda, że nie dla mnie.

Powinnam być mu wdzięczna, ale emocje ponownie wzięły górę nad rozsądkiem.

– Poradzę sobie – odburknęłam. – Miałam dziewięć miesięcy na przemyślenie swojego położenia. Nie interesuje mnie dochodzący tatuś dla mojej córki.

– I mojej – powtórzył z uporem maniaka. – Blanka, nie odpuszczę.

– Kłamałeś, mówiąc, że mnie kochasz. – Nie opanowałam łez. – Jak mogłam ci wierzyć?

– To nie tak. Nie jestem facetem od romansów. Nigdy wcześniej nie zdradziłem Marty.

Ale kiedy spotkałem ciebie...

Czekałam na dalszy ciąg.

– ...zdarzyło się. Zakochałem się w tobie. Nie będę ci opowiadał, jak trudno było mi dokonać wyboru, bo tak trzeba nazwać decyzję o pozostaniu przy rodzinie. Tobie pewnie było jeszcze trudniej samotnie zmagać się z ciążą. Blanka, to nieprawda, że łączył nas wyłącznie seks. Przepraszam.

Dostałam nagrodę pocieszenia: wyznanie Sambora, że kiedyś mnie kochał, choć za mało, żeby mnie wybrać.

Miałam ochotę ukarać go za posiadanie pełnej rodziny. Za to, że związek ze mną okazał się przelotną miłością. Ale z drugiej strony... Sambor przyszedł tutaj z konkretną propozycją.

– Marta wie o twojej wizycie?

Słusznie się domyśliłam. Zamilkł i spuścił wzrok.

– Jeszcze nie.

– A zamierzasz jej powiedzieć?

– Tak.

Rozmawialiśmy jeszcze przez moment. Poprosiłam Sambora o chwilę do namysłu, a następnego dnia zadzwoniłam z informacją, że przyjmuję jego ofertę. Niebawem na moje konto wpłynęły dwa tysiące złotych.

– Wiesz, Magda, sprzedałam się – wyjawiałam przyjaciółce smutną prawdę o zaprzepaszczeniu swojej heroicznej ambicji wychowania córki samotnie, bez ojca.

Wsparła mnie z przekonaniem.

– Dobrze zrobiłaś. Facet też powinien ponosić konsekwencje chwili słabości. Niech płaci, dziad!

Żachnęłam się.

– Nie mów tak o nim! To raczej ja nie powinnam zakochiwać się w żonatym.

– A on co? Zapomniał nagle, że ma rodzinę? Jest tak samo ojcem, jak ty matką. Kasa na małą należy ci się jak psu buda. Poczekamy, zobaczymy. Nie życzę ci, żebyś musiała włączyć się z nim po sądach, kiedy trąbka mu zmięknie, a on stwierdzi, że przedwcześnie powziął zobowiązanie na całe życie.

– Sambor nie jest taki.

– Oni wszyscy są tacy. Oczywiście z wyjątkiem mojego Łukasza. Gdyby on mi zrobił taki numer... O, przepraszam! – Magda zorientowała się w niestosowności porównania.

– Nie masz za co. Sama widzisz, że to moja wina. Nie wyciągnęłam wniosków po Jaromirze.

– Ale Dobrusia nie jest winna. – Moja przyjaciółka znalazła właściwy argument. I szybko zmieniła temat. – Jedziesz na święta do Gdańska, do brata?

Myśl o pierwszej podróży po urodzeniu Dobrusi wprawiła mnie w dobry nastrój. Następnego dnia zapakowałam okutaną po uszy córkę do wózka i pobiegłam do sklepów z zabawkami w poszukiwaniu prezentów dla bratanków. Wróciłam z torbami, a wieczorem rozsiałam się na podłodze, by zapakować zdobycze. Mimo że nie zamierzałam spędzać świąt w hotelu, ubrałam niewielką sztuczną choinkę i dla nastroju zapaliłam pachnącą lasem świecę.

– Pojedziemy do cioci, wujka i kuzynów – klarowałam Dobrusi, zapatrzonej w kolorowe światełka na drzewku. – Będiesz jechać samochodem wujka Włodka, a potem zobaczysz Mikołaja – gadałam podniecona przygotowaniami.

Wśród drobiazów, które kupiłam, znalazły się również prezenty dla sąsiadów z hotelowego segmentu, Magdy z rodziną i taty. Nie zapraszał mnie, ale miałam nadzieję na spotkanie. Przygotowałam nawet niewielką niespodziankę dla Jadwigi. Nawet jeśli się nie lubiliśmy, święta miały swoje prawa i wymuszały pojednawcze gesty.

– Bardzo ładny – oceniła Magda, kiedy pokazałam jej malachitowy wisiołek na rzemyku, zakupiony w indyjskim sklepie.

– Muszę być przygotowana, na wypadek gdyby jednak zechcieli mnie zobaczyć. – Wyłożyłam na stół słodczyce dla dzieci i wnuków Jadwigi.

Włodek przyjechał dzień przed Wigilią, gdy kończyłam pakowanie walizki.

– Cześć, brat! – powitałam go w progu i pobiegłam do łazienki, żeby wyjąć uprane pieluchy. – Zerknij na Dobrusię, a ja przygotowuję herbatę. Zjesz coś? – zapytałam, mając na myśli podgrzanie wczorajszych pierogów, które podrzuciła mi Magda.

– Milena przesyła ci obiad. – Włodek podał mi pokazną paczkę. – Zjemy i jedziemy. Wcześniej robi się ciemno, a ja dzisiaj muszę jeszcze odebrać choinkę.

Moja nieoceniona bratowa uraczyła mnie garem gołąbków z ziemniakami. Po chwili pałaszowaliśmy posiłek. Dobrusia nie przeszkadzała, wpatrzona z zainteresowaniem w nieznanego wujka.

– To co, mogę nosić? – zapytał Włodek, kiedy pozmywałam i wyniosłam torby do przedpokoju.

Przytaknęłam, omiatając wzrokiem pokój.

– Jeszcze te paczuski – powiedziałam, gdy usłyszałam skrzyp drzwi, ale zamiast Włodka zobaczyłam w progu Sambora.

– To ty? – zdumiałam się.

Wyglądał na zmęczonego.

– Przyszedłem złożyć wam świąteczne życzenia. Może się to przyda Dobrusi. I drobiazg dla ciebie. – Podał mi dwie paczuski. – Wyjeżdżasz – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Do brata – odparłam.

– W takim razie wszystkiego najlepszego dla ciebie, rodziny i mojej córeczki. – Pochylił się nad łóżeczkiem małej, a ona się do niego uśmiechnęła.

W drzwiach stanął Włodek.

– Poznaj Sambora – odezwałam się nie swoim głosem. – Sambor, to mój brat, Włodek.

Panowie bez słowa wymienili uścisk dłoni. Nie pozostało mi nic innego, jak ubrać Dobrusię.

– Dziękuję, że wpadłeś – powiedziałam. – Zwłaszcza w ferworze świątecznych przygotowań.

Sambor pozostawił tę zaczepkę bez odpowiedzi i wziął małą na ręce.

– Jedźcie bezpiecznie i miłych świąt – usłyszeliśmy z Włodkiem na pożegnanie.

– Tobie też. Pozdrów rodzinę. – Życzenia dla Jareków nadspodziewanie gładko przeszły mi przez gardło.

Włodek ruszył z kopyta.

– Z tymi życzeniami dla jego rodziny to chyba przesadziłaś – stwierdził po dłuższym milczeniu.

Wcześniej zdążyłam powiadomić go, kto jest ojcem małej.

– Dlaczego? Przecież dzieci Sambora to przyrodnie rodzeństwo Dobrusi – odparłam przewrotnie.

– No i co, siostra? Jedna wielka rodzina? Wybacz, ale ja tego nie rozumiem.

## Rozdział 7

Marta

1987 r.

Święta zbliżały się wielkimi krokami. Krzesimir napisał list do Mikołaja, Jędrrek narysował, co chce dostać. Robotę za Wercię wykonałam ja, wybrawszy dla niej kilka ładnych niemowlęcych zabawek.

Sambor wyjątkowo często bywał w domu i uczestniczył w przedświątecznych porządkach. Wysyłałam go na spacer z małą, z przyjemnością oddając się w tym czasie myciu okien i pucowaniu mebli.

– Może ja to zrobię? – oferował pomoc. – Ty pobędziesz z Werką.

– Kochanie, ja jestem z nią na okrągło. Mała odmiana sprawi mi ogromną radość. – Wybierałam pracę fizyczną.

Mama niedawno złapała grypę żołądkową, po której z trudem dochodziła do siebie. Była słaba, chociaż udawała, że wszystko jest w porządku, i nieustannie przepraszała za swoją niemoc. Zaniepokojona jej stanem, tym bardziej że dolegliwości żołądkowe nie chciały przejść, biegałam po sklepach i robiłam świąteczne zakupy. Izolowałam dzieci, obawiając się choroby.

Zrobiliśmy rodzinną naradę i wysłaliśmy mamę do lekarza.

Wróciła zadowolona i pełna energii. A po kilku dniach brania tabletek stanęła na nogi.

– Na pewno dasz radę? – podpytywałam, obserwując jej zmagania ze stolnicą i lepieniem pierogów z kapustą i grzybami.

– Oczywiście. A ty upiecz pierniczki i przygotuj swój sernik z brzoskwiniami. Ja zajmę się resztą. Nie powinnaś wrócić do małej? – wyprosiła mnie z kuchni.

Jakoś nie wierzyłam w to cudowne ozdrowienie. Wątpliwościami podzieliłam się z Agnieszką, długoletnią przyjaciółką, koleżanką ze szkolnej ławy. Wpadłam do niej kilka dni przed świętami zaopatrzona w drobiazgi dla Ewy i Adasia.

– Dzieciaki, gdzie jesteście? Przybywam z prezentami od Mikołaja! – zawołałam od progu.

Bliźnięta porzuciły zabawę i stanęły przede mną gotowe na przyjęcie darów.

– Dla ciebie, Ewuniu, lalka. A dla ciebie, Adaś, klocki Lego.

Maluchy porwały paczki i zniknęły w swoim pokoju.

– Mam też coś dla ciebie i Maćka. – Wręczyłam gospodyni stroik i kilka dekoracyjnych świec.

Zapaliła jedną.

Usiadłyśmy przy ławie. Wokół unosił się aromat pierników, kilka minut wcześniej wyjętych z piekarnika. Z przyjemnością zaległam w fotelu, zerkając na ubraną choinkę.

– A ja mam dla was tylko piernik i makowiec... – zmartwiła się Agnieszka.

– Wspaniale! Bardzo dziękuję – zachwyciłam się. – W tym roku mama jest w kiepskiej formie, a ja nie bardzo potrafię wyczarować takie wspaniałości.

Agnieszka zaniepokoiła się, kiedy rozwinęłam temat.

– Może powinna zrobić badania?

– Jest w kontakcie z lekarzem. Po świętach jej dopilnujemy.

– Pozdrów rodziców, Sambora i ucałuj dzieciaki od nas. Może wpadniecie na podwieczorek drugiego dnia świąt? – padła propozycja.

– Czemu nie?

Wracalam wypoczeta i podbudowana rozmowa.

Mimo ze obie z Agnieszką pochodzilyśmy z tego samego miasta, poznalyśmy się dopiero w Gdańsku, na Akademii Medycznej. Mialyśmy dzielić pokój w akademiku. Wprawdzie moi rodzice optowali za wynajęciem mieszkania, ale ja nie chcialam. Liczyłam na odcięcie pępowiny i dobra zabawe. Nie wzięłam jednak pod uwage, ze na farmacji moze na nią zabraknąć czasu.

Pamiętalam dzień, w którym rodzice przywiezli mnie do Gdańska i odprowadzili do niewielkiego pokoju w domu studenckim. Dla mnie był spełnieniem marzeń, dla nich dopustem bozym – dwa łózka pod oknem, stolik i namiastka szafy. I wspólna łazienka na korytarzu.

– Dziecko! Przecież tutaj nie ma warunków do nauki! – Mama z przerażeniem rozgladala się wokół. – Pojedźmy obejrzeć to mieszkanie w Oliwie...

– Mnie się podoba – zgasilam ją. – Biorę to łózko. – Wskazalam na posłanie po lewej.

Tato ograniczył się do pokiwania głową z politowaniem.

Jeżeli nawet miałam wątpliwości, rozwialo je pojawienie się mojej współlokatorki.

– Dzień dobry, jestem Agnieszka, ze stomatologii. Będziemy razem mieszkać. – Podbiegła do mnie z wyciągniętą ręką, po czym przywitala się z moimi rodzicami.

Ujęła mnie uśmiechem i bezpośredniością. W czasie studiów zawsze mogłam na nią liczyć. Podobnie jak teraz, bo obie po dyplomie wróciłyśmy do rodzinnego miasta.

W domu czekala mnie niespodzianka: Weronika spała, Sambor czytal chłopcom książkę na dobranoc. Podbiegłam do męża i dalam mu solidnego buziaka.

– Jesteś wielki! Mogę jeszcze zajrzeć do rodziców? – poprosilam.

Przyzwalajaco skinął głową.

Po sąsiedzku unosil się nęcący zapach bigosu.

– Dasz troche? – zapytalam, a mama w tej samej chwili sięgnęła po talerz.

– Dla ciebie nie zabraknie. – Z uśmiechem zerknęła na ojca. – Co u Agnieszki?

– W porządku. Dostalismy piernik i makowiec. Nie musimy robic.

Kolejne dni minely nam na dekorowaniu domów i gotowaniu. W ogrodzie zagościły migające świetlne łańcuchy, iglaki dumnie udawaly choinki. A kiedy dzień przed Wigilią spadł śnieg, nasza radość sięgnęła zenitu.

– Pójdiesz z chłopcami na sanki? – zapytalam Sambora po śniadaniu.

– Kiedy tylko wrócę z firmy – odparł, zbierając papiery do teczki.

– Naprawdę musisz iść? Dzisiaj? – Byłam zawiedziona.

– Mam do załatwienia ważną sprawę. Przepraszam, niebawem wrócę. – Posłał mi pożegnalnego całusa.

– Widzicie, wasz tatuś ma ważną sprawę – gderalam pod nosem przy dzieciakach. – Ale wkrótce się pojawi i będzie już tylko dla was.

Wrócił zmęczony i małomówny. Ale od czego magia świąt? W Wigilię wszyscy mieliśmy już dobre humory i wieczór mijał nam we wspaniałej atmosferze. Robilam zdjęcia: Sambor z dziećmi na rękach, cała czwórka wśród zabaw i uciech, moi piękni rodzice w swoich objęciach, dzieciaki rozpakowujące prezenty pod choinką.

– Tato, pstrykniesz nam fotkę? – poprosilam, przekazując ojcu aparat. – Chodź do mnie!

– powiedzialam do Sambora. Wtulilam się w jego ramię i poslam mu kochające spojrzenie.

– Sambor, popatrz na Martusię! – komenderowal tato. – Gdzie ty patrzysz?! – dyscyplinowal zięcia.

Pierwszy dzień świąt minał nam bardzo przyjemnie, głównie dlatego, ze panowie nie mogli uciec do pracy. Były sanki, potem wspólny obiad, a wieczorem namówilam męża na kieliszek wina.

– Moze wyjdziemy gdzieś razem na sylwestra? – zapytalam.

– Zobaczymy, Martuś. Nie wiem, czy się uda – odparł.

Oczywiście. Firma czekała.

W drugim dniu świąt wybraliśmy się w odwiedziny do Agnieszki i Maćka.

– Mógłbyś czasami się postarać. – Wieczorem zebrało mi się na wymówki, bo mój małżonek przez cały świąteczny czas prezentował nie najlepszy nastrój. – Agnieszka przygotowała podwieczorek, wszyscy radośni, a ty milczący. Mam dość tych twoich fochów. Idę się myć.

Odrzuciłam koc i wstałam z fotela, ale Sambor poprosił mnie o pozostanie.

– Martuś, poczekaj, usiądź. Musimy porozmawiać.

Jego ton mnie przestraszył.

– Jesteś chory? – spytałam zaniepokojona.

– Usiądź – ponowił prośbę.

Przestraszyłam się nie na żarty. Przycupnęłam na skraju fotela.

– Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Przecież widzę, że masz problem.

Nigdy wcześniej nie widziałam mojego męża w takim stresie. Boże złoty, co się dzieje?

Z twarzy Sambora nagle zniknęło całe napięcie, a jego słowa odgoniły wszelkie obawy.

– Kocham cię, Martusiu, i zawsze będę przy tobie – usłyszałam.

Trwały cudowne święta. I nasze życie też było cudowne.

## Rozdział 8

Blanka

1987 r.

Zpowodu zamieci droga do Gdańska trwała dużo dłużej niż zazwyczaj. W dodatku Dobrusia wymusiła dwa nieplanowane przystanki na karmienie. Gdy wreszcie dotarliśmy, Milena odetchnęła na nasz widok i dała upust emocjom.

– Nie mogliście zadzwonić z jakiejś stacji benzynowej? Ja tu odchodzę od zmysłów! W radiu mówili coś o wypadku pod Świeciem. Włodek, jesteś nieodpowiedzialny! – pomstowała.

– To moja wina – powiedziałam. – Mała nie chciała spać w drodze.

Milena opanowała się i weszła w znaną mi rolę dobrej gospodyni. Przejęła Dobrusię i kazał mi rozgościć się w pokoju chłopców.

– A jak wy się pomieścicie? – zaniepokoiłam się.

– Będziemy spać na materacach! – zawołali jednym głosem moi bratankowie.

– Przepraszam, nie powinnam była przyjmować zaproszenia... – Uświadomiłam sobie ogromny kłopot, który sprawiłam.

– Dużo ludzi, dużo radości – ucięła Milena. – A wieczorem liczę na twoją pomoc w kuchni – dodała. – Przygotujemy ryby.

Zaczęłyśmy, gdy tylko Dobrusia zasnęła. Przy dobrych wiatrach zanosilo się na kilka godzin spokoju.

– Co mam robić? – Stawiłam się wyposażona w fartuch i dobry humor.

– Spraw ryby i zagotuj wywar, a ja pozmywam po kolacji – zarządziła Milena, robiąc mi miejsce przy kuchennym blacie. – Tu są przyprawy i włoszczyzna.

Przystąpiłam do działania, wspomagana od czasu do czasu doświadczeniem wytrawnej gospodyni.

W kuchni wrzało. Wokół rozchodził się zapach ziela angielskiego i liści laurowych, a niedługo potem zalewy octowej, którą Milena przygotowała do srebrzyków.

– Powinnam zrobić je wcześniej, ale jak zdążyć ze wszystkim, kiedy przychodzisz z pracy po osiemnastej? – komentowała, krojąc cebulę do matjasów w oleju. – Oczywiście w grudniu o urlopie możesz pomarzyć. Wszyscy robią zakupy.

Pracowała jako kierowniczka sklepu spożywczego na pobliskim osiedlu.

– Nic się nie stanie, jeżeli będzie kilka potraw mniej – zbagatelizowałam.

– Chyba żartujesz?! – W głosie Mileny zabrzmiało oburzenie. – Święta bez bigosu, bez piernika, makowca, ryb, pierogów, barszczyku? Żeby nie wspomnieć o makiełkach, kaszy gryczanej z sosem grzybowym i kilku innych.

Zdażyłam już zauważyć zgromadzone na balkonie garnki i pudełka pełne smakowitości. Musiała to wszystko przygotowywać po nocach.

Umilkłam wobec tak gwałtownej reakcji perfekcyjnej pani domu i poddałam się jej kierowniczej roli. Mogłam pomagać do chwili, gdy przywołała mnie Dobrusia.

– Sprawdź, czy śledzie już się odmoczyły – usłyszałam.

Odcięłam kawałek płata do spróbowania.

– No i?

– Chyba dobre – odparłam niepewnie.

Milena posmakowała i kazała napełnić słoik.

Pracując z nią ręką w rękę, odnajdywałam atmosferę rodzinnego domu z maminych

czasów. Krzątały się po kuchni obie z moją ukochaną babcią, a ja, dziecko jeszcze, siadywałam w kąciku z kartką papieru i rysowałam, od czasu do czasu załapując się na jakiś smaczny kasek. Wtedy myślałam, że tak będzie zawsze. I było, aż do pamiętnego lata.

Po drugiej licealnej wyjechałam na obóz w Góry Świętokrzyskie. Przeżywałam właśnie szaleńczą miłość do Mikołaja, kolegi z równoległej klasy. Wspólny wyjazd spadł nam jak gwiazdka z nieba. Nieistotne, że towarzyszyło nam dwadzieścia innych osób, liczyło się przebywanie ze sobą. Pakowałam się z nadzieją na dwa tygodnie szczęścia u boku ukochanego. Gdy wychodziłam z domu, w ostatniej chwili przypominałam sobie, że muszę spojrzeć w babci okno i jej pomachać. Zawsze żegnałyśmy się w taki sposób.

– Pa, pa! – wyszeptałam pod nosem i skinęłam dłonią.

Po chwili wpadłam w objęcia nadchodzącego Mikołaja.

Kiedy wróciłam do domu, babcia była po udarze. Leżała na oddziale neurologicznym.

Zszokowana, wyładowałam się na rodzicach.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiliście? Przyjechałabym wcześniej! – krzyczałam przygnieciona nieszczęściem.

– Kochanie, jak mieliśmy cię powiadomić? Przecież to był obóz wędrowny. A gdyby nawet, nie chcieliśmy cię martwić.

Nie kupowałam tych kiepskich wymówek.

– Jadę do szpitala!

Siedziałam przy łóżku babci przez kolejny tydzień. Biegłam do niej zaraz po szkole i wychodziłam po dwudziestej trzeciej, kiedy mnie wyrzucano z oddziału.

Mama przychodziła po pracy w przedszkolu.

Poznałam wszystkie panie na sześćosobowej sali. Były w dużo lepszej kondycji niż babcia, rozmawiały, niektóre nawet chodziły. Czasami pomagałam, podawałam szklankę wody, gadałam, by powracać do niemej babcinej twarzy babci.

Oddychała z coraz większym wysiłkiem. Chyba nie kontaktowała, ale mnie wydawało się, że czasami mocniej ściska moją dłoń.

Lekarz nie dawał nadziei. Bez słowa rozłożył ręce, kiedy zapytałam o rokowania.

– Jak długo to potrwa? – wykrztusiłam z trudem.

– Może pani zostać na noc – usłyszałam.

– Poczekaj, babulko, zaraz wrócę – wyszeptałam.

Otarłam łzy i zjechałam windą trzy piętra niżej.

Telefon był akurat wolny i sprawny. Wykręciłam numer rodziców.

– Mamuś, chyba musisz przyjechać.

Nie pytała o nic, a po półgodzinie zobaczyłam ją na oddziale.

Czuwałyśmy przy babci do czwartej nad ranem. Z trudem opanowywałam senność, co chwila zapadając w krótką drzemkę. Głowa ciążyła. Kładłam ją na kołdrze, usypiana jej miarowym krótkim oddechem.

Ze snu wybudziła mnie mama.

– Blanko, babcia zmarła.

Spała, jak wszystkie inne panie na sali, a ja przyglądałam się jej twarzy, nagle wychudzonej, bladej, spokojnej. Babcia przestała walczyć, zrezygnowała. Pocałowałam ją w dłoń, tę samą, która nieraz głaskała mnie po głowie i smyrała po plecach.

Płakałyśmy obie z mamą, zaskoczone nieuchronnością śmierci.

Po chwili przyszły pielęgniarki i chwyciwszy za prześcieradło, przenieśli babcię na łóżko na kólkach. Wydawała się taka mała i krucha, że aż ugięły się pod nią nogi.

Wysłam na korytarz i położyłam się na plastikowych krzesłach.

– Może zastrzyk uspokajający? – Z oddali dobiegł mnie głos siostry.

– Nie trzeba, wszystko w porządku.

Do domu wracałyśmy taksówką. W milczeniu, bo i mama, i ja pogrążone byłyśmy we własnych myślach. Ona straciła matkę, ja babcię. Nie miałam pojęcia, którą z nas bolało bardziej. Przed domem spojrzałam w okno i zdałam sobie sprawę, że nigdy już nie zobaczę w nim ukochanej twarzy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że za dwa lata los odbierze mi również mamę.

Z myśli o przeszłości wyrwała mnie Milena.

– Co z tobą, Blanka? Może ja zajmę się śledziami?

– Nic takiego. Po prostu wspomnienia.

Nie drażyła, ale kiedy ułożyła chłopców spać i zaniósła Włódkowi herbatę, pozbywszy się go z kuchni, przysiadła i gestem wskazała mi krzesło naprzeciwko.

– A teraz powiedz, co u ciebie.

I powiedziałam: o wizycie Sambora, jego propozycji odnośnie do Dobrusi i pieniądzech, które mi ostatnio przekazał.

– Babcia i mama przewracają się w grobach – zakończyłam opowieść. – One nigdy by nie zaakceptowały takiego układu, ale ja się zdecydowałam. Uważasz, że źle zrobiłam?

Odpowiedziała po chwili zastanowienia.

– Myślę, że to uczciwe z jego strony. I twojej też, skoro zgodziłaś się nadać Dobrusi jego nazwisko. Przynajmniej masz zabezpieczenie.

Miała rację. A może po prostu wyartykułowała to, co chciałam usłyszeć. W każdym razie wsparła mnie i utwierdziła w przekonaniu, że postąpiłam właściwie.

– Długo jeszcze wam zejdzie? – przerwał nam Włodek. – Chciałbym więcej herbaty, ale boję się przeszkadzać.

– Siadaj. – Milena wskazała mu taboret. – Blanka opowiedziała mi o Samborze.

– Spotkałem go – odparł bez entuzjazmu.

– Jest w porządku – zaproponowała Milena. – Będzie płacił i zajmował się dzieckiem.

– Ale ma rodzinę.

– Ma, ale nie zaniedba Blanki. Włodek, przestań ubolewać i zacznij myśleć racjonalnie. Nie każdemu życie układa się tak samo.

Mimo to w kwestii Sambora mój brat pozostał nieprzejednany.

Wobec nadchodzącej Wigilii zarzuciliśmy dyskusję i nie wracaliśmy do niej do końca mojego pobytu w Gdańsku. Na pierwszym planie był przynoszący prezenty Mikołaj, radość dzieciaków, kolędowanie, próbowanie potraw. Świąteczna atmosfera pokonała szarżyznę i kłopoty codzienności.

Gnieździliśmy się na czterdziestu paru metrach kwadratowych mieszkania bez poczucia ciasnoty. Irek i Zbyszek potulnie układali się do snu na materacach. Dobrusia zaakceptowała nowe miejsce i specjalnie nie fikała. Milena wyczarowała wspaniałą Wigilię, a pierwszy dzień świąt zaowocował przedpołudniowym spacerem nad morze i rodzinnym obiadem. W drugim czekała nas wizyta w domu taty. Zgodziłam się tam pójść mimo niezbyt zachęcającego zaproszenia.

– Słyszałam, że jesteś w Gdańsku – stwierdziła przez telefon moja macocha. Zadzwoiła na numer Włodka.

– Tak. Dzwoniłam do taty.

– To może zajrzycie na chwilę w drugie święto?

– Chętnie – odparłam. Uważałam, że dziadek powinien zobaczyć wnuczkę.

– Dzieciaki przychodzą na obiad na drugą. Co byś powiedziała na czwartą? Wy

skończycie jeść, my też. Możemy spotkać się przy podwieczorku.

– Będziemy o czwartej – odparłam, powstrzymawszy się od komentarza.

Cóż, przy obiedzie nie było dla mnie miejsca. Mimo to chciałam spotkać się z tatą. Zanim zdążyłam zapytać, czy zaproszona jest również rodzina Włodka, Jadwiga się rozłączyła.

Przekazałam Milenie i Włdkowi treść rozmowy.

– Jedźcie, to rzadka okazja – stwierdził mój brat.

– Przepraszam, ale uznałam, że tata powinien poznać Dobrusię.

– I słusznie. Milena, chyba powinniśmy zbierać się spać – zmienił temat.

Nasz rodzinny rozłam sprawiał mi przykrość, ale Włodek miał rację – okazja do odwiedzin mogła się nieprędko powtórzyć. Poza tym wierzyłam naiwnie, że widok Dobrusi trąci w sercu taty jakąś czułą strunę, że wzbudzi refleksję i wspomnienie o czasach sprzed niepodzielnego panowania mojej macochy.

## Rozdział 9

Blanka

1987 r.

Zadzwoń, kiedy mam po ciebie przyjechać. – Włodek zatrzymał auto przed domem taty i pomógł mi wyjąć córeczkę.

Skinęłam głową, zażenowana.

– Nie przejmuj się. Niech chociaż zobaczy wnuczkę – rozgrzeszył mnie mój brat.

Słowo „tato” nie przeszło mu przez gardło.

Oboje nie potrafiliśmy pojąć, w jaki sposób takiej kobiecie udało się usidlić naszego ojca do tego stopnia, że praktycznie zarzucił kontakty z własnymi dziećmi. Doskonale pamiętaliśmy naszą kochającą się rodzinę i udane małżeństwo naszych rodziców.

Do internatu liceum pedagogicznego przybyli z niewielkich miasteczek, poznali się, pokochali i... rozstali na pięć lat, gdy tato pojechał na studia do Gdańska. Mama czekała cierpliwie, pracując w przedszkolu, a tato po studiach poprosił ją o rękę. Po roku przyszedł na świat Włodek, a siedem lat później ja.

Historia jakich wiele, bez jakichkolwiek burz. Zarobki przedszkolanki i pracownika naukowego nie były może spektakularne, ale pozwalały spokojnie patrzeć w przyszłość. Przez jakiś czas rodzice mieszkali z Włodkiem w hotelu asystenckim, ale wkrótce przeprowadzili się do niewielkiego domku z ogródkiem i ściągnęli do siebie babcię. Po moich narodzinach zgodnie żyliśmy sobie w piątkę.

Normalna rodzina w tamtych czasach: wczasy raz w roku, pierwszy samochód, pierwszy wyjazd za granicę, do NRD. Nie zastanawiałam się, czy jestem szczęśliwa. Nie miałam powodów do niezadowolenia.

Pierwszym poważnym tąpnięciem była śmierć babci. A po dwóch latach hiobowa wieść o chorobie mamy. Akurat przygotowywałam się do egzaminów wstępnych na ASP, więc w natłoku dodatkowych zajęć nie zwróciłam uwagi na jej dolegliwości żołądkowe. Poza tym rodzice rozłożyli nade mną parasol ochronny.

Matura poszła mi dobrze. Zdałam egzamin praktyczny i teorię. Przed śmiercią na zaawansowanego raka jelita grubego z przerzutami mama zdążyła się dowiedzieć, że zostałam przyjęta na upragniony kierunek.

– Najważniejsze, że będziesz spełniać marzenia – cieszyła się ze mną przez łzy.

Do końca nie wierzyłam, że umrze, przecież miała zaledwie pięćdziesiąt jeden lat. Z nieuchronności śmierci zdałam sobie sprawę dopiero na cmentarzu, gdy mama zajęła miejsce obok babci. Umarła w sierpniu. A ja bałam się o tatę, który nie wiedział, co ze sobą począć, przywożdzony nadmiarem czasu na rozmyślanie.

Oboje zaczynaliśmy zajęcia dopiero w październiku, a tymczasem plątałyśmy się po domu bez celu, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca. Na szczęście odwiedzali nas Włodek z Mileną.

Jedną z tych wizyt pamiętam doskonale.

– Chcemy wam o czymś powiedzieć... – zaczął tajemniczo mój brat. Nie uszło mojej uwagi, że patrzy na żonę jakoś szczególnie. Usadził ją wygodnie i posłał jej kochające spojrzenie.

– Mogę? – zapytał, a zobaczywszy uśmiech i potakujące skinienie, wypalił: – Będziemy mieli dziecko.

– To wspinała wiadomość – odezwał się tato, choć oczy miał nieobecne.

– Ja również bardzo się cieszę! – Podbiegłam do bratowej i ją uściskałam.

Kilkuletnie starania o dziecko zostały nagrodzone.

– Szkoda, że mama nie doczekała... – Tato zawiesił głos.

– Powiedziałem jej przed śmiercią – wyszeptał Włodek. Dostrzegł nieme pytanie w naszych oczach i dokończył: – Odparła, że zaczynamy nowe życie.

Zakryłam oczy dłońmi, a tato wyszedł z pokoju.

Po raz pierwszy, i jak do tej pory jedyny, zobaczyłam mojego brata płaczącego. Przeprosił i wybiegł za ojcem.

Za osiem miesięcy na świat przyszedł Irek i odbył się ślub taty z Jadwigą, która ochoczo zajęła miejsce mamy w naszym rodzinnym domu. Do tej pory nie miałam pojęcia, co wpłynęło na podjęcie takiej decyzji.

Nie dlatego przyjął zaproszenie na podwieczorek, żeby odnawiać niezabliźnione rany, napomniałam się w duchu, odetchnęłam głęboko i nacisnęłam dzwonek.

Jadwiga już czekała w przedpokoju.

– Wchodźcie, bardzo proszę – zachęcała.

Miała na sobie kwiecistą suknię i okazały wisior, przy którym skromny prezent ode mnie był jak ubogi krewny.

– Cześć, córeczko. Pokaż moją wnuczkę. – Zza jej pleców wychynał tato.

Po powitalnych ochach i achach zasiedliśmy w salonie, który od czasów mamy zmienił się diametralnie. Stare meble ustąpiły przed rzemieślniczymi potworkami rodem z Holandii. Ze ścian zniknęły moje grafiki, pierwsze artystyczne wizje początkującej artystki.

Jadwiga ograniczyła mi przestrzeń do skórzanego przepastnego fotela.

– Usiądź z dzieckiem, będzie ci wygodnie – zdecydowała, również w kwestii napojów. – Kawy pewnie nie pijesz, bo karmisz – stwierdziła. – Przyniosę herbatę.

Zatem wymieniliśmy się prezentami przy herbacie, a ja zaprezentowałam moją córkę. Czuałam się jak muzealny eksponat, oceniany przez Jadwigę pod względem wyglądu i matczynych umiejętności.

– Podnieś jej pupę wyżej! – strofowała mnie przy przewijaniu. – Nie używasz pudru? Zuza mówi, że jest lepszy od oliwki – dzieliła się doświadczeniami swojej córki.

Tato bezradnie rozkładał ręce i milczał. A ja z każdą chwilą byłam coraz bardziej zdenerwowana. I co najgorsze – nie miałam widoków na rozmowę z ojcem bez udziału jego żony.

Wychowana przez mamę nauczycielkę nie potrafiłam przerwać tyrad Jadwigi i wytoczyć przeciwko niej ciężkich dział. Potulnie weszłam w narzuconą mi rolę.

– A teraz powiedz nam, kto jest ojcem dziecka. – Jadwiga wygodnie rozsiadła się w skórzanym fotelu, bliźniaku tego, w którym siedziałyśmy z Dobrusią.

– Mieszkamy w tym samym mieście. Ma na imię Sambor – powiedziałam wbrew sobie, przytłoczona brzmącym w głosie mojej macochy nakazem.

– Kiedy ślub? Nie możemy się z Janem doczekać.

Powściągnęłam nerwy i spokojnie wyjaśniłam, że ślubu nie będzie. Ponieważ Sambor ma już rodzinę.

– Kochanie, jak sobie zatem wyobrażasz życie swojej córki? Bez ojca? – Jadwiga sprawiała wrażenie urażonej.

Miałam na końcu języka jej rozwód i pozbawienie dzieci ojca, ale się powstrzymałam. Kiedy jednak z fałszywą troską pochyliła się nad moją „tragiczną” sytuacją, postanowiłam się odciąć.

– A co to panią obchodzi? – wypaliłam. – Przyszłam do ojca. Usiłowałam być uprzejma, ale nie zamierzam ani chwili dłużej wysłuchiwać pani uwag.

Jadwiga spurpurowiała i oburzona spojrzała na męża.

– Jan, czy ty słyszysz, jak twoja córka odzywa się do mnie w moim domu?!

Uprzedziłam reakcję taty.

– To nie jest pani dom – powiedziałam zimno.

– Blanka! – Tato podniósł głos.

A jednak wziął jej stronę.

Wstałam, zamierzając wyjść, ale Jadwiga była pierwsza.

– Wychodzę – oznajmiła. – Nie pozwolę się obrażać. Nikomu.

Trzask drzwi oznajmił nam, że zostaliśmy sami.

Rozejrzałam się, czy telefon wisi na dawnym miejscu, żeby zadzwonić po Włodka.

– Zostań – poprosił tata i dolał mi herbaty. – Przepraszam za Jadzię. To dobra kobieta, tylko czasami ponoszą ją nerwy – próbował tłumaczyć.

– Nieważne, tato. Nie odwiedziłeś mnie od narodzin Dobrusi. Sądzę, że to jej zasługa.

– Skądże! Mam w tym semestrze dużo zajęć. Trochę chorowałem...

– Nie zaprosiłeś na dzisiaj Włodka z rodziną. Też z powodu choroby?

Skulił się w sobie i podparł czoło dłońmi. Wyglądał tak, że jeszcze chwila, a zacząłabym mu współczuć.

– Jadwiga bardzo mi pomogła po śmierci mamy – wykrztusił. – Jesteśmy razem, bo dobrze jest kogoś mieć. Bardzo ci współczuję, że będziesz sama wychowywać Dobrusię.

– A ja ci współczuję, że wyparłeś się własnych dzieci, tato. Mogę zadzwonić?

Próbował mnie powstrzymać, ale jego drugie ja kazało mu biec za Jadwigą. Widocznie obawiał się wieczornej awantury.

Pożegnałam się z nim zdawkowo i uciekłam do Włodka. Ojciec pomachał nam niezgrabnie z progu.

– Jak się udało? – dotarło do mnie pytanie.

Moja twarz mówiła wszystko.

Włodek pokiwał głową ze zrozumieniem i ruszył do domu.

Następnego dnia wyjechałam, by nie nadużywać gościnności gospodarzy.

– Jak było? – dopytywała Magda, u której wyjadałyśmy poświęteczne resztki.

Nie kryłam zawodu.

– On się jeszcze ocknie, zobaczysz. – Próbowała podnieść mnie na duchu.

– Nie sądzą. W każdym razie nie wybieram się do niego w najbliższym czasie. Żeby nie powiedzieć nigdy.

– Dajcie sobie czas. Ważne, że odważyłaś się z nim szczerze porozmawiać. Miałaś wieści od Sambora?

– Nie odezwał się. Święta to czas dla rodziny. Pewnie się nimi cieszy.

## Rozdział 10

Blanka

1987 r.

W hotelu poczułam się jak w domu i pobłogosławiłam swoją niezależność od ojca i Jadwigi. Wprawdzie u Włódków było bardzo miło, a Milena starała się, jak mogła, jednak zagęszczenie na tak małej powierzchni nie sprzyjało dłuższemu pobytom.

Odnosiłam wrażenie, że nawet Dobrusia z przyjemnością wróciła do swojego łóżeczka. Rozglądała się dokoła zaciekawiona, pozwoliwszy mi w spokoju rozpakować torby.

Zaopatrzona w wiktuały od bratowej, nie musiałam myśleć o najbliższych obiadach, a nawet byłam przygotowana na przyjęcie gości. Tylko kto mnie odwiedzi?

Pomyślałam o Samborze, z którym od kilku dni nie miałam kontaktu. Zapewne spędził święta z bliskimi. Może nawet wyjechał gdzieś na sylwestra?

Kiedy po Nowym Roku odwiedziłam Magdę na wydziale, powróciła do tematu.

– Tatusz Dobrusi się odezwał?

– Był z prezentem przed moim wyjazdem do Gdańska – przypomniałam. – Teraz musi powiedzieć o nas żonie, bo obiecał dać małej nazwisko. A tego chyba nie da się ukryć?

– Oby. – Magda z powątpiewaniem uniosła brwi.

– Wierzę mu. Nie wyszło nam, ale to porządny facet. Skoro się zobowiązał, to na pewno dotrzyma słowa – wyartykułowałam dobitnie. – Nie chciałabym jednak, żeby o naszym związku dowiedziano się na wydziale. Mam nadzieję, że nie wspominałaś nikomu, kto jest ojcem Dobrusi? – zapytałam z niepokojem.

– Tak jak prosiłaś. – Poruszona podejrzeniem Magda położyła dłoń na piersi.

Gadałyśmy jeszcze przez chwilę, ale rozmowa się nie kleiła. Moja przyjaciółka chyba nie do końca wierzyła w dobre intencje Sambora.

Licząc z zaległym urlopem, miałam się opiekować Dobrusią do końca stycznia. Pozostawało pytanie: co dalej? Nie miałam z kim zostawić małej. Dobrze, że przynajmniej nie krzyczała.

Postanowiłam odwiedzić profesora i zawalczyć o swoją zawodową przyszłość.

Czekał na mnie w gabinecie. Wskazał mi fotel naprzeciwko biurka. Wyraz jego twarzy powiedział mi wszystko – zero dobrych wiadomości.

– Widzę, że młode pokolenie rośnie – zaczął. – Jak się chowa?

– Dziękuję.

– To dobrze – zakończył temat mojego macierzyństwa. – Rozumiem, że w lutym pani wraca.

Chętnie bym się zadeklarowała, ale nie pozwoliła mi patowa sytuacja z córeczką. Spróbowałam negocjacji.

– Panie profesorze, myślę, oczywiście, o powrocie do pracy, ale... Gdybym mogła prosić o jeszcze kilka miesięcy? Do tego czasu wystąpię o urlop wychowawczy.

Szef nerwowo pocierał brodę, co oznaczało, że propozycja rozwiązania nie przypadła mu do gustu. Wyszedł zza biurka i oparł się o jego kant, przyglądając mi się w milczeniu. Nie przerywałam mu kontemplacji z nadzieją na wyrażenie zgody.

Naiwnie sądziłam, że widok malucha skruszy jego serce. Tak się jednak nie stało.

– Blanko, znam pani sytuację i spodziewałem się trudności. – Zatem życiowe problemy samotnej matki dotarły i do niego, pomyślałam. – Proszę mi wierzyć, że chętnie bym pani

pomógł, ale potrzebujemy dyspozycyjnego fotografa na pełny etat. Pani wyjazd do Paryża miał być inwestycją. Oczywiście, życie pisze różne scenariusze, co rozumiem, ale niech pani zrozumie również mnie. Podczas pani nieobecności zlecałiśmy prace na zewnątrz, niestety taki tryb się nie sprawdza. Będę musiał przyjąć na pani miejsce kogoś innego. A po pani powrocie pomyślimy o innym stanowisku.

– Może chociaż dwa miesiące? Aż córka skończy pół roku i pójdzie do żłobka?

– Jaką mam gwarancję, że w żłobku znajdzie się miejsce, a pani nie zmieni zdania? Moja córka też oddała dziecko do żłobka i zaczęły się choroby. Musiała przerwać pracę. Proszę pomyśleć racjonalnie i nie ulegać mrzonkom. Kiedy skończy się pani wychowawczy, proszę się zgłosić. Na pewno pomogę gdzieś panią umieścić.

Wysłałam od profesora załamana i roztrzęsiona. I wściekła.

– I co? – zapytała Magda, do której pognałam od razu po rozmowie.

– Spuścił mnie po brzytwie. Krótko mówiąc: albo wracam teraz, albo później na bliżej nieokreślone stanowisko. Jestem nietrafioną inwestycją, bo zamiast kwalifikacji przywiozłam z Paryża ciążę.

– No coś ty? Chyba nie wyraził się w ten sposób?

– Ale na to wychodzi – podsumowałam. Nawet jeśli przed rozmową z profesorem miałam nadzieję na cud, teraz została pogrzebana. – Magda, ja muszę pracować. Nie tylko po to, żeby zarabiać, od biedy utrzymam się jakoś z pieniędzy od Sambora, ale dla higieny psychicznej. Jak długo jeszcze wytrzymam, gapiąc się na dziecko i wypatrując chwili, kiedy sąsiedzi się wyprowadzą i zajmą drugi pokój? Muszę wyjść do ludzi.

Moja przyjaciółka zaproponowała kolację w sobotni wieczór.

– Wpadnij do nas, pogadamy, przygotowuję coś smacznego, złapiesz oddech.

– Dzięki, i jestem wdzięczna. Ale rola wrzodu na dupie przestaje mi odpowiadać. Muszę poszukać sobie zajęcia.

Magda patrzyła z niepokojem. I w sumie nic dziwnego, zważywszy na mój podły nastrój.

– Czy mogę ci coś doradzić? – zapytała ostrożnie.

– Słucham.

– Przede wszystkim załatw urlop wychowawczy. Będziesz miała ubezpieczenie dla siebie i Dobrusi. A potem życie przyniesie jakieś rozwiązanie.

Poszłam za jej radą, choć nie bardzo wierzyłam w przeznaczenie i szczęśliwe zbiegi okoliczności. Złożyłam papiery, zrezygnowawszy na jakiś czas z myśli o oddaniu córeczki do żłobka.

Wieczorami łamałam sobie głowę, szukając zajęcia. I myślałam o Samborze. Miałam nawet ochotę do niego zadzwonić, ale powstrzymywała mnie myśl o Marcie. Nie miałam pojęcia, czy zawiadomił już żonę o Dobrusi. Nie chciałam, żeby odebrała telefon. Ani ona, ani żaden inny z domowników.

Sprawa rozwiązała się sama następnego dnia. Sambor mnie odwiedził. Już w progu dostrzegłam, że mimo starań jest w nie najlepszym nastroju.

– Miło was widzieć. Jak się udały święta? – zapytał, pochyliwszy się nad łóżeczkiem.

– Całkiem przyjemnie – odparłam, zachowawszy dla siebie wizytę u ojca i Jadwigi. – A tobie?

– Też dobrze. Trafiłem z prezentami?

– Jasne. Napijesz się czegoś?

Pogadaliśmy chwilę, Sambor wręczył mi kilka dodatkowych banknotów, które przyjąłam z wdzięcznością. Przydadzą się, zanim zacznę zarabkować, schowałam dumę do kieszeni. Mała potrzebowała wiosennego kombinezonu, życie kosztowało. Ale cały czas czekałam na zasadniczą

wiadomość.

– A jak w domu? – zadałam pytanie nie wprost.

Po krótkim namyśle Sambor odetchnął głęboko i spuścił głowę. W wyczuwaniu złych wiadomości byłam mistrzynią świata.

– Blanka, chciałem porozmawiać z Martą, ale w święta nie było okazji. Zrozum, dom stale pełen gości i proszonych obiadów...

Był skrępowany.

Moje kolejne pytanie go dobiło.

– Kiedy pójdziesz do USC i uznasz ojcostwo Dobrusi?

Strzał był celny. A odpowiedź wyklarowała sytuację.

– Blanka, ja właśnie... Nie wiem, jak ci to powiedzieć, bo wcześniej się zadeklarowałem... Będę płacił na Dobrusię, możesz być pewna, ale wolałbym, żeby sprawa mojego ojcostwa pozostała między nami. Oczywiście aż znajdę stosowny moment, by powiedzieć o nas Marcie – dodał, nieszczerym uśmiechem maskując zażenowanie. – Zresztą przed uznaniem ojcostwa musiałbym mieć pewność, że to ja.

Tego już było za wiele.

– Ty gnojku! A ja kochałam cię całym sercem! I gdzie tu logika? Powątpiewasz w ojcostwo, a poczuwasz się do płacenia alimentów?

– No wiesz... Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mała jest moją córką. A poza tym byliśmy razem, więc poczuwam się do opieki nad tobą – wybrnął pokrętnie.

– Akurat! Chcesz mi płacić za milczenie o romansie! Ale nie musisz się obawiać, nie zamierzam brać od ciebie pieniędzy ani wymuszać na tobie kontaktów. Po prostu zniknij z mojego życia i nigdy więcej nie przestępuj progę mojego domu! Jak widzę, po zastanowieniu zarzuciłeś pomysł o byciu dobrym tatusiem. Żałuję, że cię poznałam!

Próbował coś powiedzieć, ale wyrzuciłam go za drzwi.

Mała, rozbudzona kłótnią, podniosła wrzask, a ja nie miałam siły wstać z krzesła, by opanować pożar.

## Rozdział 11

Marta

*styczeń 1988 r.*

Siedzenie w domu z maluchem zaczęło mi solidnie doskwierać. Wprawdzie miały dopiero cztery miesiące od porodu, ale potrzebowałam powietrza. Weronika należała do dość wymagających dzieci. W nocy często się budziła, a w dzień trudno było ją uspić. Nieoceniona pomoc mamy miała swoje granice, więc na ogół walczyłam z naszą małą wojowniczką samotnie, bo od początku nowego roku Sambor wpadł w wir nowych firmowych i naukowych wyzwań. Na szczęście styczniowa mroźna pogoda wykończyła wirusy i chłopcy szczęśliwie chodzili do szkoły i przedszkola, ale popołudniami siedzieli mi na głowie, a ja musiałam ogarnąć także ich. Nieliczne wyjścia do sklepu czy na spacer z wózkiem nie zaspokajały mojej potrzeby kontaktów z innymi ludźmi. Brakowało mi apteki, Jagody czy szybkiej kawy w kafejce. Byłe w pewnej odległości od domu.

Agnieszka uspokajała, dając nadzieję na zmianę.

– Jeszcze trochę i wrócisz do pracy – kreśliła szczęśliwy scenariusz.

– Jeszcze trochę? Trzy lata! Przecież wiesz, że mama nie wyobraża sobie oddania malej do przedszkola. A co dopiero do żłobka!

– Ale Weronika jest twoim dzieckiem. I Sambora.

Aga kompletnie nie znała mojej mamy.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz. – Pokiwałam głową. – Ona nie pozwoli mi oddać Weroniki do żłobka, choć jednocześnie brakuje jej sił, żeby mi pomagać. Ostatnio bez przerwy ma jakieś kłopoty z żołądkiem. A ja muszę wyjść, bo zwariuję!

– To może na razie wynegocjuj chociaż kilka godzin? Musisz przecież doglądać interesu. Pańskie oko konia tuczy. – Agnieszka się uśmiechnęła, zadowolona z trafności argumentu.

Za jej radą spróbowałam metody małych kroczków, a los mi sprzyjał. Wprawdzie okazja nadarzyła się tragiczna, bo Jagodzie zmarła matka, ale na to nie miałam wpływu. Musiałam zastąpić pracowniczkę za ladą.

– Powinnaś zatrudnić kogoś jeszcze. – Mama z trudem zaakceptowała tę konieczność. Jak zwykle pesymistycznie zastanawiała się, jak rozwiąże problem karmienia malej.

– Przecież wiesz, że nie mam już dużo pokarmu – odparłam. – Rano ściągnę, a potem, jeżeli nie wystarczy, dasz Weronice sztuczne mleko. Jak mam odmówić Jagodzie odprowadzenia matki w ostatnią drogę? – zaatakowałam z grubej rury.

Argument dotarł, ale mama i tak odeszła, mruczając coś o konieczności zamknięcia apteki, przynajmniej na jakiś czas.

Nigdy w życiu! – pomyślałam z kamienną miną. Radość z chwilowego zrzucenia garbu w postaci rodziny ukryłam w najgłębszych zakamarkach duszy. Obsługiwałam klientów z uśmiechem na ustach, niczym Śpiąca Królewna obudzona ze stuletniego snu. Stali bywalcy witali mnie serdecznie.

– Pani magister! Już pani do nas wróciła? Jak miło widzieć!

Cieszyłam się na ich widok i na przyjazne słowa.

Czas mijał szybko. Zbyt szybko. Pod koniec dnia policzyłam utarg i sięgnęłam po klucze.

– Do zobaczenia! – wyszeptalam zrezygnowana i zamknęłam aptekę.

W powietrzu wirowały płatki śniegu, tworząc na chodniku cienką warstwę białego puchu. Obserwowałam je w zachwycie.

Moje piersi domagały się opróżnienia, a mój mały naturalny laktator zapewne oczekiwał mamy. Gnana nieoczekiwanymi wyrzutami sumienia z powodu kilkogodzinnej nieobecności, ruszyłam do samochodu. Stał z dala od latarni, więc po omacku rozpoczęłam przetrząsanie torebki w poszukiwaniu kluczyków.

W tej samej chwili ktoś chwycił mnie za ramię.

Zanim zdążyłam zareagować, usłyszałam dobrze mi znany męski głos.

– Nie bój się. To ja.

– Co ty tu robisz? Niemal umarłam ze strachu! Masz szczęście, że nie ćwiczę samoobrony!

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Masz chwilę?

– Muszę wracać do domu.

– Próbuje się z tobą skontaktować od roku.

A ja od roku nie potrafię o tobie zapomnieć, powstrzymałam słowa.

Gapiłam się na wysokiego i przystojnego faceta z grzywą niesfornych ciemnych włosów opadających na czoło.

– Byłam zajęta – odparłam, siląc się na zdecydowany ton.

Nie odpuszczał.

– Przyjechałem na kilka dni ze szkoleniami dla farmaceutów. Znajdziesz czas na spotkanie?

Zgodziłam się natychmiast, wbrew rozsądkowi. Nie miałam pojęcia, jak wygospodaruję te godziny, ale nie zamierzałam teraz o tym myśleć. W końcu przed rokiem organizowałam schadzki z Wojtkiem bez większego problemu.

– Kiedy możesz? – zapytałam.

Idiotka! Powinnam go czym prędzej przepędzić i pognać do dzieci.

– Jutro albo pojutrze około dwudziestej. Po zajęciach.

– Wykluczone. Przed południem?

– Może być. Zaczynam wykłady o drugiej, więc...

– Jutro, o tej samej porze co kiedyś, w znajomej knajpce na starówce – zdecydowałam i zamaszystym ruchem otworzyłam drzwi auta. Usiłowałam opanować drżenie kolana.

– Martusiu, wyglądasz piękniej niż zwykle – usłyszałam, zanim usiadłam za kierownicą.

– Do jutra. – Odwróciłam głowę, powstrzymawszy chęć rzucenia się Wojtkowi na szyję.

Do domu pojechałam okrężną drogą, żeby nieco ochłonać.

Wszystko zastałam na swoim miejscu. Chłopcy byli zajęci w swoich pokojach, Werka pachniała po kąpieli. Mama przygotowała kolację, tato i Sambor nie zdążyli jeszcze wrócić z pracy.

Mama była bystrą obserwatorką.

– Jesteś rozpalona – powiedziała. – Pewnie ze zmęczenia. Ciężko było w pracy po przerwie?

– W porządku – zbagatelizowałam. – A jak dzieciaki? Dały ci popalić?

– Weronika ładnie jadła, zrobiła kupkę i była bardzo spokojna. A chłopców przywiózł pan Witek – wspomniała firmowego kierowcę. – Wszystko było w porządku.

Przeszło mi przez głowę, żeby od razu załatwić z mamą sprawę jutra, ale zostawiłam to na później. Po utuleniu dzieciaków do snu i kilku słowach zamienionych z Samborem wsunęłam się pod kołdrę, by spokojnie raz jeszcze rozważyć, czy powinnam spotkać się z Wojtkiem. Rozsądek podpowiadał jedno, serce – na wspomnienie ubiegłorocznego romansu – drugie.

Wróciliśmy właśnie z rodzinnych wczasów nad morzem. O dziwo, pogoda dopisała, więc mogłam szokować otoczenie opalenizną godną pobytu na południu Europy. Nawiasem mówiąc,

tam właśnie mieliśmy się udać, gdyby nie to, że mój małżonek musiał co drugi dzień zaglądać do firmy. Mimo rozczarowania machnąłam ręką i ultimatum Sambora, że także tym razem spędzimy wczasy na osiedlu drewnianych domków w Dąbkach, należącym do jego przyjaciela Wacka, przyjął spokojnie.

Obiecał poprawę za rok.

– Zabiorę was na Łazurowe Wybrzeże albo do Grecji – mamił.

– Może być Balaton. Albo nawet Słowacja. Byleby wreszcie nie Dąbki. – Sambor rozłożył ręce i skrzywił usta na znak niemocy i wyższej konieczności. – Nie masz czasu na nic. Trudno ci nawet wygospodarować chwilę na postaranie się o kolejne dziecko, córeczkę. – Wytoczyłam ciężkie działa.

– Ostro grasz. I jesteś niesprawiedliwa. Sądziś, że nie chcę córki? To nie moja wina, że...

– ...że nam nie wychodzi? – weszłam mu w słowo. – Nic dziwnego, bo bardziej kochasz firmę niż mnie i rodzinę. Powinniśmy gdzieś razem wyjechać, bez chłopców, bez problemów, tylko my. Ale ty, oczywiście, nie masz na to czasu.

– Marta!

– Sam widzisz. Nazywasz mnie tak, kiedy się złościś.

– Martuś... Nie bądź zła.

Sambor nie lubił się kłócić. Spory wytrącały go z równowagi, czego nie cierpiał.

– Jest wygodny – podsumowała Agnieszka, której zwierzyłam się z moich małżeńskich rozterek. – Ale ma i dobre cechy, Martusiu. Kocha cię i jest ci wierny.

Trudno było się nie zgodzić, choć nastroju mi to nie poprawiało.

Los chciał, że przed rokiem w takim właśnie stanie ducha spotkałam Wojtka, swoją licealną miłość.

– Marta, jakiś pan chce rozmawiać z szefową. – Słowa Jagody wywołały mnie z zaplecza.

– Przystojniak. – Głos przeszedł w szept.

– Witam, Wojciech Zborowski. Mogę na słowo? – Wojtek puścił do mnie oko.

– Cześć! – Wybiegłam z za lady. – Co ty tutaj robisz?

Kiedy po naszym rozstaniu wyjechałam do Gdańska na studia, on był zajęty kończeniem biologii i niańczeniem dziecka zrobionego Marioli, która pojawiła się między nami, niszcząc nasz związek z prędkością błyskawicy. Nie obchodziło mnie, że, jak tłumaczył, „to” stało się tylko raz i zaowocowało niechcianą ciążą. Ważne, że się stało.

Po wielkim bum przeszłam przez wszystkie stadia żałoby po moim pierwszym chłopaku, w którym byłam zakochana do szaleństwa. Była złość, wściekłość, rozpacz, poczucie porzucenia, samotność. Podniosłam się wreszcie, po dwóch latach umiarkowanego imprezowania, bo tylko na takie z rzadka pozwalały mi wymagające studia, i zaliczeniu kilku kolegów tylko po to, żeby stwierdzić, że żaden z nich nie jest Wojtkiem. Aż w końcu spotkałam Sambora i niebawem zostaliśmy rodzicami.

Z czasem przestałam porównywać Sambora z byłym chłopakiem, tym bardziej że fizycznie byli kompletnie inni. Mój mąż mógł pochwalić się blond czupryną, Wojtek był rasowym brunetem.

Upływające lata sprzyjały zapomnieniu o porażce z przeszłości. Dlatego tak radośnie powitałam Wojtka w aptece rok temu.

– Pracuję dla firmy farmaceutycznej z Poznania. Przyjechałem, by zaprosić cię na spotkanie – powiedział, przyglądając mi się z nieukrywanym zachwytem.

Zabrałam go na zaplecze i zaproponowałam kawę. A później zaczęliśmy się spotykać. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, ale głęboko zakopane uczucie odżyło.

W październiku Sambor wyjechał na staż do Paryża, a ja oddychałam Wojtkiem. Do chwili, gdy na święta Bożego Narodzenia zjechał z Francji mój mąż.

Kilka dni przed jego przyjazdem poszłam na randkę, jednak tym razem z innym zamiarem niż zwykle. Jak zwykle zapukałam do drzwi firmowej kawalerki. Mamie powiedziałam, że umówiłam się na nocne plotki z koleżanką, więc bez oporów została z chłopcami.

Zobaczyłam rozstawione talerze. Wino oddychało na stole, w powietrzu unosił się aromat zapiekanki z owocami morza.

Musiałam mieć nieszczególną minę, bo już w progu usłyszałam pytanie.

– Czy coś się stało?

– Usiądźmy. Wojtek, musimy to przerwać – powiedziałam.

– O czym ty mówisz?

Thumaczyłam i wyjaśniałam, a on dolewał mi wina. I dobrze, bo tych banalnych, choć prawdziwych słów nie wyartykułowałabym na trzeźwo. Że mój mąż, że moje dzieci, że jego żona i dziecko. I że to, co nas wiąże, nie ma przyszłości.

– Kocham cię – oznajmił, po raz pierwszy od czasów liceum. – Tamto było niefortunną wpadką z przypadkową dziewczyną. Powiedz mi, jak po raz drugi mam żyć bez ciebie?

– Masz jeszcze wino? – zapytałam, już całkiem nieźle zamroczona zarówno alkoholem, jak i wyznaniem.

Zdawałam sobie sprawę, że to musi być nasz ostatni wspólny wieczór, i było mi bardzo smutno. Ale Sambor, mimo pracoholizmu i wielu wad, które odkryłam z czasem, zasługiwał na moją miłość i szacunek. A może po prostu bałam się burzy w moim życiu?

Nie chciałam namiętnego pożegnania, a jednak uległam.

Kiedy rano opuszczałam kawalerkę, Wojtek jeszcze spał. Wymknęłam się chyłkiem, pozostawivszy list z prośbą, żeby do mnie nie dzwonił. Opanowałam chęć namalowania serduszka – musiałyby być przebite strzałą.

Od tamtego spotkania minął ponad rok, emocje opadły. Ale widok Wojtka poruszył uśpione struny, a ja ponownie uległam skrywanej tęsknocie, choć wątpliwości miałam do ostatniej chwili.

Mamie wkręciłam głodny kawałek o pilnej sprawie, którą muszę załatwić w urzędzie, ale czułam się z tym fatalnie. Obyśmy tylko nie wylądowali w łóżku! – życzyłam sobie konsekwencji. Nadszedł czas na koleżeństwo. W końcu będziemy się na siebie natykać na płaszczyźnie zawodowej.

Wojtek już czekał, przed nim stała filiżanka kawy.

– Jak zwykle latte? – zapytał, odsuwając mi krzesło.

Jak zawsze dżentelmen, uśmiechnęłam się w duchu.

– Chętnie. Jeszcze karmię – powiedziałam z premedytacją.

Zareagował tak, jak się spodziewałam – zdumieniem.

– Karmisz? Masz dziecko? – wykrztusił.

– Owszem. Urodziłam córkę.

– Jak to? Kiedy? Jak ma na imię?

– Pod koniec września. Udało nam się z Samborem spełnić marzenia. Pamiętasz, mieliśmy, i mamy, dwóch synów. A imię nieważne. Ulubione Sambora – skłamałam.

Zastrzeliłam Wojtka kompletnie.

– Latte z migdałami proszę – przerwał nam głos kelnerki.

Wojtek obserwował mnie w skupieniu. Bruzda między jego brwiami stawała się coraz głębsza.

– Mówisz, że pod koniec września...?

Naturalnie wiedziałam, co mu chodzi po głowie, bo mnie również nie opuszczała ta myśl. Czekałam jednak, aż Wojtek wyartykułuje wątpliwości.

– A może to ja jestem ojcem? – usłyszałam wreszcie.

Byłam przygotowana.

– Absolutnie nie. Sambor przyjechał niebawem po naszym pożegnaniu – jak taktownie określiłam nasze ostatnie zbliżenie – a wierz mi, że jako absolwentka Akademii Medycznej znam się na kalendarzu kobiecych cykli i konsekwencjach jego stosowania. Nie jesteś ojcem, możesz się nie obawiać.

– Co ty wygadujesz? Byłbym szczęśliwy. Rozstaliśmy się z Mariolą. Martuś, przecież wiesz, że ja ciebie w dalszym ciągu...

– Nie kończ – przerwałam. – Może ty coś sobie obiecywałeś po naszym spotkaniu, ale ja definitywnie chcę ci powiedzieć, że jestem szczęśliwą mężatką z trójką dzieci. Bardzo chętnie będę się z tobą spotykać na szkoleniach lub kiedy tylko zajrzysz do naszego miasta. I przykro mi, że nie udało się wam z Mariolą. Ile lat ma twój syn?

– Szesnaście.

– A ty wciąż jesteś młody. Jeszcze sobie sprawisz własną córkę. Proponuję kieliszek wina za naszą przyjaźń. – Przywołałam kelnera i zamówiłam mój ulubiony tokaj.

Jakoś udało nam się wyplątać z krępujących tematów i wyprowadzić rozmowę na spokojne wody. Jednak mimo pozorów równowagi czułam niepokój. Czy Wojtek mi uwierzył?

Miałam nadzieję, że tak.

Pożegnałam się z nim pocałunkiem w policzek i zamknęłam temat.

## Rozdział 12

Weronika

2019 r.

Wyszliśmy od notariusza w milczeniu. Każde z nas z trudem tłumilo emocje. Informacja, którą ujawnił, dogłębnie wszystkich poruszyła. Nasz zmarły ojciec miał jeszcze jedną córkę, której przeznaczył jedną czwartą majątku po odliczeniu kwoty, jaką postanowił obdarować mamy siostrę, ciotkę Konstancję. Jedynie firmę podzielił między naszą trójkę.

W tym momencie nie chodziło jednak o pieniądze, których w rodzinie nie brakowało.

Firma taty dobrze prosperowała, a wytwarzany przez nią preparat, który powstrzymywał starzenie się przechowywanych w magazynach owoców i warzyw, schodził jak ciepłe bułeczki. I to nie tylko na rodzimym rynku, ale i na całym świecie, więc biznes z pewnością był sporo wart. Jednak tato pozostawił również kilka nieruchomości i lokaty na kontach, którymi mieliśmy się podzielić z kimś nieznanym.

Poczułam się oszukana. Wizerunek idealnego ojca i męża mamy runął niczym domek z kart. Obezwładniający zawód swoimi żelaznymi mackami niemal miażdżył mi skronie. Musiałam na chwilę przystanąć i oprzeć się o mur kamienicy, by opanować zamęt w głowie i miękkość kolan.

– Dobrze się czujesz? – Krzesimir posłał mi zaniepokojone spojrzenie. Jędrzej podtrzymał mnie, żebym nie upadła.

Przysiadłam na murku i pozwoliłam ciotce otrzeć mi pot z czoła.

– Oddychaj głęboko, córciu, – Konstancja przejęła stery.

Mimo że była starą i bezdzietną panną, nazywała mnie tak od zawsze. Nawet kiedy jeszcze żyła mama, jej bliźniaczka. Nikomu z naszej trójki nie przeszkadzało, że byliśmy jej przyszywanymi synami i córką, tym bardziej wtedy, kiedy porodziły się nam dzieci, a ciotka wydatnie pomagała w ich wychowaniu.

Mama jeszcze zdążyła nacieszyć się moim Jaśkiem, a także Rysiem i Michałem od Krzesimira, ale już jego córka Majka i moja Zośka ją ominęły. A tak chciała powitać na świecie wnuczkę! Za to Konstancja sekundowała wszystkim przyszywanym wnukom, kochając je jak własne i służąc pomocą w każdej wolnej chwili.

Nie lubiła zdrobnienia swojego imienia, zatem żadna ciocia Kostka ani Kocia nie wchodziły w rachubę. Przez całe życie miała pretensje do rodziców, babci Marianny i dziadka Walentego, za wymyślne imię, które dostała na chrzcie. A że była osobą wyrazistą, często artykułowała swoje niezadowolenie w dosadny sposób.

– Cholera jasna, tyle jest pięknych imion, a oni – celowała palcem w fotografię nieżyjących rodziców – musieli tak mnie unieszczęśliwić! – gderwała. – Pamiętaj, Weroniko, nie zrób swoim dzieciom krzywdy – przestrzegała, kiedy jako licealistka nie myślałam jeszcze o sprowadzaniu na świat potomstwa.

Mama, skrzętna aptekarka i uosobienie spokoju, łagodziła wybuchy siostry, dyscyplinując ją na okoliczność używania niewybrednych słów, wśród których „cholera” należało do bardziej łagodnych.

– Konstancjo, tu są dzieci!

– Jakie tam dzieci! Weronika to już panna, a Krzesimir i Jędrzej kawalerowie pod wąsem – łąjała ją ciotka Konstancja, prychnąwszy pod nosem.

Była dość ostra w obejściu, ale pod płaszczykiem pozornej oschłości kryła się gołębia

dusza i ogromna empatia dla dzieciaków z całej rodziny. Nieraz ratowała mnie po upojnym wieczorze z kolegami, kiedy omalże tonęłam w morzu alkoholu, po czym schodziłam z tego świata wśród czarnej otchłani mdłości i wyrzutów sumienia. Jak choćby wówczas, gdy rodzice wyjechali do Krakowa, by świętować habilitację taty. Mama poprosiła ciotkę, by ta miała na nas oko. Krzesimir i Jędrzej studiowali, ale wciąż mieszkali w domu, co jednak nie oznaczało, że zamierzają spędzić sobotni wieczór przed telewizorem. Ja również miałam ochotę na inne rozrywki. Ale ponieważ nie ma sprawiedliwości na świecie, zanim zdążyłam poinformować Konstancję o swoich planach, moi bracia już wybyli.

Klęłam w żywy kamień, że jestem najmłodsza w rodzinie i najmniej mi wolno, ale musiałam powściągnąć rozgoryczenie. Zaczęłam, że muszę napisać z kumpelą referat z biologii, że wrócę późno, że wezmę taksówkę, zabiorę ze sobą komórkę, więc będzie kontakt.

Ciotka westchnęła pod nosem i wyraziła zgodę, wyznaczwszy godzinę powrotu na dwudziestą drugą. Pognałam jak na skrzydłach do knajpy, w której umówiliśmy się z kolegami, i popłynęłam. Nie miałam dużo czasu; kolejne piwa uderzały mi do głowy, któryś ze starszych kolegów zamówił coś mocniejszego. W międzyczasie dzwonił telefon, ale nie zawracałam sobie nim głowy. Najwyżej będzie bura.

Dobrze, że w taksówce przypomniałam sobie adres naszego domu, zatem kierowca nie zawiózł mnie do izby wytrzeźwień. Wpadłam natomiast w ramiona ciotki, która czekała na mnie w drzwiach, z dłońmi wspartymi na biodrach. Brakowało jej tylko pejsza.

– Miałam być o dziesiątej, więc jestem. – Z krzywym uśmiechem wędrowałam ścieżką. Plątały mi się nogi, ale usiłowałam utrzymać równowagę.

– Dziękuję panu – usłyszałam, że Konstancja reguluje rachunek za kurs.

– Na drugi raz niech pani lepiej pilnuje córki! – odparł i odjechał.

Pewnie po innych takich jak ja.

– Wejdz!

Ciotka podtrzymała mnie, kiedy nie mogłam doliczyć się schodów prowadzących do wiatrołapu. A gdy zaległam na kanapie, ściągnęła mi buty i kurtkę.

– Będziesz wymiotować?

– Uhm – wyszeptałam i pognałam do łazienki.

Chciałam znaleźć się w niej jak najszybciej, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. W końcu jednak podtrzymywana przez silne ramiona ciotki trafiłam do przybytku i pozbyłam się treści żołądkowej.

Nie wiem, jak znalazłam się w łóżku, a tym bardziej nie chciałam wiedzieć następnego dnia rano. Przeszłość dorwała mnie z siłą wodospadu, a lęk przed kazaniem obezwładnił. Skruszona i zestrachana zesłam na dół, by skonfrontować się z rzeczywistością.

– Wstałaś? Wypij to, a ja przygotuję ci jajecznicę – usłyszałam i potulnie wykonałam polecenie.

Kiszki wywracały koziołki, a jednocześnie zasysała mnie od środka dziwna pustka, znamionująca głód.

Spodziewałam się krzyków, oskarżeń, może nawet kary. Najbardziej bałam się jednak, że szczegóły mojej wczorajszej wyprawy do knajpy poznają rodzice.

Nic takiego nie nastąpiło. Konstancja posadziła mnie na kanapie i zajęła miejsce naprzeciwko.

– Jesteś już w formie? Możemy porozmawiać? – Skinęłam głową. – Zatem posłuchaj mnie, bo drugi raz nie powtórzę. Upiłaś się. Nie wiem, czy po raz pierwszy, czy nie, ale to nie mój interes. Mnie zajmuje coś innego. Oszukałaś mnie. Powiedziałaś, że idziesz do koleżanki pisać referat. Ni-gdy-więcej-nie-kląm – przesyłabizowała. – Nie jestem twoją matką, żeby ci

klarować o szkodliwości nadmiernego picia, zwłaszcza w twoim wieku. Również twoją edukację zostawiam Marcie i Samborowi. Ale jeżeli jeszcze kiedykolwiek mam się tobą zająć bądź zadzierzgnąć z tobą bliższe kontakty, muszą być oparte na szczerości. Kiedyś ktoś już mnie oszukał i jestem wyczulona na fałsz. Rozumiesz?

Zaskoczyła mnie. Miałam raptem te swoje piętnaście lat, ale argument ciotki dotarł. Nawet do nieco jeszcze zamroczonej głowy.

– Rozumiem – odparłam. – Przepraszam, że wróciłam późno i trochę wstawiona. Ciociu, mogłabyś nie mówić rodzicom?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

Wiedziałam, jak to zabrzmiało – jak gdybym niczego nie zrozumiała z jej wywodu, a jedynie próbowała ratować skórę. To jednak nie była prawda. Wtedy doceniłam Konstancję. Świadomie, po raz pierwszy w życiu.

– Nie powiem – odparła zrezygnowana. – Zjadłaś? Pozmywam po jajecznicy. – Wstała i sięgnęła po talerz.

– Ciociu, dziękuję. Już zawsze będę z tobą szczerą. Przepraszam. – Wpadłam w jej ramiona, które nie nawykły do czułych uścisków, a mimo wszystko mnie przygarnęły.

Teraz, kiedy po wyjściu od notariusza siedziałam na murku, poczułam, jak jest dla mnie ważna. I jak życzliwa.

– Już wszystko w porządku. Możemy iść – wstałam.

Zaszedliśmy do pierwszej lepszej knajpy i zamówiliśmy kawę.

– Może później. – Krzesimir odprawił kelnerkę, która zaproponowała coś słodkiego. To musiało poczekać na bardziej odpowiedni moment. I tak niczego byśmy nie przełknęli.

Ulokowaliśmy się w kąciku oddzielonym od reszty sali niewielkim przepierzeniem. Miejsce dawało intymność, podobnie jak przedpołudniowa pora. Po deptaku co najwyżej krążyli turyści, nieliczni mieszkańcy na zakupach lub szkolne wycieczki.

– I co wy na to? – Jako pierwszy zagał Krzesimir.

– To chyba jakiś żart? Tato miał córkę? Nie czaję! – prychnął Jędrzej i nerwowo potarł skronie. – Wiedziałaś o tym? – zwrócił się do Konstancji.

Zaprzeczyła.

– Nie miałam o niczym pojęcia. Jestem zaskoczona, jak i wy.

Spojrzenia obecnych powędrowały w moją stronę.

– O co wam chodzi? – zachnęłam się. – Sądzicie, że tato wtajemniczył mnie w swoje bujne życie rodzinne? Jestem kompletnie załamana. – Nie potrafiłam powstrzymać łez. – Jakaś inna córka? Niewyobrażalne!

– Może po śmierci mamy związał się z jakąś kobietą i ma z nią dziecko? – Krzesimir zaczął myśleć racjonalnie.

– A nam o tym nic nie powiedział? – powątpiewał Jędrzej.

– To możliwe – uznałam. – Tylko jak mu się udawało to kryć?

W końcu odezwała się Konstancja, nasz głos rozsądku. Zasugerowała drogę postępowania.

– Kochani, to szok dla was wszystkich, i dla mnie również, ale trzeba pomyśleć logicznie i poradzić sobie z problemem. Notariusz powiedział, że aby przejąć spadek, w pierwszej kolejności należy odnaleźć tę osobę. Albo zdać się na sąd i postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku.

– Dobrosławę Kuszewską. Czy tak się nazywa? – Imię i nazwisko z trudem przeszło mi przez gardło.

– Tak – potwierdziła ciotka.

– Nie mam takiego zamiaru! – krzyknęłam, trochę zbyt głośno. – Nie chcę jej poznawać!  
– Bez niej nie możemy podzielić się spadkiem – zauważył rozsądnie Krzesimir.  
– Nigdy bym się nie spodziewał, że ojciec na starość skołuje sobie dzieciaka i zachowa jego istnienie w tajemnicy. A tyle gadał o uczciwości! – Jędrzeja poniosły emocje.

Nie miałam ochoty kontynuować tej dyskusji. Wstałam, sięgnęłam po kurtkę i pożegnałam się w locie z braćmi i ciotką.

– Dla mnie za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Róbcie sobie, co chcecie. Ja muszę do domu.

– Siostra, poczekaj. Czy nie powinniśmy pogadać o firmie? Właśnie ją przejęliśmy. – Krzesimir próbował mnie zatrzymać.

– Umówmy się na jutro – odparłam. Pragnęłam wyłącznie świeżego powietrza.

– Może być dziesiąta? W siedzibie?

Machnęłam ręką na tak i uciekłam.

Przed knajpką odebrałam wiadomość od męża.

„Jak wizyta u notariusza? Wszystko w porządku?”

„Wszystko do dupy!”, odpisałam i skierowałam się na parking przy teatrze, gdzie zostawiłam auto.

## Rozdział 13

Weronika

*styczeń 2019 r.*

Zrezygnowałam z zamiaru pójścia do mojej galerii, której doglądała Anieli. Wprawdzie miałam ochotę podzielić się z przyjaciółką rewelacjami, ale jeszcze większą na wykrzyczenie swoich żalów przed mężem.

Paweł pracował dzisiaj w domu, ale chwilowo nie obchodziło mnie, czy przerwę mu realizację kolejnego ważnego projektu. Miał ich tyle, że żaden moment nie był odpowiedni na przerwę w pracy. Musiałam przyznać, że na tym jego zaangażowaniu i pracowitości dobrze wychodziliśmy finansowo, ale czasami brakowało mi męża na co dzień. Często znużona i zmęczona odprowadzaniem dzieci do szkoły i przedszkola, dbaniem o zaopatrzenie lodówki i gotowaniem dla naszej czwórki, wpadałam we wściekłość i robiłam Pawłowi karczemne awantury, które przyjmował ze stoickim spokojem. Brał mnie na przeczekanie lub proponował kieliszek wina. I wygrywał. W takich sytuacjach opanowywałam szum w głowie, przyjmowałam tłumaczenie o dobru rodziny, na którą pracuje, i następnego dnia pakowałam dzieciaki do auta, by je porzwozić, a po południu odebrać.

Tylko co z nami? W przypiływie kolejnego ataku złości wyrwałam się na miasto i żaliłam koleżankom.

– Nie narzekaj na Pawła. – Anielka zawsze stawała po jego stronie. – Pracuje, zarabia, jest ci wierny. To deficytowy towar.

Przypomniałam sobie, że już kiedyś słyszałam te słowa, wypowiedziane w niemal identyczny sposób. Wysiliwszy pamięć, przypomniałam sobie mamę, która narzekała na tatę swojej przyjaciółce Agnieszce.

– Nie mogę spędzać każdych wakacji w Dąbkach! – wylewała żale. – Chce mi się wyjechać gdzieś dalej, do Grecji, Hiszpanii czy Włoch. Ale, oczywiście, firma jest najważniejsza i nie można jej zostawić nawet na tydzień! Bo przecież nie chodzi o pieniądze!

– Jest ci wierny – powiedziała Agnieszka.

– Jakby to załatwiało wszystko! – prychnęła mama.

– A nie?

– A może właśnie nie? Kocham go, ale chciałabym przeżywać w związku coś więcej niż tylko codzienność.

– To może znajdź sobie kochanka? – Słowa cioci Agnieszki zabrzączały natrętnie, a ja nastawiłam ucha.

Miałam wtedy z piętnaście lat, ale pojęłam, o czym rozmawiały. Mimo że porozumiewały się cicho, a ja nie wyczuwałam niuansów, czy to żart, czy przyjaciółka mamy mówi serio.

– Możemy zmienić temat? – Mama zareagowała gwałtownie. – Weronika i Jędrak są w domu.

– Marta, wciąż to ciągniesz? – Ciotka zadała dziwne pytanie.

– Dawno już przerwałam. Ciągle kocham Sambora i tęsknię za wspólnym czasem, ale on...

– On też, kochana – zapewniła ciotka uspokajająco. – Takie jest życie. Mój Maciek również dużo pracuje, a dzieciaki wymagają ciągłej uwagi. Odpuść, a w pobliżu lata zamów sobie wyjazd na południe. I będzie wspaniale.

– No nie wiem... – Zabrzączały kieliszki.

Cichutko zamknęłam drzwi do pokoju, zastanawiając się, o co przyjaciółce mamy chodziło w ostatnim pytaniu. Nie byłam już naiwną dzieciną i poczułam niepokój w sercu. Czy mama ma kochanka?

Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że niemal zabawne, więc odrzuciłam tę nonsensowną myśl w głębokie zakamarki duszy i postanowiłam namówić tatę do wyjazdu na wakacje na południe Europy. Tym bardziej że sama miałam na to ogromną ochotę.

Okazałam się skuteczna, nie tylko w tamtym roku, ale i w kolejnych. Otworzyliśmy piękny rozdział w życiu rodziny. Tato kupił kamper i w czasie wakacji brał rozbrat z firmą. Zwiedzaliśmy Europę całą rodziną Jaremów, nawet z Krzesimirem, który już studiował. Czasami tylko obserwowałam mamę ukradkiem, czy nie chowa się z komórką po kątach, by pisać do domniemanego ukochanego. Nigdy jej na tym nie przyłapałam.

Po wizycie u notariusza dotarłam do domu podminowana i najeżona. Tato ogromnie mnie zawiódł. Pamiątka w postaci drugiej córki? – dumiałam zła jak osa.

Tyle była warta jego pozorna uczciwość. Zawsze grał prawego, szczerego i solidnego, żeby nie powiedzieć kryształowego. A jednak prawda wyglądała inaczej.

Jak mógł nam zrobić coś takiego? W moich oczach wezbrały łzy. Chyba ta córka była dla niego kimś ważnym, skoro zostawił jej jedną czwartą majątku?

Zaparkowałam przed domem tak zamasyście, że aż zapiszczały opony. Zakupy, które powinnam zrobić, musiały poczekać. Brak sałaty rzymskiej na kolację czy innej polędwicy niewiele mnie teraz interesował. Wpadłam do domu jak furia.

– Paweł, musimy porozmawiać! – oznajmiłam mężowi, który po moim esemesie czekał w pokoju.

– Co się stało?

– Nie uwierzysz! Nie jesteśmy jedynymi spadkobiercami! – wykrzyczałam, padając na kanapę.

– Może zrobię kawę albo herbatę?

– Nie szukaj tematów zastępczych! Siadaj i słuchaj!

Wkurzał mnie ten jego stoicki spokój.

– Tato zapisał jedną czwartą majątku swojej córce z nieprawego łoża! Rozumiesz? Zrobił sobie na boku dzieciaka, o którym nawet się nie zająknął. Jestem na niego wściekła, rozżalona i nie wiem, jak to przeżyję! – Łzy popłynęły po raz kolejny.

Paweł również był zaskoczony.

– Może to jakieś nieporozumienie?

– Jakie nieporozumienie? Notariusz odczytał jego wolę, która nie pozostawia żadnych wątpliwości! Niejaka Dobrosława Kuszewska, jego córka, ma odziedziczyć jedną czwartą majątku poza firmą. Tę przynajmniej firmę zostawił mnie i chłopakom.

– A ona była na odczytaniu testamentu?

– Gdyby się pojawiła, inaczej bym mówiła! – odburknęłam oburzona nieogarnięciem własnego męża. – Nie wiemy, kim ona jest ani skąd się wzięła. Krzesimir przypuszcza, że po śmierci mamy ojciec znalazł sobie kobietę, która urodziła mu córkę, ale zapomniał nam o niej powiedzieć. Nie mam słów!

Paweł słowem nie wspominał o pracy. Zaparzył melisę i postawił przed nami dwie filiżanki parującego płynu. Odruchowo sięgnęłam po jedną. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Ja trawiłam złość, on nie chciał mi w tym przeszkadzać.

Kiedy odzyskałam głos, wylałam z siebie kolejną porcję żalów.

– Jak on mógł? Kiedy notariusz odczytał testament, całe życie stanęło mi przed oczami! Zobaczyłam siebie na kolanach taty, zdjęcia znad morza, kiedy skaczemy razem pod fale.

I wspólne wakacje w Chorwacji, przy karafce domáce, z mamą i chłopakami, a w oddali Adriatyk i Góry Dynarskie... Kurwa mać, przecież byliśmy szczęśliwą rodziną, żeby nie powiedzieć wzorową! Zresztą sam wiesz, bo jesteś z nami od ośmiu lat. To niemożliwe, żeby tato znalazł sobie inną babę i spłodził z nią dziecko! – Nie potrafiłam pohamować emocji. – Nigdy mu tego nie wybaczę.

Nakręciłam się naprawdę zdrowo.

Paweł próbował nieco mnie studzić, ale źle trafił. Nie miałam ochoty na racjonalne myślenie, kiedy krew buzowała w żyłach.

– Co chcesz powiedzieć? – zaatakowałam, złowiwszy jego niepewne spojrzenie. – Że nic się nie stało? Że po śmierci mamy znalazł sobie jakąś siksę z rozpaczy? Dobra, niech będzie, że miał prawo. Ale dlaczego my o tym nie wiedzieliśmy? Chyba mieliśmy prawo?

Mój mąż przeczekał wybuch wulkanu emocji i przedstawił swój punkt widzenia.

– Kochanie, na razie wiemy niewiele. Ojciec przyznał się do drugiej córki. Musimy zaczekać, aż się objawi, bo chyba powinna...

– Gównu mnie ona obchodzi! Sam fakt, że istnieje, to porażka! – Po raz kolejny podniosłam głos.

– A co na to Krzesimir i Jędrzej?

– Nie sądzisz chyba, że są zachwyceni? Konstancja też nic nie wie o romansach taty.

– Trudno mi radzić, ale poszukiwania tej Dobrosławy są raczej nieuniknione...

– Już leczę! – Wykonałam nonszalancki gest. – A gdy ją odnajdę, powiem: „Moja cudem odnaleziona siostrzyczko, pozwól, że cię przytulę i przekażę ci jedną czwartą schedy po tatusiu. A może mogę ci pomóc jeszcze w jakiś sposób?”. – Popisałam się sarkazmem.

Paweł pozostał poważny. Jak zawsze.

– Nigdy bym nie podejrzewał Sambora o dziecko na boku, ale skoro zostało wymienione w testamencie, nie unikniecie konfrontacji. Do wzięcia jest duża kasa. Prędej czy później ta Dobrosława się znajdzie i lepiej, żebyś przygotowała się na ten moment, kochanie.

Mój wyważony mąż! Zamiast mnie przytulić, ukoić, podnieść na duchu, dać nadzieję, że nastąpiła pomyłka, wylał mi na głowę kubel zimnej wody. I nazwał to racjonalnym myśleniem!

– Paweł, czy ty jesteś po mojej stronie?

– Oczywiście, Weroniko. Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie frustrująca sytuacja. Sam byłbym na twoim miejscu zaskoczony i zdołowany. Ale nie jesteśmy dziećmi, musimy stawić czoła sytuacji. Nie znasz okoliczności tego... – zawahał się – ...związku Sambora, a jedynie jego skutki. On nam już nic nie powie, ale możemy odnaleźć Dobrosławę i jej matkę. Porozmawiasz z nimi, ocenisz ojca na spokojnie.

Czy zadziałała siła argumentów, czy może po prostu odpuściłam, ale zgodziłam się z Pawłem. Przywarłam do jego ramienia.

– Sądzisz, że to właściwa droga? – wyszeptalam, podnosząc oczy.

– Tak myślę. Nie da się żyć w kłamstwie czy nawet niedopowiedzeniach. Musicie się skonfrontować z Dobrosławą i załatwić swoje sprawy raz na zawsze.

Kładłam się spać względnie spokojna. Wprawdzie nie przebolełam ojcowskiej zdrady, ale miałam przynajmniej nakreślony przez Pawła plan rozwiązania rodzinnych spraw. Musiałam tylko porozmawiać z braćmi.

## Rozdział 14

Weronika

*styczeń 2019 r.*

Dziwnie się czułam, kiedy następnego dnia zajechałam pod firmę taty i przywitałam z jego sekretarką Luizą. Była mniej więcej w moim wieku i jak dostrzegłam w czasie pogrzebu, na który przysła ubrana od góry do dołu na czarno, bardzo przeżywała śmierć szefa. Z trudem panowała nad emocjami. Wtedy, zajęta własnym nieszczęściem, nie zwracałam na nią szczególnej uwagi, ale teraz spjrzałam na nią innym okiem.

Może to ona jest matką Dobrosławy Kuszewskiej? Po śmierci mamy miała okazję, by być blisko szefa i pocieszać go w niedoli. Firmę odwiedzałam rzadko, nie znałam nazwiska pani Luizy, którą widziałam raptem kilka razy w życiu. Postanowiłam wypytać starszego brata. Wprawdzie skoncentrowany na pracy mężczyzna też mógł go nie kojarzyć, choć pracował z tatą w Fabryce Syntezy ładnych kilka lat.

Po wymianie uprzejmości i przyjęciu kolejnych kondolencji weszłam do gabinetu prezesa, który od jakiegoś czasu zajmował Krzesimir. Na Jędrzeja musieliśmy chwilę poczekać; nie należał do osób szczególnie punktualnych, a pora jak na niego była nieludzka. „Przed dziesiątą wstają tylko desperaci”, mawiał, odcinając się od przyziemnych pracusiów, którzy rytm dnia podporządkowują pracy i niańczeniu potomstwa. Nie przewidywał takiego trybu życia, a rodzicielskie instynkty zaspokajał poprzez kontakty z bratankami i siostrzeńcami w roli ukochanego wujka.

– Jak się czujesz? – Na mój widok Krzesimir podniósł się z fotela i gestem ojca zapiął guzik marynarki.

O Boże, jaki był do niego podobny! Ledwie powstrzymałam się, by mu tego nie powiedzieć. Może wcale nie sprawiłabym mu tym przyjemności?

– Bywało lepiej. Jędrzej się odzywał? – spytałam o brata.

– Dzisiaj nie. Dzwoniłem do niego wczoraj. Podobno załatwia jakiś kolejny wyjazd, ale mam nadzieję, że zostanie jeszcze przez kilka dni. Musimy załatwić sprawy firmowe, bo inaczej będę mieć związane ręce. – Krzesimir był wyraźnie zaniepokojony.

– Rozumiem.

Wprawdzie prowadziłam tylko maleńką galerię, mimo to musiałam zarejestrować działalność gospodarczą i dopełniać różnych formalności wobec urzędów i fiskusa, więc odróżniałam fakturę od rachunku. A poza tym byłam córką, jak się okazało, nie jedyną, swojego ojca przedsiębiorcy i pewne zasady dotyczące firmowych zawiłości trafiały do moich uszu. Zdawałam sobie sprawę, że Krzesimira dotyczą one bezpośrednio, ale mocą testamentu obowiązki wynikające ze współwłasności spadły na całą naszą trójkę. Ale szczegóły musiał nam wyjaśnić Krzesimir.

– Werka, zczekajmy na Jędrka, to nie będę musiał się powtarzać. Jak Paweł? – zainteresował się reakcją szwagra na pozamałżeński wyskok ojca.

– Spokojny, jak zawsze. Ale ja nie zamierzam tego tak pozostawić! – Przyплыw adrenaliny przywołał na moją twarz rumieńce. – A Daria? – zrewanżowałam się pytaniem o reakcję jego żony.

– Zdziwiona, jak my wszyscy. Wiesz, że zawsze lubiła tatę, a teraz... Trochę podważył nasze zaufanie do siebie. Jak mógł ukrywać córkę?

– I jej mamę – dodałam.

Dopytanie o nazwisko pani Luizy uniemożliwił mi Jędrzej, który pojawił się w drzwiach razem z nią. Uśmiech nie schodził z ust sekretarki, która, emablowana przez naszego brata, wносиła tacę z trzema filiżankami kawy.

W tym momencie niemal ją osądziłam. Zmarł król, niech żyje król! Ojciec jeszcze nie ostygł w grobie, a ta bierze się za syna!

– Dziękujemy – odprawiłam ją, mimo że przedłużała swój pobyt w gabinecie, proponując nam cukier, śmietankę, ciastka i jeszcze mannę z nieba.

Wyszła odprowadzana przeciągłym spojrzeniem Jędrzeja.

– Co ty robisz?! – naskoczyłam na niego oburzona.

– O co ci chodzi? – Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Podrywasz kobietę, z którą być może nasz ojciec ma dziecko!

Tym razem obaj bracia spiorunowali mnie wzrokiem.

– Jakie dziecko? Luiza jest mężatką, ale nie słyszałem o żadnych dzieciach – pośpieszył z wyjaśnieniem Krzesimir.

– Do niedawna była, bracie – poprawił go Jędrzej. – Ale co do posiadania dzieci masz rację. Jeszcze ich nie ma. – Miał minę osoby dobrze zorientowanej.

Najwyraźniej nabrał tej wiedzy w ciągu kilku minut, które spędził w sekretariacie na podrywaniu młodej kobiety.

Zły, szybko zweryfikowany trop i po sprawie. To nie Luiza poderwała naszego ojca. Dla formalności zapytałam o jej nazwisko.

– Werka, mogłabyś nie drażnić? – Krzesimir spojrzał na mnie z rezygnacją. – Luiza Wolińska, z domu Watach – wyrecytował. – Przyjmowałem ją do pracy, więc wiem – wytłumaczył się. – Słuchajcie, o czym my rozmawiamy? – zreflektował się. – Musimy pogadać o firmie, której właścicielami zostaliśmy.

– Wszystko z nią w porządku? Będzie z tego kasa? – Jędrzej sięgnął po filiżankę.

Najstarszy brat nie dał się wkręcić w lekki nastrój. Poczulałam, że kroi się poważna rozmowa.

– Koniec żartów, rodzeństwo – uciął. – Jeżeli chcecie, żeby funkcjonowała i przynosiła pieniądze, to musicie mnie uważnie wysłuchać i się dogadać. Gotowi?

Skinęłam głową, siedząc jak trusia. Również Jędrzej dał gestem przyzwolenie.

– Jest tak: firma w całości należała do taty, ja tu tylko pracowałem na etacie, jako wiceprezes. Choć faktycznie wszystko robiliśmy razem. Załatwialiśmy klientów, nadzorowaliśmy proces technologiczny, ogarnialiśmy sprawy pracownicze i organizację pracy. Brałem pensję, a zyski trafiały do ojca. Nie wiem, co z nimi robił, odkładał na lokatach czy grał na giełdzie, w każdym razie nimi dysponował. Ja czasami dostawałem całkiem pokaźne premie za korzystne kontrakty, jak każdy pracownik. Nie zaglądam wam do kieszeni, ale wiem, że tato nie raz i nie dwa również i wam coś podrzucał. A to na mieszkanie – zerknął na Jędrka – a to na generalny remont kamienicy. – Przeniósł wzrok na mnie. – Mnie także wspomógł przy remoncie domu, który, jak wiecie, zająłem po śmierci dziadków. Teraz los firmy jest w naszych rękach. Jeśli ma trwać, musi być dobrze zarządzana.

Kiwnęliśmy głowami ze zrozumieniem. Do tej pory wszystko było jasne.

Krzesimir kontynuował.

– Musimy wspólnie zdecydować, co dalej. Czy chcecie sprzedać swoje udziały, czy je zachować?

– Ja bym wolał kasę – odezwał się Jędrzej.

– A ty? – usłyszałam głos Krzesimira.

Pewnie, że kasa by się przydała, ale chyba w tym momencie nie była najważniejsza.

Mimo zawodu, jaki sprawił mi tato, myślałam również o firmie, która przez całe życie go pochłaniała i była jego namacalnym dziedzictwem. Poza tym pracował w niej Krzesimir.

– Powiedz, jak wyglądałaby przyszłość, gdybyśmy nie sprzedali udziałów – zapytałam. Krzesimir zaczerpnął powietrza.

– Są dwie możliwości – powiedział. – Zaczniemy od tego, że chciałbym, by trwała. To moje miejsce pracy, które lubię i dobrze się tu sprawdzam. Ale do rzeczy. Pierwszy wariant: wyceniamy firmę, ja kupuję wasze udziały i was spłacam, proporcjonalnie, czyli po jednej trzeciej. Oczywiście nie od razu, bo nie mam takich pieniędzy. Druga możliwość: zachowujecie swoje udziały, a ja zarządzam firmą i pracuję na jej zysk jako prezes. Wy nie robicie nic, ale we trójkę zgarniamy pieniądze pod koniec każdego roku lub decydujemy o ich innym przeznaczeniu, na przykład na inwestycje. Moja pensja to piętnaście tysięcy na miesiąc. Netto. To wymagająca robota, więc jest warta tych pieniędzy. Wiercie mi, że ostatnimi laty to ja pracowałam na sukces. Tato głównie grał z Marianem w golfa.

Dżisas! Piętnaście tysięcy netto miesięcznie? Czyżby nasz układny Krzesimirek aż tyle zarabiał? A może po prostu chce nas oszukać i zyskać na zmianie własności?

Jego zarobki nie mieściły mi się w głowie. Również Jędrzek był zaskoczony.

– Brat, co ty do mnie mówisz? Ile zarabiałeś u ojca? – zapytał.

– Piętnaście tysięcy – powtórzył Krzesimir.

– Ludzie! To ja za artykuł do gazety, z wywalonymi w kosmos zdjęciami z Amazonii, dostaję tysiąc pięćset! A ile wydam, żeby tam pojechać i przeżyć wśród komarów, które niemal mnie nie zabijają? Jestem za sprzedażą udziałów i spłatą mojej części.

Ja nie byłam tak zdecydowana. Oczywiście, zarobki Krzesimira porażały, ale jako kobieta, przyziemna istota, która myśli, skąd wziąć na chleb z szyneczką, wolałam rozwiązania stabilne i perspektywiczne. Skoro firma przynosi niezłe zyski za sprawą Krzesimira, należy zachować udziały. Ich sprzedaż nie jest dobrym rozwiązaniem, tym bardziej że Krzesek nie ma pieniędzy, żeby spłacić nas za jednym zamachem. Dlaczego zatem nie dać mu tych piętnastu tysięcy za miesiąc? W końcu zapewni mi to niezłą dywidendę.

– Jestem za zatrzymaniem mojej części firmy – zadeklarowałam.

Jędrzej był nieprzejednany.

– Sorki, ale mamy różne zdania. Nie mówię, że zamykamy firmę, skoro wam obojgu ona pasuje. Ja po prostu chcę swoją część i już. Jeśli Werka chce swoją zatrzymać, to może znajdziesz dla mnie kasę na jednorazową spłatę? – zwrócił się do Krzesimira. – Niebawem wyjeżdżam i potrzebuję pieniędzy. A zanim wydobędziemy je ze spadku, jeszcze trochę czasu upłynie. Musimy przecież odnaleźć nową córcię naszego taty.

Starszy brat zmienił się na twarzy. Znałam to jego spojrzenie i ogarnęła mnie panika, że wybuchnie. Ale nie. Podobnie jak tato powściągnął emocje.

– Rozumiem – powiedział. – Jutro zlecę wycenę firmy i postaram się przekazać przysługującą ci jedną trzecią jej wartości – wycedził. – Bo ty zostajesz w drużynie? – Spojrzał na mnie.

Przytaknęłam.

– Mam do ciebie jedną prośbę. – Krzesimir zwrócił się do Jędrzeja. – Przed twoim wyjazdem spotkamy się jeszcze u notariusza. Będziesz musiał zobowiązać się do zniesienia współwłasności firmy. Teraz, kiedy właścicielami jesteśmy wszyscy, musimy razem podpisywać każdą umowę i każdy ważny dokument.

Patrzyłam, jak rozchodzą się drogi moich braci, i czułam żal. Rozumiałam ich obu. Krzesimira, który żył Fabryką Syntezy od lat, i Jędrzeja też. Jędrzek nie patrzył na długookresowe zyski. Nie chciał nikogo wykorzystywać, a jedynie wziąć swoje i ruszyć w świat.

Pomiędzy nimi tkwiłam ja: żona, mamuśka, była córeczka tatusia, a jednocześnie siostra braci, których kochałam i podziwiałam w każdym calu.

A jeszcze nawet na dobre nie zaczęliśmy rozmawiać o drugiej córce naszego ojca...

## Rozdział 15

Blanka

*styczeń 2013 r.*

Lekarz nie pozostawił złudzeń. Wykryta w trakcie rutynowych badań choroba okazała się zaawansowana.

– Ale ja się nieźle czuję. Nic mnie nie boli. Jak to możliwe, że jestem śmiertelnie chora? – dyskutowałam z doktorem, który przed minutą przekazał mi hiobową wieść.

Usłyszałam jedynie, że bardzo mu przykro, ale nowotwór trzustki bywa podstępny i bezobjawowy. Wszelkie moje prośby o ratunek odbijały się od muru jego bezsilności.

– Mogę jedynie przepisać pani środki przeciwbólowe i zasugerować rejestrację w hospicjum – powiedział. – Trafi tam pani pod opiekę lekarza, który w razie potrzeby przepisze morfinę.

– Pójdę do innego lekarza! – Roztrzęsiona wyrokiem szukałam nadziei.

– Oczywiście, ma pani takie prawo, ale przerzuty do wątroby świadczą o rozwiniętej chorobie. Naprawdę, bardzo mi przykro – powtórzył – że musiałem przekazać pani taką diagnozę. Ma pani kogoś bliskiego, z kim mógłbym porozmawiać?

Zatem klamka zapadła.

Zdałam sobie sprawę, że powinnam zacząć żegnać się z życiem, choć ta świadomość zwała mnie z nóg i zaparła mi dech w piersiach. Jak przez mgłę dotarło do mnie pytanie lekarza, jak się czuję, a potem zapadłam w ciemność. Do rzeczywistości, której chyba nie chciałam już smakować, przywrócił mnie zastrzyk. Żałowałam, że się wybudziłam z omdlenia, bo świadomość nieszczęścia ze zdwojoną siłą uderzyła mnie w głowę.

– Przepraszam, ale chyba już pójdę. – Otarłam pot z czoła i spróbowałam podnieść się z kozetki.

– Nie może pani w takim stanie. Kogo mam zawiadomić?

– Nie mam nikogo – skłamałam.

Nie chciałam niepokoić Dobrusi, która miała dzisiaj wizytę w przychodni na bilansie roczniaka z Nawojką. Oczywiście, wiedziałam, że muszę wyjawic jej prawdę, ale nie chciałam tego robić teraz. Zbyt kochałam swoją córkę, żeby narażać ją na szok, choć nie było dobrego sposobu na przekazanie informacji o tym, że za kilka miesięcy zostaną z Nawojką same.

Myśl o Dobrusi, na przekór nieszczęściu, postawiła mnie na nogi. I dała mi siłę, by przestać się nad sobą użalać. Po chwili spędzonej na krześle doktor pozwolił mi opuścić gabinet.

Na dworze ogarnął mnie przyjemny styczniowy chłód. Ktoś mógłby powiedzieć, że zacinający deszcz ze śniegiem kęsa policzki, a wiatr wdziera się pod kurtkę, ale ja szłam do samochodu, oddychając głęboko i czerpiąc przyjemność z zimowej aury. Kolejnej zimy miałam już nie doczekać.

Zastanawiałam się, co robić, gdzie się udać. Stchórzyłam na myśl o spotkaniu z Dobrusią. Najchętniej schowałabym głowę w piasek i zasznurowała usta, ale było to niemożliwe. Lekarz był miły, ale mnie nie oszczędzał – zdawałam sobie sprawę, że przed śmiercią będę musiała się trochę pomęczyć. Może rzeczywiście powinnam pojechać do hospicjum i się zarejestrować? – przemknęło mi przez głowę, ale realizację odłożyłam na później.

Gdyby żył Leszek, wiedziałby, jak mi pomóc. Niestety, śmierć zabrała go dwa lata temu. Z bezpiecznej przystani, do której zawinęłam po kilku latach zmagań z malutką Dobrusią, ponownie wypłynęłam na wzburzone wody samotności i tęsknoty za kimś bliskim. Niebawem

miałam się z nim spotkać, choć jednocześnie oznaczało to pożegnanie z ukochaną córką i wnuczką.

Łzy przesłoniły mi widok ulicy, którą podążałam w kierunku domu. Bo i dokąd miałam jechać? Może tylko do monopolowego po wsparcie dla nastroju.

Los mi sprzyjał. Dobrusia zadzwoniła i umówiła się ze mną na jutro.

– Mamuś, naczekałyśmy się na bilans ze trzy godziny i jestem zmęczona – usłyszałam. – Wszystko u ciebie w porządku?

Przytaknęłam i zapewniłam ją, że w pracowni przygotowuję zdjęcia na wystawę. Miała się odbyć za cztery tygodnie w miejscowej galerii sztuki.

Jak zwykle tematem były czarno-białe zdjęcia rodzinne, łączące historię z przeżyciami poszczególnych ludzi. Byłam z nich znana. Może nie należałam do śmietanki krajowych fotografików, ale przez lata wypracowałam własny styl, który mnie wyróżniał i z którym dobrze się czułam. Jeden z krytyków recenzujących którąś z moich wystaw napisał, że chyba poszukuję prawdziwej rodziny. Obraza za włożenie z butami w moje prywatne życie nie wchodziła w grę, bo w końcu trafił w sedno. Zaczęłam od falstartu z Jaromirem i Samborem, a potem rzeczywiście szukałam. Aż trafiłam na Leszka.

Teraz nadszedł czas na podsumowania. Za szybko! – westchnęłam na myśl o pięćdziesiątych czwartych urodzinach, które miałam obchodzić za trzy miesiące. Nie teraz! – przypomniałam sobie roześmianą buzię swojej rocznej wnuczki, która podobnie jak moja Dobrusia chowała się bez ojca. Że też historia lubi się powtarzać! – złorzeczyłam w myślach, pragnąc odegnać demony.

Wieczór zapowiadał się bardzo nostalgicznie i dołująco. Najchętniej zaprosiłabym Magdę, moją kumpelę od lat, z którą pozostawałyśmy w bliskich relacjach. Ale ostatnio chorowały jej wnuki i stale była zajęta, więc nie dzwoniłam. Jednak los postanowił wyciągnąć dłoń do potrzebującej i nieoczekiwanie sprowadził przyjaciółkę.

Zadzwoniła do drzwi i zastała mnie przy drugiej lampce wina.

– Co świętujesz? – Postawiła na stole butelkę merlota. – Dlaczego nie jesteś w pracowni i nie szykujesz zdjęć na wystawę?

– Dzisiaj dałam sobie luz – odparłam, patrząc, jak zdejmuje kurtkę i wiesza ją w przedpokoju.

– Mam wolny wieczór i postanowiłam, że zajrzę. Nie przeszkadzam?

Machnęłam ręką i zapytałam, czy zamówić pizzę. Z doświadczenia wiedziałam, że po alkoholu nadejdzie pakman, więc warto było się zabezpieczyć. Teraz, kiedy jeszcze moja trzustka nie przeszkadza mi jeść.

– Jestem wykończona. – Magda rozparła się w fotelu, starym modelu chestera, który kiedyś znalazłam na śmietniku i odrestaurowałam. Pasował do wystroju stryżku, do surowych dębowych belek, starych mebli z duszą, wytartego dywanu, wykuszowych okien i wyblakłego gobelinu na ścianie. Moja przyjaciółka łapała tu rzadkie chwile relaksu po ciężkich zmaganiach matki, a później i babki Polki. Ja zazwyczaj miałam w zanadru butelkę wina, co jeszcze bardziej pomagało się nam odprężyć.

Magda najwyraźniej zaplanowała sobie miły wieczór, a ja nie zamierzałam jej go odbierać. Zrzuciłam myśl o chorobie i postanowiłam się rozluźnić w miłym towarzystwie.

– Bardzo proszę, skosztuj. Wręcz nalegam. – Nalałam jej wina. – Pizza zaraz przyjedzie. Co u ciebie? – Rozjaśniłam twarz uśmiechem, chociaż łzy czały się pod powiekami.

– Jestem padnięta. Zuza podrzuciła mi dzieciaki, zresztą jak wczoraj i przedwczoraj. Łukasz, oczywiście, jest bardzo zajęty, ale obiad to chętnie. Dzisiaj powiedziałam im, że idę do ciebie i nie wracam do jutra. Wzięłam nawet koszulę nocną. – Magda puściła oko. – Niech sobie

śniadanie zrobi sam – zachichotała. – A ty co taka nie w sosie?

Bardzo się starałam, żeby trzymać nerwy na wodzy, ale mi się nie udało. Wybiegłam z pokoju i zamknęłam się w łazience, łając się za słabość.

– Otwieraj! Co się stało? Blanka, nie wygłupiaj się i otwórz te cholerne drzwi! – Łomotała zdenerwowana Magda.

Musiałam odpuścić. Wyszłam i stanęłam przed nią zapłakana.

– Madziu, jestem śmiertelnie chora. Nic nie mów, tylko mnie słuchaj.

Poszliśmy do pokoju, a ona bez słowa umościła mi miejsce na kanapie. Po chwili zapłaciła za zamówioną pizzę.

– Będziesz jadła? – zapytała, otwierając pudełka i kładąc sztucce.

Kiwnęłam głową.

Przez chwilę siedziałyśmy bez słowa. Ja byłam myślami w gabinecie doktora, ona nie wiedziała, jak zagaić.

– Blanka, a może to nie jest prawda? – W oczach przyjaciółki dostrzegłam strach pomieszany z nadzieją.

– Nie mam szans. Dobrze, że jesteś ze mną.

## Rozdział 16

### Blanka

Nie wiem, jak mam to powiedzieć Dobrusi – zakończyłam relację. – Przecież poza mną ona nikogo nie ma. Zostaną z Nawojką zupełnie same. Los mnie karze przez całe życie. Za Jaromira? A może za Sambora? A jakby tego było mało, teraz zsyła nieszczęście na moje ukochane dziewczynki.

Magda zareagowała gwałtownie.

– Co ty mówisz? Jesteś najlepszą osobą, jaką znam! Nie zasłużyłaś sobie na żadne kary Opatrzności! Zakończmy tę nonsensowną dyskusję. Trzeba iść do innego lekarza i zweryfikować diagnozę.

– Po co? Zerknij na USG. Widzisz te plamy na wątrobie? To są przerzuty, które świadczą o zaawansowaniu choroby. Dobrze, pomyślę o jeszcze jednej wizycie, ale teraz mam ochotę zajrzeć w przeszłość. Pogadamy? – zmieniłam temat.

Nigdy nie pisałam pamiętnika. Zapiski z życia umieszczałam wyłącznie na kliszy. W każdym kącie mieszkania tłoczyły się pudełka ze zdjęciami, sterty, stosiki, kupki czarno-białych i kolorowych fotografii. Dziś zapragnęłam do nich sięgnąć, żeby za ich pośrednictwem uporządkować pamięć o przeszłości. Bo przyszłość zamknęła przede mną drzwi.

– Mam straszny bałagan, a zanim odejdę, muszę to ogarnąć – tłumaczyłam się. – Dla Dobrusi, dla wnuczki. Przykro mi, że Nawojka nie będzie mnie pamiętać... – Z trudem panowałam nad wzruszeniem.

Magda milczała.

Jak się okazało, chaos w moich zdjęciach był jedynie pozorny. Bez pudła wyciągnęłam fotografie ze studiów, kiedy poznałyśmy się z Magdą. Razem chodziłyśmy na zajęcia do Jaromira, więc ona szybko zorientowała się w naszej relacji. Nie było sensu ukrywać jej przed przyjaciółką, więc postawiłam na szczerość.

Próbowała wybić mi z głowy tę szczeniacką miłość.

– Blanka, naprawdę podoba ci się ten stary facet w bordowym szaliku w rzucik? – Narażała się na gwałtowną reakcję z mojej strony.

– Przestań! Jest mądry, inteligentny i wcale nie stary. Kochamy się i będziemy razem.

Nie dodałam, że pewnie mi zazdrości najbardziej pożądanego wykładowcy na wydziale sztuk pięknych, bo pozostaje singielką.

Jednak wkrótce role się odwróciły. Poszliśmy z Jaromirem każde w swoją stronę, a Magda poznała Łukasza, solidnego studenta matematyki, z którym w trybie natychmiastowym ułożyła sobie życie.

Podśmiewałam się pod nosem z tego ich parcia na ślub, w duszy zastanawiając się, czy moja przyjaciółka nie korzysta z pierwszej nadarżającej się okazji do zamążpójścia. Jednak, jak się okazało, powód pośpiechu był poważny. Siedem miesięcy później Magda urodziła Zużę, by po dwóch latach powitać na świecie Ninę.

Po studiach obie dostałyśmy pracę w zakładzie konserwacji malarstwa. Ona była szczęśliwą mamą dwóch córek, ja wciąż nie potrafiłam zejść z huśtawki uczuć do Jaromira, chociaż szala goryczy zaczęła się przepełniać. Mój ukochany wynajdywał setki powodów, dla których nie mógł opuścić żony. Po trzech latach ukradkowych spotkań wyjazd na staż do Paryża pomógł mi podjąć ostateczną decyzję. Jaromir nie zamierzał dać za wygraną, a nawet odwiedził mnie w mieście miłości i próbował mamieć wspólną przyszłość. Z politowaniem słuchałam zapewnień o rozmowie z Aleksandrą, którą przeprowadzi po powrocie.

Rola tej drugiej przestała mnie zadowalać. Marzyłam o normalnej, szczęśliwej rodzinie, takiej, jaką udało się stworzyć Magdzie i Łukaszowi. Mimo to jakaś cząstka mnie ponownie dała się zaczarować kochankowi.

– Muszę jeszcze raz wszystko przemyśleć – powiedziałam przy pożegnaniu, a chwilę później pognałam do telefonu, by zadzwonić do Magdy po radę.

Połączenia były niebotycznie drogie, niemniej zainwestowałam kilka ciężkich franków, by pogadać z przyjaciółką. Przecież była jedyną osobą, która знаła moją sytuację.

– Nad czym się tak zadumałaś? – Magda przerwała mi wspomnienia.

– Dobrze zrobiłaś, że przed laty wybiłaś mi z głowy Jaromira.

Od razu się zorientowała, o co mi chodzi.

– Szkoda, że nie poradziłaś się mnie w sprawie Sambora – nawiązała do mojej kolejnej nietrafionej miłości.

– Nie masz racji – zaprzeczyłam. – Gdyby nie on, nie miałabym Dobrusi.

Magda tylko pokiwała głową. Wiedziała, jak kocham córkę. Ale wiedziała także, jak skomplikowałam sobie życie. Musiało upłynąć wiele lat, zanim stanęłam na nogi przy Leszku.

Sambor, w którym z wzajemnością zakochałam się na zabój na paryskim stażu, miał również, niestety, rodzinne zobowiązania. Jednak w przeciwieństwie do Jaromira, którego żona nieustannie leczyła się na bezpłodność, miał dwóch synów, a jak się niebawem okazało – córkę w drodze. Zostawił mnie dla rodziny i mimo późniejszych deklaracji nie uznał dziecka. Tyle że na nie płacił.

Kazałam mu się wynosić i zerwałam wszelkie kontakty.

– Niczego od niego nie potrzebuję! – wykrzykiwałam do Magdy, kiedy wspierała mnie wieczorami.

Wraz ze mną płakała Dobrusia.

– Napij się melisy, ja zajmę się dzieckiem. – Moja przyjaciółka kładła palec na ustach, zalecając spokój. – Porozmawiamy, kiedy mała zaśnie.

To jednak nie następowało szybko. Córeczka, wyczuwając moje rozdrażnienie, długo nie zasypiała. Magda wysyłała mnie na spacer i dzielnie próbowała ogarnąć pole walki z niemowlakiem. Kiedy wracałam, sytuacja była opanowana.

Mogłam znów sobie popłakać, tym razem cichutko, bezgłośnie.

– Blanka, wiem, że jesteś poirytowana zachowaniem Sambora i działałaś pod wpływem impulsu, ale chyba postąpiłaś pochopnie, rezygnując z alimentów. Chyba że nie powiedziałaś mi prawdy...?

– Ty znowu swoje? Tak, Jaromir był u mnie w Paryżu, ale ojcem Dobrusi jest Sambor – wyartykułowałam, kładąc akcent na każdej kolejnej sylabie. – No dobra. Przespałam się z Jaromirem na pożegnanie. Nie będę wchodzić w szczegóły, wiedz jednak, że wówczas nie mogłam zajść w ciążę. I przestań drażnić. Zresztą nie chcę widzieć ich obu! – zakończyłam zdenerwowana.

Przyjaciółka się wycofała.

– Jak sobie poradzisz?

Miałam miejsce w hotelu, niestety bliskość Sambora, który mieszkał w tym samym mieście, prowokowała do wyprowadzki. Musiałam zacząć wszystko od nowa i zatrzeć wspomnienia o dwóch nieudanych związkach, które pozbawiały mnie siły i krępowały wszelkie działania.

– A może znaleźć pracę na wsi? – wpadłam na pomysł.

– I co zamierzasz tam robić? Fotografować prace konserwatorskie przy starych stodołach czy oborach? – Magda złapała się za głowę.

Ale ja uczepiłam się myśli, którą uznałam za genialną.

– Posłuchaj, spotkałam wczoraj Wieśkę z malarstwa, pamiętasz ją? Mała szara myszka, chodziła z Danielem, tym facetem z rzeźby.

– I co z nią?

– Mówiła, że we wsi, z której pochodzi, szukają bibliotekarki. Nawet pytała, czy nie znam kogoś odpowiedniego. Podobno oferują małe mieszkanie na piętrze budynku, w którym mieści się biblioteka. Zarobki niewielkie, ale okolica piękna, a niedaleko jest jezioro. O Boże, a jeśli już kogoś znaleźli? – Poderwałam się z krzesła i poprosiłam Magdę, żeby popilnowała Dobrusi, kiedy wyskoczę do telefonu.

– Zaczekaj, pogadajmy jeszcze! – zawołała, ale ja już wypadłam z pokoju.

Zbiegałam ze schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz. W głowie dudniła nadzieja. Wszystko wyglądało wspaniale: praca, kąpiel do spania, ładna okolica z dala od dotychczasowego życia. Płułam sobie w brodę, że od razu nie wyraziłam gotowości. Pal ichto, że będę przekładać książki i odejdę na krok albo dwa od swoich zainteresowań. Musiałam zacząć zarabiać i zapewnić opiekę córce.

Wróciłam po kilku minutach i zastałam Magdę w oczekiwaniu na wynik rozmowy. Miałam zamiar dawkować emocje, ale zdradził mnie uśmiech, którego nie potrafiłam ukryć.

– Chyba dostanę tę robotę! Jeszcze nikogo nie znaleźli! – Niemal tańczyłam z radości. – Mąż Wieśki jest sołtysiem, więc mam szansę.

– Daniel z rzeźby?

– Neeee. Marcin, jej dawny kolega z podstawówki. Pobrali się, kiedy skończyła studia.

Pracę w filii biblioteki gminnej w Zajeziorniej, wsi oddalonej od naszego miasta o trzydzieści kilka kilometrów, dostałam.

Wprawdzie Magda trochę kręciła nosem na nasze rozstanie, ale przekupiłam ją obietnicą częstych spotkań i wycieczek nad jezioro. Jej dziewczynki z pewnością będą zachwycone, dumałam. Z wdzięczności za etat i lokum przenosiłam góry. Przystąpiłam do porządków w bibliotece, podczas gdy Dobrusia leżała obok w łóżeczku, z zaciekawieniem przyglądając się regałom z książkami.

Niebawem skończył mi się pokarm i przeszliśmy na sztuczne mleko. Czasami zostawiałam małą pod opieką pani Wandy, sąsiadki, która otoczyła mnie troską i karmiła domowymi pierogami.

Z hotelu wyprowadziłam się bez podania przyczyny i nowego adresu. Znali go jedynie Magda, brat i tato, ale on tak był zajęty Jadwigą, jej dziećmi i wnukami, że nie spodziewałam się odwiedzin. Żyłam spokojnie i stabilnie, a z czasem, kiedy już za pomocą pędzla i tapety wyremontowałam mieszkanie i poznałam najgorliwszych miejscowych czytelników, zaczęłam myśleć o urozmaiceniu działalności.

Na pierwszy rzut poszła wystawa fotografii, którą za zgodą sołtysa zorganizowałam sama sobie. Przedstawiłam na niej piękne okoliczne krajobrazy i portrety mieszkańców. Z czasem zaczęłam przygotowywać spotkania autorskie. Kilkuletnia (jak ten czas leciał!) Dobrusia wręczała na nich gościom bukietki polnych kwiatów.

Moje życie trafiło na właściwe tory. Miałam pracę przynoszącą skromne dochody i radość z rosnącej córki – i niczego więcej nie potrzebowałam.

Jedyny łącznik ze starym życiem stanowiła Magda. Czasami próbowała przemycić mi jakieś informacje o Samborze, z którym wciąż pracowała w tym samym budynku. Kiedyś zająknęła się o jego habilitacji, ale nie miałam ochoty słuchać. Znałam teorię mojej przyjaciółki, którą odrzucałam w przedbiegach.

– Blanka, jemu naprawdę dobrze się powodzi. Został profesorem, a o Fabryce Syntezy,

którą prowadzi, piszą gazety. Powinnaś upomnieć się o swoje.

Teraz Magda siedziała obok, gotowa wysłuchać spowiedzi umierającej. Na czym to ja skończyłam? – próbowałam sobie przypomnieć, powróciwszy do rzeczywistości.

– Mówiłaś, że dobrze się stało, że urodziła się Dobrusia...

– Właśnie! – złapałam wątek. – Gdybym jej nie miała, nigdy bym nie trafiła do Zajeziornej i nie przeżyła tam kilku wspaniałych lat. A poza tym nie spotkałabym Leszka.

Magda знаła dalszy ciąg, ale nie przerywała.

– Przyjechał do naszej wioski na spotkanie autorskie. Skromny, uzdolniony, nieco ode mnie starszy autor książek dla dzieci. Przygotowywałam imprezę, jak zwykle starannie. Wydrukowałam plakaty, zaproszenia, zamówiłam u naszych zaprzyjaźnionych czytelniczek trochę lokalnych przysmaków na część mniej oficjalną, oprawiłam zdjęcia kilkorga miejscowych dzieciaków, a przed spotkaniem ułożyłam włosy i wybrałam kwiecistą, zwiewną sukienkę. I chyba nią go ujęłam.

– Nie przesadzaj. Zakochał się w tobie, bo byłaś wtedy taka świetlista, mądra i pełna życia – wtrąciła Magda.

– Ja też go pokochałam – powiedziałam. I usłyszałam w swoim głosie fałsz.

Leszek, któremu po spotkaniu zaczęłam mówić po imieniu, często do nas zaglądał. Wiedziałam, że coś do mnie czuje. Miłość wyznał mi wierszem. Nasz skromny ślub odbył się niecałe pół roku później, w miejscowym kościele, kiedy Dobrusia zbliżała się do swoich trzecich urodzin. Moja córeczka była na tyle mała, by nie pamiętać czasów sprzed Leszka.

– Blanka, dobrze pamiętam, jak było, i wiem, że nie od razu go pokochałaś. – Magda znała mnie doskonale. – Ale stworzyliście z Leszkiem wspaniałą parę, a on został najlepszym ojcem dla twojej córki. Po co do tego wracać?

– Teraz muszę. To rachunek sumienia.

– Niczego nie musisz. Pokochałaś go, byliście zgranym małżeństwem. Nie uziemił cię, pozwolił się rozwijać. W końcu zostałaś uznana fotograficzką, miałaś liczne wystawy, nawet w naszym mieście.

– Tej mi nawet nie przypominaj!

Z wystawy w galerii Weroniki Schulz nie miałam najlepszych wspomnień. Do dziś nie wiem, jakie лихо podkusiło mnie do wystawiania swoich prac w galerii córki Sambora. Dobrze przynajmniej, że ani on, ani jego żona nie przyszli na wernisaż. Może on nie miał takiego zwyczaju, a poza tym z pewnością nie kojarzył mojego nowego nazwiska: Madej, tego po mężu.

– Wiesz, od chwili powrotu z Zajeziornej przez tyle lat mieszkania w naszym mieście ani razu nie spotkałam Sambora. Dobrusia też szczęśliwie nie trafiła na córkę Sambora, choć mogła, w szkole, na dodatkowych zajęciach, gdzieś tam. Ale teraz to nie ma żadnego znaczenia. Myślisz, że powinnam jej powiedzieć? – Podryfowałam w kierunku mojej choroby.

– O czym?

– Że Leszek nie był jej biologicznym ojcem.

– Pytasz mnie, czy masz jej powiedzieć prawdę? Bo nie wątpię, że ją znasz. Wiesz, kto jest jej ojcem? – zapytała Magda, przeszywając mnie spojrzeniem.

Przez całe życie byłam pewna tej prawdy, ale teraz, patetycznie mówiąc: w obliczu śmierci nabrałam wątpliwości. Może rzeczywiście nasze pożegnalne spotkanie z Jaromirem zaowocowało ciążą?

Długo nie odpowiadałam, zastanawiając się nad sformułowaniem odpowiedzi, której nie byłam pewna.

– Masz rację, że Dobrusia powinna poznać prawdę o swoim pochodzeniu... – Wreszcie odzyskałam jasność myślenia. – Może biologiczny ojciec byłby dla niej wsparciem po mojej

śmierci? Ale z drugiej strony taka wiadomość mogłaby zburzyć jej życie. Tym bardziej że ja straciłam pewność...

– Blanka, są badania genetyczne – podsunęła delikatnie Magda.

– To nie jest dobry pomysł. – Odepchnęłam wątpliwości. – Co miałabym powiedzieć Dobrusi? „Leszek nie był twoim ojcem, sprawdź Sambora i Jaromira”? Puszczalska matka nie wie, z kim zaszła w ciążę?

– Niech zatem Leszek zostanie jej prawdziwym ojcem na zawsze – poddała się moja przyjaciółka. – Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam.

Musiałam wybrać mniejsze zło. Moja córka po rozstaniu z Miłozem wychodziła właśnie na prostą. Nawojka była udanym i dobrze rozwiniętym rocznym dzieckiem. Po co im burza?

– Nie zdenerwowałaś mnie, Madziu – odparłam. – Jestem poruszona, bo jutro będę musiała powiedzieć Dobrusi o swojej chorobie. Ojciec ojcem, ale ona niebawem straci matkę. I wiesz – rozlałam do kieliszków ostatnie krople wina – zdecydowałam definitywnie, że będę milczeć i o Samborze, i o Jaromirze. Ciebie również proszę o dyskrecję. Zajmiesz się dziewczynkami po moim pogrzebie? – zapytałam.

Twierdząca odpowiedź mojej przyjaciółki rozplynęła się we łzach.

## Rozdział 17

Marta

2013 r.

Kochana córeczko, kiedy czytasz ten list, mnie już nie ma przy tobie. Może nie powinnam, ale postanowiłam go jednak napisać”.

Zmiałam kolejną kartkę i wyrzuciłam ją do stojącego pod biurkiem kosza.

Korzystając z nieobecności Sambora, który zapowiedział późny powrót z pracy, zabrałam się do realizacji najtrudniejszego zadania, jakie do tej pory postawiło przede mną życie. Przez lata wydawało mi się, że dla każdej kobiety jest nim urodzenie dziecka, ale gdy usiadłam nad pustą kartką, którą zamierzałam wypełnić słowami skierowanymi do Weroniki, zweryfikowałam ten pogląd.

Sądziłam, że życie potraktuje mnie łagodniej. Mogłam się zestarzeć, zostać dotknięta demencją lub po prostu umrzeć nagle i wówczas nie musiałabym teraz siedzieć przy biurku i próbować wyznawać prawdy, co, w moim mniemaniu, byłam winna mojej córce.

Niestety, zadanie okazało się bardzo wymagające i trudne do zrealizowania. Tysiąc razy zaczynałam list, po czym po napisaniu kilku zdań wyrzucałam do kosza mizerne próby zwierzeń. I nie chodziło tu o brak zdolności literackich czy umiejętności posługiwania się piórem. Rozbijałam się o treść i własne wątpliwości co do sensu. Czy warto burzyć życie Werki informacją, że mężczyzna, którego uważała za ojca, nie jest tym biologicznym?

Miałam już pewność, że to Wojtek, choć przez całe życie utrzymywałam inaczej. Niepotrzebnie wtedy, dwadzieścia siedem lat temu, poszłam z nim do łóżka. Powinnam powściągnąć uczucia do swojego pierwszego chłopaka i poczekać na powrót Sambora z Paryża.

Czułam się źle z powodu namiętnego rozstania, ale stało się. Kiedy po roku, przy kolejnym zawodowym spotkaniu, Wojtek, zaskoczony istnieniem rocznej Weroniki, dopytywał, czy jest ojcem, zdecydowanie zaprzeczyłam. Nawet jeśli istniał cień wątpliwości, nie miałam zamiaru się z nim ujawniać i kłaść na szali szczęśliwego życia rodzinnego.

Skutecznie odsuwałam od siebie Wojtkę, który mimo zdecydowanego rozstania wciąż mnie nachodził i próbował do siebie przekonać. Miałam dobrego męża, dwóch synów i córeczkę. Rodzice mieszkali w sąsiednim domu, mój mąż pracował z ojcem w firmie. Odcięłam się od pozamałżeńskich wyskoków i postawiłam na rodzinę.

Wyparłam myśl o ojcostwie Wojtka, ale niestety po jakimś czasie wątpliwości powróciły. Moja córka, podobnie jak on, okazała się leworęczna i miała taką samą wadę wymowy – francuskie „r”. Oszukiwałam się, że przypadki chodzą po ludziach, ale żeby podwójny?

Wojtek nigdy nie poznał Weroniki, bo ja robiłam wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Był inteligentnym facetem, więc obawiałam się, że łatwo doda dwa do dwóch i wyciągnie wnioski.

Z czasem zrezygnowałam z firmy farmaceutycznej, w której pracował, i związałam swoją aptekę z inną, a on sobie odpuścił. Odetchnęłam z ulgą. Z satysfakcją obserwowałam rodzicielską miłość Sambora. Owszem, kochał Krzesimira i Jędrka, ale to córka była jego oczkiem w głowie. To dla niej próbował wygospodarować czas i spełniać marzenia swojej królewny.

Czy powinnam burzyć tę relację? – mocowałam się sama ze sobą.

Prawda nie dawała o sobie zapomnieć, chociaż próbowałam odsunąć myśl o nieubłaganej konieczności podjęcia decyzji. Ostatnia wizyta u lekarza zmobilizowała mnie do działania.

Za szybko, jeszcze nie teraz, myślałam o swoich zbliżających się sześćdziesiątych

urodzinach.

– Powiedział, że ta eksperymentalna terapia może pomóc, ale nie powinnam spodziewać się cudu – przekazałam Agnieszce przez telefon. Umówiliśmy się na spotkanie.

Przyjechałam do jej domu pod miastem z butelką wina. W mojej sytuacji mogłam przestać liczyć kalorie i procenty. Wyjęłam z auta dwie duże pizze i wkroczyłam do salonu.

Przyjaciółka знаła historię mojej choroby, więc nie musiałam zaczynać relacji od Adama i Ewy, nomen omen imion dzieci jej i Macieja.

– Jesteśmy same, Marta – usłyszałam. – Maciej wyjechał na jakieś szkolenie, a Adam i Ewa siedzą ze swoimi dziećmi na urodzinowej imprezie małolatów. – Agnieszka wskazała mi moje ulubione miejsce na kanapie. – Nie przejmuj się tym lekarzem. Walczysz już trzy lata i powalczysz dalej.

– Tym razem może się nie udać.

– A skąd to możesz wiedzieć? – zapytała, rozstawiając na stole talerze. – Sama mówiłaś, że to terapia eksperymentalna, więc nikt nie jest w stanie przewidzieć jej skutków.

Miała rację. W trakcie leczenia przeżywałam huśtawkę wzlotów i upadków, ale wciąż żyłam. Teraz miałam lepszy czas, więc wykorzystywałam każdą chwilę.

Nie rezygnując z pracy w aptece, pomagałam Krzeskowi i Darii przy chłopakach, dziewięcioletnim Rysiu i czteroletnim Michale. Często spotykałam się z Weroniką. Chodziłyśmy z roczną Zosią na spacer, a kiedy opadałam z sił po chemii, dziewczyny odwiedzały mnie w domu. Ten sąsiedni, po moich rodzicach, zajął Krzesimir z rodziną. Jędrkowi kupiliśmy mieszkanie, a Weronice i Pawłowi odnowiliśmy niedawno nabyte lokum w kamienicy.

Byłam dzielna w chorobie, mimo że pozbawiła mnie kobiecości i pewności siebie. Straciłam obie piersi, a lekarze nie zalecali rekonstrukcji do czasu zakończenia terapii. Lecz ono nie nadchodziło, a ostatnie wyniki były złe.

Sambor przeżywał, i nie dziwiłam się mu, że ucieka w pracę. Razem z Krzesimirem, który od kilku lat wspomagał ojca w firmie. Przynajmniej o niego byłam spokojna. Stateczny, zrównoważony mężczyzna, ojciec rodziny, nie to co Jędrzej, który mimo swoich trzydziestu siedmiu lat wciąż bujał w obłokach. Również Weronika ustabilizowała się przy Pawle, a dzięki jego zarobkom mogła prowadzić tę swoją galerię sztuki i chować rocznego Jaśka.

– Nie mówmy o terapii. – Przegnałam dygresje. – Może rzeczywiście pomoże? Chciałabym ci się z czegoś zwierzyć.

Agnieszka spojrzała z ciekawością, a jednocześnie zaniepokojona.

Nie czekałam na dodatkowe pytania i nie obchodziłam tematu. Wywaliłam prosto z mostu.

– Sambor nie jest ojcem Weroniki.

– Jak to? Skąd ten pomysł? Czy to Wojtek?

Wiedziała o moim romansie, ale nigdy go nie pochwałała.

– Tak. Pojawił się u mnie na krótko przed wyjazdem Sambora do Paryża.

– Ale mówiłaś, że Sambor był na święta i wtedy właśnie zaszłaś w ciążę...

– Bo zaszłam. Tylko nie z nim.

Wspominałam o leworęczności córki i francuskim „r”, które odkryłam, kiedy mała zaczęła mówić.

– Marta, dlaczego do tego wracasz? – Na twarzy Agnieszki malowało się przerażenie.

– Bo niedługo umrę i chcę rozliczyć się z przeszłością.

Zrozumie to tylko ten, kto znajdzie się w podobnej sytuacji, pomyślałam. Nie miałam czasu na roztrząsanie przeszłości, chciałam tylko usłyszeć, że dobrze robię. A jeśli Aga nie podzieli mojego zdania, i tak nie zamierzam go zmieniać.

– Nie umierasz, wszystko będzie dobrze. Błagam, powstrzymaj się od spontanicznych działań! Przecież nie masz pewności, że Wojtek...

– Mam, Aga. Weronika powinna poznać biologicznego ojca.

– Jesteś pewna? Ona już ma ojca. Sambor jest wspaniały i jedyny. Nigdy cię nie zdradził, kocha dzieci, a córkę w szczególności. Chcesz jej burzyć życie? Może kiedyś nadejdzie czas prawdy, ale nie teraz. Przecież się leczysz.

Może i miała trochę racji, ale mnie nie przekonała.

– Napiszę do niej list, który otworzy po mojej śmierci. Wyznam w nim prawdę. Nie mogłabym odejść spokojnie, wiedząc, że oszukiwałam ją przez całe życie. I Sambora.

– Do niego też napiszesz?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

Zostałam na noc. Byłam dziwnie spokojna. Ułożyłam sobie plan gry na najbliższy czas, w którym głównym punktem było napisanie listu do córki.

Jednak wyzwanie mnie przerosło. Kolejne próby wysmażenia szczerzej epistoły spełzały na niczym, a ich efekty trafiały do kosza. Nie sprostalam zadaniu kolejnego dnia i kolejnego. A później nie miałam już czasu ani sił.

Choroba zaatakowała.

Część druga

Weronika i Dobrosława

## Rozdział 18

Weronika

2019 r.

Podział firmy poszedł nam w miarę gładko. Krzesimir ją wycenił, potem całą trójką stawiliśmy się u notariusza, żeby Jędrzej mógł zrzec się współwłasności i uzyskać prawo do spłaty po sprzedaży nam swoich udziałów.

Resztę formalności scedowaliśmy na Krzesimira. Jakiś czas ciągaliśmy się jeszcze po urzędach, podpisując masę druczków, by zakończyć procedurę. Ostatecznie zostałam właścicielką jednej trzeciej firmy, a Krzesek reszty. Nie wnikałam, jak i kiedy spłaci Jędrzeja, a nawet nie chciałam znać szczegółów. Miałam jedynie nadzieję, że postąpiłam właściwie, zatrzymując schedę po tacie, a zatrudnienie starszego brata na stanowisku prezesa za piętnaście tysięcy miesięcznie to dobry interes. Uwierzyłam w jego zapewnienia, że ostatnimi laty to on pracował na sukces Fabryki Syntezy. Co zresztą po części potwierdził, kiedy poszliśmy na kawę wskutek przypadkowego spotkania na starówce. Niemal wpadliśmy na siebie na deptaku. Nie mieliśmy szans, by się wyminąć. Przyjęłam zaproszenie.

Tym razem wizyta naszej trójki u notariusza nie skończyła się kawą. Dostrzegałam wyraźną ryse, która pojawiła się między moimi braćmi, i nie do końca pojmowałam dlaczego. Jędrzej miał dostać pieniądze za udziały, a Krzesimir został właścicielem ponad połowy biznesu i zyskał prawo do decydowania o losach firmy, z czego powinien być zadowolony.

Rozmowa o naszej nowej siostrze zeszła na drugi plan. Krzesek wspomniał jedynie, że nie zamierza jej szukać. Natomiast Jędrzej zapowiedział, że w najbliższych dniach jedzie do Neapolu.

– To nie nasz problem, Werka – usłyszałam zgodny w tej sprawie braterski dwugłos.

W głębi duszy czułam, że źle się dzieje i powinnam coś z tym zrobić, ale nie należałam do osób dynamicznych, które potrafią przełamywać impas. Z Krzeskiem mieliśmy spotkać się jutro w firmie, żeby dopełnić ostatnich formalności, a Jędrka poprosiłam o spotkanie.

– Mogłabym wpaść do ciebie?

– Proszę bardzo. Zdzwonimy się – odparł kurtuazyjnie, nie patrząc na Krzesimira.

Rozstałam się z braćmi w kiepskim stanie ducha. I niemal od razu wpadłam na wuja Mariana.

Usiedliśmy w najbliższej kafejce.

– Jak się trzymasz? – zapytał z miną zdradzającą nie najlepszy nastrój.

– Szkoda gadać. Od wizyty u notariusza nasze rodzinne więzy nieco się rozluźniły – zaczęłam enigmatycznie, sondując, na ile wuj jest wtajemniczony w romanse taty.

Jak na prawnika przystało, zachował kamienną twarz. Ale może, w co nie wierzyłam, rzeczywiście nic nie wiedział?

Kelnerka przyniosła kawę. Oczekałam, aż mój rozmówca posłodzi i starannie wymiesza zawartość filiżanki, i przypuściłam atak. U kogo, jeśli nie u najbliższego przyjaciela, z którym ojciec spędzał każdą wolną chwilę, powinnam szukać prawdy?

– Wiedziałeś, że tato ma jeszcze jedną córkę?

Nawet jego, mistrza kamuflażu, pytanie zważyło z nóg. Na twarzy wuja Mariana odmalowało się niewyobrażalne zdumienie.

– O czym ty mówisz?

– Wujku, proszę, nie ukrywaj niczego przede mną. Mleko się rozlało. Ojciec powołał do

spadku niejaką Dobrosławę Kuszewską, swoją córkę. Mnie i chłopakom przekazał firmę, a pozostałą część majątku podzielił na czworo. Kim ona jest? Przyjaźniliście się od lat, musisz coś o niej wiedzieć. Czy tato znalazł sobie jakąś kobietę po śmierci mamy i miał z nią dziecko?

Wuj był prawnikiem, nie aktorem. Ale zachowywał się tak, jak gdyby właśnie powrócił z warsztatów aktorskich. Najwidoczniej miałam uwierzyć w jego zaskoczenie. Upuścił łyżeczkę na spodek, cudem nie tłukąc delikatnej porcelanowej podstawki.

Odczekałam chwilę, aż doszedł do siebie. Pomogło kilka głębszych oddechów.

– Sambor zawsze kochał waszą matkę i nigdy nie związał się z żadną kobietą. – Wuj wreszcie odzyskał mowę. – Również po śmierci Marty. Przyjaźniliśmy się od dwudziestu lat, to absolutny nonsens. Z pewnością zauważyłbym, że prowadzi drugie życie. Mogę stwierdzić jedno: jeżeli rzeczywiście miał jeszcze jakieś dziecko, musiało mu się przytrafić dawno temu. I nigdy o nim nie wspominał.

Jeśli wuj mówił prawdę, Dobrosława musi być teraz dorosła, pomyślałam. Jeśli...

– Przepraszam, że tak obcesowo zapytałam, ale chyba rozumiesz nasze położenie. Wszyscy troje jesteśmy zaskoczeni i zdezorientowani.

– Ja również. Co zamierzacie? – zapytał wuj nieco spokojniej.

– Nie wiem. Na razie podzieliliśmy firmę. Krzesimir zostaje na stanowisku prezesa, ja mam jedną trzecią udziałów, a Jędrzej zostanie spłacony. Wyjeżdża do Neapolu robić te swoje zdjęcia i reportaże. A w sprawie pozostałej części majątku nie mam pojęcia, co dalej. Na razie notariusz ma przekazać testament do sądu.

Wuj potarł dłonią brodę.

– Rozumiem – mruknął. – Sąd przeprowadzi postępowanie w sprawie nabycia spadku. Jeśli ta osoba – przywołał Dobrosławę – nie zgłosi się na rozprawę, będzie jej szukać własnymi kanałami, przez bazę PESEL lub urzędy skarbowe. Jeżeli nie znajdzie, ustanowi kuratora, takiego reprezentanta nieobecnej. Majątek Sambora zostanie wyceniony i sąd zasądzi spłacenie drugiej córki tak, aby suma spłaty odpowiadała jednej czwartej podzielonego majątku.

– A jeżeli ona nigdy się nie znajdzie? – zapytałam.

– Niestety, sąd musi stwierdzić, że taka osoba istnieje. W przeciwnym razie nie będzie mógł zakończyć postępowania, a wy nie podzielicie się majątkiem po Samborze. Weroniko, poznałem cię, kiedy miałaś dziesięć lat. I w pewnym sensie w dalszym ciągu jesteś w moich oczach dzieckiem, chociaż dochowałaś się już dwójki własnych. Sambor pewnie chciałby, żebym teraz, po jego śmierci, tobie – poprawił się – wam pomagał. I właśnie to chcę czynić. Jeżeli będziecie potrzebować prawnego wsparcia, zawsze możecie na mnie liczyć. Ale nie jestem psychologiem. Sami musicie uporać się z córką Sambora, którą powołał do spadku, i z decyzją, czy jej szukać. Szczerze zachęcam do poszukiwań, bo w przeciwnym wypadku utkniecie. Daj znać, kiedy sprawa się wyklaruje – zakończył wuj rozmowę i kawę.

Pożegnaliśmy się niebawem. Wyszedł z kawiarni przede mną, przytuliwszy mnie przedtem do piersi. Doszłam do wniosku, że rzeczywiście nie miał pojęcia o pozamałżeńskiej córce przyjaciela. Najważniejsze, że mogłam na niego liczyć, bo zmagania o spadek i prawdę z przeszłości dopiero się zaczynały.

W drodze do domu wpadłam do galerii i w żołnierskich słowach przekazałam Anieli informacje o decyzji taty. Może i zostałabym dłużej, gdyby nie telefon od Jędrzeja. Brat prosił mnie o niezwłoczne spotkanie, ponieważ udało mu się okazyjnie zarezerwować bilet i wyjeżdżał nazajutrz.

Zadzwoiłam do męża i zapowiedziałam swój późniejszy powrót.

– Dżendra jutro wylatuje – nazwałam brata jego dawną ksywką. – Muszę z nim porozmawiać. Odgrzejecie sobie zapiekankę. Jest w lodówce.

– Kiedy wrócisz?  
– Możesz zająć się dziećmi? – Zdziwiło mnie zniecierpliwienie w jego głosie.  
– Pytałem tylko, kiedy będziesz w domu – powtórzył. – Dzisiaj mam jeszcze trochę roboty.

Nic nowego. Oczywiście, rozumiałam jego zawodowe zobowiązania, ale czasami mogłby pojąć, że ja, właścicielka mikrogalerii, do której nie trzeba dokładać, również mogę mieć swoje sprawy. I taką sprawą była właśnie rozmowa z bratem, który wyjeżdża nie wiadomo na jak długo w samym środku młyna ze spadkiem i nową córką taty.

Był piątek, dzieci w sobotę nie szły do szkoły i przedszkola, zapiekanka leżała w lodówce. Chyba nic prostszego niż odgrzanie jej i położenie maluchów spać? A potem do roboty, choćby i do samego rana!

– Nie wiem – odparłam. – Postaram się jak najszybciej – dodałam polubownie. – Paweł, ja muszę. – Postawiłam się po raz pierwszy od dawna.

– Wróc taksówką – usłyszałam.

Pewnie, że nie zamierzam prowadzić po spożyciu, które z pewnością czeka mnie u brata, pomyślałam buntowniczo.

Jędrak stał przy patelni. Kuchnię wypełniał rozkoszny aromat mięsa w warzywach i wschodnich przyprawach. Bez słowa zrzuciłam w przedpokoju buty i pozbyłam się kurtki.

Kanapa w salonie zachęcała, by zająć jeden z jej kącików, co uczyniłam z największą przyjemnością. Jędrzej pośpieszył z kieliszkiem. Już pierwszy łyk wina zaszumił mi w głowie, drugi przepłukał gardło po kęsie polędwicy wołowej na ostro.

Że też chce mu się gotować dzień przed wyjazdem, zauważyłam, ale doceniłam ten gest.

Walizki czekały spakowane, a mnie dopadł nostalgiczny nastrój. Jak zawsze, kiedy żegnałam Jędrka, a sama zostawałam na miejscu.

– Zazdroszczę ci, brat. – Sięgnęłam widelcem po mięso skwierczące na żeliwnej patelni do serwowania.

– Też możesz się wypuścić w podróż – odparł, ocierając usta z sosu.

– Uhm. Kiedy Jaś i Zosia pójną na studia. Będę musiała trochę poczekać.

– Matka Teresa! Siostra, ja nie wnikam w wasze rodzinne układy, ale gdy tylko zechcesz się wyrwać, pamiętaj o bracie Jędrzeju. Doleję. – Chwycił butelkę.

Przełknęłam kolejny łyk wina i przypomniałam sobie, po co właściwie tu przyszłam.

– Spotkałam dzisiaj wuja Mariana – oznajmiłam. – Mówi, że aby skorzystać ze spadku, musimy odnaleźć Dobrosławę.

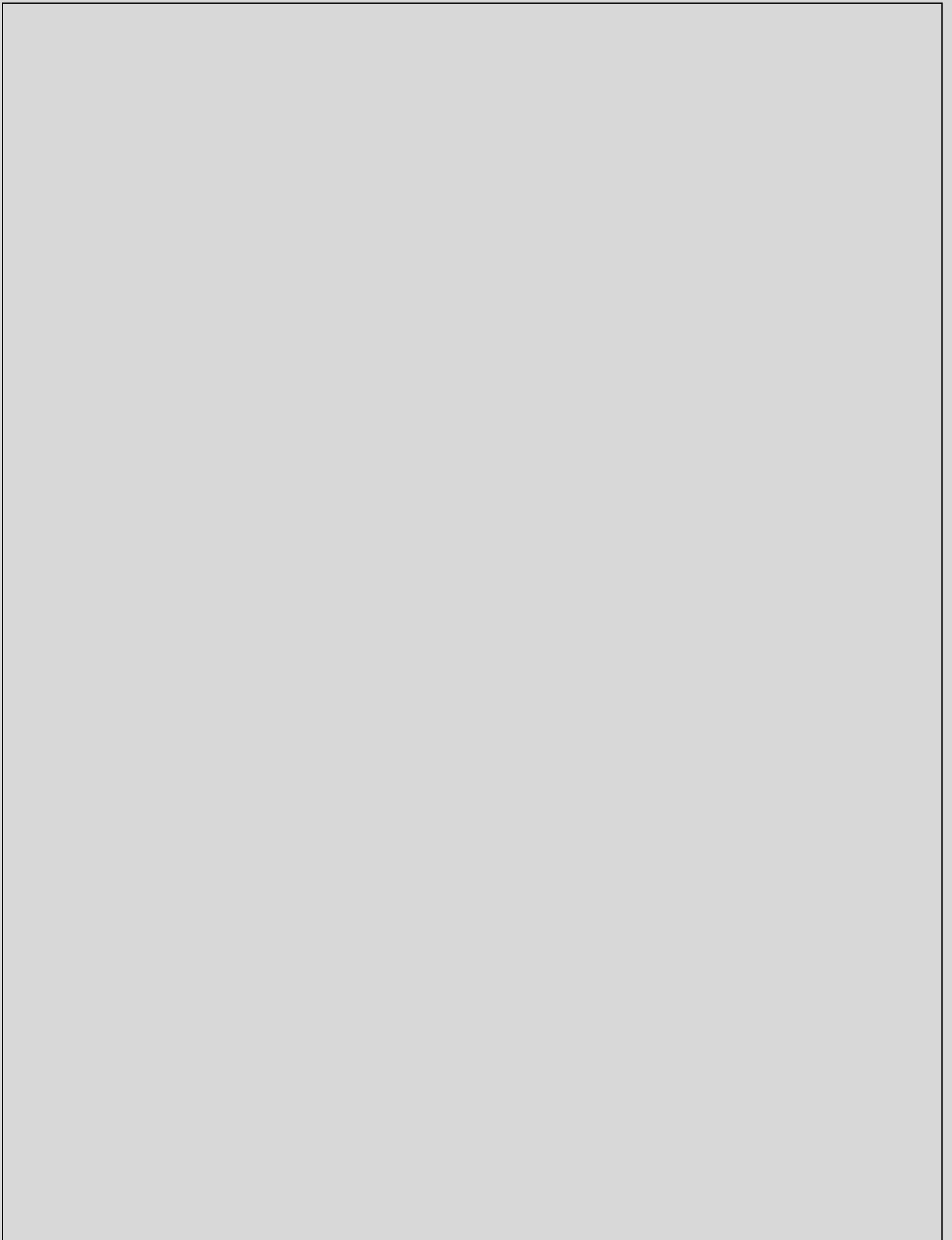
– Chyba żartujesz? Nie dość, że mam jej szukać, to jeszcze łaskawie prosić, żeby wzięła schedę po ojcu?

– Nie rozumiesz. Bez niej nie możemy dysponować majątkiem.

– To jakiś nonsens! – Jędrka poniosły nerwy. – Nic mnie nie obchodzi owoc romansowej przeszłości ojca! Wyjeżdżam i czekam na spłatę! A, i jeszcze jedno. Upoważniłem Krzesimira do reprezentowania mnie na tej całej rozprawie w sądzie. Jak to się nazywa? O stwierdzenie nabycia spadku – przypomniał sobie. – Niech sąd stwierdzi, a potem zastanowimy się wspólnie, co zrobić z taty domem i rodzinnym stanem posiadania. Ciekaw jestem, ile odłożył.

Mój brat chyba nie do końca rozumiał konieczność odnalezienia Dobrosławy. Prawdopodobnie dlatego, że myślami był już daleko.

Nie drażyłam tematu. Obiecałam pozostać w kontakcie i dbać o nasze rodzinne interesy. Zresztą mogło się okazać, że druga córka naszego taty pojawi się w sądzie. Wciąż nie wybaczyłam ojcu tego, że zdradził mamę, ale nastawiłam się na to, że stanę twarzą w twarz z tego konsekwencjami.



## Rozdział 19

Dobrosława

2019 r.

Szłam do wydawnictwa, by oddać zakończoną wczoraj redakcję ostatniej książki. Miałam serdecznie dosyć. Dostawałam do obróbki różne pozycje, począwszy od literatury obyczajowej, poprzez bajki dla dzieci, skończywszy na historycznych brykach z tysiącami przypisów, których autentyczność musiałam sprawdzać. Zajmowało to mnóstwo czasu i pochłaniało sporo energii. Nużące było okrutnie.

Ostatnia pozycja zmęczyła mnie wyjątkowo. Wymagała wielu zmian konstrukcyjnych, poprawienia licznych błędów i nieskładności stylistycznych. No i jeszcze ta mało wyszukana fabuła... Cóż, redaktor sobie pracy nie wybiera, ale miałam trochę pretensji do Zuzy, właścicielki wydawnictwa BookMacher, za wpakowanie mnie na rafę.

Znałyśmy się od dzieciństwa za sprawą naszych mam, przyjaciółek od zawsze. Obie studiowały na ASP, a potem razem pracowały w zakładzie konserwacji zabytków. Z czasem ich drogi zawodowe się rozeszły – moja mama Blanka poszła w fotografię, ciotka Magda pozostała wierna renowacji obrazów i do emerytury nie zmieniła miejsca pracy w gmachu wydziału chemii. Jako dziewczynka odwiedzałam ciotkę w jej pracowni, co mi się bardzo podobało. Wdychałam woń farb i innych chemikaliów, podziwiałam dzieła, które pod jej ręką odzyskiwały dawny blask.

Jeżeli mama myślała, że w ten sposób zainteresuje mnie pracą konserwatora, bardzo się myliła. Czym innym było wachanie i podziwianie, a czym innym żmudna robota z pędzelkiem w dłoni.

Wizyty u ciotki Magdy podniecały mnie z jeszcze jednego powodu. Często trafiałam tam na jej córki, Zuzkę i Ninę, niewiele ode mnie starsze. Chodziły do pobliskiej szkoły, a po lekcjach nierzadko wpadały do mamy. Miały nawet do dyspozycji przybrudzony blat pod oknem pełnym kwiatów, z widokiem na patio, który służył im jako biurko do odrabiania lekcji. Oczywiście kiedy pojawiałam się z mamą, zmieniałyśmy go w pole gier planszowych lub przestrzeń do edukacji plastycznej.

Najbardziej lubiałam rysować konie. Pamiętam, że kiedyś mama kupiła mi książkę *Jak narysować konia. Krok po kroku*. Na jej podstawie długo kształciłam rękę, by w końcu samodzielnie stworzyć portret mojego ulubionego zwierzęcia. Z czasem wyczerpanie na piękno koni przerodziło się w pragnienie, by z nimi obcować.

Odkąd pamiętam, namawiałam rodziców, żeby zawieźli mnie do stadniny. Opierali się. Najpierw tłumaczyli, że siedmioletnia dziewczynka jest za mała, żeby dosiadać ogromnego rumaka, a kiedy nieco podrosłam, usłyszałam, że lekcje jeździectwa są drogie, a jazda wierzchem niebezpieczna.

Tylko co z tego, że koń mógł mnie zrzucić? Mnóstwo ludzi uprawiało ten sport i jakoś żyli. Próbowałam zachęcić Zuzę i Ninę do zaciągnięcia rodziców na parkur, ale one nie czuły bluesa.

O koniach wiedziałam niemal wszystko. Studiowałam książki i pochłaniałam wiedzę o żywieniu i pielęgnacji.

Rodzice odpuścili, kiedy na kolejne święta zażyczyłam sobie pod choinkę zgrzebło. Wraz z nim dostałam półroczny karnet do znajdującej się opodal naszego miasta stadniny. Wygrałam i sięgnęłam gwiazd. Wprawdzie zajęło mi to trochę czasu, ale nie byłam jeszcze taka stara. Za pół

roku miałam skończyć dziesięć lat.

Pierwszą wizytą w stadninie byłam niezmiernie podekscytowana, a kiedy zajęłam miejsce w siodle, poczułam mieszaną lęku z euforią. Nie przewidziałam, że przy pierwszym spojrzeniu w dół z wysokości końskiego grzbietu obleci mnie strach. Na szczęście nie aż tak wielki, żeby odpuścić. Cenny karnet na sześć miesięcy musiał zostać wykorzystany.

Przed wakacjami poprosiłam rodziców o tydzień na obozie jeździeckim. Mama była skłonna się zgodzić, ale tato wyrażał obawę.

– Kochanie, masz niecałe dziesięć lat... Może poczekajmy jeszcze rok? A jeśli coś ci się stanie? Nie przeżyłbym, gdyby...

Przerwałam, rzuciwszy się mu na szyję.

– Tatulku, nic mi nie będzie! Zgodzisz się, prawda? – Wlepiłam w niego najsłodsze spojrzenie, jakie udało mi się wyczarować.

Miałam wspaniałych rodziców. Mama stale biegała z aparatem, a potem wywoływała zdjęcia w pracowni, w czym nie raz i nie dwa jej pomagałam. Tato pisał książki dla dzieci, których byłam pierwszą recenzentką.

– Siadaj, córuś, i słuchaj. Czekam na surową opinię – mawiał. Sadzał mnie w fotelu naprzeciwko i zaczynał czytać mi książkę, którą dopiero co skończył.

Pochłaniał mnie baśniowy świat elfów i mikołajów, księżniczek i detektywów, porzuconych zwierząt i pogubionych dzieciaków. Każdy temat, który podejmował tata, chwycił mnie za serce. Nie sposób było nie wyściskać mojego wspaniałego ojca cudotwórcy.

W takich momentach mama często wślizgiwała się do pokoju, żeby nam zrobić zdjęcie. A potem zapraszała nas na pyszną zapiekankę własnej roboty.

Wspomnienia były miłe, ale przed siedzibą BookMachera musiałam je porzucić. Byłam umówiona z Zuzą na dziesiątą. Zapowiedziała, że będzie mieć dla mnie jedynie pół godziny, mimo że liczyłam na szybką kawę na starówce.

Zanim dotarłam do progu, jak zwykle minęłam galerię Weroniki Schulz. Często przechodziłam obok, ale nigdy nie udało mi się tam zajrzeć. Nina wspominała, że wiszą tam ładne obrazy lokalnych malarzy (w mieście panował na nich prawdziwy urodzaj!), zachęcała do obejrzenia również innych prac, ale człowieka zawsze coś gnało. A to zakupy, a to sprawy urzędowe, a to wreszcie terminy, które wyznaczały deadline i nie dawały żyć ani spać.

W końcu musiałam zarabiać, nawet te marne pieniądze, jakie oferowała praca redaktora. Stówka brutto za arkusz wydawniczy była głodową stawką. Za książkę, której poświęcałam co najmniej dwa tygodnie, dostawałam dwa tysiące złotych lub nieco ponad. Nie, nie była to wina Zuzy, tylko rynku. Zuza czasami dorzucała mi coś ekstra, ale wyżej kokardy nie byłam w stanie podskoczyć. Musiałam pracować jak mrówka, żeby utrzymać siebie i Nawojkę, która właśnie kończyła siedem lat i od przyszłego września szła do szkoły.

Żeby chociaż miała alimenty od Miłosza! Ale nie.

Wielka miłość, którą przeżyłam pod koniec studiów, zakończyła się kompletnym fiaskiem, podobnie zresztą jak wszystkie moje dotychczasowe. Całkiem ładna studentka biologii spodobała się wykładowcy ekologii i ochrony środowiska. Niestety – z wzajemnością. Mamił mnie przez dwa semestry, a ja zakochana po uszy chętnie przebywałam w jego ramionach. Nie sprawdziłam, czy ma żonę. Miał. I przypomniał sobie o tym, kiedy jego ślubna zaszła w ciążę. Zostawił mnie z dnia na dzień, a ja, z rozpaczą, omal zawałam magisterkę.

Kiedy pojawił się Miłosz, potrzebowałam wsparcia, miłych słówek i ciepłych uścisków. Mój nowy luby był pisarzem, a właściwie dopiero zamierzał podążyć tą drogą. Miałam ojca pisarza, znałam ten zawód i wrażliwość autora od podszewki, więc kibicowałam mu z oddaniem. Zamieszkaliśmy razem w wynajętym mieszkaniu, za które płacili rodzice, bo u nas ciężko było

z kasą.

Jeszcze bardziej musieli się postarać, gdy po roku na świat przysła Nawojka. Siedziałam na macierzyńskim, a Miłosz wypruwał z siebie flaki, żeby stworzyć powieść stulecia. Nieraz do tego stopnia, że znajdowałam w domu puste butelki po wódce. Tekstu, oczywiście, nie przybywało.

Próbowałam rozmawiać i dyscyplinować. Bezskutecznie. Wena szwankowała, ale optymista Miłosz miał nadzieję na szczęśliwe zakończenie. Ja ją traciłam, szczególnie w chwilach, gdy wychodził wieczorami i wracał nad ranem. Podobno próbował podsycać emocje.

Mama pomagała mi przy Nawojce, mimo że po śmierci taty było jej trudno. Do pewnego momentu nie ingerowała w nasze sprawy, ale kiedy Miłosz znów przepadł na trzy dni, postanowiła zainterweniować.

– Dobrusiu, czy nie uważasz, że powinnaś zrobić coś ze swoim życiem? – usłyszałam pytanie.

– Mamo, panuję nad wszystkim – odparłam zniecierpliwiona.

Westchnęła i sięgnęła po płaszcz.

– Pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zadzwonić – dodała i pomachała mi z progu na pożegnanie.

Miała w oczach łzy, które próbowała ukryć.

Nie panowałam nad niczym. Mój mąż, bo kiedyś tam, już po narodzinach Nawojki, zechciał się ze mną ożenić, coraz częściej wybywał z domu. Traciłam już nie tylko nadzieję, ale i cierpliwość. Jeżeli ta jego wena, która, nawiasem mówiąc, nie doprowadziła do napisania żadnej książki, potrzebowała nadzwyczajnych podniet, ja odpadam. Mam dziecko, o którym muszę myśleć. I chociaż wciąż kochałam Miłosza, złożyłam go na ołtarzu miłości do Nawojki.

Miałam innego ojca i takiego samego chciałam dla córki.

Kiedy mąż wrócił do domu po kolejnej nocnej eskapadzie, zmęczony, przeczołgany i stęskniony za ciepłym łóżkiem, zastał w przedpokoju spakowaną walizkę i wilczy bilet. Nie pozwoliłam mu przekroczyć progu pokoju.

– No coś ty! Nie mogę się rozgościć we własnym domu? – ciskał się i pokrzykiwał.

– To jest wynajęte mieszkanie, a nie twój dom. Miłosz, składałam pozew o rozwód. A teraz żegnaj. Bardzo mi przykro, że nam nie wyszło. – Delikatnie wypchnęłam go na korytarz.

Gdyby jeszcze spytał o córkę lub w jakiś inny sposób spróbował się do mnie zbliżyć, może zmieniłabym zdanie. Tyle że on zabrał walizkę i wybył.

Opląkałam kolejny nieudany związek, a następnego dnia nawiązałam kontakt z Zuzą, by zaproponować jej swoje usługi. Wprawdzie nie redagowałam wcześniej niczego, ale nie święci garnki lepią. Zawsze byłam dobra z polskiego, a poza tym „recenzowałam” książki taty.

Krótko mówiąc: potrzebowałam tej roboty.

Wspomnienia, wspomnienia. Karmiłam się nimi, idąc do Zuzy. Nacisnęłam czerwony guzik i drzwi się otworzyły.

– Dobrze, że jesteś, bo czas goni. Autorka czeka na poprawki. – Zuzanna wciągnęła mnie do środka i poprosiła sekretarkę o dwie kawy.

Nie zdążyłam nawet wspomnieć o trzech już wypitych w trakcie pracownej nocy.

– To będzie hit! – trąkotała. – Już teraz blogerzy pytają o tekst! Jak ci się podobało?

Co miałam powiedzieć? Że przez dwa tygodnie ślęczałam nad wypracowaniem licealistki?

– No! – ponagliła, wlepiwszy we mnie spojrzenie oczekujące podziwu dla objawienia na rynku.

– Prawdę powiedziawszy, nie byłam zachwycona.  
– Co ty mówisz? Hinduskie koneksje, seks, bajka o Kopciuszku dla współczesnych kobiet? Chyba trafiłyśmy w sedno. Masz tekst?

– Owszem. – Podałam Zuzie egzemplarz i wspomniałam, że rano przesłałam również wersję elektroniczną.

Przyjaciółka wciąż wykazywała wysoki stopień podniecenia.

– Świetnie! Ślę do autorki, a potem do korekty. Musimy do minimum skrócić cykl wydawniczy. Książka powinna trafić na rynek już w marcu. A trochę zmieniając temat: mama mi powiedziała, że zmarł profesor chemii, niejaki Sambor Jarema. Zasobny gość. Prowadził firmę, na której nieźle zarabiał. Mama była bardzo wzburzona. Twierdziła, że ciocia Blanka dobrze go znała.

– No i? – słuchałam, nie bardzo wiedząc, o co kaman.

– Sądziłam, że to jakiś wasz znajomy... Nieważne. Wracamy do tekstu.

## Rozdział 20

### Weronika

Jędrzej wyjechał, przesławszy mi wcześniej zdjęcie z lotniska, które roznieciło tęsknotę za podróżami. Uwielbiałam drogę w nieznanne i penetrowanie nowych miejsc, ale gdy urodziły się dzieci, musiałam zarzucić marzenia o dalekich wyprawach. Znajdowałam w internecie relacje śmiazków, którzy przemierzali świat z niemowlakami, niestety mój mąż nigdy nie dałby się namówić na takie ekstrawagancje. Według niego nawet nasz siedmioletni Jaś i o dwa lata młodsza Zosia nie nadawali się na takie eskapady. A poza wszystkim Paweł nie miał czasu czy raczej, jak sądziłam, głównie ochoty, by narażać się na niewygody.

– Aniela, przecież nie chodzi mi o to, żeby torować sobie drogę maczetą w amazońskiej dżungli czy z narażeniem życia wystawiać się na nalot afrykańskiej szarańczy – tłumaczyłam przyjaciółce zniecierpliwiona, kiedy mój mąż po raz kolejny zaproponował wakacyjny wyjazd nad jezioro.

Bo przecież blisko, bo czysta woda, a wokół las pełen malin i jagód.

Teoretycznie miał rację. Polska rzeczywiście jest bardzo piękna i godna uwagi, ale dla oczyszczenia umysłu potrzebowałam innych widoków, dystansu, w tym również liczonego w kilometrach, odmiennych smaków. A nawet koloru zachodzącego słońca, który nie w każdym zakątku świata jest jednakowy.

– Co stoi na przeszkodzie, żebyście wyjechali na wakacje na przykład na południe Europy? – pytała.

– Ostatnio wyskoczył z tekstem, że boi się latać. Bo te o braku czasu przestały na mnie robić wrażenie.

Aniela uśmiechnęła się przewrotnie.

– Wiesz co? Przyszło mi na myśl, że ludzie przed ślubem powinni sobie wyjaśniać kwestię latania samolotem. Kto wie, czy wtedy małżeństwo doszłoby do skutku?

– Przestań, to pracoholik i tyle. Proponuje mi solowe all inclusive w Turcji albo w Grecji i jeszcze podwózkę na lotnisko. Tyle że ja nie mam ochoty na relaks w ośrodku zbiorowego żywienia i spędzanie czasu ze zgrają rodaków, którzy od chwili otwarcia baru stoją w kolejce po darmowe drinki, a w międzyczasie sikają w ogólnodostępnym basenie!

– Nie przesadzaj! Sama byłam na takich wczasach i wróciliśmy z Leszkiem bardzo zadowoleni.

– Przepraszam. Aniela, może nieco podkoloryzowałam, ale chciałabym pojechać z rodziną w jakieś fajne, może nie do końca komercyjne miejsce. Odkryć urokliwą plażę z dala od tłumów, posmakować lokalnych przysmaków. A Paweł się opiera!

Dostrzegałam w oczach przyjaciółki brak zrozumienia. Nie byliśmy biedakami, mogliśmy pozwolić sobie na wakacyjny wypad, tym bardziej teraz, po śmierci taty. Czekają jeszcze całkiem sporo kasy na koncie, chociaż od jej podjęcia i podzielenia się nią dzieliło nas trochę czasu i sądowych formalności.

Pozostawało nam czekać.

Dziś po przestąpieniu progu galerii rzuciłam:

– Jędrzej właśnie leci do Neapolu.

Aniela uniosła brwi, ale absorbowały ją inne sprawy. Zarumienione policzki wskazywały, że moja przyjaciółka ma dobry humor.

– Weronka, eureka! Wyobraź sobie, że jesteśmy o krok od urządzenia sporej wystawy prac podyplomowych sztuk-mistrzów! – ujawniła dobre wieści. – Po raz pierwszy od lat

uniwersytet zdecydował się wystawić prace studentów na sprzedaż, i to być może u nas! Zarobimy!

– Jak to załatwiłaś? – nakręciłam się natychmiast.

– Jeszcze nie załatwiłam. Czekałam na ciebie, bo musimy obgadać sprawę i dobrze zadziałać. Słuchaj i nie przerywaj. – Podniosła rękę, by powstrzymać mnie przed otwarciem ust. – Dzisiaj zgłosił się do mnie profesor ze sztuk, Jaromir Szczęsny. Wiesz, ten rzeźbiarz, który robił pomnik na skwerze przed teatrem. Pochodził po naszej galerii, obwąchał każdy kąt, pokontemplował. Pamiętam go, oczywiście, ze studiów. Straszny lowelas i podrywacz. Mnie ominęły jego zaloty, ale dziewczyny, na które zaginał parol, nie miały łatwo – meandrowała we wspomnieniach, a ja spokojnie czekałam, kiedy przejdzie do meritum. Pogadała jeszcze chwilę o wybujałym życiu uczuciowym Szczęsnego i powróciła do tematu. – Najpierw grzecznie zapytałam, czy szuka czegoś konkretnego, a potem, kiedy usiadł w fotelu za sześć kawałków, zaproponowałam mu kawę. Już wtedy czułam, że coś ciekawego może się wykroić.

– Aniela, błagam! Co ci powiedział?

– Że szuka odpowiedniego miejsca na wystawę studenckich prac podyplomowych i chce najpierw zrobić wernisaż, a potem wystawić je na sprzedaż. I że jest gotów negocjować warunki.

Czułam pismo nosem. Pan profesor znalazł małą galerię, która nie weźmie wysokiej prowizji.

– Aniela, a wspominał, jak zamierza wycenić obrazy? Bo jeśli za stówę, to możemy zarobić na jednym co najwyżej trzydzieści złotych, a ubierzemy się w wystawę na miesiąc i zajmiemy nią wszystkie ściany. Nie wystarczy miejsca na naszą ofertę.

Moją przyjaciółkę zaskoczył ten brak entuzjazmu.

– Nie rozmawialiśmy o cenach, ale z tą stową za obraz to przesadziłaś. Akwarelki czy skromne oleje może nie będą zbyt drogie, ale kopie na piątkę dadzą zarobić. Profesor Szczęsny zaproponował trzydzieści prac.

No, może i Aniela ma rację? – dumałam. Nawet przy niskiej cenie jednostkowej ilość zrobi kasę. Trzeba by rozreklamować tę wystawę w lokalnych mediach, napędzić klientów i wszystko sprzedać. I nareszcie złapałybyśmy wiatr w żagle, bo ostatnio u nas marazm. Czasami któryś z malarzy przynosi swoje ostatnie dzieło, gliniane aniołki i makramowe ozdoby zajmują szereg sklepowych witryn i nie są niczym szczególnym, ceramika, którą mam chyba najpiękniejszą w mieście, jest dosyć droga jak na kieszenie turystów. A ci głównie zagląдают do sklepu...

Słowem: zyski nie powalały. Ratowały nas prace Anielki i własność lokalu, więc nie musiałyśmy płacić bajońskiego czynszu.

Paweł spokojnie znosił moje narzekania na słabą rentowność galerii i miał na to jedyną odpowiedź.

– Zamknij galerię i wynajmij lokal. Lepiej na tym wyjdiesz.

– To co mam, według ciebie, robić? Dla biologów nie ma pracy. Szkoła odpada, bo nawet nie skończyłam kierunku pedagogicznego. A zresztą dzieci wystarczy mi w domu.

– Zapomnij o pracy i po prostu wynajmij. Będziesz miała na waciki, jak zarobię na rodzinę.

Nigdy w życiu! Musiałam mieć przestrzeń dla siebie i chociaż na kilka godzin dziennie odseparować się od domowych obowiązków.

– Paweł, zakończmy tę dyskusję. A za dobre rady dziękuję. – Wysłałam z pokoju cała w nerwach, co sprowokowało mnie do wysilenia umysłu. Kombinowałam, jak powiększyć dochody i udowodnić mężowi, że dam sobie radę. Propozycja Jaromira Szczęsnego dawała nam szansę na finansowe odbicie, a poza tym mogła przyciągnąć innych.

– Przepraszam za brak zachwyków – odpowiedziałam. – Mam ostatnio trudny czas. To dobre posunięcie i trzeba się dogadać ze Szczęsnym. Na kiedy wyznaczył spotkanie?

– Na jutro. Zaprosił nas na kawę w Księżycowej. Obie.

– Mnie też? Dlaczego?

– To ty mi powiedz. – Aniela uśmiechnęła się. – Kiedy go poznałaś?

– No coś ty? Nie widziałam faceta na oczy.

– Za to on ciebie chyba tak...

– Anielka, dosyć tych zagadek. Gadaj, o co w tym wszystkim chodzi.

Przyjaciółka spojrzała na mnie przenikliwie, jak gdyby chciała sprowokować mnie do wyznań.

– No mów! – pogoniłam ją.

– Pytał, czy jesteś właścicielką galerii. Użył twojego panieńskiego nazwiska: Jarema.

– No i?

– Skąd mam wiedzieć? Chce cię widzieć. Naprawdę go nie znasz?

Przyłożyłam dłoń do serca.

– Słowo harcerza.

– Byłaś harcerką?

– Nie.

Roześmiałyśmy się.

Aniela, jak zawsze, przesadzała z podejrzliwością. A przecież niedawno zmarł tato i nekrologi z jego nazwiskiem wisiały na drzwiach wszystkich uniwersyteckich budynków. Nie miałam pojęcia, jak Szczęsny skojarzył Sambora Jaremę ze mną, Weroniką Schulz, ale w naszym niedużym mieście wszystko było możliwe. Mężowskim nazwiskiem posługiwałam się już osiem lat.

Najważniejsze, że istniała szansa, by dobić targu w sprawie wernisazu.

## Rozdział 21

Dobrosława

*styczeń 2019 r.*

Zuzanna nie zatrzymywała mnie w redakcji. Zazwyczaj bywała bardzo zajęta, ale dzisiaj dostrzegłam w jej oczach głód pracy nad książką, którą jej przyniosłam. W końcu pozycja miała być hitem, a na tych, jak wiadomo, można zarobić. BookMacher już dawno nie zaliczył spektakularnego sukcesu wydawniczego i finansowego, więc Zuza nie zamierzała marnować okazji i przygotować publikację na marzec, od którego dzieliły nas niecałe dwa miesiące. A po drodze była jeszcze korekta, skład, ponowna korekta, wybór okładki, druk, przedsprzedażowa promocja. Kupa roboty.

Pogrzebałam nadzieję na pogaduszki z koleżanką, zapytałam, czy ma dla mnie kolejną robotę, i machnęłam ręką na zdawkowe: „Zadzwoń, gdy pojawi się coś nowego”.

Co robić z tak miło rozpoczętym dniem? Moja pierwszoklasistka siedziała w szkole, Nina w ośrodku adopcyjnym, a Mateusz reprezentował dzisiaj swojego klienta w sądzie. Tekst oddałam, więc najbliższe dni zapowiadały się wypoczynkowo. Ostatnio przypominałam o sobie kilku wydawnictwom, ale jak do tej pory żadne nie dało znaku życia. Wprawdzie mój umysł domagał się krótkiego urlopu, ale konto wołało o zasilenie.

Byłoby mi łatwiej, gdyby Miłosz płacił alimenty. Ale on na rozprawie rozwodowej wykazał zerowe dochody. Sąd przyznał mi pięćset złotych miesięcznie i zasugerował, że mój były powinien sam znaleźć pracę lub skorzystać z pośredniaka. Krótco potem zmarła mama. Nie miałam siły, by walczyć o swoje, a może zabrakło charakteru? Mój były zniknął z pola widzenia, a ja pogodziłam się z rolą samotnej matki. Do czasu poznania Mateusza.

Prowadził kancelarię radcowską na starówce i był znajomym Waldka, również prawnika, kolegi Zuzy, z którego usług czasami korzystała przy konstruowaniu umów i w innych sprawach.

– Dobrusia, porywam cię na grilla! – oznajmiła pół roku temu, przekazując mi do redakcji kolejną książkę.

– W waszym nowym domu? – zdziwiłam się, że tak szybko wybudowali z Olafem hacjendę na świeżo zakupionej działce pod miastem.

– No coś ty? Olaf dopiero załatwił wszystkie pozwolenia. U Waldasa. Ożenił się po raz drugi, z laską i domkiem nad jeziorem. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Będzie kilka osób, rozerwiesz się.

– Wiesz, jak bardzo bym chciała, ale nie mam z kim zostawić Nawojki.

– Gadałam z Niną. – Zuza wspomniała samotną siostrę, która przeważnie miewała wolne weekendy. – Chętnie weźmie małą do siebie.

– Zuza, mam mieszane uczucia. Nie mogę jej nieustannie wykorzystywać...

Było mi naprawdę głupio, choć jak do tej pory korzystałam z tej pomocy w naprawę podbramkowych sytuacjach. Jednak tym razem wybierałam się na, jak się spodziewałam, zakrapianą imprezę w plenerze.

Zuza nie odpuściła. Zanim zdążyłam odmówić, zadzwoniła do siostry i podała mi telefon.

– Chętnie wezmę Nawojkę na weekend. Pójdziemy do teatru dla dzieci, a potem na lody. Może nawet popływamy łódką po Wiśle? – Nina przedstawiła plan, wobec którego uległam.

– Dobrze. Ale w rewanżu zabiorę cię na konie. – Znalazłam sposób, by wynagrodzić opiekunkę za wielkie serce.

Miała wprawdzie niezłego stracha przed majestatem wielkoludów, jak nazywała

rezydentów podmiejskiej stadniny, która od dzieciństwa była moim drugim domem, ale próbowała poskromić obawy i dawała się namówić na lekcje jazdy. Miałam nadzieję, że z czasem zacznę czerpać z nich przyjemność.

Moja córka z radością przyjęła propozycję spędzenia sobotniego popołudnia u cioci. Lubiała Ninę, a perspektywa nocy poza domem okazała się bardzo kusząca. Dla mnie również.

Kochałam córkę każdą komórką ciała, ale potrzebowałam kontaktów z dorosłymi. Rozmowy, luzu, kieliszka wina, na który nie mogłam sobie pozwolić przy dziecku. Drobnego oddechu od codzienności, szkoły, zakupów, problemów finansowych.

– Niech ci będzie, pojedę na te konie – poddała się Nina. – A Nawojkę przywieź o drugiej. Zjemy obiad, a potem zajmiemy się sobą – roześmiała się.

– Naprawdę nie masz mi za złe, że jadę z ciocią Zuzą? – zapytałam, pakując rzeczy córki do dwóch toreb.

Nawojka nie usłyszała. Z zapamiętaniem dokładała do nich swoje ulubione pluszaki. Nie zapomniała o szczoteczce do zębów i piżamie. Mądra siedmioletnia mała!

Czułam się trochę nieswojo, bo miał to być pierwszy weekend bez córki. Nawet gdy już zajechałam z Zuzą i jej mężem na miejsce, pomyślałam, jak by się tutaj spodobało Nawojce.

Drewniany dom był posadowiony na schodzącym do jeziora zboczu zakończonym pomostem, przy którym cumowała drewniana łódka. Dalsze oględziny przerwał mi głos gospodarza.

– Dobrze, że jesteście. Czekamy tylko na Adamiaków, grill już rozpalony. Patrycja zaraz zejdzie.

Niebawem poznałam żonę Waldka. Nawiedziła nas w pełnym majestacie, epatując hinduskim sari i pobrzękując zbiorem bransoletek sięgającym od nadgarstka do łokcia.

– Tylko nic nie mów! – usłyszałam szept Zuzy.

Bez obaw. Co mnie obchodzi strój gospodyni i jej wyrafinowane maniery?

Przywitałam się z nią serdecznie i wyartykułowałam kilka miłych słów na temat siedliska.

– To taka nasza skromna chatka. – Pani Partycja, znacznie starsza od Waldka, nie kryła dumy.

„Chatka”, licząca, jak się później okazało, siedem sypialni, nie należała do najskromniejszych, ale nasz gospodarz – nasz pan. A że ma nieco wyszukany gust? Chwaliłam, podziwiałam, oczekiwałam dobrej zabawy, której nie zabrakło.

Stół okazał się wyśmienity. Nie wiem, kto przygotowywał szaszłyki, marynował karkówkę, kroił i przyprawiał warzywa na grilla. W każdym razie był mistrzem. Smakowitości dopełniały dyskretne ozdoby w postaci świec i pełny barek.

Krążąca pomiędzy gośćmi gospodyni nie wydawała mi się już taka wyrafinowana. A Waldek sprawiał wrażenie zakochanego. Zuza niepotrzebnie mówiła o jego ślubie z Patrycją i jej majątkiem, pomyślałam z wyrzutem.

Rozmyślając o tym i owym, sączyłam piwo i obserwowałam płomyki zachodzącego słońca, które kładły się na jeziorze.

– Mogę się dosiąść? – przerwał mi kontemplację męski głos.

– Oczywiście – odparłam, zobaczywszy kolegę Waldka, Mateusza.

Zostaliśmy już sobie przedstawiani. Był prawnikiem.

Od słowa do słowa, przegadaliśmy kilka godzin, a nawet wymieniliśmy się numerami telefonów.

Cóż, każda znajomość ma swój początek. Nie każdej natomiast dane jest przetrwać. Nasza, jak dotychczas, miała się świetnie. Wychodząc z wydawnictwa Zuzy, pomyślałam, że mam ochotę spotkać się z Mateuszem; ostatnio redagowałam, on prowadził szereg spraw, nie

wystarczało czasu na kontakty. Tęskniłam, on, sądząc po esemesach, również. Może nie byliśmy zbyt namiętną parą, ale było nam ze sobą dobrze.

Po byłym mężu najwyraźniej potrzebowałam kogoś takiego. Nie miałam ochoty na kolejnego niespełnionego pisarza topiącego w kieliszku frustracje. Mateusz stanowił przeciwieństwo Miłosza: ułożony, zawsze dobrze ubrany, staranny, punktualny i miły. Czasami nawet temperamentny, ze wskazaniem na czasami. Niemniej to mi nie przeszkadzało. Sama nie byłam demonem seksu i nie zamierzałam stawiać łóżka ponad wartościami życia uczuciowego. Szczerze mówiąc, nawet nie zastanawiałam się, czy wyjdzie nam z Mateuszem. Moja kotwica Nawojka była nienaruszalna, choćby próbował wyrwać ją ze mnie najwspanialszy facet na świecie.

– Nie możesz na to patrzeć w ten sposób – próbowała interweniować Zuza, kiedy głośno zastanawiałam się, czy mogę sobie pozwolić na kolejny związek. – Dziecko jest bardzo ważne, ale twoje potrzeby też. Jesteś młoda, powinnaś ułożyć sobie życie. Nie mówię, że z nim, ale nie odtrącaj faceta na starcie – przekonywała.

Uległam i pozwoliłam Mateuszowi zaprosić się na kawę, po której przysła kolacja, a następnie kolacja ze śniadaniem. Od pół roku byliśmy razem, a ja angażowałam się z każdym dniem bardziej, choć nie traciłam z oczu Nawojki. O relację między aktualnym partnerem a córką nie musiałam się obawiać – oboje radzili sobie znakomicie. Czasami nawet zastanawiałam się, czy nie za to właśnie go kocham, ale musiałam to przepracować sama. Bo niestety osoba, z którą mogłabym obgadać temat, czyli moja mama, już nie żyła.

Nagła tęsknota powiodła mnie w kierunku sądu. Może już skończył pracę? – myślałam z nadzieją.

Kiedy zobaczyłam go idącego z naprzeciwka, zadrżało mi serce.

– Liczyłem, że cię spotkam u Zuzanny. Mam przerwę, wyskoczmy na lunch? – usłyszałam słowa, które chciałam usłyszeć.

Po chwili siedzieliśmy w pobliskiej knajpce.

Zazwyczaj w takich sytuacjach zdawaliśmy sobie relację z tego, jak upływa nam dzień. Mateusz lubił mówić o swoich sukcesach, ja o wrażeniach. Tym razem jednak nie nawiązał do pracy w sądzie. Zaabsorbowała go inna sprawa.

– Podobno zmarł profesor Sambor Jarema i zostawił majątek dzieciom i swojej córce z nieprawego łoża – oznajmił. – Niezły *deal* i tajemnica, którą znają wszyscy prawnicy w mieście. To był znany gość, więc sama rozumiesz...

– Nie mam pojęcia, o kogo chodzi – odparłam, choć w moich uszach dźwięczały słowa Zuzy o Jaremie i mojej mamie. – Skąd wiadomo, komu ten gość zostawił majątek?

– Kotku, to małe miasto.

Nie rozumiałam świata Mateusza. Co ciekawego było w śmierci jakiegoś Sambora Jaremy i schedzie po nim?

Na szczęście kelnerka przyniosła lunch i zmieniliśmy temat.

## Rozdział 22

Weronika

Pogadałyśmy jeszcze chwilę z Anielą na temat jutrzejszego spotkania z Jaromirem Szczęsnym, a później przystąpiłam do przygotowywania papierów dla biura rachunkowego. Styczeń dobiegał końca, trzeba było go podsumować.

– Nie mogę znaleźć jednej faktury. – Przeczesałam szuflady w poszukiwaniu rozliczenia za obraz, który klient w kapeluszu kilka dni temu kupił do swojej stadniny, całkiem przyzwoity olej przedstawiający konie na łące. Może nie był to Kossak, ale nie musiałyśmy się wstydzić.

Przeważnie to Anielą, jako wykształcona plastyczka, rekomendowała obrazy i negocjowała ceny, ale w trakcie wizyty tego klienta byłam w galerii sama. Nie odwiedzały nas tłumy, więc miałyśmy dużo czasu na indywidualne podejście do każdego. Mężczyzna wyglądał na poważnie zainteresowanego zakupem, a nie tylko oglądaniem ekspozycji. Elegancki, w długim płaszczu, w wieku mojego ojca. I w kapeluszu, którego uchylił na powitanie, po czym umieścił go na wieszaku.

– Wojciech Zborowski – przedstawił się z galanterią, przyglądając gęste szpakowate włosy. – Jestem zainteresowany płótnem z końmi. Waszą galerię zarekomendował mi znajomy.

– Ma pan na myśli konkretnego autora?

Roześmiał się przyjaźnie.

– Nie znam się na sztuce, ale landszafty z targu mnie nie interesują, a na Kossaka chyba mnie nie stać?

Rozejrzał się wokół i zrobił zawiedzioną minę, że nie dostrzega żadnego końskiego portretu.

– Proszę usiąść i chwilę poczekać – uspokoiłam go. – Mam kilka płócien na zapleczu. Czy mogę zaproponować filiżankę kawy?

– Jeśli pani tak miła, nie odmówię. – Zdjął płaszcz i zajął miejsce w fotelu dla gości.

Na stoliku obok leżały ulotki różnych wystaw i imprez kulturalnych oraz kilka pism. Postawiłam przy nich filiżankę espresso i zniknęłam w magazynie.

– Facet chce kupić obraz z koniem – zadzwoniłam do Anieli. – Wiesz może, gdzie postawiłyśmy *Miłość bułanych*? Nie mogę znaleźć.

– Sprawdź w drugim rzędzie pod oknem. O ile się nie mylę, bliżej ściany.

– Niech to diabli, nie ma! Musimy tu wreszcie zrobić porządek!

– A *Pędzące rumaki* widzisz? – dopytywała.

– Gość powiedział, że nie lubi landszaftów, więc nawet mu ich nie pokażę. O, jest!

Obok sporego oleju znalazłam jeszcze kilka mniejszych akwareli, o których zupełnie zapomniałam. Podrzuciła je nam kiedyś jakaś studentka ze sztuk, ale nie przyłożyłyśmy się zbytnio, żeby je wyeksponować.

Objuczona wróciłam do galerii.

– Oto *Miłość bułanych* – zaprezentowałam.

Na widok obrazu gość wstał z fotela.

– Wspaniały! A wie pani, że bułany to moje ulubione? Najpiękniejsze. Piaskowe umaszczenie, czarna grzywa i ogon, podpalane nogi. Mam kilka takich u siebie. Obraz naprawdę niczego sobie – pochwalił, przyglądając się dziełu z różnej odległości. – I ta właściwie uchwycona bliskość między końmi... Chyba go wezmę, jeżeli nie ma pani w zanadrzu czegoś piękniejszego.

Akwarele również zyskały aprobatę klienta w kapeluszu, jak zaczęłam go nazywać w myślach. Kupił *Bulany*, dopytał o autora i wziął jeszcze dwie akwarele. Skasowałam cztery tysiące złotych. Taki utarg nieczęsto się zdarzał.

Wystawiłam fakturę na firmę, a teraz nie mogłam jej znaleźć.

– O jaką firmę ci chodzi? – Aniela usiłowała pomóc.

– O stadninę. Od jutra zabieramy się do porządków!

Moja współpracownica przygnała z zaginionym świstkiem.

– Tu jest. Znalazłam ją między ulotkami i schowałam. I nie wrzeszcz, bo sama ją zawieruszyłaś.

Miała rację. Czasami bywałam roztargniona.

Pomęczyłam się jeszcze chwilę z papierami i byłam gotowa jechać do księgowej. Oczywiście mogłam skorzystać z poczty elektronicznej, ale bezpośrednia rozmowa z panią Wiesią, którą znałam od lat, stanowiła nasz comiesięczny rytuał. Zanim zarejestrowała skromne biuro rachunkowe, pracowała u taty, a mnie wydawało się, że przez całe życie się w nim podkochiwała. Może dlatego i mnie obdarzyła sympatią? Zmieniła miejsce pracy i zaszyła się w domu ze względu na niepełnosprawnego syna, którym musiała się zajmować. Dopóki jeszcze żyła jej matka i pomagała przy Olku, pani Wiesia mogła sobie pozwolić na pracę u kogoś. Śmierć babci zdeterminowała dalsze wybory.

Dzisiaj miałam szczególną ochotę na tę wizytę. Nie licząc wzajemnej sympatii, łączył nas tato, którego odejście wciąż mnie przytłaczało. Nie mogłam przestać go kochać, nawet w obliczu nowych okoliczności. Istnienie Dobrosławy Kuszewskiej raniło jak cholera, choć w głębi duszy miałam nadzieję, że rewelacje o istnieniu drugiej córki okażą się nieprawdziwe. Może jakaś kobieta tuż przed śmiercią taty omotała go i wrobiła w ojcostwo? W końcu zamożny człowiek jest łakomym kąskiem dla różnych interesownych naciągaczk.

Powróciły wątpliwości. Wprawdzie wuj Marian dobitnie stwierdził, że ojciec nie prowadził drugiego życia, ani przed śmiercią mamy, ani po, ale właściwie uwierzyłam mu na słowo. Skąd mogę wiedzieć, czy jego rozumowanie jest prawidłowe? Ale przecież nie żyjemy w średniowieczu, mamy do dyspozycji testy na ojcostwo. A tato należał do osób, które doskonale wiedziałyby, jak z nich skorzystać w wątpliwej sytuacji. Jeśli powołał do spadku drugą córkę, musiał mieć pewność. No, chyba że nie zrobił testu...

Ta refleksja dobiła mnie ostatecznie.

Krzesimir i Jędrzej przyjęli do wiadomości fakt istnienia siostry z nieprawego łoża, bez której nie mogliśmy przeprowadzić postępowania spadkowego, mój Paweł trzymał się z boku, twierdząc, że nasz spadek to nasze pieniądze i kłopot. Tak to właśnie ujął.

– Kochanie, nie chcę się mieszać do schedy po teściu. Jestem mu, podobnie jak twojej mamie, wdzięczny za pomoc, jaką okazywali mi przez całe życie, ale nie oczekuję więcej. Oczywiście współczuję ci traumy z tą Dobrosławą. Oby wszystko się wyjaśniło jak najprędzej.

Jedynym wsparciem pozostawała dla mnie ciotka Konstancja, ale wiadomość o nagłej chorobie kuzynki wywiała ją akurat z naszego domu, a właściwie z dawnego domu rodziców, a obecnie Krzesimira, gdzie pomieszkiwała.

„Kochanie, zostawiłam Zosię u Darii i nie odbiorę dzisiaj Jasia ze szkoły – dostałam od niej wiadomość, zanim zdążyłam wyjść do pani Wiesi. – Poinformowano mnie, że Jadzia trafiła do szpitala, i muszę jechać – ciotka wspomniała o kuzynce. – Wrócę jak najszybciej. Przepraszam. Konstancja”.

Wykręciłam numer do bratowej.

– Daria, możesz jeszcze przez godzinę, półtorej zająć się Zosią? – zapytałam. – Zaraz składam papiery w biurze rachunkowym i jadę. Po drodze odbiorę Jasia.

Nie było problemu. Żona Krzesimira, gospodyni domowa idealna, chowała trójkę swoich dzieciaków, a czasami przygarniała moje. Oddawała mi je napasione gołąbkami i rosółem, nierzadko z buziami lepкими od tłuszczu z racuchów czy naleśników z domową konfiturą.

Czas u pani Wiesi miałam spędzić bez kawy i zwierzeń. Jednak ona poprosiła mnie, bym zdjęła płaszcz.

– Jak się trzymasz? – zapytała, postawiwszy przede mną szklanę herbaty z cytryną.

– Próbuję jakoś. Od śmierci taty nie byłam jeszcze w domu rodziców – odparłam wymijająco.

Pani Wiesia sięgnęła do niebieskiej teczki, którą wcześniej położyła na stole.

– Mam coś, co należy do ciebie – powiedziała. – Kiedy już przestałam pracować w firmie, twój tato czasami nas odwiedzał. Olek zawsze cieszył się na te spotkania. Szef przynosił owoce i słodczyce, czasami jakąś grę. Kiedyś nawet wykosztował się na tablet. Pan Sambor był zacnym człowiekiem... – zadumała się.

Miałam ochotę zadać jej pytanie o pozamałżeńską miłość ojca i jego córkę, ale było mi niezręcznie.

– Któregoś dnia wyjął z torby tę właśnie teczkę i zapomniał ją zabrać. Zerknęłam, by sprawdzić, co jest w środku, mogła zawierać ważne dokumenty. Ale nie. Były w niej twoje rysunki. Chciałam je oddać, ale sprzątając, wsunęłam teczkę do szuflady biurka i o niej zapomniałam. Sądzę, że dla ciebie to cenna pamiątka po ojcu.

Przeglądałam po kolei dziecięce bazgroły, wszystkie opatrzone serduszkami narysowanymi ręką taty. Przy niektórych, tych z moimi dedykacjami; „Dla kochanego tatusia”, „Kocham cię, tatusiu” i „Dla tatusia Sambora”, tato dopisywał kilka słów od siebie. Dzisiaj ścisnęło mnie od nich w sercu. „Ja ciebie też, córeczko” czy „Jesteś moją królową”.

Straciłam chęć, by zapytać panią Wiesię o romans ojca. Przycisnęłam teczkę do serca, zostawiłam papiery i pożegnałam gospodynię.

Jechałam do szkoły po Jaśka, a potem do domu brata i bratowej po Zosię, przedzierając się przez korki. Mimo dość wczesnej pory nad miastem wisiało pochmurne niebo, sprawiając, że wokół panował mrok.

Również moją duszę opanowała ciemność. Było zbyt późno na wizytę na cmentarzu, choć właśnie tam najchętniej bym się teraz udała. Wprawdzie tato pozostawił po sobie niespodziankę, ale nie sposób było go nie kochać. Powróciły myśli, czy nie został zmanipulowany przez jakąś kobietę. Dojeżdżając do domu Krzesimira, byłam tego niemal pewna.

Bez względu na spadek postanowiłam odnaleźć Dobrosławę Kuszewską, by dojść prawdy.

## Rozdział 23

### Dobrosława

Muszę wracać do sądu. – Mateusz spojrział na zegarek i poderwał się z krzesła. – Za piętnaście minut mam kolejną rozprawę.

– Nie za dużo pracujesz? – zapytałam zaniepokojona tempem, jakie sobie narzucił.

– Kochanie, należy się cieszyć, że ludzie się rozwodzą, bo dzięki temu mam co robić i zarabiam kasę. – Pocałował mnie w szyję. – Chciałabyś taki domek za miastem, jak ma Waldek?

Po krótkim zastanowieniu udzieliłam szczerzej odpowiedzi.

– Czy ja wiem?

O czym my rozmawialiśmy? Nie oczekiwałam od Mateusza żadnych deklaracji. Mieszkaliśmy oddzielnie i jak do tej pory wystarczały mi kontakty na tej płaszczyźnie. A już z pewnością nie marzyłam o domku nad jeziorem i grillach z jego przyjaciółmi. Zuzę i Ninę miałam na co dzień. A przede wszystkim stadninę, której najchętniej poświęcałabym każdą wolną chwilę.

Szkoda, że fundusze nie pozwalały mi utrzymywać własnego konia. Mogłam liczyć wyłącznie na życzliwość właściciela stajni, pana Wojciecha, który przeznaczył dla mnie dwunastoletnią kasztankę Wenę. Mogłam ją ujeżdżać w zamian za pracę, na którą składało się czyszczenie boksów, przygotowywanie paszy, sprzątanie padoku. Wenę znałam od pięciu lat i byłam z nią bardzo zżyta. Rżała na mój widok i nigdy mnie nie zrzuciła, choć w czasie ponaddwudziestoletniej przygody z jeździectwem nieraz zaliczyłam upadek. Głównie kiedy już po etapie jazdy na lonży przeszłam na padok, gdzie musiałam opanować konia samodzielnie. Wprawdzie teorię znałam na wrywkę, ale każdy początkujący jeździec musi nabyć doświadczenia i wyczucia.

– Musisz dopasować do waszych potrzeb długość wodzy – tłumaczyła mi pani Alinka, moja trenerka. – Lepiej poluzować, żeby konia nie uwierało wędzidło. Krótkie wodze zastosujesz dopiero w galopie, a przy stępie lub kłusie o nich zapomnij.

Brzmiało to zrozumiale i logicznie, ale koń, czego niebawem miałam doświadczyć, nie był maszyną, lecz żywą istotą. Coś z tymi wodzami robiłam nie tak, za długie były czy za krótkie, grunt, że koń pochylił łeb, a ja zsunęłam się z niego na ziemię jak po zjeżdżalni.

Stare dzieje, sięgające czasów zdobywania pierwszych jeździeckich szlifów. Obecnie wypuszczałam się na Wenie w teren, odbywałam długie wędrówki po okolicznych lasach, drogach i nadwiślańskich błoniach. Czasami pogonił nas wiejski burek lub przestraszył quad szorujący po żuźłowce ile silnik pozwalał, ale znałam moją klacz wystarczająco, żeby poradzić sobie w szczególnych okolicznościach. Zresztą nie należała już do najmłodszych.

Wybierałam się dzisiaj do stadniny zaraz po odebraniu Nawojki ze szkoły. Domek Waldka i jego nowej partnerki niewątpliwie był bardzo ładnie ulokowany, ale jeśli miałabym jakieś marzenia, z pewnością dotyczyłyby one posiadania własnego konia, a nie podmiejskiej hacjendy nad jeziorem. Chyba że ze stajnią.

– Jestem nieco zawiedziony twoim podejściem. Zacząłem się rozglądać po okolicy i znalazłem kilka dobrych ofert. – Słowa Mateusza sprowadziły mnie z orbity wspomnień. – Myślałem, że razem pojedziemy sprawdzić niektóre.

– Kochanie, z największą przyjemnością będę ci towarzyszyć. A nawet doradzę, jeśli mi pozwolisz – powiedziałam z uśmiechem. – Ale nie dzisiaj. Jedziemy z Nawojką do Weny.

– Sądziłem, że moje plany sprawią ci przyjemność, ale chyba się myliłem. – Mateusz się

nadał. – Muszę wracać do sądu. – Zdawkowo cmoknął mnie w policzek.

Przysiadłam na ławce pod pomnikiem i oddałam się wyrzutom sumienia, że nie wykazałam entuzjazmu dla pomysłu Mateusza. A jeśli kupno domku pod miastem miało być kolejnym krokiem na drodze naszego związku? – biłam się z myślami, spoglądając na świątecznie udekorowaną ulicę, bo miasto nie zdążyło jeszcze uprzętać ozdób.

Miałam ochotę przegadać sprawę z kimś bliskim. Zuza przepadła przy książce, pozostawała zatem Nina. Zadzwoiłam do niej z nadzieją, że da się namówić na wycieczkę do stadniny.

– A wiesz, że chętnie? – usłyszałam dobrą wiadomość. – Jeżeli tylko nie będę musiała jeździć, z przyjemnością mogę wam towarzyszyć.

– Niech ci będzie. Nawojka poćwicz na lonży, a my wypijemy herbatę w ujeżdżalni – zapewniłam, mając na myśli niewielki bufet, w którym można było się ogrzać i popatrzeć na treningi pod dachem.

Teraz, w styczniu, rzadko kto wyjeżdżał w teren. Wprawdzie konie miały zimową sierść i derki na grzbietach, ale jeźdźcom było trochę chłodno. Mimo lekkiego mrozu chętnie bym się wypuściła, ale musiałam mieć na oku Nawojkę, która brała pierwsze lekcje jeździectwa. Wzorem rodziców przed laty podarowałam jej pod choinkę półroczny karnet na kurs w mojej stadninie. Dzięki uprzejmości właściciela dostałam nawet spory rabat, a właściwie zapłaciłam symboliczną kwotę. Dzięki tym treningom zyskałam kolejny pretekst, by bywać w stadninie i oddychać jej atmosferą. Czasami zastanawiałam się, czy kreowanie nowej pasji Nawojki nie wynika z mojego egoizmu, ale szybko znalazłam wytłumaczenie: jeżeli nawet, to był to dobry sposób, by spędzać z nią więcej czasu i pogłębiać naszą bliskość. A na tym zależało mi najbardziej na świecie. Miałyśmy tylko siebie.

Nawojka nic nie miała zadane, więc zjadłyśmy wcześniej przygotowaną zapiekankę i po czwartej podjechałyśmy starą corsą po Ninę. Mała wpadła w ramiona cioci, zdradzając, że mama ma dla niej obiad.

Faktycznie, zamierzałam skorzystać z mikrofali w stadninie i odgrzać Ninie część zapiekanki.

– Naprawdę? Jestem wściekle głodna! – Przyjaciółka zareagowała entuzjazmem, na boku sygnalizując mi, że nie było trzeba.

Nawojka mościła sobie miejsce w aucie i popędzała nas obie.

– Jedźmy już! Bella czeka!

Bella była ośmioletnią bułanką, w kolorze jasnego piasku, właścicielką czarnego ogona i grzywy oraz podpalanych nóg. Miała spokojne usposobienie i chowała się w stajni od urodzenia. Znałam ją od chwili, kiedy pojawiła się na świecie, i ona mnie również, więc byłam w miarę spokojna o bezpieczeństwo córki. Uwielbiałam przyglądać się ćwiczeniom Nawojki, chociaż tym razem nie obserwowałam jej przez cały trening. Czekala na mnie Wena, która wymagała toalety.

Moja trenerka Alinka wciąż pracowała, ale Nawojkę szkoliła Karolina, fajna i sprawna dżokejka.

Zajęłyśmy z Niną miejsca przy drewnianym stole w kącie ujeżdżalni. Postawiłam na nim talerz z odgrzaną zapiekanką z ziemniaków, boczku i grillowanych warzyw. Może niespecjalnie dietetyczną, ale sycącą i mocno pachnącą przyprawami.

– Konia z rzędem za takie jedzenie! – pochwaliła, chwytając za widelec.

– Niejeden tutaj biega. – Wskazałam na padok.

Z pogadaniem o propozycji Mateusza postanowiłam zaczekać, aż zje, ale Nina mnie uprzedziła.

– Nawet dobrze, że tu przyjechałyśmy – odezwała się. – Chcę ci o czymś powiedzieć. – Otarła usta.

Zamieniłam się w słuch.

– Poznałam kogoś.

Z trudem opanowałam zdziwienie. Nina nigdy nie miała żadnego faceta. Podejrzywałam nawet, że niezbyt interesuje się mężczyznami. A może to nie jest mężczyzna? – przemknęło mi przez głowę.

Przyjaciółka szybko rozwiała moje podejrzenia.

– Ma na imię Witek. W ogóle sytuacja jest szczególna... – Opanowana z natury Nina niespodziewanie oblała się rumieńcem i nerwowo odrzuciła włosy na kark. – Od dwóch lat prowadzę w ośrodku proces adopcyjny Lenki, dwulatki, którą Witek i jego żona zamierzali przysposobić. Rok temu Marlena zmarła, ale Witek nie zrezygnował z chęci zajęcia się małą. Nie powinnam, ale... Ostatnio się zbliżyliśmy. Wiem, że to nieprofesjonalne, ale chyba się zakochałam – wyrzuciła z siebie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Jako pierwsze przyszło na myśl pytanie o wzajemność. Zanim jednak zdążyłam je zadać, Nina podjęła:

– Spotykamy się. Ja wiem, jak to wygląda: samotnemu ojcu nie przyznaje się dziecka ot tak, więc on próbuje zaskarbić sobie względy urzędniczek. Ale to nieprawda. Kocham go i on mnie również. Sądzisz, że nie powinnam się z nim wiązać?

Nie mogłam nie wesprzeć przyjaciółki.

– Co ty wygadujesz? Bardzo się cieszę, że jesteś zakochana! A z tego, co mówisz, ten facet wygląda na porządnego, skoro po śmierci żony wciąż walczy o adopcję. Rzadko który by się na to zdobył.

– Lenka przypomina mu córkę, którą kilka lat temu stracił w wypadku. Myślę, że moglibyśmy razem z małą stworzyć rodzinę. Kiedyś... – rozmarzyła się Nina.

Była już spokojna.

Wprawdzie dodałam jej otuchy, ale targały mną wątpliwości. Nie znałam tego Witka. A jeśli on rzeczywiście chce Ninę wykorzystać do pomocy przy procesie adopcyjnym, a potem porzucić? Oby dziewczyna się nie sparzyła.

– Dziękuję za wsparcie – usłyszałam głos przyjaciółki. – Nie mówiłam Zuzi, bo ona na pewno zaczęłaby mnie zniechęcać. Aha, i niech to, co ci powiedziałam, pozostanie naszą tajemnicą.

Nie wiedziałam, czy jestem w stanie udźwignąć sekret i nie powiedzieć Zuzie, ale obiecałam.

– Jasne, Nina. Jesteś dużą dziewczynką i sobie poradzisz. I masz mnie. Chodź, kochana! – Przygarnęłam ją, żeby nie zauważyła niepokoju w moich oczach.

Niemal zapomniałam, w jakim celu ściągnęłam Ninę do stadniny. Rozmowa o planowanym przez Mateusza zakupie wiejskiej hacjendy zeszła na drugi plan.

– Może zaparzę ci kawy, bo chciałabym zajrzeć do Weny – zaproponowałam.

– Idź, sama sobie zrobię. I popatrzę na Nawojkę. Dla ciebie ze śmietanką?

Ochoczo przystąpiłam do toalety mojej bułanki. W ruch poszły szczotki, zgrzebła i kopytka, która jednak nie znalazła większego zastosowania. Kopyta były czyste, bo klaczy nie ujeżdżano ostatnio w terenie. Starannie jej wyczyściłam sierść, przyłożywszy się zwłaszcza do brzucha pod poprzęgiem, wycesałam grzywę i ogon. Gadałam z Weną i obiecałam jej nawet, że wpadnę jak najszybciej na przejażdżkę. Może miałam zbyt bujną wyobraźnię, ale jej rzenie wzięłam za przyzwolenie.

– No bo wiesz, że dzisiaj nie możemy pojeździć – przemawiałam. – Jest ciemno i zimno,

Nawojka ma trening, a Nina czeka w ujeżdżalni. Zaczekasz na mnie? – Gładziłam miękkie chrapy.

Serce mi się krajało, gdy opuszczałam stajnię.

– Zarobię i odkupię cię od pana Wojtka – wyszeptałam na pożegnanie.

Miałam wrażenie, że moja pupilka mnie rozumie.

Tylko dokąd miałabym ją zabrać? Może rzeczywiście Mateusz znajdzie dobre miejsce pod miastem, w którym przygotujemy dla niej kąt? Powinnam zareagować na jego pomysł z większym entuzjazmem, skarciłam się w duchu za brak przenikliwości. Znalazłam dobrze sytuowanego faceta, który mnie kocha, dogaduje się z Nawojką i szukał dla nas chaty pod miastem. Powinnam porzucić wszelkie wątpliwości. Mateusz to porządny facet.

– Pani jeszcze tutaj? Córka skończyła już trening – usłyszałam głos pana Wojtka.

– Żegnałam się z Weną. Jeszcze raz dziękuję za karnet.

– Drobiazg. Jeśli się małej spodoba, kolejne pół roku ma za darmo – odparł. – Chciałbym pani coś pokazać. – Gestem zaprosił mnie do gabinetu.

Nad biurkiem dostrzegłam przepiękny obraz.

– Kupiłem go wczoraj. Jak się pani podoba? – zapytał.

– Bardzo piękny. I emocjonalny.

– Nosi tytuł *Miłość bułanych*. Nabyłem go w galerii Weroniki Schulz. Nie wiem, czy pani się orientuje...

– Chyba tak. – Przypomniałam sobie galerię po drodze do wydawnictwa.

– I jeszcze te dwie akwarele. – Pan Wojtek pochwalił się mniejszymi pracami, które zdobiły boczną ścianę.

– Też ładne. – Omiotłam spojrzeniem błonia, po których galopowały konie. – Gratuluję zakupu.

– Miło mi się z panią rozmawia. Tyle lat się znamy... Może pozwoli się pani zaprosić na kolację? Oczywiście niezobowiązująco. Bez jakichkolwiek podtekstów. – Uniósł ręce na znak właściwych intencji. – Do pani wiadomości: wybieram się w dłuższą podróż i chciałbym porozmawiać o stadninie.

Zaskoczył mnie.

– Oczywiście – bąknęłam niepewnie. – Jeżeli tylko będę w stanie pomóc...

– Zamówię stół i zadzwonię. Może być w najbliższy piątek?

– Jeszcze nie wiem, panie Wojtku. Może dam znać, kiedy znajdę chwilę?

Wracałam do domu z głową pełną wątpliwości. Czego może chcieć ode mnie ten dziwny facet? Wyjeżdża za granicę, ale jednocześnie kupuje obrazy w galerii Weroniki Schulz... Zresztą nic mi do tego, ani do jego wyjazdu, ani do galerii, do której od zawsze miałam ochotę zajrzeć.

– Niczym się nie przejmuj – powiedziała Nina. – Może gość chce, żebyś miała oko na stajnię? Pracownicy pracownikami, ale taka pasjonatka jak ty zawsze dostrzeże więcej. Chyba że się w tobie zadurzył?

– Daj spokój! Znam go sporo lat i nigdy nie czynił mi awansów.

– To może się z nim spotkaj i przekonaj, o co mu chodzi.

## Rozdział 24

Weronika

Byłam wdzięczna bratowej, dzięki której odzyskałam teczkę ze swoimi rysunkami. Czytając adnotacje taty, utwierdziłam się w przekonaniu, że bardzo mnie kochał. Druga córka nie mieściła mi się w głowie. Musiało zajść jakieś piramidalne nieporozumienie.

– Przyjechałam! – zawołałam od progu, strzepując w wiatrolapie kropelki zamrożonego deszczu. – Daria, gdzie jesteście?

Bratowa wyszła z kuchni przepasana fartuchem.

– Jasiek, Zosia, mama przyjechała!

Miałam nadzieję na serdeczne powitanie, ale odpowiedziała mi cisza.

Żona Krzesimira pośpieszyła z odpowiedzią.

– Są na górze i budują coś z ceglanych klocków. Niedługo zawołam ich na obiad. – Otarła twarz z mąki.

Zdjęłam płaszcz, a mokre buty postawiłam na wycieracze.

– Przenikliwy ziąb! – oznajmiłam. – Zaraz do ciebie dołączę, tylko umyję ręce i zajrzę do dzieciaków. – Podbiegłam do łazienki, by po chwili poczuć przyjemne ciepło wody.

Rozgrzana mogłam iść przytulić maluchy, ale one nawet nie podniosły oczu znad zabawy. W skupieniu kleiły zamek krzyżacki.

Zignorowały mnie zarówno moje dzieci, jak i Majka, równolatka Zosi. Oznaczało to tyle, że trafiłam w sam środek dobrej zabawy.

– Kupiłam eklery – powiedziałam dość głośno.

Moja córka zareagowała jako pierwsza.

– Klery! Lubię klery!

– Nie klery, głupia, tylko eklery. – Dwa lata starszy od Zośki Jaś wykazał się wiedzą cukierniczą.

Nożyce się odezwały również w sąsiednich pokojach. Synowie Darii i Krzeska, piętnastoletni Rysiek i pięć lat młodszy od brata Michał, przybiegli sprawdzić naocznie, czy aby ciotka Weronika nie kłamie.

Lubiłam ich obu, zresztą Majkę również. Rodzina brata przypominała mi dom Samborów: trójka dzieci, Daria, wzorem mojej mamy, jak westalka, a Krzesimir niczym nasz ojciec, porządny i odpowiedzialny. Oby tylko nie dorobił się na boku drugiej córki! – uśmiechnęłam się do absurdalnej myśli.

– Po obiedzie, chłopcy. – Zrobiłam smutną minę i zmierzwiłam im czupryny.

Na szczęście Daria zawołała nas na dół.

Zbiegłam ochoczo, rozstawiłam talerze i rozłożyłam sztuce. Po chwili na stół wjechała brytfanna pełna popisowych gołąbków gospodyni i parujące tłuczone ziemniaki.

– Znów gołąbki? – Rysiek skrytykował danie, za które dałabym się pokroić.

Daria przyrządzała je nadzwyczaj smakowicie, otulając ryżowo-mięsny farsz liśćmi kapusty pekińskiej, delikatniejszej od włoskiej, i ku mojej ucieście nie przesadzała z sosem pomidorowym, który według mnie zabijał smak potrawy. Mówią, że o gustach się nie dyskutuje, ale, tak czy siak, moja bratowa trafiała w mój bez pudła.

– Nakładajcie sobie ziemniaki i jedzcie! – zakomenderowała, zdejmując fartuch. – Na deser kisiel z wiśniami.

U ciotki nie należało grymasić, ale i nie było powodów. Dzieciaki zmiatały z talerzy na wyścigi, a co poniektóre brały dokładkę. W ich brzuchach znalazło się także miejsce na kisiel

i moje niewymagające pracy, bo kupione w cukierni, eklery.

Po obiedzie piątka drobiazgu popędziła w kierunku schodów.

– A wy dokąd? – Powstrzymałam swoje dzieciaki. – Proszę odnieść po sobie talerze do kuchni.

Mówiłam do ich pleców.

– Jaś, Zosia, wróćcie. Powtarzam, odnieście po sobie talerze.

– Przecież bym to zrobiła. – Daria spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Nie każę im malować elewacji, tylko sprzątnąć. Napracowałam się.

Dzieciaki wykonały polecenie i pobiegły na górę, a ja poprosiłam bratową, żeby usiadła. Chciałam zapakować zmywarkę i zrobić trochę miejsca na blacie, żeby przygotować kawę.

Nie wytrzymała. Zanim przeprowadziłam swój zamiar, zgarnęła resztki z talerzy dla okolicznych kotów, przetarła blaty i włożyła półmiski do zmywarki.

– Daria, dziękuję. Za zajęcie się dziećmi, za obiad. Za wszystko. – Położyłam dłoń na ramieniu bratowej, gdy przycupnęłyśmy nad kawą.

– Daj spokój. Jesteśmy rodziną, a dzieciaki dobrze się razem czują. Wpadajcie, kiedy chcecie.

– A może wy z Krzeskiem chcielibyście kiedyś wyjść do kina czy teatru i zostawić Majeczkę u nas? – zaproponowałam.

– My do teatru? Krzesimir wraca z pracy tak zmęczony, że zasypia przy największej strzelaninie. O moich serialach mogę zapomnieć. Włącza film akcji i pada po dziesięciu minutach. Niestety, kiedy przełączam kanał, twierdzi, że nadal ogląda.

– Kup sobie drugi telewizor – poradziłam.

– Nie potrzebuję. Ostatnio odkryłam nasze lokalne wydawnictwo BookMacher i wypożyczyłam z biblioteki kilka ich książek. Wiesz, że całkiem niezłe? Literatura kobieca, niektórzy mówią o tych pozycjach babszczydła, ale mnie się podobają. Relaksuję się przy nich po całym dniu zmagania z moją czwórka. A co u ciebie?

Wiedziałam, do czego pije. Daria podświadomie zazdrościła mi tego, że wychodzę między ludzi, że codziennie bywam na starówce, nierzadko piję kawę z artystami, którzy sprzedają swoje dzieła w galerii. Jednym słowem: bywam.

Tyle że z mojego punktu widzenia wyglądało to trochę inaczej: codziennie odwoziłam Jasia do szkoły, Zosię do przedszkola, robiłam zakupy, gotowałam obiady. Paweł pracował od rana do wieczora, a jeśli trafił się mu jakiś wolny, przychodziło kolejne zlecenie. Kwitł przy komputerze do późnej nocy. Sęk w tym, że bardzo lubił swoją pracę, więc uciekał w nią, kiedy tylko nadarzała się sposobność. Musiałam ogarniać resztę samodzielnie.

Obie byłyśmy kurami domowymi, tyle że Daria w pełnym wymiarze godzin, a ja po pracy. Wywalczyłam sobie galerię i nie zamierzałam z niej rezygnować, nawet gdybym musiała do niej dokładać. Zwłaszcza teraz, kiedy pozwalała mi na taki luksus firmowa dywidenda, a jutro czekało mnie spotkanie z profesorem Jaromirem Szczęsnym, które być może okaże się dla mojego biznesu nowym początkiem. Tato opiekuje się mną z zaświatów, pomyślałam z uśmiechem i przypomniałam sobie, o czym chciałam porozmawiać z Darią.

– Nie wiem, co myśleć o tej osobie – zaczęłam. – Kim jest ta Dobrosława Kuszewska, ile ma lat? Wuj Marian zapewniał mnie, że po śmierci mamy tato nie wdał się w żaden romans, nie jestem jednak wcale pewna, czy mówił prawdę. Może po prostu jej nie znał? Ale jeżeli przyjąć wersję wuja Mariana, tato musiał spłodzić to dziecko wiele lat wcześniej. Jednak w takim razie dlaczego prawda nie wyszła na jaw? – drażyłam. – Był wspaniałym ojcem, kochał mamę, kochał nas. Nie rozumiem, co mogło się wydarzyć.

Daria słuchała cierpliwie. Zabrała głos dopiero wówczas, gdy się zamyśliłam.

– Weroniko, również Krzesimirowi niełatwo pogodzić się z tą sytuacją. Ale według mnie powinniście ją wyjaśnić. Widocznie mój teść miał romans, który zaowocował ciążą, i postanowił uwzględnić córkę w testamencie.

– A jeżeli ta kobieta, matka Dobrosławy, oszukała tatę? I to wcale nie on jest ojcem jej dziecka? – niemal wykrzyczałam.

– Nie przekonacie się o tym, dopóki jej nie znajdziecie. Są testy, można wszystko sprawdzić – dodała moja bratowa, a ja pomyślałam o szczoteczce do zębów taty, która zapewne wciąż tkwiła w kubeczku na półce w łazience, i o jego grzebieniu z resztką włosów, których mu nie brakowało do samej śmierci.

Daria miała rację. Testy były naszą ostatnią deską ratunku. Matka Dobrosławy mogła tatę wkręcić w ojcostwo, a ten dał się nabrać. Nie tylko ja dopuszczałam taką możliwość, ale również moja bratowa.

– Wuj Marian twierdził podobnie, chociaż na temat pobudek miał inne zdanie – odparłam.  
– Musimy ją odnaleźć. Jestem pewna, że testy nie wskażą na pokrewieństwo tej osoby z tatą. Tyle że sam fakt, że będziemy musieli je robić, nie jest przyjemny.

– Rozumiem, Weroniko, i bardzo współczuję. Może jeszcze kawy?

To zdanie uświadomiło mi upływ czasu. Na dworze zrobiło się ciemno.

Pora wracać do domu, westchnęłam w duchu.

Paweł nie dzwonił, dzieciaki siedziały na górze. Sięgnęłam po torebkę, wstałam z kanapy i je zawołałam.

– Dziękuję ci, Darusiu, raz jeszcze. Za obiad, rozmowę i wszystko. Będziemy lecieć – żegnałam się z bratową.

I polecilibyśmy, gdyby nie Krzesimir. Wtargnął do domu zdenerwowany. Zamaszyście odwiesił płaszcz.

– Wychodzisz? – zapytał mnie, kiedy sięgałam po swój. – Zostań. Musimy porozmawiać. Firma tatusia jest w kompletnej rozsypce.

## Rozdział 25

### Dobrosława

Przez cały wieczór zachodziłam w głowę, w jakim celu pan Wojciech zaproponował mi spotkanie w kawiarni. Przychylałam się do przypuszczeń Niny w tej kwestii, niemniej jednak odczuwałam niepokój. A jeśli ma jakieś zamiary związane z Weną? Chce ją sprzedać i zastanawia się, jak przekazać mi tę straszliwą wiadomość? Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie stać mnie na rywalizowanie z potencjalnym nabywcą. Myśl, że przed wyjazdem chce trochę odchudzić stajnię, była wcale prawdopodobna. Mieliśmy sporo koni, które nie zarabiały, a ich utrzymanie dużo kosztowało. Właściciel miał prawo obawiać się, czy pan Roman, zarządca, utrzyma interes w dobrej kondycji. Z pewnością byłoby łatwiej zrobić to bez obciążeń.

Uświadomienie sobie domniemanej przyczyny spotkania z panem Wojciechem kompletnie wyprowadziło mnie z równowagi.

Nie wspomniałam Mateuszowi o swoich obawach. Nie podzielał mojej końskiej pasji, a właściwie ledwie ją tolerował.

– Kochanie, krzywdę sobie kiedyś zrobisz na tym twoim rumaku! – przestrzegał mnie, maskując niechęć do Weny fałszywym niepokojem o mnie.

– Nie rozumiem, skąd ta nienawiść do mojej klaczy? – Szukałam wyjaśnienia u Zuzy.

– Jest zazdrosny o kawałek twojego świata, do którego nie ma dostępu. – Moja przyjaciółka szybko znalazła odpowiedź. – Bo boi się wleźć na konia w tym swoim garniturze i dotrzymać ci kroku.

Tym razem przesadziła.

– Mogłabyś powstrzymać swój niewyparzony język? – poprosiłam kąśliwie. – Chcesz mnie zniechęcić do Mateusza? Mam być sama przez całe życie? – wybuchnęłam.

Zuza przystopowała.

– Sorry, że tak to zabrzmiało. Chodziło mi o to, żebyś nie rezygnowała ze swoich pasji dla faceta. Lubię Mateusza, ale zależy mi na twoim dobrym samopoczuciu w tym związku. W każdym razie ja bym nie pozwoliła Michałowi mnie ograniczać. Kto powiedział, że jego bilard jest lepszy od moich...? – zawiesiła głos. – Kurczę, ja właściwie, poza pracą, nie mam żadnych pasji! – zakończyła zdumiona.

– A książki? – podsunęłam.

– No właśnie! – przytaknęła. – A ty masz konie. I wspaniale!

Tym razem zabrzmiało dobrze.

Byłam wdzięczna przyjaciółce za wsparcie, ale kontakty z facetami wymykały się rutynie. Hasła: „Bądź sobą w związku”, „Jesteś tego warta” czy gładzenie o równouprawnieniu dobrze wyglądały na plakatach i w reklamowych spotach organizacji feministycznych. Tymczasem życie polega na kompromisach i wzajemnym docieraniu się w krwawym boju. Nie miałam zbyt dużego doświadczenia, ale czułam, że jeżeli nie stoi za tym prawdziwe uczucie, łatwo polec. Dlatego słowa Zuzy, jakkolwiek płynące z dobrego serca i empatii, nie do końca trafiały w sedno. Ja zastanawiałam się raczej, czy pasujemy do siebie z Mateuszem. A właściwie czy wystarczająco się kochamy, by zaakceptować styl życia partnera, jego pasje i zainteresowania.

Mimo wszystko chciałam próbować.

– Witam, pani Dobrusiu – dobiegł mnie znajomy głos, kiedy stanęłam przed kawiarnią.

Weszliśmy do przytulnego wnętrza i zajęliśmy miejsca na wygodnych sofach z aksamitną tapicerką w odcieniu ciemnej zieleni. Ściągnięte ze strychu kanapy zachęcały, by zapaść się w nie na dłuższą chwilę. Sprawily, że niemal zapomniałam o swoich obawach co do tematu

rozmowy.

Po deptaku za oknem spacerowali turyści, a słońce, które nieoczekiwanie wyjrzało zza chmur, rozświetliło wnętrze lokalu, puste o tej porze dnia.

– Czego się pani napije? A może zaproponuję sernik? Bardzo dobry tu dają. – Pan Wojciech przeglądał menu, znakomicie wywiązując się z roli dżentelmena.

– Poproszę latte.

– A może choć kawałek szarlotki? – Spróbował, ale odmówiłam.

Nie byłam w stanie nic przełknąć.

Zestresowana obserwowałam swojego towarzysza. Bez problemu dostrzegłam, że mimo pozornej nonszalancji sprawia wrażenie spiętego.

Prawdopodobnie los Weny został przesądzony, struchlałam. Czekałam na wyrok.

I zostałam zaskoczona. Nad dwiema kawami i kawałkiem sernika poznałam powód naszego spotkania. Jednak najpierw musiałam wysłuchać przydługiego wstępu.

– Pani Dobrusiu, jak mówiłem, wybieram się za granicę... – zaczął pan Wojciech.

Wstrzymałam oddech.

– Znamy się wiele lat i mam nadzieję, że się lubimy i darzymy zaufaniem.

Do czego on zmierza?

– Chciałbym dzisiaj porozmawiać z panią na temat bardzo osobisty, żeby nie powiedzieć, hm, intymny.

Jezus Maria! – przeraziłam się nie na żarty.

– Proszę się nie obawiać – pośpieszył z uspokojeniem mój rozmówca. – Nie nastaję na pani godność i nie zamierzam pani w niczym uchybić.

Jakie wzniosłe i staromodne słowa! O co chodzi facetowi, który ucieka się do tak wysublimowanej retoryki?

Na szczęście pan Wojciech najwyraźniej zreflektował się, że plecie trzy po trzy, i postanowił powrócić do normalnej komunikacji. W końcu przez szereg lat był przedstawicielem firmy farmaceutycznej i współpracował z aptekarzami w całej Polsce, więc potrafił porozumiewać się z ludźmi.

Skupiłam się maksymalnie, bo byłam kompletnie zdezorientowana. Domyśliłam się już, że nie chodzi o Wenę, i przynajmniej w tej kwestii mi odpuścił. Ale w takim razie o co?

– Jak wspomniałem, postanowiłem wyjechać na dłuższy czas za granicę. Uprzedzając pani pytanie: oczywiście, że będzie mi tęskno do koni i atmosfery stajni. Długo nosiłem się z podjęciem decyzji o podróży, która przez wiele lat absorbowała mnie na równi z prowadzeniem stadniny. Nadszedł czas, by zrealizować marzenie. A może szukać wiatru w polu, kto wie? – zasępił się niespodziewanie. – Powiem coś, co wyjawia się wyłącznie przyjaciołom, bo takich, nie licząc pani, nie mam. Kochałem kiedyś pewną kobietę. Miała na imię Marta. I na własne życzenie pogrzebałem nasz związek. Po idiotycznej studenckiej imprezie przespałem się z przypadkową dziewczyną, Mariolą, a ta zaszła w ciążę. Ze złamanym sercem, ale honorowo, ożeniłem się z nią. Nasze małżeństwo okazało się porażką. Tymczasem moja Martusia wyszła za mąż, urodziła dwóch synów... Słowem: ułożyła sobie życie. Po latach udało mi się nawiązać z nią kontakt, próbowałem ją odzyskać. Tak, byłem nie fair wobec jej męża i rodziny. Medalu bym sobie nie przyznał, ale kiedy zobaczyłem ją po latach... Była jeszcze piękniejsza niż kiedyś, uczucie odżyło. Trafiłem na dobry moment, bo jej mąż akurat wyjechał na staż do Paryża, a ona potrzebowała wsparcia. Zaczęliśmy się spotykać. Po jakimś czasie Marta stwierdziła, że nie mamy przyszłości, więc się usunąłem. Wróciłem po pół roku, pod pretekstem współpracy zawodowej, a tak naprawdę by ją zobaczyć. Okazało się, że trzy miesiące wcześniej urodziła córkę, której imienia mi nie zdradziła. Powiedziała tylko, że wybrał je jej mąż, Sambor.

Na dźwięk tego imienia niemal podskoczyłam. Padło już w rozmowie z Mateuszem. To ten profesor i biznesmen, który zmarł niedawno, a wieści o spadku po nim wywołały poruszenie.

– Ostatnią noc spędziliśmy razem dziewięć miesięcy przed narodzinami dziewczynki, więc mogłem być jej ojcem – ciągnął pan Wojciech. – Marta jednak stanowczo zaprzeczyła moim przypuszczeniom i zerwała wszelkie kontakty. Od tej pory nigdy więcej się nie zobaczyliśmy. Z Mariolą się rozszedłem, ale płaciłem na syna do pełnoletności. A potem ona obwieściła mi radosną wiadomość, że nie byłem jego ojcem. Odżalowałem i nie dochodziłem w sądzie rekompensaty. W chwili narodzin Aleksa byliśmy małżeństwem, więc formalnie miałem wobec niego obowiązek alimentacyjny. Pał licho. Rzuciłem pracę w koncernie farmaceutycznym i założyłem stadninę. Jest pięknie, ale potrzebuję odmiany, więc postanowiłem wybrać się w podróż. Mam siostrę w Ameryce, chcę również odwiedzić Australię. Zresztą poza moimi końmi nic mnie tu nie trzyma. Marta zmarła, więc i tak jej nie odzyskam. Ale może odnajdę córkę, która przejęłaby po mnie to piękne miejsce...?

Sekundowałam jego planom, niemniej wciąż nie miałam pojęcia, co ja mam z nimi wspólnego. Do czasu, kiedy mój rozmówca odkrył karty.

– Niedawno przeglądałem dokumenty i wpadła mi w ręce karta członkowska naszego klubu, na której widnieje pani PESEL. Czy urodziła się pani dwudziestego pierwszego września osiemdziesiątego siódmego roku? – zaatakował pytaniem.

– Tak.

– Tego dnia Marta urodziła swoją córkę.

– No i?

– Czy pani jest córką Marty?

Nareszcie dodałam dwa do dwóch. Wojciech Zborowski podejrzewa, że jest moim ojcem!

– Nie! – zaprzeczyłam gwałtownie, trochę zbyt głośno, i natychmiast zakryłam dłonią usta. – Moja mama miała na imię Blanka, a tato Leszek. Nigdy nie znałam kobiety imieniem Marta!

Pan Wojciech natychmiast wyraził skruchę.

– Przepraszam. Tak bardzo pragnę odnaleźć tę kobietę, że trochę się zagalopowałem.

– Nie szkodzi. Tamtego dnia urodziło się zapewne więcej dzieci. W każdym razie to nie o mnie panu chodzi – odparłam łagodnie.

Współczułam mu i na swój sposób rozumiałam. Był sam i łapał się każdego tropu, który mógł go doprowadzić do dziewczynki, a właściwie do trzydziestodwuletniej kobiety, która mogła być mu bardzo bliska.

– Od dawna prześladuje pana przeszłość? – Spojrzałam miękko.

– Pierwszą próbę poszukiwań podjąłem po śmierci Marty. Poszedłem nawet na jej pogrzeb, ale nic z tego. Potraktowałem to jak znak, że powinienem odpuścić. Ale teraz, kiedy natrafiłem w gazecie na nekrolog Sambora Jaremy, postanowiłem działać. Może nawet poszedłbym do ich domu, gdybym kilka dni wcześniej nie trafił na pani PESEL. I jeszcze to imię... Marta mówiła mi, że jej mąż był zakrecony na punkcie słowiańskich imion. I bardzo chciał mieć córkę Dobrosławę. Stąd moja niemal pewność, że trafiłem na właściwą osobę. Zostawmy jednak moje sprawy osobiste. – Pan Wojciech zmienił temat. – Wyjeżdżam za miesiąc albo dwa i zostawiam pani Wenę na własność. Nikt lepiej się nią nie zajmie, a i ona będzie najszczęśliwsza. Tyle na dziś, choć do spraw stajni jeszcze wrócimy – zakończył.

Było mu wstyd, że odkrył swoją największą tajemnicę przed obcą osobą. Spróbowałam go uspokoić.

– Panie Wojtku, życzę panu, by odnalazł pan swoją przeszłość – użyłam wzniosłych słów, zupełnie jak bohaterowie redagowanych przeze mnie książek. – I bardzo dziękuję za Wenę.

Będzie nam obu pana brakowało.

## Rozdział 26

Weronika

Informacja, że firma taty ma kłopoty, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie dalej jak wczoraj czy przedwczoraj Krzesimir epatował intratnymi kontraktami, które miały zapewnić nam dostatnie życie, a tu taka niespodzianka. Jako współwłaściciele należały mi się wyjaśnienia, za co mój brat bierze piętnaście tysięcy miesięcznie. A poza tym jak dalece niekorzystna jest sytuacja.

– Zaniepokoiłeś mnie, brat. Pogadamy. – Odwiesiłam płaszcz, wysłałam dzieciaki na górę i zawróciłam do salonu.

– Zostawię was samych. – Mimo moich protestów Daria wycofała się do kuchni.

Krzesimir ciężko padł na fotel. Jego twarz była jednym wielkim zmartwieniem. Na czole rysowało się kilka rzędów poprzecznych zmarszczek, które upodabniały go do ojca. Przypominał tatę coraz bardziej.

Zajęłam miejsce naprzeciwko i zastygłam w oczekiwaniu. Krzesimir zaproponował mi whisky, którą sam pijał bardzo rzadko. Odmówiłam z uwagi na samochód, więc nalał sobie podwójną porcję.

– Jestem zaskoczony i zdruzgotany – zaczął, kiedy opróżnił szklaneczkę. – Zamiast zysków mamy długi i nic nie wskazuje na to, że szybko się z nich wykopiemy.

– Jakim cudem? Co się dzieje? – podniosłam głos. – Pracujesz w firmie od tylu lat i niczego nie zauważyłeś?

– Niestety. Ja obsługiwałem klientów, kontrakty podpisywał tato. Cieszyłem się jak dziecko, kiedy ściągałem do firmy kolejnego odbiorcę, ale formalności zostawiałem ojcu. Dopiero dzisiaj wziąłem się do buchalterii jak właściciel i przejrzałem transakcje z ostatnich lat. Były bardzo korzystne, przynosiły sporo pieniędzy, stąd między innymi moja pensja. Podobnie zresztą jak Pawła, któremu tato płacił solidnie za obsługę systemu.

– I co zauważyłeś w tych papierach? – Mój niepokój sięgnął zenitu.

– Kiedy Fabryka Syntezy generowała największe zyski, tato wybudował siedzibę. Niestety, kasy nie wystarczyło na całość, więc wziął kredyt. Bank upomniał się o spłatę, tymczasem nasz zysk, aczkolwiek niemały, zaczął spadać. Na świecie pojawiła się ekspansywna konkurencja, więc sprzedawaliśmy taniej. Wiedziałem, że schodzimy z cen, ale nie miałem pojęcia, że tato podejmuje zobowiązania nie do przerobienia.

– Jak to, brat? Byłeś na miejscu i nie potrafiłeś tego dopilnować? Przecież powinienś zorientować się, co się dzieje?

– Straciłem czujność, siostra. – Krzesimir spuścił głowę. – Nie zauważyłem, kiedy tato zaczął grać...

Zastrzelił mnie. W co grać? O co mu chodzi?

– Nasz ojciec był hazardzistą – wyjaśnił.

Na hiobowe wieści o firmie nałożyła się niespodziewana informacja o czymś, co nie mieściło mi się w głowie. Tato hazardzistą?

– Żartujesz! – bąknęłam.

– Trzy lata po śmierci mamy zaczął inwestować na giełdzie. Wspominał mi o tym, i nawet go wsparłem. Trzymanie pieniędzy na koncie przy inflacji nie ma sensu, a poza tym widziałem, jak go wciągnęło inwestowanie. Nareszcie odzyskał wigor i znalazł w życiu nowy sens. Nie pytałem, jak mu idzie, ale chyba szło nieźle, bo konto firmowe nie ucierpiało. Zaglądałem na nie od czasu do czasu, do momentu, kiedy tato mnie odciął, tłumacząc ten

manewr zasadami giełdy. Że niby ma być jedynym właścicielem. Zawsze był poważny i odpowiedzialny w interesach, więc przyjąłem to tłumaczenie z dobrodziejstwem inwentarza. A wiesz, dlaczego zablokował mi dostęp?

Spojrzałam oniemiała.

– Bo potrzebował pieniędzy na hazard.

Krzesimir był po podwójnej whisky. Musiał się mylić.

– Tato grał w kasynie? To niemożliwe! – naskoczyłam na niego.

– Jeździł do Sopotu, do Warszawy – ciągnął mój brat. – Sprawdziłem. Wynająłem detektywa, który ustalił fakty w jeden dzień. Nasz ojciec był stałym bywalcem tamtejszych kasyn i przepuścił kupę pieniędzy. Tak naprawdę to wszystkie aktywa firmy i prywatne oszczędności. Na koncie zostało mu sto tysięcy złotych, do podziału na naszą trójkę i tę córkę z nieprawego łoża! Ale, kurwa, co my zrobimy z Fabryką Syntezy?

Od czasów szkolnych nie usłyszałam z ust najstarszego brata tak mocnego przekleństwa.

Przeraziłam się. Firma, która miała przynosić nam zyski, nagle potrzebowała finansowego wsparcia. Na dodatek nie miałam pojęcia, jak dużego.

– Krzesek, co zamierzasz? – zadałam jedyne pytanie, jakie przyszło mi do głowy.

– W pierwszej kolejności musimy ustalić, ile musimy dołożyć do firmy. Nie chodzi tylko o kredyt bankowy. Nasz ojciec hazardzista podpisywał umowy nie do zrealizowania. Rozumiesz? Doskonale wiedział, że się z nich nie wywiąże! Ale potrzebował kasy na grę i jak każdy hazardzista miał nadzieję, że się odegra i odbuduje imperium. Przepuścił wszystko.

Przyszłość rysowała się ponuro. Rozumiałam tyle, że firma ma długi, a nam brakuje pieniędzy na wierzycieli. Niepotrzebnie zgodziłam się zatrzymać udziały, pomyślałam. Jędrzek miał lepszego nosa, uciekając z pokładu.

– Krzesek, czy uważasz, że uda się uratować ten biznes? – zapytałam pogiębiona lawiną złych wiadomości.

– Nie wiem, siostra, ale będę się starał. Po pierwsze, musimy sprzedać budynek i spłacić bank. Wynajmę kilka pomieszczeń od uniwersytetu, jak w czasach, kiedy ojciec zaczynał, pozostawię niewielu pracowników i oczywiście obniżę sobie pensję do średniej krajowej. Ale to pewnie nie wystarczy. Żeby spłacić długi wynikające z kar umownych za niezrealizowane kontakty, będziemy musieli wykopać pieniądze spod ziemi. Powiem ci ile, gdy tylko szczegółowo zapoznam się z księgowością. Uważam, że kasa za dom po rodzicach powinna wystarczyć. A potem zaczniemy od początku.

Ta nuta optymizmu była jak balsam na moje zbolełe serce. Tyle że w świetle testamentu jedna czwarta domu rodziców należała do nieślubnej córki ojca.

W myślach przestałam nazywać go tatą. I zakomunikowałam to bratu.

– Werka, teraz musimy odnaleźć tę Dobrosławę Kuszewską. Wuj Marcin przekonał mnie, że bez tego nie ruszymy z miejsca. – Krzesimir był wściekły. – Cholera jasna! Nie dość, że hazardzista, to jeszcze podrzucił nam kukułcze jajo! Cudnie! Jakim spadkiem mamy się podzielić z tą siostrzyczką? Gdyby chociaż była współwłaścicielką firmy, musiałyby razem z nami spłacać jej długi. Ale nie. Tatuś zostawił bałagan w Fabryce Syntezy, a jej czyste pieniądze w domu i na koncie! Z oszczędnościami się nie wysilił, raptem sto tyśiaków, ale dom jest trochę wart. A ja, głupi, sądziłem, że przekazanie nam firmy to taki honorowy gest w kierunku dzieci z prawego łoża!

Niestety, nie on jeden. Ja również czułam się koszmarnie zawiedziona i żadne rysunki nie były w stanie tego zmienić. I spanikowana, że pieniądze ze sprzedaży siedziby firmy i domu nie wystarczą na zobowiązania i trzeba będzie dokładać ze swoich. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam.

– I co teraz? – zapytałam.

– Spokojnie, siostra. Jutro przejrzę dokumenty i podliczę zobowiązania. Jeżeli zechcesz wycofać się z firmy, zrobisz to, kiedy czarno na białym przedstawię ci jej sytuację. Nie mogę wymagać, żebyś pozostała na pokładzie tonącego okrętu. Sądzę, że uda mi się wyprowadzić ten biznes na prostą, ale nie daję gwarancji. Zastanów się.

Powinam czym prędzej uciec i porzucić zobowiązania, ale nie byłam w stanie.

– Zostaję, brat. Damy sobie radę.

Wychodziłam od Krzesimira z iskierką nadziei w sercu. Tata mnie zawiódł, ale nie miałam powodu, by nie wierzyć w brata. Miał na utrzymaniu pięcioosobową rodzinę i miejsce pracy, któremu poświęcił kilka ładnych lat. A nawet gdyby nie miał, był moim bratem, którego chciałam wspierać.

## Rozdział 27

### Dobrosława

Historia pana Wojtka nie dawała o sobie zapomnieć, tym bardziej że to ja mogłam być jej główną bohaterką. Miałam ogromną ochotę podzielić się nią z kimś bliskim, ale intuicja podpowiadała, by nie wciągać w sprawę Mateusza. Byłam winna panu Wojtkowi dyskrecję, tymczasem uważałam, że mój partner, mimo wykonywania zawodu zaufania publicznego, nie należy do osób, które potrafią trzymać język za zębami. Podobnie jak całe prawnicze środowisko. Nie dalej jak dziś Mateusz plotkował ze mną przy lunchu o zmarłym profesorze Samborze Jaremie, który jakoby miał zapisać część swojego majątku nieślubnej córce. Jakim cudem taka informacja wypłynęła na zewnątrz?

Nawiasem mówiąc, Mateusz niejednokrotnie dzielił się ze mną hitami *top secret*, a kiedy nie wyrażałam zachwyty ich ujawnianiem, zawsze znajdował usprawiedliwienie.

– Kochanie, światem rządzą ludzie, którzy wiedzą więcej niż inni. Informacja to pieniądź.

– A gdzie tajemnica zawodowa?

– Przecież gdy się czegoś dowiaduję, nie lecę z tym do gazet, a przekazuję wyłącznie tobie. A później wykorzystuję w odpowiednim momencie. Zresztą jeżeli nie znasz zasad, to się nie wypowiadaj – kończył rozdrażniony.

Faktycznie, nie miałam ochoty na poznawanie faktów i plotek o „ważnych osobach”, niemniej od czasu do czasu musiałam. Odnosiłam wrażenie, że Mateusza ta wiedza dowartościowuje i usiłuje mi nią zaimponować.

Właśnie dlatego nie zamierzałam z nim rozmawiać o panu Wojciechu. A nuż rzuciłby się na poszukiwania potencjalnej córki właściciela stadniny, wietrząc przyszłe zyski Bóg wie jakie? Tyle że ja przy okazji straciłabym zaufanie przyzwoitego człowieka. Może nawet straciłabym Wenę, a tego nie chciałam za nic na świecie.

Najwłaściwsze do obgadania sprawy były Zuza albo Nina, na których dyskrecję zawsze mogłam liczyć. Los mi sprzyjał.

Mateusz wyjeżdżał na weekend w góry do rodziców, a Nawojka planowała spędzić piątkową noc u koleżanki.

– Mamusiu, zgodzisz się? – Wlepiała we mnie błagalny wzrok, gdy odebrałam ją ze szkoły.

– Ale to jeszcze kilka dni... – próbowałam odwlec decyzję.

– Mama Marysi zadzwoni do ciebie dzisiaj. Tak bym chciała! Będziemy piec ciasteczka, a potem bawić się lalkami. Wiesz, ile Marysia ma lalek i ubranek? Przygotujemy pokaz mody!

Miękłam, zwłaszcza że myśl o wolnym wieczorze kusiała.

Po rozmowie z mamą Marysi i ustaleniu szczegółów zadzwoniłam do Zuzy z radosną propozycją.

– Co byś powiedziała na babski wieczór ze mną i Niną? – Bez wstępów przeszłam do sedna. – Pozbywam się Nawojki na piątkową noc i mam wolną chatę.

– Mateusz ją gdzieś zabiera?

– Jego też nie będzie. Ma rutynowy wyjazd na rocznicę ślubu rodziców. Podobno jeszcze za wcześnie, żebyśmy pojechali razem. A małą upchnęłam u jej koleżanki. Co prawda niebawem czeka mnie rewizyta, ale co tam! Przyjdziesz? Bo muszę jeszcze zadzwonić do Niny.

– Okej, będę. Robimy po sałatce czy zamawiamy pizzę?

Zachwycona zobowiązałam się zapłacić stół samodzielnie.

– Coś przygotuję. A ty w ramach prezentu możesz mi podrzucić jakąś książkę do

redakcji. – Spróbowałam przy okazji upiec własną pieczeń.

Wystukiwałam numer Niny w strachu, że będzie miała wieczór zajęty przez pana Witka, ale moje obawy okazały się płonne. Zareagowała ochoczo.

– Myślałam o tobie, bo mam wolny weekend – usłyszałam. – Chciałam nawet wybrać się z wami do stadniny, broń Boże, żeby jeździć konno, tylko na kawę i może na zapiekankę, bo ta twoja ostatnio bardzo mi smakowała. – Wyczułam dobry nastrój. – Ale babski wieczór, w dodatku w towarzystwie dawno niewidzianej siostry i ciebie, to dopiero gratka! Co przynieść?

Nie chciałam niczego od Zuzy, dlaczego zatem od Niny? No, może z jednym wyjątkiem.

– Butelka wina będzie w sam raz – powiedziałam. – Reszta po mojej stronie.

Chwilowo byłam bezrobotna, więc piątkowe przedpołudnie spędziłam najpierw na studiowaniu przepisów, a potem na zakupach. Zafiksowałam się na jarmuż.

Rzadko korzystałam z dobrodziejstw tego warzywa, ale kiedy przeczytałam o jego zbawiennych właściwościach, postanowiłam zaryzykować. Eksperyment mógł zaowocować chwałą albo kompletną porażką.

Tagliatelle z jarmużowym pesto wydało mi się dość proste. Wystarczyło zdobyć orzeszki pinii, parmezan, czosnek i zblendować to wszystko z oliwą i liśćmi. Do tego makaron, oczywiście ze sklepu. Rodzinna legenda głosiła, że prababcia miała stolnicę, która zajmowała poczesne miejsce w kuchni. „Niedzielny rosół nie jest rosółem bez domowego makaronu”, mawiała. Ale już ani jej córka, ani wnuczka nie pokalały się gniecieniem ciasta.

Babci nie znałam. Zmarła przed moimi narodzinami. Dziadek Jan ożenił się po raz drugi z niejaką Jadwigą, ale kontakty z nową rodziną dziadka praktycznie nie istniały. Rzadko, może kilkakrotnie, dziadek Jan nas odwiedził. Zawsze sam; jego żona miała własne córki, a później i wnuki. Ale i tak cieszyłam się z tych wizyt, bo przywoził mi jakiś prezent i zabierał do parku na spacer.

Jednak po śmierci mamy kontakt z jej bliskimi ustał. Ograniczał się do sporadycznej wymiany świątecznych kartek z wujkiem Włodkiem i jego żoną Mileną. Ich synowie, a moi kuzyni Irek i Zbyszek, osiedli w Anglii. Nie miałam pojęcia, czy dziadek żyje; moje próby dzwonienia na numer stacjonarny nie przynosiły rezultatu. A numeru komórki nie znałam i nie mogłam zawiadomić go nawet o śmierci mamy. Przed sześciu laty pomógł wuj Włodek i przywiózł ojca na pogrzeb córki.

Również mój tata był rodzinnym singlem, czyli miał tylko nas. Starszy od mamy, przesiadywał niczym wilk samotnik w swoim gabinecie i pisał książki dla dzieci, opowieści o fantastycznym, bajkowym życiu małych ludzi, zawsze zakończone happy endem. Miałam je wszystkie na półce i powracałam do nich w trudnych momentach. Starannie wycierałam kurz z grzbietów, a z czasem nawet kupiłam w Ikei regał z szybką, by przetrwały jak najdłużej.

Może życie poskąpiło mi dużej rodziny, ale kochająca mama i wspaniały tato dawali mi wszystko, o czym mogłam zamarzyć. Tęskniłam za nimi każdego dnia.

Nie miałam pojęcia, co mnie wzięło przy tym jarmużu, ale musiałam otrzeć łzy, które podstępnie napłynęły mi do oczu. Ogarnęłam się i sięgnęłam po blender. Po chwili zielony sos z dodatkami był gotów, a makaron dochodził w garnku. Pozostała mi jeszcze wariacja na bliskowschodnią szakszukę, oczywiście z jarmużem, królem dzisiejszego stołu, w roli głównej.

Do przyjścia Zuzy i Niny pozostało mi zaledwie pół godziny. Według przepisu podsmażyłam ziarna ugotowanej soi i ciecierzycy, dodałam pomidory z puszki, fasolkę szparagową, brokuł i liście jarmużu. Powoli podgotowałam je pod przykryciem i odstawiłam. Z wbijaniem jajek musiałam poczekać na gości, ale przygotowałam w miseczce orzeszki pinii i nasiona słonecznika, którymi zamierzałam oprószyć potrawę.

Zuza i Nina nadeszły razem, machając dwiema butelkami wina.

– Napojów nam chyba nie zabraknie? – spojrzałam znacząco na oddychający już na stole furmint palandor z regionu Tokaju. Jak wyczytałam w internecie, miało zapewnić, cokolwiek to oznaczało, „większy wigor w kieliszku i długi, majestatyczny finisz”.

– Jaki wigor? Jaki finisz? – Zuza zareagowała śmiechem na moją świeżo nabytą wiedzę. – Widzisz tu jakichś facetów? – Zerknęła na siostrę. – No, chyba że Dobrusia ściągnie ich jako dodatek do wina...

– Śmieście się, ile chcecie! – mruknęłam. – Otworzyłam najdroższe wino z zapasów Mateusza. Postanowiłam zapewnić nam „aromat świeżych jabłek, kamienną mineralność, lekką kwasowość i krystaliczność górskiego potoku” – wyrecytowałam kolejną lekcję przyswojoną od wujka Google’a. – Proszę poleć, spróbować i chwalić pod niebiosa! – wydałam dyspozycję, z werwą wbijając ją do szakszuki.

Nasze spotkanie zostało zainaugurowane kieliszkiem węgierskiego cudu natury, który okazał się całkiem przyzwoitym trunkiem, więc nie czekałyśmy długo z uzupełnieniem kieliszków.

– Kto to wszystko zje? – wykrzyknęła Nina na widok wypełnionych jarmużowymi smakołykami żaroodpornych naczyń, które wylądowały na stole.

– Czekają nas długi wieczór. A świece pod spodem utrzymają temperaturę – odparłam. – Oby smakowało!

Z przyjemnością obserwowałam, jak moje przyjaciółki wcinają jarmużowe eksperymenty, i cieszyłam z ich towarzystwa. Od dawna nie udawało nam się spotkać we trzy, więc z radością kosztowałam atmosferę babskiego wieczoru.

Ostatnio moje życie się ustabilizowało. Nawojka dobrze czuła się w szkole, a nawet zyskała „najlepszą przyjaciółkę” Marysię. Mateusz, może nie do końca idealny, ale trwał przy mnie, a nawet zaopatrywał nas w wino. Niebawem miałam stać się jedyną właścicielką Weny, która według zapewnień pana Wojciecha mogła korzystać z wiktury tajni. Zuzka przysłała mi nową książkę do redakcji, więc w najbliższym czasie czekało mnie zajęcie i przyływ gotówki.

– Ile mam czasu? – zapytałam.

– Dwa, trzy tygodnie. Powinna się dobrze redagować. Przechwyciłam z innego wydawnictwa dobrą autorkę, więc chyba nie będzie dużo roboty – odparła skromnie Zuza.

Była coraz lepsza. Skromne, lokalne wydawnictwo rosło w siłę i zaczynało liczyć się na rynku. Może nawet wypłynie na tych hinduskich klimatach? – pomyślałam o niedawno skończonej książce. W końcu byłam tylko redaktorką, podczas gdy Zuza mózgiem sukcesu. Wiedziała, co robi.

– Kogo? – zainteresowałam się. A kiedy padło nazwisko, gwizdnęłam. – Wow! Jak ci się udało zwerbować taką gwiazdę?

– Bardzo prosto. Dałam jej więcej zarobić – odparła i podniosła kieliszek jak do toastu. – Tylko się przyłóż! – Łypnęła na mnie z udawaną groźbą.

– Tak jest, szefowo – odparłam, salutując.

I jak na komendę odwróciłyśmy się do Niny. Miała prawo czuć się pominięta.

– Co u Witka? – zapytała Zuza.

– W porządku – mruknęła Nina zdawkowo.

– Ninuś, przepraszam, że my tak ciągle o wydawnictwie! Koniec z tym. – Zasznurowałam gestem usta. – Może winka? – Próbowałam ratować atmosferę.

Na szczęście podsunęła kieliszek, więc się nie obraziła, ale chwilowo straciła ochotę na zwierzenia.

– Dajcie spokój. Nie wiem, jak mu się ułoży z Lenką. Nasze procedury są bardzo wymagające, więc do adopcyjnego ojca daleka droga.

– Siostra, nie pytam o adopcję, tylko jak ci się układa z tym gościem? – Zuza przeszła do sedna.

Jak to ona, centralnie między oczy. Znałyśmy ją od tej strony doskonale.

– A wiecie, że dobrze? – Zaskoczyła nas pewność w głosie Niny. – Miałam nie mówić, ale ten alkohol... – Zerknęła na winowajcę. – No dobra! – odchrząknęła.

Wyczułam, że gdyby nie podlany alkoholem impuls, Ninka siedziałyby w kąciku kanapy, z boku obserwując nasz dialog z Zuzą. Zamilkłyśmy zgodnie w oczekiwaniu na wiadomość, która zawisła w powietrzu. Ja się domyślałam jej treści, nie miałam pojęcia, czy Zuza też.

Nina zawahała się i jeszcze przez chwilę trzymała nas w niepewności.

– Witek mi się oświadczył.

Moja przyjaciółka dobijała wreszcie do bezpiecznego portu. Należało się jej po latach samotności, dobroci dla innych, pogodzenia z życiem. Jednak moje zadowolenie z takiego stanu rzeczy trąciło egoizmem, którego wstydziałam się przed światem. Ale jeżeli jej się udało, to może i mnie czeka cudowna przyszłość u boku Mateusza? Może nadszedł czas na szczęśliwe rozwiązanie?

– Cudownie! – usłyszałam głos Zuzy.

– Cieszę się razem z tobą! – dodałam.

Widziałam zakochaną szczęśliwą kobietę, która przyjęła oświadczyzny wybranka. Nie musiałam pytać, czy chce spędzić z Witkiem całe życie. I z Lenką, o którą się starał. Przytuliłam ją mocno, czując na sobie uścisk Zuzy.

Trwałyśmy w nim wszystkie trzy – przyjaciółki od dzieciństwa, od czasów, kiedy nasze mamy, ich Magda i moja Blanka, pracowały razem na uczelni. Fajnie, że Nina trafiła na przyzwoitego faceta.

– Za ciebie, za Witka i za was oboje! – Zuza wzniosła niewyszukany toast. – Pożenię najpierw was, a potem Dobrusię z Mateuszem. Mam nadzieję, że obie weźmiecie mnie na drugą.

Zapanował radosny nastrój. Podkręciłyśmy muzykę, ruszyłyśmy w szalony taniec. Odpadłyśmy po kolejnej piosence.

– Uff! Chce mi się pić! – Zuza padła na kanapę i powachlowała się dłonią.

Nina wyszła na balkon, by zaczerpnąć powietrza. A ja przypomniałam sobie, że też mam ważny temat do poruszenia. Utwierdził mnie w tym kolejny kieliszek wina.

Zgarnęłam obie przyjaciółki do stołu i przekazałam im treść rozmowy z panem Wojtkiem.

– Niezły numer! – podsumowała Zuza. – Gdybyś okazała się jego córką, mogłabyś odziedziczyć stadninę.

Obruszyłam się.

– Ale ja już miałam ojca! Współczuję panu Wojtkowi i jestem mu bardzo wdzięczna za podarowanie Weny. Oby odnalazł córkę! – dodałam. I wystrzeliłam z kolejną rewelacją: – Wiecie, że ten Sambor Jarema, który niedawno zmarł, przekazał część majątku swojej córce z nieprawego łoża? Nie pojawiła się na otwarciu testamentu, a rodzina nie ma pojęcia, gdzie jej szukać – chlapnęłam, roznosząc plotki niczym Mateusz.

Moje przyjaciółki, już nieco pod wpływem, podchwyciły temat.

– To może, ponieważ nie udało ci się zostać córką szefa stadniny, zostaniesz spadkobierczynią Jaremy? – zażartowała Zuza.

– Faktycznie! Przyda mi się trochę kasy. – Wkręciłam się w dobry nastrój. – Wiecie co? Ten jarmuż był okej, ale może zamówmy sobie pizzę?

## Rozdział 28

Weronika

I tak właśnie przedstawia się sprawa spadku po tacie – kończyłam relacjonować mężowi rozmowę z Krzesimirem.

Paweł był spokojnym, by nie powiedzieć nieco flegmatycznym człowiekiem, lecz tym razem złe wiadomości poważnie nim zatrzęsły.

– Co ten mój teść nawywił? – Przemierzał pokój wszerz i wzdłuż, nerwowym gestem przeczesując włosy. – Gdyby nie fakt, że informacja pochodzi od Krzesimira, nigdy bym w nią nie uwierzył!

– Przecież często bywałeś w firmie i miałeś wgląd w system. Nie odebrałeś żadnych niepokojących sygnałów?

– Kochanie, nie wchodziłem przecież do banku ojca. A jeżeli nawiązujesz do zachowania Sambora, to rzeczywiście, nie zauważyłem żadnych odstępstw od normy. Wiesz, że on przez całe życie pracował również na uniwersytecie, więc jego nieobecność w firmie nikogo nie dziwiła. Informował, że wyjeżdża na sympozjum, konferencję czy obronę pracy doktorskiej, i obywaliśmy się bez niego. Kto mógł przypuszczać, że w tym czasie odwiedza kasyna?

Mój mąż miał rację. Niepotrzebnie oskarżałam go o brak czujności, skoro nawet Krzesek nie zauważył niczego dziwnego.

– I co dalej? – Paweł wyrwał mnie z chwilowej zadumy. – Będziemy spłacać firmowe długi? Bo pieniędzy ze sprzedaży siedziby i domu może nie wystarczyć.

Czy on chce mnie namówić, żebym zostawiła Krzesimira samego z problemem?

– Mam odmówić bratu pomocy? – naskoczyłam na Pawła porażona tą myślą. – Liczymy, że wystarczy, ale szczegóły poznam, dopiero gdy Krzesek podliczy straty. Paweł, ta firma to jedyne źródło utrzymania jego rodziny i musi przetrwać. Nie mogę i nie chcę zostawić go w kłopotach, nawet gdybym musiała dołożyć ze swoich pieniędzy. Oczywiście za twoją zgodą – dodałam pokornie, zdając sobie sprawę, że mamy oszczędności głównie dzięki jego dochodom.

Gotowa do walki czekałam na reakcję męża. Gdyby odmówił, chyba wydrapałabym mu oczy. Na szczęście nie musiałam. Paweł stanął na wysokości zadania i powiedział coś, co podziałało jak balsam na moją zbolełą duszę.

– Weroniko, to oczywiste, że w ramach możliwości dołożymy do firmy. Ojciec dobrze mi płacił, a poza tym nieraz dostaliśmy wsparcie od rodziców. Jak widać, nadszedł czas na rewanż.

– Dziękuję! – Przepelniona wdzięcznością padłam mężowi w ramiona.

Odsunął mnie, by nasze oczy mogły się spotkać, i z przekornym spojrzeniem dokończył wypowiedź.

– Nie jestem taki dobry, na jakiego wyglądam. Wierzę, że Krzesimir odbuduje firmę, a my zarobimy jako jej udziałowcy. To tylko przejściowe kłopoty, kochanie.

Łzami ulgi zamoczyłam jego wyciągnięty stary sweter, którego, mimo wyraźnych śladów zużycia, nie pozwalał wyrzucić. Wiedziałam, że hojność Pawła to ukłon w moją stronę, a nadzieja na przyszłe zyski. Zarabiał wystarczająco dużo, by zapewnić nam dostatnie życie. W tym momencie byłam gotowa się zobowiązać, że do końca życia będę odprowadzać dzieci do szkoły i chodzić na wszystkie wywiadówki. Jednej jedynej rzeczy nie miałam zamiaru odpuścić.

Mój mąż znał mnie doskonale.

– Tyle że... W tej sytuacji z wyjazdu do Jędrka do Neapolu raczej będą nici.

Westchnęłam pokonana.

– Żartowałem! – wycofał się natychmiast. – Nie sądzisz, że przyda się nam odskocznia

od tych wszystkich wrażeń?

Byłam w domu. Miałam wsparcie Pawła, a w sercu ogromną wdzięczność do losu, że mi go zesłał. Tym spostrzeżeniem podzieliłam się następnego ranka z Aniela.

– No widzisz? Zawsze ci powtarzałam, że Paweł to porządny gość! I do tego zarabia, co, kochana, nie jest bez znaczenia. – Moja przyjaciółka zasępiła się nieoczekiwanie. Po chwili dodała, że jej Jacek znów jest bez pracy. – Firma chciała go przenieść na kilka miesięcy do Wrocławia, żeby stworzył tam oddział. Niestety, mój małżonek nie przyjął propozycji, bo staramy się o dziecko. Rozumiesz? Trwa to od kilku lat, więc tych kilka miesięcy chyba niczego nie zmieniło? A on złożył wymówienie i szuka roboty. W tak stresującej sytuacji i tak nie zajdę w ciążę. – Zrezygnowana machnęła ręką. – Werka, przecież nie utrzymamy się z moich nędznych dochodów!

Aniela podziwiała mojego Pawła, ja byłam pełna uznania dla jej Jacka. Może rzeczywiście nie był stały w uczuciach do swoich pracodawców, których zmieniał jak rękawiczki, ale zależało mu na dziecku. A to rzadka męska cecha.

– Kiedy urodzimy (wyłącznie w taki sposób przedstawiał swój stosunek do posiadania potomstwa), wezmę urlop tacierzyński i zostanę z maluchem w domu. Myślisz, że nam się uda? – podpytywał mnie na jednej z imprez, na której byliśmy z Pawłem.

– Oczywiście – wspierałam go słowem, ale nie nazbyt szczerze.

Wiedziałam, że Aniela cierpi na endometriozę, co znacznie osłabiało jej szanse na zajście w ciążę. Ale przecież ich nie przekreślało. Trzymałam kciuki za przyjaciół, za ich dobre małżeństwo, które brak dzieci może kiedyś zniszczyć. A byłoby szkoda, bo tych dwoje, mimo różnic, naprawdę do siebie pasowało.

Dzisiaj po raz kolejny przyszło mi gasić rodzinny konflikt.

– Jacek znajdzie pracę, bo zawsze znajduje – powiedziałam. – Przecież wiesz, że jest wspaniałym marketingowcem. Ktoś się o niego upomni. A w razie problemów finansowych zawsze możesz liczyć na nas – zadeklarowałam, zanim ugryzłam się w język.

– Dzięki. A teraz... O Boże, przecież dochodzi dziesiąta! – Aniela zerknęła na zegarek i wpadła w przerażenie. – Mamy spotkanie ze Szczęsnym! Ale wiesz co? – zawahała się niespodziewanie. – Może będzie lepiej, jak pójdziesz sama?

– Bo?

– Werka, on wyraźnie dał do zrozumienia, że interesuje go twoja osoba. Użył nawet twojego panińskiego nazwiska: Jarema. Jeżeli któraś z nas ma załatwić poplenerowe prace studentów do naszej galerii, to jesteś nią ty. Idź i podpisz umowę. Potrzebujemy pieniędzy, a szczególnie ja, bo ty masz Pawła i spadek po ojcu. Proszę. – Posłała mi błagalne spojrzenie.

Nie wiem, czego mógł chcieć ode mnie profesor sztuk pięknych, według Anieli niegdysiejszy lowelas, ale moja przyjaciółka rzuciła mnie na przynętę. Jednak wbrew temu, co sobie wyobrażała, ja również potrzebowałam pieniędzy. I z takim nastawieniem poszłam na spotkanie.

Pana mistrza rzeźbiarza nietrudno było zauważyć. Po wejściu do kawiarni od razu dostrzegłam niedbałą sylwetkę rozpartą na kanapie z epoki pod oknem. Szyję Szczęsnego otulała bordowa aksamitowa apaszka, a na serdecznym palcu połyskiwał sygnet. W dodatku pan dobrze urodzony, pomyślałam kąśliwie.

Nie zamierzałam stresować się jego emploi. Byłam skoncentrowana na celu, czyli dogadaniu wystawy.

– Dzień dobry. Weronika Schulz. Moja współpracowniczka Aniela nie mogła przybyć. Czy wystarczy panu moja obecność...? – teatralnie zawiesiłam głos.

Wyglądał na zadowolonego.

– Oczywiście. Proszę usiąść i się rozgościć. Zaraz zamówię dla pani herbatę? Czy kawę?  
– sondował. – A może kieliszek wina?

Mimo wczesnej pory wyraziłam ochotę na ostatnią propozycję, licząc, że pan artysta nie odmówi sobie łyżeczki alkoholu dla towarzystwa. Z doświadczenia wiedziałam, jak zbawienny wpływ na rozmowę i podpisywanie kontraktów mają procenty.

Połknął haczyk.

– Poproszę dwa kieliszki czerwonego wina. – Skinął na kelnerkę i umościł się wygodniej.

Zaczęliśmy od pogody za oknem i innych równie błahych spraw. Do sedna przeszliśmy, kiedy na stoliku stało pełne szkło.

Szczęśny zgrywał luzaka, a ja dzielnie dotrzymywałam mu kroku. Przed oczami miałam już ściany naszej galerii obwieszane obrazami na sprzedaż. W myślach dokonywałam wyceny i szacowałam zyski.

Pan Jaromir okazał się całkiem cwany i twardym negocjatorem.

– Dam wam dwadzieścia procent – zaproponował wysokość prowizji.

– Tak by było wówczas, gdyby obrazy wisiały tydzień. – Nie zamierzałam tanio sprzedać skóry. – A pan proponuje cztery tygodnie. To będzie kosztować trzydzieści pięć procent. Mam pełne obłożenie i nie mogę zaakceptować innej stawki.

Oczywiście opowiadałam bajki, a niektóre obrazy wisiały w galerii miesiącami, ale gość nie musiał o tym wiedzieć. A we mnie wzbierała determinacja, która kazała mi iść naprzód.

Szczęśny się zastanawiał, chociaż czułam, że to zastanowienie pozorne. Był zdecydowany, ale musiałam poczekać na oznajmienie mi tej decyzji. Dałam mu szansę.

– Przepraszam, muszę na chwilę wyjść. – Sięgnęłam po komórkę, sygnalizując konieczność wykonania telefonu.

Zadziałało. Po powrocie zgodził się na moje warunki.

– W takim razie spotkajmy się w galerii, by podpisać umowę.

W obliczu wymarzonego kontraktu zagrało mi w duszy, ale starałam się zachować kamienną twarz. Możemy zarobić z Anielą nawet dwadzieścia tysięcy złotych! Bingo! Przekonałam Szczęśnego.

– Może jutro o dziesiątej? – zaproponowałam.

– Będę. A teraz przechodzę do prywaty. – Zastrzelił mnie bezpośredniością. – Mam do pani osobiste pytanie.

Oby nie chciał niczego w zamian za kontrakt!

– Weroniko – zwrócił się do mnie po imieniu. – Jesteś córką Sambora, prawda?

Nie mogłam zaprzeczyć.

– Chciałbym prosić cię o pomoc. Wiem, że zmarł pani ojciec, Sambor Jarema, składałam szczerze kondolencje. Chodzą słuchy, że pozostawił część majątku swojej córce z nieprawego łoża, niejakej Dobrosławie Kuszewskiej. Rzecz w tym, że ja... Jestem ojcem Dobrosławy.

– Nie rozumiem...

– Wszystko pani wytłumaczę, ale najpierw muszę ją odnaleźć. Ma pani z nią kontakt?

## Rozdział 29

### Weronika

Byłam w szoku. W ciągu kilku dni drugi mężczyzna przyznawał się do Dobrosławy Kuszewskiej. Widać jej mama musiała prowadzić bogate życie. Ciekawe, ilu jeszcze panów ustawi się w kolejce? – pomyślałam z przekąsem, choć niezwykle wyznanie Szczęsnego dawało nadzieję na odsunięcie córki ojca od spadku.

– Nie mam kontaktu z tą osobą – odparłam zgodnie z prawdą. – Niemniej jednak mnie również zależy na odnalezieniu jej, więc powinniśmy zwrzeć szyki i działać razem. Ale... Skoro to pan jest ojcem, nie rozumiem roli, jaką w całej tej sytuacji odegrał mój tato i dlaczego po śmierci przyznał się do ojcostwa.

Pan Jaromir odchrząknął, zbierając siły na szczerą odpowiedź, choć, jak stwierdził, ta mogła sprawić mi ból. Zachęciłam go do wyznań.

– Zatem dobrze. Zacznę od początku. Jako młody doktor miałem romans ze swoją studentką Blanką Kuszewską. Dużo więcej niż romans. Byliśmy z sobą niemal trzy lata. Niezbyt zrecznie mi o tym mówić, bo byłem wówczas żonaty z Aleksandrą, która pracowała ze mną na wydziale. Leczyła się na bezpłodność, zajmowała chorymi rodzicami, trudno mi było ją opuścić. W pewnym momencie Blanka zaczęła naciskać na wspólne życie, a kiedy zbyt długo ją zwodziłem, zostawiła mnie i wyjechała na staż do Paryża. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca i pojechałem za nią z nadzieją, że do mnie wróci. Obiecywałem jej złote góry, zapewniałem, że rozstanę się z Aleksandrą, ale nie uwierzyła. W Paryżu poznała pani ojca i nietrudno było dostrzec, że obdarzyła go uczuciem. W trakcie naszych dwóch paryskich spotkań nie przestawała mówić o nim i jego synach, którym wybierała prezenty pod choinkę. Zapamiętałem, że ten jej kochaś, przepraszam, zagalopowałem się, pan Sambor Jarema, nadawał swoim dzieciom oryginalne słowiańskie imiona: Krzesimir i Jędrzej. A córkę chciał nazwać Dobrosława. Wspominam o tym, bo ma to związek z opowiadaniem – wyjaśnił. – Wiedziałem, że straciłem szanse u Blanki, ale na koniec naszej znajomości poszliśmy jeszcze raz do łóżka. Potem całkowicie się ode mnie odcięła. Urodziła córkę, właśnie Dobrosławę, zapewne żeby zrobić przyjemność Samborowi. Doniósł mi o tym znajomy z konserwacji, na którą, nawiasem mówiąc, nie wróciła po urlopie macierzyńskim. Przestałem się nią interesować – ciągnął. – Najpierw zmarł mój teść, potem teściowa, żona zapadła na depresję po kolejnym poronieniu. Przygniótł mnie ogrom rodzinnych nieszczęść i prawdę mówiąc, leczyłem rany w ramionach kolejnych studentek. Biję się w piersi za swoje niechlubne zachowanie, choć teraz i tak nie ma ono znaczenia. Tkwiłem w związku z Aleksandrą. Kiedy wreszcie urodziła dziecko, odzyskałem nadzieję na odbudowę naszej relacji. Niestety, córeczka miała słabe serce i zmarła po ośmiu miesiącach, a wraz z nią nasze małżeństwo. Cierpiałem po śmierci dziecka, wspominałem Blankę, a nawet przeszło mi przez myśl, że jestem ojcem Dobrosławy. Ale wciąż czułem się urażony, że zostawiła mnie dla pana Jaremy. Aż do teraz.

– Skąd ta zmiana? – przerwałam ciszę po tym wyznaniu.

– Mam siedemdziesiąt pięć lat i jestem chory. Nie wiem, ile życia mi zostało, ale niezbyt wiele. Chciałbym komuś przekazać schedę. No i byłoby miło wiedzieć, że pozostawiam po sobie nie tylko mieszkanie i rzeźby. Pomyślałem, że warto by było odnaleźć córkę Blanki. Wiadomość o śmierci profesora zmobilizowała mnie do działania, wie pani, taki znak od losu. Przeszukałem internet, strony społecznościowe, ale nie znalazłem najmniejszej wzmianki o, mam nadzieję, mojej córce. Ale widzę, że pani też nie dysponuje taką wiedzą?

Wobec tej szczerości zdecydowałam o wyłożeniu kart na stół.

– Do śmierci ojca nie mieliśmy pojęcia o jej istnieniu – odparłam. – Uświadomił nas notariusz, odczytując testament, w którym została uwzględniona. Właśnie rozpoczynam poszukiwania, żeby wypełnić ostatnią wolę taty. Możemy poszukać razem.

Pan Jaromir dopił wino, zerknął na mój od dawna pusty kieliszek i przywołał gestem kelnera.

– Jeszcze raz to samo – zamówił, nie zapytawszy mnie, czy mam ochotę. Kieliszki wjechały na stół. – A więc tak to wyglądało – podjął. – Pan Sambor nie związał się z Blanką ani nie poinformował rodziny o istnieniu córki. Bo to nie była jego córka, pani Weroniko! – podniósł głos jak ktoś zaskoczony odkryciem. – Kiedyś o testach na ojcostwo można było tylko pomarzyć, więc mężczyźni brali na wiarę to, co mówiły ich partnerki.

– Zatem dlaczego tato uznał tę Dobrosławę w testamencie? – Nie bardzo trafiały do mnie wyrzucenia starszego pana, który formułował wygodne dla siebie wnioski po alkoholu.

– Bo miał wyrzuty sumienia, że kiedyś zawrócił w głowie młodej dziewczynie. On zostawił tej osobie, jak pani mówi, część spadku. Ja natomiast żyję i chcę ją poznać. I dowieść, że to ja jestem ojcem. Pomoże mi pani?

Ten człowiek spadł mi z nieba! Tylko jak to zrobić? Jeśli wzięłabym dywagacje Szczęsnego za dobrą monetę, Dobrosława powinna urodzić się mniej więcej w tym samym czasie, co ja, czyli przed trzydziestoma czterema laty. Ta Blanka musiała dobrze bawić się w mieście miłości, pomyślałam ze złością. Uwiodła dwóch żonatych mężczyzn! Może nawet nie wiedziała, kto jest ojcem jej córki?

Tym bardziej zamierzałam poznać prawdę. Nie mogłam dopuścić do udziału w spadku fałszywej krewnej!

– Oczywiście – odparłam. – W ostateczności wynajmiemy detektywa. Przecież nazwisko Kuszewska może być już dawno nieaktualne. To dorosła kobieta. Mogła wyjść za mąż i je zmienić.

– Dziękuję. Będę szukał na własną rękę i czekał na wynik państwa starań. A o wystawę proszę się nie kłopotać. Niebawem przekażę obrazę. Oto moja wizytówka z numerem telefonu. Pozostajmy w kontakcie.

Wysłałam z kawiarni skołowana usłyszanymi informacjami i kieliszkiem czerwonego wina. Drugi zostawiłam nietknięty.

Dobrnęłam do galerii i od progu zawołałam o szklankę wody.

– Co ci się stało? Szczęśny cię przeczłogał? Coś nie tak z umową? – Aniela zasypała mnie gradem pytań. – Niespecjalnie wyglądasz.

Streściłam jej nowości w kilku słowach.

– To chyba dobrze? – podsumowała. – Skoro znalazł się tatuś chętny do przejęcia córki, będziecie mieć ją z głowy. A właściwie z testamentu.

– Oby. Tyle że nie ma pewności, że Szczęśny się nie myli. Ta cała Blanka sama pewnie nie wiedziała, kto jest ojcem, ale zrobiła mojego tatę. Ciekawe, ile płacił jej na dziecko? Trzymał rękę na firmowej kasie, więc i tak nikt się nie zorientował, że ubywa.

– Powiedziałaś: Blanka? – Aniela się ożywiła. – Pamiętasz, tak miała na imię fotografka, która wystawiała u nas kilka lat temu? Czekał, czekał, jakie miała nazwisko...? – Zmarszczyła brwi. – Już wiem, Madej! Blanka Madej. Całkiem fajny wernisaż.

Moja współpracowniczka poderwała się z krzesła i pobiegła na zaplecze, gdzie w kartonach trzymałyśmy archiwalne papiery. A ja siedziałam, wciąż w kurtce, patrząc sceptycznie na jej zabiegi. Co ona sobie wyobraża? Że nagle wpadniemy na trop matki Dobrosławy? Jak gdyby w mieście średniej wielkości mieszkała jedna kobieta o imieniu Blanka!

– Weronika, mam jej adres! Wprawdzie sprzed siedmiu lat, ale zawsze. Musimy do niej

pojechać i zapytać o córeczkę!

Oto miałam przed sobą detektywa godnego panny Marple czy co najmniej Herkulesa Poirot! Postanowiłam jednak docenić starania przyjaciółki i sięgnęłam po wyblakły egzemplarz umowy, na którym widniały dane pani Madej.

– To chyba w jednej z kamienic przy parku? – mruknęłam. Lokalizacja dziewiętnastowiecznej dzielnicy miasta, nieopodal wyspy zieleni, podobała mi się od zawsze. – Dzięki, Aniela. Możemy wyskoczyć tam jutro? Bo dzisiaj jestem już umówiona z Darią w domu rodziców. Stoi pusty, warto zabrać co cenniejsze przedmioty, bo w końcu wpadną w ręce złodzieja.

– Jasne, koleżanko, biegnij. Umowa z Jaromirem podpisana, daję ci wolne – zażartowała, wyraźnie zadowolona ze swojego odkrycia.

Posiedziałam w galerii jeszcze ze dwie godziny, a gdy resztki wina wywietrzały mi z głowy, ruszyłam. Odebrałam dzieciaki i zajęchałam z nimi pod pizzerię, by zapakować do samochodu stertę pełnych kartoników, dla nas i całej rodziny Krzeska. Wprawdzie zakup pizzy nie wymagał takiego wysiłku jak przygotowanie gołąbków, ale dzieciaki ją lubiły. A ja tylko tak mogłam zrewanżować się Darii za kuchnię slow food. Obiecałam sobie, że następnym razem zaproszę wszystkich na łazanki z kapustą i grzybami, moje popisowe, choć proste danie. Zawsze znikало z talerzy z prędkością światła.

– Nie musiałaś! – Daria na widok kilku piętér pizzy złapała się za głowę. – Zrobiłam pierogi leniwe.

Na szczęście jej synowie mieli inne zdanie.

– Czy dobrze słyszę, że jest pizza? – Michał biegł po schodach, ledwo nadążając za Rysiem.

– Kawa? – zapytała bratowa, kiedy z pudełek zniknęły niemal wszystkie kawałki.

Zaproponowałam, żebyśmy wypili kawę w domu rodziców.

– Majka, Zosia, idziecie z nami! – wydałam dyspozycję.

Pięćiolatki wołałyśmy mieć na oku. Jasiek mógł zostać z kuzynami.

– Odrób lekcje, a potem, gdybyś się nudził, przyjdź do dziadków – zarządziłam.

W korytarzu przywitał mnie chłód. I to nie z powodu niedogrzanania czy lutowego mrozu za oknem. Po śmierci taty zostawiliśmy włączone kaloryfery, więc obiektywnie powinno być ciepło. Tyle że zapalenie światła ujawniło porażającą pustkę. W domu brakowało człowieka. Brakowało taty.

Poczułam dreszcze. W tym momencie wybaczyłabym mu wszystkie córki z nieprawego łoża, byleby tylko się pojawił.

Stałam w progu, spoglądając na jego sweter przewieszony przez poręcz fotela, starannie ustawione buty, stojącą na stoliku przed telewizorem brudną filiżankę po kawie, której jakimś cudem nie umyliśmy po stypie. Ślady po człowieku.

– Już dobrze. – Daria objęła mnie ramieniem i kołysała delikatnie. – Weź. – Podała mi chusteczkę.

Wdzięczna za gest współczucia otarłam oczy.

– Może zajmę się dziewczynkami, a ty zrobisz swoje? – zaproponowała taktownie, abym mogła przejrzeć rzeczy po rodzicach w samotności.

Zapomniawszy o kawie, poszłam do pokoju taty. Ciągnęła mnie tam jakaś niepojęta siła. Ale wcześniej wręczyłam Darii maminią kasetkę z biżuterią.

– Przejrzyj i wybierz, co ci się podoba – powiedziałam. – Może będziemy musieli dzielić się z obcą kobietą domem, ale nie pamiątkami po mamie.

– To twoje. – Daria odsunęła od siebie pudełeczko.

– I twoje też. A teraz idę do taty. – Z trudem opanowałam załamujący się głos.

Biblioteka, która była azylem ojca, zawierała gromadzone przez lata książki. Lubiłam tu przychodzić jako dziecko, siadać na wysokim krześle przy okazałym dębowym biurku i gmerać po szufladach w poszukiwaniu sączków, okrągłych bibułek, które ściągały atramentowe kleksy z wiecznego pióra taty. Tylko mnie pozwalał go używać, bo było drogie i jego ulubione.

Mościłam się przy biurku, a tato siadał w fotelu i przyglądał się, co robię. A później, kiedy już spenetrowałam wszystkie szuflady, brał mnie na kolana i sięgał po *Trylogię*. Niezbyt dużo z niej rozumiałam, ale swoje robiły tembr głosu taty i siła przyzwyczajenia do naszej bliskości.

Wspomnienie tamtych chwil sprawiło, że ogarnęło mnie przygnębienie. Właściwie miałam ochotę wyjść, ale zauważyłam wyciągniętą z półki książkę, więc sięgnęłam po nią odruchowo. Był to jakiś kryminał po angielsku. Dostrzegłam wystającą kartkę. Widocznie zaczyna się rozsypywać ze starości, stwierdziłam, bezskutecznie próbując wyrównać grzbiet. Kartka opierała się moim zabiegom.

Wreszcie ją wyjęłam.

List był napisany zgrabnym, równym kobiecym pismem. Wystarczyły mi pierwsze słowa, by domyślić się, kim jest jego autorka. Podpis potwierdził moje przypuszczenia.

## Rozdział 30

Weronika

List nie miał nagłówka, jak gdyby jego sprawczyni nie wiedziała, jakimi słowami zwracać się do adresata. W prawym górnym rogu widniała data: październik, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty rok.

Miałam wówczas trzy lata.

Podniecona odkryciem, zachłannie połykałam każde słowo.

„Na wstępie pragnę się zastrzec, że niczego od ciebie nie oczekuję – brzmiało pierwsze zdanie. – Proszę jedynie, żebyś doczytał list do końca i zapoznał się z moją prośbą. Potem możesz go spalić lub podrzeć, by nie wpadł w niepowołane ręce. Chcę do końca wyjaśnić sytuację między nami i rozstać się ostatecznie. Postanowiłam ułożyć sobie życie i zamknąć rozdział, w którym ty byłeś na pierwszym miejscu. Można powiedzieć, że wiedziałam, co robię, wiążąc się z żonatym mężczyzną, ojcem dwóch synów. Ale i ty nie byłeś bez winy. Oboje zachowaliśmy się nieprzyzwoicie i gdyby nie Dobrusia, już dawno zapomnielibym o naszej relacji.

Rozumiałam, chociaż nie było to łatwe, że ciąża Marty skomplikowała sytuację i jeszcze bardziej związała cię z rodziną. Trójka dzieci, praca w firmie teścia i pozycja naukowca nie ułatwiały rodzinnej wolty, a nawet ją uniemożliwiały. Nie kochałeś mnie dostatecznie mocno, by porzucić swoją strefę komfortu, a ja postanowiłam to zaakceptować, licząc, że dotrzymasz słowa, uznasz Dobrusię i dasz jej swoje nazwisko. Tak się jednak nie stało.

Proszę, żebyś przestał przysyłać mi pieniądze, ponieważ mam kłopot z ich nieustannym odsyłaniem. Nie potrzebuję jałmużny. Zresztą od kogo? Od Sambora Jeremy? A kim on jest? Bo w świetle prawa z pewnością nie jest ojcem mojej córki Dobrosławy Kuszewskiej.

I pomyśleć, że nadałam jej twoje ulubione imię!

Ale do rzeczy. Trochę pozwoliłam ponieść się żalom, ale piszę do ciebie w konkretnej sprawie.

Samborze, wychodzę za męża. Odnaleźliśmy się z Leszkiem na wsi, gdzie wylądowałam jako bibliotekarka, i planujemy ślub. To dobry, mądry człowiek, pisze książki dla dzieci. Kochamy się, a on nawiązał wspaniały kontakt z Dobrusią, która skończyła właśnie trzy lata. Zresztą powinienes wiedzieć, bo twoja Weronika jest w tym samym wieku. Co do dnia. Do dziś mam przed oczami traumatyczny kontakt z twoją żoną na sali poporodowej.

Mam prośbę, żebyś uszanował moje nowe życie. Pragnę stworzyć z Leszkiem rodzinę i dać córce prawdziwego ojca, którym ty nigdy nie byłeś i nie będziesz. Nie wysyłaj mi pieniędzy i zamilknij. Dobrusia jest jeszcze mała, więc zapomni o czasach sprzed Leszka.

Mieszkamy w tym samym mieście. Mam nadzieję, że nasze drogi w żaden sposób się nie skrzyżują.

Chciałabym, w imię dawnej miłości, życzyć tobie i twojej rodzinie wszystkiego najlepszego. Niestety to bardzo trudne, jak zresztą pisanie tego listu.

Żegnaj na zawsze. Zapomnijmy o sobie. Blanka”.

Wstrząsnęła mną szczerłość, która wyzierała z każdego zdania.

Opadłam na fotel taty z poślódką papierem w dłoni, zawierającym tyle treści. Do pokoju weszła Daria.

– Wszystko w porządku? Dziewczynki się bawią, przyniosłam kawę... – Zamarła, zobaczywszy bledszą wersję mnie.

– Tak. Przeczytaj. – Podałam list.

– To chyba od matki tej Dobrosławy... – powiedziała cicho.

– Ona urodziła się tego samego dnia, co ja – stwierdziłam, patrząc w okno.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić sytuacji, że mój ukochany tato płodzi dwie dziewczynki w tym samym czasie. Obraz ideału mojego dzieciństwa poległ właśnie po raz kolejny. Nawet gdyby to Jaromir Szczęsny okazał się ojcem Kuszewskiej, również tato był wtedy z jej matką.

Zrobiło mi się duszno, wyszłam z gabinetu. Piłam przygotowaną kawę, z trudem zachowując spokój. Daria w milczeniu siedziała obok mnie, czekała, aż odzyskam równowagę. Wreszcie emocje opadły, a ja nawiązałam do dzisiejszej rozmowy z Jaromirem i do śledztwa Anieli.

– Mamy adres Blanki Madej. Być może matki tej, hm, poszukiwanej kobiety. Jeśli jej pod nim nie znajdziemy, zatrudnię detektywa. Przynajmniej znamy jej datę urodzin. Z pewnością jej nie zapomnę, skoro urodziłyśmy się jednego dnia.

– Weroniko, bardzo przeżywasz... Może Krzesimir nawiąże z nią kontakt? – zaproponowała bratowa.

– Przecież i tak nie zmienię przeszłości. Romansu ojca nic nie przekreśli, ale spróbujemy chociaż dowiedzieć się, czy to jego córka. Ta baba i tak spadnie na cztery łapy. Dwóch profesorów bije się o to, by przekazać jej spadek, a jeden nawet umiera z pragnienia, by ją poznać – syczałam nienawistnie. – Ale w naszej sytuacji finansowej lepiej byłoby, żeby odpadła nam czwarta spadkobierczyni. Nigdy nie zapomnę ojcu, co zrobił mamie!

Wahadło uczuć wychyliło się na stronę.

Swoją drogą ciekawe, czy mama była świadoma zdrady. Ale jeżeli tak, to nie byłam sobie w stanie wyobrazić, co musiała czuć. Wiedzieć, że w tym samym czasie inna kobieta rodzi jej Samborowi dziecko!

Nie przypomiinałam sobie, by rodzice kiedykolwiek rozmawiali czy spierali się w kwestii innej kobiety. Czasami mama narzekała na późne powroty ojca z pracy czy brak urlopu, ale kłótnie nie odbiegały od konwencjonalnych rodzinnych tematów. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że mama przeszła przez życie ze świadomością małżeńskiej uczciwości i miłości męża.

– Masz rację, Weroniko. Chociaż podobno o zmarłych należy mówić wyłącznie dobrze. Albo wcale – dobiegł do mnie głos Darii. – Zróbcie, co w waszej mocy, żeby sprawdzić, czy Dobrosława ma prawo do spadku – powiedziała. – A teraz wracamy do mnie. Przygotuję kilka kanapek.

– Wybrałaś coś z biżuterii po mamie? – zapytałam.

Pokręciła przecząco głową.

– W takim razie kasetka też wędruje do ciebie, na przechowanie. Usiądziemy przy niej w wolniejszej chwili.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć, a kiedy nareszcie się udało, dręczyły mnie niepokojące sny o dwóch małych dziewczynkach poczętych w tym samym czasie. Wstałam zmęczona, choć jednocześnie podniecona planowaną wyprawą pod adres prawdopodobnej matki Dobrosławy, Blanki Madej. Postanowiłyśmy z Anielą wybrać się tam z samego rana, przed otwarciem galerii.

– O tej porze pewnie będzie w domu? – Przyjaciółka, podekscytowana jak ja, wypatrywała wskazanego numeru. Mnie przypadło prowadzenie samochodu po brukowanej ulicy, której miejski konserwator nie pozwalał ruszyć.

Znalazłam miejsce do zaparkowania, jak się okazało, pod poszukiwanym domem.

Dziwiętnastowieczna kamienica była wyjątkowej urody, mimo upływu czasu. Niewątpliwie wymagała remontu, ale nawet niewielkie braki tynku nie były w stanie zniweczyć secesyjnego piękna.

Aniela również uległa jej urokowi.

– Mieszkam w tym mieście od urodzenia, a do tej pory nie natrafiłam na to чудо. – Wskazała na dom. – Klasyczny przykład secesji. Długie i smukłe okna, pionowe linie na całej fasadzie, zdobienia w postaci łądyg, korzeni i kwiatów. I te lukarny na ostatniej kondygnacji... Jakie tam muszą być cudowne stryszki! – rozmarzyła się. – Chodź, może któryś z nich należy do tej naszej Blanki Madej. Zapytam, czy nie zamierza sprzedać mieszkania lub zamienić go na ciepłe, przyzwoicie urządzone, niezbyt drogie nasze lokum na całkiem przyjemnym osiedlu – roześmiała się z pomysłu. – A ja będę tu sobie konserwować belki i wic gniazdko z widokiem na park.

Moja przyjaciółka najwyraźniej zapomniała o celu naszej wizyty.

– Zrobię kilka zdjęć – wyjęła aparat. Nie czekając na aprobatę, przystąpiła do dokumentowania elewacji.

Machnęłam ręką. Doskonale znałam Anielę i jej pasję.

Przepadła na dobre pół godziny, ale ja nie zamierzałam czekać. Zadzwoiłam domofonem pod numer zapisany na kartce, ale nikt nie zareagował. Ponowiłam czynność, z podobnym skutkiem. Najwyraźniej pani Blanki nie było w domu.

Stałam przez chwilę bezradna, ale w końcu dopisało mi szczęście. Z kamienicy wyszła kobieta z psem, który ranną porą domagał się spaceru, co obwieszczał głośnym i donośnym szczekaniem.

– Przepraszam – zaczęłam – czy mogę panią o coś zapytać?

Spojrzała nieufnie, ale chyba dobrze patrzyło mi z oczu.

– Słucham?

– Przyszliśmy do pani Blanki Madej, ale chyba nie ma jej w domu? Może pomyliłyśmy adres?

Przekląłam w duchu Anielę, która uwijała się przy zdjęciach i psuła mi robotę. Pani z pieskiem mogła pomyśleć, że weszemy.

– Spóźniły się panie jakieś sześć lat – brzmiała odpowiedź. – Madejowa od dawna nie żyje. Zmarła dwa lata po mężu. Oj, pan Leszek Madej to był wspaniały człowiek! – rozmarzyła się kobieta. – Pisał książki dla dzieci. Siadywał tam, pisał i patrzył na park. – Wskazała na wykuszowe okno na ostatnim piętrze. – A potem ona poszła do piachu i zostawiła córkę z wnuczką. Dobrze chociaż, że biedaczki mają gdzie mieszkać.

Nadstawiłam uszu.

– Mówi pani o Dobrosławie?

– A o kim innym? O Dobrusi i Nawojce. Obie fajne. Młoda Madejówna zakupy mi wniesie, a kiedy trzeba, to i wyprowadzi Księżniczkę. – Spojrzała czule na wyleniałego starego kundla, który nie przestawał ujadać. – Powiedzieć jej, że panie były? – zaofiarowała się.

W pierwszej chwili chciałam odmówić, ale po krótkim namyśle sięgnęłam po notesik i długopis, które zawsze nosiłam przy sobie. Nie miałam w torbie koperty, więc nie mogłam sobie pozwolić na osobistą treść. Uczynna sąsiadka niezwłocznie by się z nią zapoznała.

„Pani Dobrosławo. Nazywam się Weronika Schulz, z domu Jarema, i mam do pani ważną sprawę. Bardzo proszę o kontakt. Podaję numer telefonu”.

– Gdyby mogła to pani przekazać sąsiadce? – Wręczyłam karteluszek właścicielce Księżniczki wątpliwej urody.

– A oddam, oddam. I tak miałam do niej iść, bo upiekłam jabłecznik, a Nawojka bardzo lubi.

Wracałam w dziwnym nastroju. Od poznania Dobrosławy dzielił mnie zaledwie krok. Dowiedziałam się dzisiaj, że ma córkę o niezwykłym imieniu Nawojka, poznałam jej

ekscentryczną sąsiadkę z psem. Natomiast Aniela obfotografowała kamienicę, o której paplała całą drogę do galerii. Żałowałam jedynie, że nie przeszłam się po pobliskim parku, którego nie odwiedzałam od dzieciństwa.

Może i byłam niezrównoważona i na huśtawce uczuć, ale czułam niespodziewany spokój. Miejsce, w którym mieszkała Dobrosława, wydzielalo dobre fluidy. Może spotkanie z nią pozbawi mnie wątpliwości i uspokoi wewnętrznie? Przecież nawet jeśli to córka taty, nie jest temu winna.

Miałam ochotę poznać dziewczynę, która urodziła się trzydzieści cztery lata temu, tego samego dnia, co ja. W końcu, jeśli nawet nie łączyły nas więzy krwi, byłyśmy astronomicznymi bliźniaczkami.

## Rozdział 31

### Dobrosława

Dziewczyny rozjechały się do domów grubo po północy, zostawiając mnie z poimprezowym bałaganem. Zmęczona i mocno nietrzeźwa machnęłam ręką na sprzątanie i zaległam pod kocem na kanapie. Darowałam sobie nawet wieczorne ablucje. Nawojkę miałam odebrać od Marysi dopiero w okolicy południa, co dawało mi kilka ładnych godzin snu.

W mieszkaniu panował zaduch i co niezbyt chlubne, papierosowy smród, do którego powstania przyczyniliśmy się wszystkie trzy. Oczywiście to Zuza miała w zanadrzu kilka fajek, co skrupulatnie wykorzystaliśmy w radosnej fazie imprezy, nie bacząc na skutki zdrowotne i zanieczyszczenie domowego środowiska mojej córki. Żebym chociaż pamiętała o otwarciu okna...

Niestety, senność wzięła górę. Zaraz po wyjściu Zuzy i Niny wpadłam w objęcia Morfeusza.

O jakiejś nieprzyzwoitej godzinie obudził mnie dzwonek do drzwi.

Zegar na ścianie wskazywał ósmą. Uniosłam ciężką głowę i podjęłam próbę spuszczenia nóg na podłogę. Karuzela, na jakiej się znalazłam, uniemożliwiła mi wszelkie ruchy i powaliła mnie z powrotem na poduszkę.

Postanowiłam zignorować dobijającego się do drzwi intruza i udawać, że nie ma mnie w domu. Niestety, ten ktoś nie przestawał pastwić się nad dzwonkiem.

– Dobrusiu, wszystko w porządku? – usłyszałam głos pani Klary, sąsiadki z pierwszego piętra. – Chcę ci przekazać list od jakiejś pani, która wczoraj poszukiwała pani Blanki. Wsuwam go pod drzwi.

Z ulgą usłyszałam milknące kroki na korytarzu, co oznaczało, że starsza pani odpuściła.

Mieszkałam na poddaszu, więc miałam nadzieję, że nie dotarły do niej odgłosy wczorajszej imprezy, ale i tak opanował mnie wstyd. Nigdy dotąd tak dobrze i głośno się nie bawiłam, tymczasem w oczach pani Klary, która знаła mnie od dzieciństwa, uchodziłam za wzór cnót wszelakich. Podobnie jak moja mama i tato.

Teraz kryłam się przed nią pod kocem, nie mogąc unieść głowy ani dojść do łazienki, chociaż żołądek domagał się opróżnienia. Przysnęłam jeszcze na moment.

Kiedy się ocknęłam na dobre, słońce omiało pokój. Pół litra wody mineralnej pozwoliło mi zaspokoić pragnienie. Próbę podniesienia głowy przeszłam pomyślnie. O dziwo, normalnie wstałam, a tabletką szybko odeгнаła kaca. Z werwą przystąpiłam do usuwania śladów imprezy. Po chwili kuchnię wypełnił szum zmywarki, odkurzacz poszedł w ruch, przez otwarte okno wpadło chłodne lutowe powietrze.

Kiedy po akcji sprzątanie poczułam aromat zaparzonej świeżo zmielonej kawy, byłam w siódmym niebie. Usiadłam przyjemnie zmęczona i sięgnęłam po telefon, spodziewając się wiadomości od Zuzy i Niny. Niestety, skrzynka była pusta. Pewnie moje przyjaciółki wciąż odpoczywają po upojonej nocy, pomyślałam.

Do południa pozostała godzina, więc postanowiłam, że przed odebraniem Nawojki przejdę się po parku, a potem zrobię zakupy na rynku.

Wciągając buty w przedpokoju, dostrzegłam leżący pod drzwiami skrawek papieru. Minęła chwila, zanim przypomniałam sobie poranne pukanie do drzwi, ale nie bardzo kojarzyłam, o co jej chodziło. Pewnie jakiś rachunek, stwierdziłam i sięgnęłam po świstek, ale czekała mnie niespodzianka. Dostrzegłam równe, staranne pismo nadawcy.

„Pani Dobrosławo. Nazywam się Weronika Schulz, z domu Jarema, i mam do pani ważną

sprawę. Bardzo proszę o kontakt. Podaję numer telefonu”, odczytałam.

Byłam zaintrygowana. Czy Jarema to nie nazwisko tego człowieka, o którym mówił Mateusz? O co tu chodzi? Doszłam do wniosku, że jestem już całkiem trzeźwa, skoro kojarzę pozornie niezwiązane z sobą fakty. Tylko co ja z tym wszystkim mam wspólnego?

Miałam ochotę obgadać sprawę z Zuzą lub Niną, ale te milczały jak zakłete.

Spontanicznie sięgnęłam po telefon i połączyłam z podanym na kartce numerem. Usłyszałam miły damski głos, pewnie tej Weroniki.

Przedstawiła się uprzejmie i zamilkła. Czekala.

– Nazywam się Dobrosława Skowrońska – powiedziałam. – Sąsiadka przekazała mi informację od pani, więc dzwonię.

Po krótkiej przerwie na łączach Weronika, nie wyjaśnwszy mi niczego, poprosiła o spotkanie. Zgodziłam się. Brak podania przyczyny zaintrygował mnie jeszcze bardziej.

Umówiliśmy się w dobrze mi znanej artystowskiej knajpce w pobliżu mojego domu, następnego dnia o szesnastej. Nie bywałam zbyt często w Czarnej Róży, a mama omijała ją szerokim łukiem. Musiała mieć jakieś nieprzyjemne wspomnienia, bo od cioci Magdy wiedziałam, że w czasach studenckich bywały tam często.

Niebawem odebrałam Nawojkę i tak poniosło mnie życie rodzinne, że niemal zapomniałam o rozmowie z nieznaną. Byłyśmy z córką na pizzy, odwiedziłyśmy ogród zoologiczny, a wieczór upłynął nam na grach planszowych. Został zwieńczony wspólnym oglądaniem ulubionego filmu mojej córki.

– Kochanie, najwyższy czas się położyć – mruknęłam, gdy zauważyłam opadające powieki mojego dziecka.

Usłyszałam przeciągłe „mhm”.

Czule odgarnęłam opadające na twarz Nawojki włosy, a po chwili, odpuściwszy wieczorne mycie, zaniiosłam małą do łóżka.

Wieczór był piękny.

Usiadłam ze szklanką imbirowego naparu pod belkami skośnego sufitu i zagapiłam się w okno, za którym rozpościerał się otulony nocnym niebem park.

Mateusz dzwonił, że przyjedzie dopiero w poniedziałek, ale w tym momencie mi go nie brakowało. Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę za nim tęsknię i czy potrafię kochać mężczyznę tak, jak mama kochała tatę. Nie miałam takiego szczęścia jak moi rodzice. Poznali się na początku swojej drogi. Tato był pierwszym mężczyzną mamy, ona jego pierwszą kobietą. Przeżyli razem lata, nigdy nie wątpiąc w swoje uczucia. Tymczasem mój związek z Miłoszem pozostawiał dużo do życzenia. A i ten z Mateuszem nie należał do idealnych.

Odgoniłam trudne myśli i pozwoliłam sobie na malutki kieliszek wina, które zostało po wczorajszym wieczorze. W nadziei, że mnie nie powali.

Zadzwoiła Nina.

– Jak ci minął dzień? – zapytała radośnie.

Wyczułam, że jej nie najgorzej.

– Dziękuję za miły wieczór – odparłam. – Byłyśmy z Nawojką tu i tam, a teraz siedzę sama i chyba jestem szczęśliwa. A jak ty?

Musiała czekać na to pytanie, bo słowa popłynęły z siłą wodospadu.

– Byłyśmy z Witkiem i Leną w parku dinozaurów, a potem na pizzy, a teraz siedzimy razem i oglądamy film. Właśnie są reklamy.

Miło było słuchać szczęśliwego głosu Niny. Niemniej tknięty nagłym przypomnieniem egoizm samotnej matki wziął górę.

– Ninka, bardzo cię przepraszam, że w takiej chwili, ale... – powiedziałam. – Czy

mogłabyś przygarnąć Nawojkę na jakąś godzinę jutro około szesnastej? Mam pilne spotkanie.

Nie wyjaśniłam, o co chodzi, a moja przyjaciółka nie zapytała.

– Jasne. Lenkę odstawiamy do domu dziecka dopiero na kolację, dziewczynki razem się pobawią. Masz randkę z Mateuszem?

– Niekoniecznie – odparłam. – Ale ktoś poprosił mnie o spotkanie i muszę iść. Dziękuję i do jutra – zakończyłam.

Przyznam, że to spotkanie wzbudzało moje emocje. Głównie z tego powodu, że pani Weronika Schulz nosiła panieńskie nazwisko Jarema. Nie miałam pojęcia, czego ta kobieta może ode mnie chcieć.

## Rozdział 32

### Dobrosława

Dotarłam do Czarnej Róży kwadrans przed czasem i zanurzyłam się w atmosferze cyganerii. Przywitało mnie ciemne wnętrze przypominające irlandzki pub. W czasach licealnych zdarzało mi się zaglądać tu z kolegami, by wypić po piwku. Niemniej jednak znałam alergię mamy na ten lokal, więc nie przyznawałam się do odwiedzin, chociaż odpowiadał mi klimat.

Niedzielne popołudnie sprzyjało spotkaniom przy browarku, więc zastałam tu sporo ludzi. Jedni siedzieli przy barze, inni grali w bilard. W powietrzu unosił się szmer rozmów.

Szukałam wzrokiem wolnego stolika, a jednocześnie wypatrywałam Weroniki. Przez telefon odniosłam wrażenie, że mam do czynienia z młodą osobą, ale przecież mogło być mylne. Zamówiłam kawę przy barze i usiadłam we wnęce, z której miałam dobry widok na drzwi. Popijając płyn drobnymi łyżkami, obserwowałam wejście, mimo woli coraz bardziej się denerwując.

Aż w końcu dostrzegłam dosyć wysoką kobietę, mniej więcej w moim wieku. Zamaszycie otworzyła drzwi, strzepnęła z płaszcza resztki śniegu i uwolniła spod czapki burzę ciemnych loków. Przenikliwym spojrzeniem omiotła salę.

Postanowiłam jej pomóc. Wystarczyło, że podniosłam się z krzesła i skinęłam głową w jej kierunku, by podeszła z wyciągniętą ręką.

– Weronika Schulz. Czy dobrze trafiłam?

– Dobrosława Skowrońska. – Odwzajemniłam uścisk. – Mam już kawę. A pani?

– Zamówię sobie herbatę – odparła.

Miała miły głos. Francuskie „r” tylko dodawało jej uroku.

Przeszło mi przez myśl, że to Polka o francuskich korzeniach, ale... Gdzie w tym wszystkim ja? Nigdy nie byłam we Francji, a mama tylko raz, przed moim urodzeniem.

Kobieta budziła sympatię, niemniej jednak była trochę podenerwowana. Odczekałam, aż zanurzy torebkę herbaty w czajniczku, naleje naparu do filiżanki i posłodzi.

Napięcie i ciekawość rosły w jednakowym tempie.

– Pewnie zastanawia się pani, dlaczego poprosiłam o spotkanie – usłyszałam wreszcie. – Sytuacja jest nietypowa, więc nie wiem, jak zacząć... Może powiem wprost. – Weronika zaczerpnęła powietrza. – Powiem wprost. Prawdopodobnie jesteśmy siostrami.

Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale to? Czyżbym była w ukrytej kamerze?

– Nie rozumiem... – wyjąkałam. – Ja nie mam rodzeństwa.

Jeżeli ona nie żartuje, to musi być nieporozumienie!

– Pani Dobrosławo, mnie do tej pory wydawało się, że mam jedynie dwóch braci.

– Skąd ten pomysł?

– Niedawno zmarł nasz ojciec i zostawił testament, w którym część spadku przekazał swojej córce Dobrosławie Kuszewskiej. To pani, prawda?

– Takie nazwisko panięskie nosiła moja matka, ja jestem z domu Madej. A moim tatą był Leszek Madej, a nie pani ojciec!

– Sambor Jarema.

Zakręciło mi się w głowie. Weronika przedstawiła mi się wprawdzie wyczerpująco na kartce, którą napisała, ale jej panięskie nazwisko wyleciało mi z głowy. I ja niby mam być córką faceta, o którym, według Mateusza, mówi dziś całe miasto? Nonsens!

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale ja z pewnością nie jestem dzieckiem pani ojca – powiedziałam. – Nieraz oglądałam swój akt urodzenia i zapewniam, że widnieje w nim

nazwisko mojego taty. Madej. Jeżeli to jakiś żart, to proszę natychmiast przestać bawić się moim kosztem! – podniosłam głos.

Z jakiej racji ta kobieta wkracza w moje życie i stara się je zniszczyć? Miałam ochotę wyjść, ale kiedy sięgnęłam po przewieszoną przez poręcz krzesła kurtkę, Weronika mnie zatrzymała.

– Bardzo proszę poświęcić mi chwilę. – Posłała mi błagalne spojrzenie. – Wszystko da się wyjaśnić. Chyba nam obu na tym zależy, prawda?

– Ja nie muszę niczego wyjaśniać! Nie mam żadnych wątpliwości dotyczących swojego pochodzenia! A tą rzekomo moją częścią spadku możecie się państwo podzielić! – ucięłam i zdenerwowana ponownie zerwałam się z krzesła.

Weronika Schulz nie odpuściła. Wyjęła z torebki poślódką kartkę i położyła przede mną na stoliku. Kątem oka dostrzegłam charakter pisma mamy.

– Zanim pani odejdzie, proszę to przeczytać – usłyszałam zdecydowany głos.

Z każdym słowem, ewidentnie napisanym przez mamę do Sambora Jaremy, ogarniała mnie coraz większa słabość. Z listu wynikało, że miała romans z żonatym mężczyzną, ojcem dwóch synów. Zostawił ją, kiedy zaszła w ciążę ze mną, w tym samym czasie, co jego żona z Weroniką. Ale mnie nie uznał za swoją córkę i nie dał mi nazwiska. Wysyłał pieniądze, które mama mu odsyłała. Musiała go kochać, skoro nazwała mnie jego ulubionym imieniem: Dobrosława. Tylko co z moim ukochanym tatą Leszkiem, z którym w świetle tego listu nie łączyły mnie więzy krwi? A przecież sądziłam, że talent do redagowania odziedziczyłam właśnie po nim! Czy był kołem ratunkowym dla samotnej matki z dzieckiem? I dlaczego nigdy mi nie wspomniała o moim pochodzeniu?

Niestety, nie było już kogo zapytać i do kogo złożyć zażalenie. Czułam zawód i złość na oboje rodziców, że wychowywali mnie w nieświadomości. Oszukiwali mnie, aż życie wzięło sprawy w swoje ręce i teraz muszę odkrywać wszystkie te rewelacje dzięki obcej kobiecie, która siedzi przede mną pewnie tak samo zawiedziona jak ja. Poczułam dla niej cień zrozumienia. Kto wie, czy los nie postawił jej w gorszej sytuacji? Jak to jest, gdy po śmierci ojca dowiadujesz się, że zmarły pozostawił ci do rozwikłania zagadkę przeszłości, a w dodatku ograbił cię ze spuścizny po sobie?

Jakoś nie potrafiłam odczuwać przyjemności z powodu należytnej mi schedy po obcym facecie.

Odłożyłam kurtkę i postanowiłam porozmawiać z Weroniką.

– Jestem w szoku – powiedziałam. – W jednej chwili straciłam prawdziwego ojca i poczucie rodzinnej ciągłości. Ale żadnego spadku nie chcę. Mama też odmawiała przyjmowania alimentów od pana Jaremy.

– Pani Dobrosławo, skoro już mamy tę samą datę urodzenia, może łatwiej nam będzie przejść na ty? – Wyciągnęła dłoń, a ja po krótkim namyśle ją przyjąłem. Żeby było łatwiej rozmawiać. – Wierz mi – ciągnęła Weronika – że dla mnie i moich braci sytuacja również jest niekomfortowa, ale musimy sobie z nią poradzić. Nasza mama, podobnie jak twoja, nie żyje od sześciu lat – wyjaśniła. – Tato napisał testament taki, jaki napisał, i żeby z nim coś zrobić, cała nasza czwórka musi pojawić się w sądzie. W przeciwnym wypadku nie będziemy w stanie zrealizować jego ostatniej woli.

– Waszego taty – dopowiedziałam.

– Chcesz sprawdzić pokrewieństwo? O ile się zgodzisz, możemy zrobić badania DNA.

To był jakiś pomysł. Przecież mama mogła się mylić. Nie miałam wiedzy, kiedy moi rodzice się zetknęli, sądziłam, że są parą od stuleci. W liście do Jaremy napisała wprawdzie, że poznała Leszka na wsi, gdy pracowała w bibliotece, ale w obliczu nieprawdy, jaką karmiła mnie

przez całe życie... Czy mogłam jej wierzyć? A jeśli oni wcześniej byli razem, a ona zdradzała tatę z Jarewą?

– Dobrze – wyraziłam zgodę. – Musimy mieć pewność. Nie wyglądamy jak siostry bliźniaczki – zdobyłam się na żart, spoglądając na jej ciemne kręcone loki i swoje jasne sięgające ramion proste pasma. – Tylko czy to jeszcze możliwe? – zapytałam, taktownie nie nawiązując wprost do nieboszczyka.

– Tak – odparła krótko Weronika, nie wdając się w szczegóły. – I dziękuję.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę i pożegnaliśmy się. Miałam czekać na jej telefon w sprawie badania.

Wyszłam z Czarnej Róży oszołomiona. Byłam wdzięczna temperaturze, że spadła poniżej zera, a świat bielił się śniegiem, którego płatki wirowały wokół latarni i pokrywały dachy samochodów coraz grubszym puchem. Oddychałam głęboko, łakomie chwytając powietrze.

Przysiadłam na najbliższej ławce, odsuwając konieczność odebrania Nawojki od Niny. Pewnie dobrze się bawiła w towarzystwie Lenki, a ja nie miałam teraz ochoty z nikim gadać. Co wy nawywijaliście? – pytałam w myślach rodziców, ale odpowiedzią było wyłącznie buksowanie opon na śliskich ulicach. Miasto powoli przykrywała śnieżna kołdra.

Zapewne i ja niebawem zaczęłabym przypominać bałwana, gdyby nie Mateusz.

– Co tutaj robisz? – Jego głos był jak grom z jasnego nieba. – Chcesz zamarznąć? Idziemy do domu! Stało się coś?

Wstałam posłusznie i pomaszerowałam we wskazanym kierunku.

– Nie można cię zostawić na kilka dni! – pomstował mój mężczyzna. – Jak można tak siedzieć na ławce bez ruchu przy minus trzech? I gdzie Nawojka?

Byłam mu wdzięczna, że przywołał mnie do rzeczywistości. Zupełnie zapomniałam, że muszę odebrać córkę. Na szczęście Nina mieszkała nieopodal. Niebawem oboje stanęliśmy przed jej domem.

Powitała nas w szampańskim nastroju.

– Dziewczynki bardzo ładnie się bawiły, zapraszamy ponownie! – Wyściskała obie małe, w łapkę Nawojki wcisnęła batonik. – A ty co taka przygnębiona? Jeszcze leczysz kaca? – Mrugnęła porozumiewawczo, a ja nie zaprzeczyłam.

Nie miałam zamiaru przy Witku i Mateuszu zdradzać szczegółów spotkania z Weroniką Schulz.

– Dzięki i do następnego – odparłam, zgarnawszy córkę.

– Mamo, zbudowałyśmy dom dla lalek i grałyśmy z wujkiem Witkiem w taką fajną grę – paplała Nawojka. – Musisz mi ją kupić, a jeśli nie, to jutro po lekcjach jadę do Leny, bo musimy rozegrać kolejną partię. A może nawet zaprosimy Marysię i zagramy we trzy? Czy wujek zostaje u nas na noc?

Nawojka nie wiedziała, że Lenka mieszka w domu dziecka. Powinam jej to wyjaśnić, pomyślałam. Nie można nawet dzieci karmić kłamstwem, ścisnęło mi się serce.

– Zostaniesz u nas na noc? – spytałam Mateusza.

– Chętnieeee – przeciągnął zmysłowo, obdarzając mnie figlarnym spojrzeniem, które zaraz przeniósł na Nawojkę. – A mam zostać?

– Taaak! Przeczytasz mi bajkę?

– Oczywiście, księżniczko. Ale przedtem zamówimy pizzę.

– Hura!

Pizza była w sam raz. Nawojka po czytaniu szybko zasnęła. Mieliśmy kilka godzin dla siebie.

– Jak było u rodziców? – zagadnęłam, kiedy wreszcie usadowiliśmy się w fotelach.

– Dobrze. Pozdrawiają cię. A ty co właściwie robiłaś na tej ławce? – zaatakował. – Przyjechałem wcześniej, chciałem ci zrobić niespodziankę. Ta twoja wścibska sąsiadka powiedziała mi, że miałaś imprezę, a potem wyszłaś i cię nie ma. Dusia, co się tu dzieje?

Mateusz lubił wpędzać mnie w poczucie winy. Że niby miałam imprezę, a potem pewnie rozpaczalam na ławce po rozstaniu z kochankiem. Zazwyczaj próbowałam się usprawiedliwić, tłumaczyć, że zarzuty są niedorzeczne, ale tym razem nie miałam siły.

– Spotkałam się z córką Sambora Jaremy. Tego, który, jak mówisz, zostawił część spadku swojej nieślubnej córce. Wiem, brzmi to niedorzecznie, ale tą córką podobno jestem ja.

## Rozdział 33

Weronika

Zanim zdążyłam przekręcić klucz w zamku, Paweł otworzył drzwi.

– Wejdź i mów szybko, jak spotkanie z Dobrosławą! Długo cię nie było.

– A ty przez cały czas stałeś w drzwiach? – Pokiwałam głową.

– Żebyś wiedziała! Nie mogłem skupić się na pracy. I jak? Jest waszą siostrą czy nie?

Z premedytacją poprosiłam o latte.

– Gdzie dzieci? – zapytałam. Zgodnie z moimi przypuszczeniami były u Darii i Krzeska.

– Nie mogłeś poświęcić im nawet niedzielnego popołudnia? Zdecydowanie przesadzasz z robotą – skarciłam męża.

– Twój brat przygotował dokumentację firmy i przekaże nam wieczorem informacje na temat jej sytuacji finansowej. – Paweł zignorował zaczepkę. – A przy okazji przyprowadzi dzieciaki. Twoja latte. – Postawił przede mną szklanę.

Objęłam ją zmarzniętymi dłońmi i poczułam przyjemne ciepło.

– Brzydka pogoda. Przejmujący ziąb. Dobrze znaleźć się pod dachem i w fotelu – zaczęłam.

Paweł zignorował moje dywagacje na temat aury za oknem i posłał mi niechętnie spojrzenie. Musiałam zaspokoić jego ciekawość, choć dla zabawy postanowiłam trochę z nim poigrać.

– Kiedy punktualnie przyszedłam do Czarnej Róży, ona już tam była. Siedziała w kącie i obserwowała drzwi. Na mój widok podniosła się z krzesła i skinęła głową...

– Na miłość boską, kobieto, daruj mi szczegóły! Jest twoją siostrą czy nie?

Na to pytanie nie byłam w stanie odpowiedzieć.

– Nie wiem. Zastałam blondynkę z długimi prostymi włosami do ramion. Jesteśmy kompletnie różne. Twierdzi, że nazwisko jej ojca Leszka Madeja ma wpisane do aktu urodzenia, a rodzice znali się od lat. O niczym to jednak nie świadczy. Jej matka Blanka mogła mieć romans z naszym tatą, kiedy była już żoną tego Madeja.

– Ale przecież w liście do ojca twierdzi, że poznała przyszłego męża, mając już córkę.

– I pewnie tak było. Pobrali się, wpisali Leszka do aktu urodzenia Dobrosławy, a ta była zbyt mała, by pamiętać czasy sprzed Madeja. W jej świadomości od zawsze funkcjonował jako ojciec. Wierz mi, że źle przyjęła moje rewelacje o romansie matki z żonatym mężczyzną. A przede wszystkim miała za złe rodzicom kłamstwo, którym karmili ją przez całe życie. Dla twojej wiadomości: Dobrosława nie chce spadku po tacie.

Paweł miał wątpliwości.

– Nie byłbym takim optymistą. Jak przyjdzie co do czego, wyciągnie rękę. Człowiek jest tylko człowiekiem. Wiesz, czym ona się zajmuje? Ile zarabia, w jakich żyje warunkach, czy ma męża?

Niestety, nie miałam o tym zielonego pojęcia. Nie licząc informacji od gadatliwej sąsiadki.

– No widzisz. Namówiłaś ją na badania genetyczne?

Zdenerwowała mnie ta nagła dociekliwość. Paweł zachowywał się, jak gdyby chodziło mu tylko o pieniądze.

– Nie mamy wyboru – odparłam. – Jeżeli badania wykażą ojcostwo taty, Dobrusia i tak dostanie swoją część. A jeśli nie, będziemy musieli szukać innej córki, co może okazać się bardziej kłopotliwe.

Przyznał mi rację.

– Umówiłyście już termin badania?

– Jak najszybciej. Jesteśmy w kontakcie. A wiesz, tak poza wszystkim, zrobiła na mnie dobre wrażenie...

Paweł tylko machnął ręką. Doskonale znał mój entuzjazm do każdej nowo poznanej osoby. On potrzebował dużo więcej czasu.

– Sądziłem, że wrócisz w dużo gorszym nastroju. – Usiadł obok i otoczył mnie ramieniem. – Martwiłem się o ciebie – dodał, czule spoglądając mi w oczy.

– Jesteś kochany.

– Damy sobie radę. A teraz pójdę otworzyć.

Dopiero w tym momencie usłyszałam dzwonek do drzwi.

W progu stanął Krzesek z naszymi dziećmi. Jego mina nie zdradzała specjalnego przygnębienia. Położył na stole teczkę, której zawartość niebawem miałam poznać. Ale ponieważ nie wiedziałam, czy śpieszy mi się do rozgryzania problemów firmy, więc na kilka kolejnych minut znalazłam temat zastępczy.

– Kochani, przygotowuję kanapki i zaraz do was wracam. – Pobiegłam do kuchni, zgarnawszy Zosię i Jaśka, którzy przytaskali od kuzynów nową grę i koniecznie chcieli mi ją pokazać.

– Później, dzieciaki – zbyłam potomstwo. – Kiedy skończę rozmawiać z wujkiem.

Porwali zdobycz i pognali do siebie, zostawiając starszym wolne pole.

Niespokojna, co usłyszę od brata, postawiłam na stole półmisek z kanapkami i talerze.

– Czekam jak na ścięcie, brat – zachęciłam Krzesimira. – Ile trzeba będzie dołożyć?

– Miło cię zaskoczę. – Uśmiechnął się.

Tego się nie spodziewałam.

– Wszystko w porządku? – zawołałam.

– Nie aż tak, siostra. Musimy sprzedać siedzibę firmy i wynająć pomieszczenia zastępcze.

Cofniemy się w rozwoju, ale nie ma alternatywy. Nietrafione kontrakty będę negocjować, a kary za niedotrzymanie umów powinien pokryć zysk ze sprzedaży domu rodziców. I oczywiście tę – odchrząknął – dodatkową córkę taty i tak będziemy musieli spłacić.

Najwyraźniej Paweł nie wspomniał mu o moim dzisiejszym spotkaniu z Dobrosławą.

W kilku żołnierskich słowach streściłam bratu wrażenia i pozytywny efekt rozmowy.

Krzesimir powtórzył opinię mojego męża.

– Fajna nie fajna, jeżeli będzie mogła wziąć kasę, to nie odmówi. W każdym razie badania DNA musimy przeprowadzić. Żeby mieć pewność.

Podzielałam jego zdanie, ale przeciwnie niż on zdążyłam nabrać pewności, że kobieta, z którą rozmawiałam, to córka naszego taty. Nietrudno było dostrzec fizyczne podobieństwo obojga, które szczerze mówiąc, nieco mnie ubodło. Ona była młodszą kobietą kopia Sambora Jaremy, podczas gdy ja nie przypominałam go w niczym. Oboje mieli ten sam odcień włosów, dojrzałych kłosów pszenicy, który pamiętałam, zanim u ojca przyprószyła go siwizna, podobnie przekrzywiali głowę i mrużyli oczy w chwilach zastanowienia. Po kim ja byłam taka czarna? Przecież również mama była blondynką, podobnie jak ciotka Konstancja. Moje geny musiały sięgać poprzednich pokoleń.

– Tak, Krzesek, dopilnuję badań. Wtedy wszystkiego się dowiemy – powiedziałam. – A co u Darii i dzieciaków? Wszystko w porządku? – zmieniłam temat, by odegnać trudne myśli.

– Wybrała sobie jeden pierścionek po mamie, ale nie wie, czy się zgodzisz – odparł.

– Oczywiście! – zdecydowałam w ciemno. – Byle nie ten ze szmaragdem – dodałam żartem.

– O matko! – Wprawiłam mojego brata w konsternację. – Chyba właśnie o ten chodzi...  
Wiedziałam, że błyskotka podoba się mojej bratowej, więc celowo podpuściłam Krzesimira.

– Brat, to był taki żarcik. – Pośpieszyłam z uspokojeniem. – Niech bierze i nosi. Ja sobie wybiorę inny. A tak z innej beczki: Jędrak się do ciebie odzywał?

– Pytał o sprzedaż domu i pieniądze z konta.

Wyczułam, że rozmowa nie poszła po myśli ich obu, a Krzesimir nie bardzo ma ochotę dotykać teraz tego tematu. Postanowiłam nie dolewać oliwy do ognia. I bez tego nasza sytuacja była rozgrzana.

– Zadzwoń do niego w wolnej chwili. Może komuś dolać herbaty? – Podniosłam dzbanek i spojrzałam na obu panów.

Minęła niedziela i szczęśliwie mogłam pójść do pracy. W galerii zastałam miotającą się Anielę.

– Dlaczego tak późno? Nie pamiętasz, że dzisiaj przychodzi pan Jaromir podpisać umowę? – przywitała mnie w progu z pianą na ustach. – Dzwonię do ciebie bez końca, a telefon nie odpowiada!

Zerknęłam na ekran komórki, który rzeczywiście ujawnił kilka nieodebranych połączeń.

– Przepraszam, musiałam go wczoraj wyłączyć. Ale o co chodzi? Przecież jestem w porę.

– Musimy jeszcze przejrzeć umowę, a on zaraz tu będzie!

Skąd ten zły humor? Aniela nigdy nie zachowywała się tak impulsywnie. A już agresja była nie do pomyślenia. Rozumiałam jej finansowe niepokoje, ale moja przyjaciółka była z natury spokojna i nie pozwalała emocjom wymykać się spod kontroli. Nie poznawałam jej.

– Już siadam nad umową. – Próbowałam studzić. Przerzuciłam kartki po raz któryś i nie dopatrzyłam się żadnych luk. – Aniela, co się dzieje? – zapytałam.

– Jestem w ciąży. Ale lekarze mówią, że nie donoszę – wychlipała.

– Może powinnaś iść na zwolnienie? Przecież wiesz, że sobie poradzę – zareagowałam, zanim zdążyłam wyartykułować gratulacje.

– To nic nie da. I tak poronię! A ty jeszcze się spóźniasz, kiedy ma przyjść Szczęsny!

Była w złym stanie. Takim, że nawet nie odważyłam się pytać o szczegóły. Mogłam ją tylko wspierać i namawiać, by wróciła do domu. Uciekłam się do wybiegu.

– Nela, Szczęsny prosił, żebym przy podpisywaniu umowy była tylko ja. Może chce pogadać o Dobrosławie? Wracaj do Jacka. Ja profesorowi nie odpuszczę.

Aniela znienacka uderzyła w płacz.

– Nikomu już nie jestem potrzebna! Ty mnie wyganasz, a Jackowi nie potrafię urodzić dziecka! Bo to, które noszę, też umrze. Werka, nie nadaję się do niczego!

Objęłam przyjaciółkę, podprowadziłam do fotela i usadziłam wygodnie.

– Dzwonię do Jacka – oznajmiłam. – A ty jedziesz z nim do domu i wypoczywasz. Podpiszę umowę ze Szczęsnym, a potem się spotkamy. Okej? – przedstawiłam jej plan działania.

Kiwnęła głową i wytarła nos.

– Będzie dobrze – dodałam, kiedy już miałam pewność, że jej mąż jest w drodze.

Niebawem pojawił się pan Jaromir. Wbrew moim obawom szybko dopełniłmy formalności. Umowa na poplenerową wystawę została podpisana, nawet na nieco lepszych warunkach, niż się spodziewałam. Facet najwyraźniej miał nadzieję, że dzięki mnie dotrze do swojej potencjalnej córki, a ja wiedziałam, jak mu to ułatwić. Ale zaledwie dałam mu do zrozumienia, że czegoś się dowiedziałam.

– Twarda z pani negocjatorka – podsumował, podpisując się pod umową.

– Takie jest życie, panie profesorze. Myślę jednak, że oboje będziemy zadowoleni

z efektów. Czy mogę służyć jeszcze czymś?

Szczęśny rozparł się w fotelu i wypił ostatni łyk kawy. Usłyszałam słowa, których się spodziewałam. Miałam na nie przygotowaną odpowiedź.

– Znalazła pani Dobrusię?

– Tak. A nawet z nią rozmawiałam. Ale zanim podam panu jej numer telefonu, muszę poprosić ją o zgodę.

## Rozdział 34

### Dobrosława

Mateusz po pierwszym szoku wywołanym wieścią, że mogę być córką Sambora Jaremy, szybko doszedł do siebie i zaczął liczyć pieniądze.

– To byłby dopiero hit! Ten gość miał kupę kasy! Profesorska pensja i dochody z Fabryki Syntezy! A ty dostaniesz jedną czwartą majątku. Może być coś koło miliona! Albo i lepiej.

Przerażał mnie. Nie pytał, jak się czuję z tym, że mój ukochany tato Leszek nie jest moim biologicznym ojcem, a mama przez całe życie nie zająknęła się o moim prawdziwym pochodzeniu. Ważniejszy był majątek po obcym facecie.

Najchętniej zakończyłabym rozmowę, ale wiedziałam, że temat wróci i tak. Lepiej było wyłożyć swój punkt widzenia tu i teraz.

– Nie przyjmę żadnego spadku! – zareagowałam ostro. – Weronika, córka Sambora Jaremy, pokazała mi list mamy do niego, z którego wynika, że przez całe życie nie przyjęła ani złotówki alimentów. Nie uznał mnie za swoją córkę, nie dał nazwiska. To przesądziło o całkowitym zerwaniu kontaktów. Ja również nie chcę żadnych jego pieniędzy!

Mój ukochany nie przyjmował do wiadomości tak nonsensownej decyzji.

– Chyba żartujesz? Jeśli ten Sambor był takim dupkiem, niech się zrehabilituje po śmierci! Gardzisz kasą? Dusia, ogarnij się i przestań gadać bzdury! Mielibyśmy na dom nad jeziorem jeszcze bardziej wypasiony niż ten Waldka i Patrycji!

Serce krzychało, że nie chcę żadnego domu nad jeziorem. Jedyne moje marzenie spełnił właśnie pan Wojtek, który zafundował mi Wenę.

– Postanowiłyśmy z Weroniką, że poddam się testom DNA, które potwierdzą lub wykluczą ojcostwo pana Sambora. Nie ma co dzielić skóry na niedźwiedziu.

– Zatem zrób je, a potem pomogę ci odebrać, co twoje. – Nie zdołałam odwieść Mateusza od snucia planów. – W końcu po coś ma się w domu wziętego adwokata. – Mój zadowolony z siebie mężczyzna wychylił kieliszek wina i spróbował zmiękczyć mnie przytulankami.

Odrzuciłam jego amory, wykręcając się zmęczeniem. Nie nalegał na bliskość, którą i tak pewnie traktował jako środek do osiągnięcia celu. Z ulgą przyjęłam wiadomość o rozprawie, na którą jechał do Trójmiasta, i o tym, że zostawia mnie na kilka dni. Myśl o próbach dalszej indoktrynacji napawała mnie obrzydzeniem.

Żywiłam nadzieję na negatywny wynik testu i odłożeniu sprawy *ad acta*, co jednak przestało mi się wydawać tak oczywiste, kiedy zerknęłam do internetu, by za jego pośrednictwem poznać pana Sambora. Nasze podobieństwo było widoczne na pierwszy rzut oka. Przejrzałam mnóstwo jego zdjęć, a z każdym kolejnym utwierdzałam się w przekonaniu, że genów nie da się oszukać. W tym facecie widziałam siebie. Ten sam kolor włosów, spojrzenie, grymasy. Nawet prawą rękę unosił w taki sam sposób jak ja: wnętrzem dłoni do twarzy, z kciukiem do góry.

Zuza nie do końca się ze mną zgadzała.

– Większość ludzi unosi dłoń w ten sposób – tłumaczyła. – Ale rzeczywiście, widzę podobieństwo. – Przeniosła wzrok z mojej twarzy na zdjęcie Sambora. – Obiecuję, że nawet kiedy będziesz bogata, nie zostawisz pracy w wydawnictwie – żartowała, jak gdybym rzeczywiście miała przeistoczyć się w milionerkę. – Zaczęłaś już redakcję nowej książki? – Powróciła do interesujących ją spraw.

– Dotrzymam terminu – odparłam. Czułam, że czas mojej wizyty w wydawnictwie właśnie dobiegł końca. Czas, którego przyjaciele zawsze brakowało.

Zuza była kochana, ale od zawsze sfokusowana na własnych sprawach. I dobrze, bo

dzięki właściwie prowadzonemu biznesowi zawsze miałam pracę i na żadne spadki nie musiałam się oglądać. A że trochę egoistyczna? Nikt nie jest doskonały, pomyślałam, żegnając się z przyjaciółką, która tylko pomachała mi ręką w trakcie sto siedemnastej chyba rozmowy telefonicznej. Z autorem, dystrybutorem, grafikiem, drukarnią czy kimś tam równie ważnym.

Powałęsałam się trochę po mieście, podjechałam do supermarketu po zakupy. Miałam zamiar przygotować ukochane przez Nawojkę kopytka z zasmażaną kapustą, które zdecydowanie przedkładała nad popularne w gronie jej młodocianych znajomych nuggetsy z frytkami. Nieśpiesznie wróciłam do domu, gdzie czekała redakcyjna robota.

Zazwyczaj sprawiała mi frajdę, ale tym razem moje myśli zaprzętał pan Sambor Jarema i konieczność wykonania testów. Weronika napisała, że pobrała włosy z grzebienia ojca i przygotowała jego szczoteczkę do zębów, i prosiła mnie o wizytę w prywatnej klinice, gdzie miałam oddać swój materiał genetyczny. Umówiliśmy się na kolejny dzień.

Cała ta sprawa wyprowadziła mnie z równowagi do tego stopnia, że mimo szczerych chęci nie mogłam skupić się na pracy. Stałam przy kuchennym blacie i jak automat wykonywałam kolejne czynności prowadzące do spreparowania kopytek. Niestety, roztargniona rozgotowałam ziemniaki i przypaliłam kapustę. Swąd spalenizny pognął mnie do okna, które otworzyłam na oścież.

Na parkingu pod domem dostrzegłam znajomą bladoniebieską corsę należącą do cioci Magdy. Przyjaciółka mamy odwiedzała mnie bardzo rzadko, więc się zaniepokoiłam. Przemknęło mi przez głowę, że przyjechała w sprawie swoich córek, ale przecież ani Zuza, ani Nina nie wspominały, że mają problemy. A w każdym razie nie takie, które wymagały maminej interwencji.

Złapałam ręcznik i energicznie próbowałam wypędzić za okno kłęby dymu, ale kiedy ciocia Magda nacisnęła dzwonek przy drzwiach, w mieszkaniu wciąż śmierdziało spalenizną. Raczej trudno by mi było udawać nieobecna, więc otworzyłam – sierota w fartuchu, z włosami byle jak zaczesanymi do góry i ściągniętymi gumką.

– Przepraszam, mam małe problemy w kuchni – przywitałam przybyłą i niezgrabnym gestem zaprosiłam do środka. – Usiądź, ciociu. Zaraz przymknę okno, a potem zrobię kawę.

Rozkojarzona biegałam z kąta w kąt, by zlikwidować ślady kulinarnych nieszczęść.

– Każdemu się zdarza – uspokajała ciotka, moszcząc sobie miejsce przy ławie. – Zasmażana kapusta?

– Miała być. Ale nic to, mam w lodówce mrożone pierogi. Kawa ze śmietanką?

Pozwoliła mi spokojnie wyhamować.

Usiadłam naprzeciwko. Pył bitewny opadł, odetchnęłam głęboko i opanowałam emocje. A ciotka poprosiła mnie o chwilę uwagi.

– Dobrusiu, Zuza powiedziała mi o Samborze i jego testamencie. Długo zastanawiałam się, czy poprosić cię o rozmowę, czy zamilknąć na wieki, jak mówią pastory w amerykańskich filmach. I postanowiłam, że jednak wyjawię ci, co wiem, bo twoja mama, a moja najbliższa przyjaciółka Blanka, niemal na pewno by sobie tego życzyła. Wybacz, kochana, jeśli źle odczytałam twoje intencje! – Zerknęła znacząco na sufit.

Nie miałam pojęcia, o czym mowa. Czyżby miała wyjść na jaw kolejna tajemnica mamy? Lepiej nie! – pomyślałam, ale lawina ruszyła jakiś czas temu. Nie mogłam jej zatrzymać, więc pokornie czekałam, aż do mnie dotrze.

Ciocia Magda zaczęła od tego, że mama bardzo kochała tatę Leszka.

– Ale przed nim poznała Jaromira – usłyszałam nieznane mi imię. Zanim jednak zdążyłam o cokolwiek zapytać, ciocia pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Jaromir Szczęsny wykładał rzeźbę na naszym wydziale, a Blanka wpadła mu w oko. Z wzajemnością zresztą. Spotykali się

przez trzy lata, mimo że on był żonaty. Blanka wyobrażała sobie, że on w końcu zostawi żonę, ale zerwała kontakt, bo ją zwodził. Przyjęła propozycję naszego szefa, a obie pracowałyśmy już na konserwacji zabytków, podczas stażu w Paryżu, i odcięła się od kochanka. Niestety, tam poznała chemika z naszego uniwersytetu, który pracował we Francji w tym samym czasie. Jak się pewnie domyślasz, Sambora Jaremę. I niestety, po raz drugi weszła do tej samej rzeki: zakochała się w żonatym mężczyźnie. Nie warto wspominać, że jej odradzałam ten krok, bo teraz to już nie ma znaczenia. Na dodatek Jaromir Szczęsny nie potrafił przeboleć rozstania i pojechał za Blanką do Paryża. Z tego, co wiem, przepraszam za szczegóły, na dobre pożegnali się w łóżku. Ale pozostał Sambor...

Ciocia Magda nie była wylewna, ale mnie jej słowa wystarczyły. Zrozumiałam przekaz: moja mama sypiała z dwoma facetami jednocześnie.

Co za świństwo!

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – zapytałam.

– Skoro już wiesz, że Leszek nie jest twoim ojcem, zapewne zechcesz poznać prawdę. Nie darowałabym sobie, gdyby życie oszukało cię ponownie. Przepraszam, Blanko. – Po raz drugi wzniosła oczy do sufitu. – Przepraszam, Dobrusiu. Masz prawo do prawdy o swoim pochodzeniu. Pójdę już. – Ciocia wstała z kanapy i sięgnęła po szalik.

Powinłam jej podziękować, ale nie potrafiłam. Ogrom ostatnich rewelacji niemal wgniótł mnie w fotel. Tato Leszek nie był moim biologicznym ojcem, a do tej roli pretendowało dwóch mężczyzn. Szok.

– Dobrusiu, raz jeszcze przepraszam. Może kiedyś wybaczysz mi tę szczerłość...

Może wybaczę. Ale z pewnością nie teraz, kiedy mam mętlik w głowie i najmniejszej ochoty na poszukiwania tego, jak mu tam? – Jaromira Szczęsnego. Nie mieściło mi się w głowie, że moja mama sypiała z dwoma mężczyznami jednocześnie, a kiedy wyszła za tatę, udawała mniszkę.

Obiad był w lesie, a ja leżałam na łóżku i próbowałam się ogarnąć. Do odebrania Nawojki ze szkoły miałam jeszcze godzinę, była chwila na refleksję. Ale kiedy próbowałam rozwikłać szaradę maminych miłosnych manewrów, zadzwonił telefon.

– Słucham?

– Chce się z tobą skontaktować pewien pan – usłyszałam głos Weroniki. – Prosił mnie o twój numer telefonu. Nazywa się Jaromir Szczęsny. Czy mogę mu podać?

Przeszłość dopadła mnie szybciej, niż mogłam się tego spodziewać.

## Rozdział 35

Weronika

Odziwo, Dobrosława nie zareagowała na nazwisko Szczęsnego zdziwieniem. Sprawiała wrażenie, że zdaje sobie sprawę z jego istnienia.

Powstrzymałam się od pytań i przypomniałam jej tylko o jutrzejszej wizycie w klinice. Zaofiarowałam się, że po nią podjadę, bo jak twierdziła, ostatnie mrozy uziemiły jej stary samochód po rodzicach. Domyślałam się, że Dobrosława nie jest osobą zamożną, a już na pewno nie wydaje pieniędzy na auta. Stojący pod kamienicą leciwy i rdzewiejący matiz z pewnością osiągnął już pełnoletność.

Moja potencjalnie przyrodnia siostra zaprosiła mnie na górę.

– Jak tu pięknie! – powiedziałam, z zachwytem lustrując cudownie skośne sufity i stare belki, które kilka dni wcześniej Aniela zobaczyła oczami wyobraźni.

Pomieszczenia od dawna nie widziały remontu, ale miały niezwykły klimat. Pod ścianami stały regały z książkami i bujną zielenią. Wszędzie znajdowały się zdjęcia. Ten artystyczny nieład przydawał wnętrzu ciepła i odciskał na nim piętno.

Podobało mi się tak bardzo, że chętnie pomyszkowałabym dokładniej, ale nie pozwalało mi dobre wychowanie. Gospodyni poprosiła, żebym na chwilę usiadła, i podała kawę.

– Przepraszam, że cię tu ściągnęłam, ale chcę ci coś powiedzieć – zaczęła. – Znalazłam się w bardzo niezręcznej sytuacji. W klinice, oprócz nas, będzie jeszcze mężczyzna.

– Jaromir Szczęsny? – ubiegłam ciąg dalszy.

– To znaczy, że wiesz już o moim kolejnym potencjalnym ojcu?

Kiwnęłam głową i streściłam jej krótką historię naszego poznania się z rzeźbiarzem.

Korciło mnie, by przytoczyć maksimum, że od przybytku głowa nie boli, ale ugryzłam się w język. Dobrosławie pewnie też nie było do śmiechu.

– Pomyślałam, że zrobię dwa testy za jednym zamachem i wyjaśnię sprawę – powiedziała. – Nie masz nic przeciwko?

Oczywiście, że nie miałam. A nawet było mi to na rękę.

– Jasne. Wszyscy musimy poznać prawdę, której poskapili nam rodzice – mruknęłam i wysaczyłam ostatni łyk kawy.

Dobrosława wstała z fotela i sięgnęła po stojące na dębowej komodzie ślubne zdjęcie dwojga młodych ludzi. Domyśliłam się, kogo przedstawi.

– To moja mama Blanka i tato Leszek – wyjaśniła. – Powinnam być na nim również ja. Skoro miałam wówczas trzy lata...

– Rozumiem. – Pokiwałam głową ze współczuciem.

Byłam w komfortowej sytuacji, bo nie musiałam zastanawiać się nad swoim pochodzeniem. Miałam pewność, że mama i tato są moimi rodzicami i że to prawda nie do podważenia. Dobrusia (chyba po raz pierwszy zdrobniłam w myślach jej imię) musiała teraz przeżywać katusze.

– Chyba powinniśmy już iść – przerwałam niezręczną ciszę, po raz ostatni rzuciwszy okiem na regał z książkami.

Gospodyni podeszła i wyciągnęła jedną.

– *W krainie jelonków* – odczytała tytuł. – To moja ulubiona książka taty – zaakcentowała ostatnie słowo. – Ale tak naprawdę to lubiłam wszystkie. Nie mieszczą się na jednej półce – dodała z dumą. – Kiedyś ci je pokażę.

Przed kliniką czekał już Jaromir Szczęsny. Przyglądał się Dobrusi z zainteresowaniem.

Z galanterią ucałował jej dłoń, mnie poświęciwszy zaledwie szczyptę uwagi. Najchętniej zostałby z nią sam na sam, ale jako posiadaczka materiału genetycznego taty byłam mu potrzebna. Musiał tolerować moją obecność. Zresztą Dobrosława całą sobą dawała znać, że woli przebywać ze Szczęsnym w towarzystwie świadka. Chyba nie zapalała sympatią do starszego pana. Już na pierwszy rzut można było dostrzec jego wybujałe ego i charakter nieznoszący sprzeciwu.

Podobnie autorytarnym tonem zdecydował o wspólnej kawie po wizycie w klinice.

– Zarezerwowałem stolik w mojej ulubionej knajpce w rynku – oznajmił. – Możesz się ode mnie dużo dowiedzieć o swojej mamie – zwrócił się do Dobrusi. – Jeżeli ten temat panią interesuje, zapraszam również. – Spojrzał na mnie.

Spojrzenie było niezbyt zachęcające. Już chciałam odmówić, ale Dobrusia mnie ubiegła.

– Dziękuję. Znam swoją mamę wystarczająco i nie jestem ciekawa szczegółów z przeszłości. Poczekajmy na wynik testu. A na kawę umówiliśmy się już wcześniej z Weroniką. Tylko we dwie – zablefowała.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się pan profesor, ale musiał ją zaakceptować.

– Co za człowiek! – denerwowała się Dobrosława, kiedy rzeczywiście postanowiłyśmy wypić wspólnie kawę. – Mówi mi po imieniu, jak gdybym rzeczywiście była jego córką! A zresztą nawet gdyby tak było, czego sobie absolutnie nie życzę, i tak nie będzie miał do mnie żadnych praw. Jak moja matka mogła kochać się w kimś takim?

– Może kiedyś był inny? – podsunęłam wytłumaczenie.

Pokręciła przecząco głową.

– Przyjaciółka mamy, ciocia Magda, nie powiedziała o Szczęsnym dobrego słowa.

Była wyraźnie najeżona, a przecież test mógł wypaść na korzyść Jaromira.

– Nie myśl o nim źle. – Studziłam emocje. – To prawda, że nasz artysta nie jest ikoną taktu, ale jednak może być twoim biologicznym ojcem.

– Niedoczekanie! – syknęła Dobrusia pod nosem i zmieniła temat. – Możesz mi coś powiedzieć o sobie?

Co tu gadać? Praca, mąż, dzieci, dwaj bracia. Nic szokującego. Normalne życie.

– Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę, ale jesteśmy z Nawojką tylko we dwie. I to się pewnie nie zmieni – westchnęła.

– Przecież jesteś jeszcze bardzo młoda. I ładna – dodałam z uśmiechem. – Znajdziesz partnera. A może i urodzisz dzieci?

– Mam Mateusza. Jest adwokatem.

Powiedziała to takim tonem, jakby nie chciała kontynuować tematu.

Więcej uwagi poświęciła swojej pracy redaktorki w wydawnictwie BookMacher, należącym do jej przyjaciółki Zuzanny Kozłowskiej. Jego nazwa obla mi się o uszy. Jak Dobrusi nazwa mojej galerii Pod Jemiołą.

– Skąd pomysł? – zapytała.

– A wiesz, otworzyłyśmy z Anielą galerię krótko przed świętami Bożego Narodzenia. Wtedy wydawała się nam właściwa i tak już zostało.

Rozmawiałyśmy jeszcze dość długo, poznając się nawzajem. Zdawałam sobie sprawę, że trochę przedwcześnie, bo może jednak nie jesteśmy spokrewnione, ale czułam się tak, jakbym spotkała bratnią duszę. Nie licząc Anieli, nie miałam przyjaciółek, a z nią spotykałam się głównie w pracy. Rozmawiałyśmy przede wszystkim o galerii albo o jej staraniach o dziecko. Tak bardzo go pragnęła, że aby jej nie urazić, ograniczałam opowiadanie o Jaśku i Zosi, przez co katalog tematów mocno się zawężał. Nela nie chodziła na imprezy, bo to mogło zaburzyć cykl, nie dawała się namówić na pizzę ani inne śmieciowe jedzenie, ponieważ dbała o zdrową dietę. Mogłyśmy sobie jedynie ponarzekać na temat mężów, ale w sumie nie było na co.

Daria, świetna żona i matka, dobry człowiek, nie wychodziła poza sztamę codziennego życia. I jakkolwiek kochałam jej charakter, to nie mogłam się spodziewać jakichkolwiek ekstrawagancji. Wyjazd do rodziców pod Mławę był jedyną wyprawą w obrębie jej zainteresowań. Nieraz próbowałam wyciągnąć ją gdzieś dalej z dziećmi, kiedy nasi mężowie, jak zwykle zresztą, byli pochłonięci pracą.

– Znalazłam wspaniałą ofertę wyjazdu na Kretę. – Wpadłam do niej któregoś dnia, wachlując prospektem biura podróży. – Tygodniowy all inclusive za tysiąc dwieście złotych od osoby. Okazja! Jedziemy?

Mój entuzjazm nie znalazł zrozumienia u bratowej.

– Wiesz, że Krzesek nie pojedzie.

– A czy ja tego oczekuję? Paweł też się nie ruszy. Zabieramy dzieciaki i w świat! – Nie traciłam nadziei.

Nie udało mi się namówić Darii, więc wyruszyłam z Zosią i Jaśkiem.

Na kolejny wyjazd zabrałam również moich bratanków, bo Majka była za mała. Wystarczała mi moja własna dwulatka.

Daria pilnowała domowego ogniska, którego nie opuszczała ani na chwilę. Żeby przypadkiem nie zgasło.

Dobrusia wydawała się inna. Zapewne z powodu rozstania ze swoim mężem Miłozsem była bardziej zaprawiona w bojach samotnej matki, może odważniejsza, bo skazana na siebie.

Słuchała moich rodzinnych opowieści, od czasu do czasu wtrącając historie ze swojego życia.

– My nigdy nigdzie dalej nie wyjeżdżaliśmy. Wakacje spędzaliśmy na wsi, gdzie rodzice się poznali, u przyszywanej ciotki Reginy. Była lokalną zielarką, dawno temu nawet akuszerką. Odebrała połowę wiejskich dzieciaków i leczyła miejscowych. Miałam za złe rodzicom, kiedy po wakacjach zabierali mnie do domu. Być może traktowałam ją trochę jak babcię, której nigdy nie miałam? Z dziadkiem, tatą mamy, nie utrzymywaliśmy kontaktów. Nawet nie wiem, czy żyje. A właściwie dlaczego ze mną rozmawiasz? – Zaskoczyła mnie nagłym pytaniem.

W sumie na jej miejscu zadałabym takie samo. Miała prawo myśleć, że gromadzę informacje, żeby wykorzystać je przeciwko niej, gdyby się okazało, że mój tato jest jej ojcem. Nie miałam jednak takiego zamiaru. A już na pewno w chwili, kiedy się przede mną otworzyła.

Rosła w prawdziwej kochającej się rodzinie, podobnie jak ja. I to nas łączyło.

– Bo wydaje mi się, że jesteś córką mojego taty – odparłam. – A to by oznaczało, że jesteśmy siostrami. I jakkolwiek nie pochwalam związku taty z twoją mamą, oboje nie żyją, a my i owszem.

– Ale efekt ich związku to jeszcze nic pewnego – wtrąciła Dobrusia.

Miała rację. Na wynik testów musiałyśmy poczekać.

– To jak? Spotykamy się w klinice w piątek? – zapytałam.

– Oczywiście. I zapamiętaj: nie roszczę sobie pretensji do spadku po waszym ojcu – powtórzyła po raz kolejny. – Mój tata Leszek zostawił mi wszystko, o czym można marzyć, czyli wspomnienia i książki, które napisał. Ale miło było cię poznać.

Odeszła szybko, bez babskich przytulank. Byłam jej za to wdzięczna. A nawet pomyślałam, że chciałabym, żeby wyniki badań potwierdziły nasze pokrewieństwo.

Tato zadbał o to, żebyśmy nie mieli czego dzielić, za to życie usiłowało nas połączyć.

## Rozdział 36

### Dobrosława

Nie codziennie człowiek poddaje się testom DNA, i to na okoliczność potencjalnego ojcostwa dwóch mężczyzn. Mimo sympatycznej rozmowy z Weroniką przy kawie poczułam psychiczne zmęczenie, które mogłam odreagować w jedyny sposób – wizytą w stajni.

Mateusz nie wrócił jeszcze z Trójmiasta, więc nie groziło mi nieoczekiwane spotkanie. Postanowiłam zabrać Nawojkę ze szkoły i pognać naszym leciwym stalowym rumakiem do stadniny.

Moja córeczka wyszła jak zwykle w odpiętym skafandrze i niedbale założonej czapce odkrywającej uszy.

– Kochanie, ile razy mam ci powtarzać, że jest zima i masz się starannie ubierać? – upomniałam małą, która nie bacząc na zrzęczenie matki, wpadła w trans relacjonowania wydarzeń z całego dnia.

– Dostałam piątkę z polskiego, Marysia też, a ta głupia Sandra dostała dwójkę. A pan policjant mówił nam, jak przechodzić przez ulicę, i nie było lekcji angielskiego, bo pani zachorowała. Poczekaj na ciebie w świetlicy i poczęstowali mnie zupą, bo wszyscy mogą zjeść zupę, nawet jeśli nie zapłacili za obiady. A może kupisz mi obiady w szkole, bo na drugie była smażona ryba, a ja ją bardzo lubię?

Odczekałam, aż zabraknie jej tchu, i wtrąciłam swoje trzy grosze.

– Córku, o obiadach pomyślę, Sandra nie jest głupia, nie należy cieszyć się, że komuś coś się nie udało, i co byś powiedziała, gdybyśmy pojechały prosto do stadniny? A po drodze zajedziemy do chińczyka i zjemy rybę w chrupiącej panierce – wyartykułowałam na wydechu, zanim Nawojka ponownie dorwała się do głosu.

Na szczęście nie miała takiego zamiaru. Skończyło się na trzech „hura”. A nawet zasłużyłam na słodkiego całusa.

– Ale dzisiaj nie mam treningu.

– Nie szkodzi. Zajmiemy się Weną, wyczyścimy ją. Może nawet pozwolę ci pojeździć na lonży. Nie wspominałam jeszcze, ale pan Wojtek podarował mi Wenę. Muszę tylko dobrze się nią opiekować.

– Naprawdę? A ja będę mogła ją ujeżdżać? – zapytała Nawojka z nadzieją w głosie.

– Owszem. Ale najpierw musisz nauczyć się ją karmić i czyścić. Dzisiaj udzielę ci pierwszej lekcji końskiej higieny.

Do tej pory nie pozwalałam Nawojce czyścić koni, ale skoro Wena już należała do mnie, musiała oswoić się także z obecnością mojej córki.

Po wizycie u chińczyka zajechałyśmy do stadniny trochę zbyt pełne. A przynajmniej ja czułam ociężałość i senność. Konia z rzędem za filiżankę kawy, pomyślałam i skierowałam pierwsze kroki do kuchenki.

– Słyszałaś, że pan Wojciech nas opuszcza? – dobiegł mnie głos Anity, naszej długoletniej trenerki. – Podobno chce się pozbyć kilku koni. Nie wiem, jak Roman poradzi sobie z prowadzeniem interesu. Może zwolni część pracowników?

Bała się o swoją posadę, i nic dziwnego. Ale należało zaufać właścicielowi i składać ręce do Boga, żeby stajnia kwitła jak do tej pory. Zastanawiałam się, czy wspomnieć Anicie o Wenie, ale po namyśle zrezygnowałam. Wiadomość o podarunku powinna wyjść od pana Wojtka.

– Dotarła do mnie ta smutna wiadomość – odpowiedziałam. – Szkoda, bo jak mówi przysłowie, pańskie oko konia tuczy. A tak poważnie to będzie go tutaj bardzo brakowało. Może

szybko wróci?

– Z podróży dookoła świata? Rok niewyjęty, a może dłużej. Oby tylko Roman nie zabałagał stadniny!

Wiesć rozniosła się szybko. W każdym kącie dyskutowano nad ekstrawagancką decyzją właściciela, ale co mnie bardzo ucieszyło, od nikogo nie usłyszałam dywagacji na temat poszukiwania przez niego spadkobierczyni. Zasznurowałam usta i usiłowałam zapomnieć o sprawie, tym bardziej że nie mogłam pomóc.

Z kubkiem kawy w dłoni i sokiem dla Nawojki wróciłam do ujeżdżalni, gdzie moja córka rozmawiała ze swoją trenerką Ludą. Młoda kobieta przyjechała przed rokiem z Ukrainy i zajmowała się szkoleniem dzieci. Była twarda i wymagająca, ale młodociani podopieczni bardzo ją lubili. Ja również ceniłam ją za profesjonalizm i podejście do dzieci i koni. W obu przypadkach kierowała się sercem.

– Trening mamy za dwa dni, prawda? – upewniła się na nasz widok.

– Oczywiście. Przyjechałyśmy z Nawojką do Weny. Będziemy uczyć się czyścić konia – odparłam, spoglądając na córkę, która wodziła tęsknym wzrokiem za kasztanką na lonży. – Słyszałaś, córuś? Trening masz za dwa dni – zaakcentowałam i pociągnęłam ją do boksu.

Wena zareagowała na naszą obecność radosnym rzeniem, co zawsze brałam za przejaw sympatii. A może tylko wyobrażałam sobie jej miłość do siebie, której tak bardzo łaknęłam po odejściu rodziców? Po wymianie czułości przeszłam do szkolenia córki.

– Pani Luda pokazała ci już szczotkę, zgrzebło i kopystkę, a teraz ja nauczę cię, jak ich używać.

Przystąpiłam do toalety klaczy. Delikatnie wyczesywałam jej grzbiet, brzuch, szczególnie pod poprzęgiem, przeciągałam zgrzebłem po grzywie i ogonie, aż zaczęły lśnić. Wena przyjmowała zabiegi pielęgnacyjne ze spokojem. Były momenty, że jak człowiek przymykała z lubością oczy.

– A teraz trudne zadanie. – Przeszłam do czynności, którą trzeba było wykonać subtelnie i ostrożnie, by nie rozdrażnić konia. – Higiena kopyt. Staję obok Weny, żeby wyraźnie mnie widziała – tłumaczyłam cierpliwie. – Nigdy za nią, bo może się przestraszyć i kopnąć, a tego byśmy nie chciały. Podnoszę jej nogę i sprawdzam, czy w kopycie są resztki błota i drobne kamyki. Teraz są czyste, bo nie jeździła w teren, kiedy nas nie było – skomentowałam. – Ale gdyby były zanieczyszczone, wzięłabym tę dużą szczotkę – uniosłam dłoń z kopystką – i wygrzebałabym śmieci, żeby nie uwierały. Może wyszczotkujesz lewy bok Weny? – zaproponowałam Nawojce. – I mów do niej. Możesz się nawet przytulić. Tylko pamiętaj, żeby zawsze cię widziała. Musi przyzwyczaić się do twojego głosu i ruchów. Właśnie, nie wykonuj gwałtownych ruchów. Koń to zwierzę duże, ale płochliwe. Właśnie tak. – Patrzyłam z aprobatą, jak moja córka dokładnie wykonuje polecenia.

Dużo już wiedziała, ale ostrożności nigdy dość, więc kładłam jej do głowy bez końca, jak obłaskawiać konia i nie zostać kopniętym, ugryzionym czy zrzuconym.

– Naprawdę pan Wojtek dał nam Wenę? – Do Nawojki dotarło, że stojący tuż obok cud natury jest naszą własnością.

– Tak, kochanie. – Przytuliłam córkę, a po chwili także klacz, żeby nie czuła się pominięta. – Ciebie też kocham. – Pogłaskałam aksamitne chrapy. – A teraz wyprowadzę cię z boksu.

– A ja? – zawołała Nawojka.

– Poczekasz tutaj. – Wskazałam na ławkę przy ścianie ujeżdżalni. – Potem cię przewiozę.

Przejażdżka na Wenie odsunęła wszystkie kłopotliwe myśli. Z uwagi na obecność córki nie wybrałam się w teren, ale nawet te kilka minut w ujeżdżalni sprawiło mi przyjemność.

Pochylałam się nad klaczą i szeptałam jej do ucha słowa miłości. Tłumaczyłam jej, że jest moja i zawsze będzie. Że będę o nią dbać jak nigdy dotąd. Odwdzięczała się płynną jazdą i sprawiała wrażenie zadowolonej.

Później spełniłam obietnicę, posadziłam Nawojkę w siodle i pozwoliłam na kilka rundek na lonży. Nie nalegała na przedłużenie treningu, ponieważ na horyzoncie pojawiła się Gabrysia, również siedmiolatka, koleżanka mojej córki z padoku.

Podrzuciłam Wenie trochę karmy. Właśnie kończyłyśmy pożegnanie, kiedy zza moich pleców dobiegł głos pana Wojciecha.

– Mógłbym zająć pani chwilę?

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję za moją lady. – Uśmiechnęłam się.

Skinął głową i gestem zaprosił mnie do gabinetu.

Oby tylko nie zmienił zdania! – udałam się za nim z niepokojem w sercu.

Na szczęście sprawa, o której chciał porozmawiać, dotyczyła czegoś zupełnie innego.

Od progu zauważyłam zmiany. Wzdłuż ścian stały kartony z książkami o koniach i jeździectwie, a regały świeciły pustkami.

– Zabrałem kilka wartościowych pozycji – wytłumaczył się pan Wojtek, dostrzegłszy w moich oczach zdziwienie. – Ale obraz zostawiam – nawiązał do zakupionej niedawno *Miłości bułanych*.

Nie podjęłam tematu.

– Pani Dobrusiu, może jestem namolny, ale naprawdę jest pani jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać. Byłem w urzędzie stanu cywilnego i zidentyfikowałem osobę, kobietę, która urodziła się tego samego dnia, co pani. Nie było łatwo, ale pomógł mi znajomy. Ominęliśmy te wszystkie przepisy o ochronie danych osobowych i dotarłem do dokumentów. Do rzeczy: dziewczynka, która przyszła na świat dwudziestego pierwszego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, nazywa się Weronika Sambor. Czy zetknęła się z nią pani kiedykolwiek?

O Boże! – wykrzyknęłam w myślach, zdawszy sobie sprawę, że niebawem Weronika, podobnie jak ja, będzie przechodzić przez piekło wątpliwości. Jak to możliwe?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Bo chyba nie poinformuję pana Wojtka, że przed południem piłam z nią kawę?

– Dlaczego miałabym ją znać? – zapytałam.

– Miasto nie jest duże. Może zetknęłyście się w szkole podstawowej lub średniej? Nie wiem, jak jej szukać, bo pewnie wyszła za mąż, zmieniła nazwisko albo wyprowadziła się gdzieś dalej, a ja nie mam zbyt wiele czasu. Wylatuję do siostry, do San Francisco, za trzy tygodnie.

Matko święta! Byłam w kropce. Oczywiście, bez zgody Weroniki nie mogłam przyznać się do naszej znajomości, a tym bardziej do łączącej nas, oczywiście potencjalnej, siostrzanej więzi. Jednak z drugiej strony pan Wojciech traktował mnie niemal po ojcowsku, jakkolwiek to brzmi. Byłam mu coś winna.

– Panie Wojtku, uruchomię pamięć i kontakty z dawnymi koleżankami – obiecałam. – Jednak tak od razu nie przychodzi mi na myśl żadna konkretna osoba. Proszę dać mi trochę czasu – łągałam jak z nut.

– Byłbym wdzięczny. Bardzo mi zależy.

Wyszłam z gabinetu na miękkich nogach. Właściciel stadniny miał nosa, gdy poprosił mnie o pomoc. Nie wypadało odmówić.

Wracałam do domu przy akompaniamencie paplania Nawojki. Powinna mieć na imię Nawijka, uśmiechnęłam się w duchu. Biłam się z myślami, czy powiedzieć Weronice o wynikach śledztwa pana Wojciecha. Była taka dumna ze swojej rodziny, tak mi współczuła z powodu

braku informacji o prawdziwym ojcu... Miałabym zniecka zburzyć to jej wyobrażenie?

A co, jeśli pan Wojtek wynajmie detektywa albo namierzy Weronikę w jakikolwiek inny sposób? – dumalam. Moze moje posrednictwo między nią a Zborowskim będzie trochę bardziej do przyjęcia?

Podjęłam decyzję. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer.

## Rozdział 37

### Weronika

Telefon od Dobrusi zastał mnie przy robieniu kolacji. Lazania dochodziła w piekarniku, a ja właśnie zaparzałam tarty imbir, miód i cytrynę. Jaś wrócił ze szkoły lekko podziębiony, więc postanowiłam zastosować stary dobry sposób na odpędzenie kielkującej infekcji.

Gdy dosypywałam do mikstury po szczypcie kurkumy, cynamonu i goździków, usłyszałam znajomą melodyjkę.

– Właśnie o tobie myślałam! – zareagowałam radośnie.

Poprosiła mnie o pilne spotkanie następnego dnia.

– Coś się stało? Szczęsny cię niepokoi? – wyartykułowałam pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy.

– Nic takiego. Po prostu musimy porozmawiać. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale może znalazłabyś czas jutro przed południem?

Umówiłam się z nią w galerii. Aniela poinformowała mnie, że będzie na zwolnieniu do końca tygodnia, więc plan na najbliższe dni miałam klarowny.

Dobrosława mnie zaintrygowała. Tym bardziej że nie chciała zdradzić szczegółów i szybko przerwała połączenie.

– Odprowadzisz jutro Jaśka do szkoły? – zapytałam Pawła. – Ma na wpół do dwunastej.

– Nie bardzo mogę. Mam nowego klienta i pracuję w jego firmie od ósmej. Od razu uprzedzam, że tak będzie przez cały miesiąc.

Jak zwykle mogłam liczyć na męża. Dzięki Bogu Zosia chodziła do przedszkola. Zawsze na ósmą.

„Spotkajmy się w samo południe”, wysłałam wiadomość. Wymyśliłam, że rano zabiorę Jaśka do galerii, a po odstawieniu go do szkoły wrócę do pracy.

Nie było innego wyjścia. Nie mogłam bez przerwy wykorzystywać Darii.

Dzieciaki po kolacji wyjątkowo szybko poszły do łóżek, niestety, jak się okazało, powodem była choroba. Jaś obudził się w środku nocy z gorączką, świszczącym oddechem i kaszlem, niebawem podobnie zareagowała Zośka. Ratowałam oboje tabletkami, syropem, nawilżałam pomieszczenia, robiłam okłady na piersi. Wszyscy troje zarwaliśmy noc, a rano miałam już pewność, że nie ruszę się z domu. No, chyba że do lekarza.

Krażyłam po kuchni nieprzytomna, a moje dzieciątka odsypiały zaległości. Pod czaszką czaiła się myśl, by odwołać spotkanie, ale zawiadomienie Dobrusi o zmianie planów wypadło mi z głowy.

Paweł, zobaczywszy, że nie wypiję z nim porannej kawy, szybko przygotował sobie dwa tosty z dżemem i zniknął z mojego pola widzenia. I bardzo słusznie, bo nie miałam nastroju na pogaduszki, a pomocy nie mogłam się spodziewać. Jak zwykle w przypadku mojego męża praca wzięła górę nad przyziemnymi sprawami.

Dwie filiżanki kawy postawiły mnie jako tako na nogi. I bardzo dobrze się stało, bo w drzwiach kuchni stanęła rozkaszana Zośka.

– Usiądź, kochanie, na kanapie i okryj się kocem – powiedziałam. – Zaraz przyniosę skarpetki. – Zerknęłam na bosc stopy.

Przy okazji zajrzałam do Jaśka. Wciąż spał. Oby tak dalej, pomyślałam, bo jak mówi ludowa mądrość, sen to zdrowie.

Mała wypila swoje ulubione kakao i skusiła się na jajko na miękko. Przyłożyłam rękę do jej czoła. Było chłodne, podobnie syna. Sytuacja na froncie nie wyglądała źle. Doświadczenie

matki dawało mi nadzieję, że kilka dni w domu powinno załatwić sprawę. Może nawet obejdzie się bez wizyty u lekarza?

Powróciłam wspomnieniami do rodzinnego domu. Mama przesiedziała z całą naszą trójką dziesiątki, a nawet setki dni niedomagań, chociaż przecież prowadziła aptekę. Tato nigdy nie zostawał z chorymi dziećmi, ale w pobliżu była babcia Marianna.

Poczułam przypływ goryczy z powodu przedwczesnej śmierci mamy i skarciłam się w myślach za egoizm. Pewnie, że byłoby dobrze mieć ją do pomocy przy dzieciach, ale jeszcze lepiej jako przyjaciółkę, na której wsparcie zawsze mogłam liczyć.

Dobrusia, podobnie jak ja, straciła mamę sześć lat temu – myśli niespodziewanie poszybowały do nowo poznanej potencjalnej siostry i przypomniały o umówionym spotkaniu w galerii.

Zanim zdążyłam złapać za telefon, usłyszałam dzwonek do drzwi. Jednocześnie w kuchni pojawił się Jasiek.

O tej porze to tylko listonosz, stwierdziłam, ale nie miałam racji. Do przedpokoju wparowała ciotka Konstancja.

– Przyjechałam do lekarza i postanowiłam do was zajrzeć – obwieściła. – Dostanę filiżankę kawy?

Moja wiara w Anioła Stróża została nagrodzona. Ten mój właśnie do mnie zawitał.

– Źle wyglądasz – zauważyła ciotka. – W piżamie o tej porze? Jesteś chora? I dzieci w domu? Wszyscy jesteście chorzy?

Od razu zrobiło mi się lepiej. Trajkotanie Konstancji i jej hiperaktywność poprawiły mi nastój. Natychmiast po zdjęciu płaszcza i umyciu rąk zabrała się do porządków i ustawiania domowników. Czasami mnie to irytowało, ale nie tym razem. Ciotka była jak jednoosobowa grupa wsparcia.

– Dzieciaki, jeżeli skończyliście śniadanie, to proszę iść się ubrać! I ty też. – Spojrzała wymownie na mój rozchełstany szlafrok. – A potem postanowimy, co dalej.

Wypytała o gorączkę, objawy choroby, noc i samopoczucie. Poradziła, żeby chwilowo zrezygnować z lekarza.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? – zapytała z wyrzutem.

– Są chore dopiero od wczoraj...

– ...więc z pewnością dzisiaj byś zadzwoniła – powątpiewała. – Weroniko, zupełnie zapomniałaś o starej ciotce. Mogę ci pomóc?

Rzeczywiście, od otwarcia testamentu taty u notariusza nie kontaktowałam się z Konstancją. Choć pewnie była ciekawa, czy odnaleźliśmy Dobrosławę.

– Przepraszam, ciociu. Ostatnio dużo się działo...

– Na pewno chcesz, żebym została z dziećmi, bo ty musisz iść do pracy? – Ciotka wykazała się domyślnością.

– A możesz?

Pokiwała głową z politowaniem.

– Werka, znamy się od lat, więc nie zadawaj głupich pytań. Zostanę z nimi dzisiaj albo do końca tygodnia. O ile mnie tu chcecie.

Uwiesiłam się jej na szyi, chociaż wiedziałam, że ogania się od czułości.

– Twój pokój zawsze na ciebie czeka – wspomniałam o gościnnym od podwórza. – I dziękuję.

Jak dobrze, że nie odwołałam spotkania!

Ustaliłyśmy z Konstancją co i jak, dzieciaki już przebierały nogami, ciesząc się na dzień z ciotką, która już wymyślała kolejne ciekawe gry i zabawy niewymagające konsoli ani tabletu.

Karty, statki, kółko i krzyżyk musiały wystarczyć. Ja nie martwiłam się obiadem, który Konstancja potrafiła wyczarować z najprostszych składników. Wystarczyły ziemniaki na placki, jajka na omlet czy trochę mleka na naleśniki.

– Idź już, idź! – popędzała, kiedy pociągałam szminką usta. – I nie myśl za dużo. Poradzimy sobie.

Uff, jak miło było na dworze!

Ciągnęło mnie do Dobrusi jak do siostry, której nigdy nie miałam. Krzesek, Jędrzej, kochani starsi bracia, to duży skarb, ale żeby tak jeszcze siostra... Spadek po tacie przestał być ważny, podzielimy go sprawiedliwie, tym bardziej że według Krzeska firma nadawała się do reanimacji, dumałam. A Dobrusi przyda się kilka złotych na wymianę zardzewiałego matyza na lepszy model. A i może na mały remont mieszkania, które choć klimatyczne, było nieco zapuszczone.

Wpadłam do galerii kilka minut przed dwunastą. Ogarnęłam papiery z biurka, podkręciłam grzejnik i zmieliłam kawę w ekspresie, by była gotowa na przybycie gościa. Przywitałam go w bardzo dobrym nastroju.

– Zapraszam w moje skromne progi. Uważaj na dwa schodki w dół. Kawy? W kącie stoi wieszak. – Ochoczo pełniłam rolę gospodyni.

Nie uszło mojej uwagi, że Dobrusia jest nieco przygaszona, ale złożyłam to na karb nieśmiałości i niepewności w nowym miejscu.

Poprosiła o latte, ale podziękowała za muffinkę, którą kupiłam w biegu w pobliskiej ciastkarni.

– Nie jadasz słodczy? – zapytałam.

– Czasami. Może później. Mam ci coś do powiedzenia, ale nie wiem, jak zacząć...

Zabrzmiało niepokojąco. Pomyślałam o wynikach DNA, ale przecież miałyśmy je odebrać dopiero za kilka dni. Co nurtuje tę dziewczynę?

Zrezygnowałam z oprowadzenia jej po galerii. Nie wspomniałam, że Szczęsny będzie organizować u nas wystawę. Widać było, że Dobrusia chce szybko przejść do rzeczy, i tak się stało.

– Weroniko, jak ci wspominałam, od lat jeżdżę konno w pewnej stadninie – zaczęła. – Jej właściciel, pan Wojciech Zborowski, poprosił mnie o pewną przysługę...

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Przepraszam, płacząc się w zeznaniach. Chyba zacznę od początku. Wiele lat temu on miał... To znaczy mówi, że znał twoją mamę. To było w tym czasie, kiedy twój tato wyjechał na staż do Paryża. No dobrze, powiem wprost: pan Wojtek i twoja mama mieli romans. A po dziewięciu miesiącach urodziłaś się ty. On podejrzewa, że możesz być jego córką.

– Żartujesz? – wykrzyknęłam. – Jesteśmy w ukrytej kamerze?

– Niestety. I nie myśl, broń Boże, że próbuję się na tobie odgrywać za moje perturbacje z ojcami. Stałam się częścią tej łamigłówki przez przypadek. Pan Wojciech szuka córki. Wpadł mu w ręce mój PESEL i pomyślał, że to ja nią jestem. Ale nie jestem, bo moja mama miała na imię Blanka, a on utrzymywał stosunki z Martą Sambor. To oczywiście o niczym nie świadczy, ale... Zborowski ma już swoje lata, nie ma bliskiej rodziny, wybiera się w daleką podróż. Kiedy dowiedział się o śmierci twojego taty, postanowił cię odnaleźć.

Grom z jasnego nieba byłby niczym.

– To jakiś nonsens! Śmierć taty otworzyła puszkę Pandory! A ten facet ma jakieś urojenia. Moje mama nigdy nie wdawała się w żadne romanse.

– Ufam, że jest tak, jak mówisz. A tutaj przyszedł, żeby cię ostrzec. Pan Wojtek prosił mnie, bym pomogła mu w poszukiwaniach, bo jeśli nie, zatrudni detektywa. Pomyślałam, że

może będzie lepiej, jeśli to ja oswoję cię z sytuacją. Przemyśl, czy się z nim spotkasz.

Jasne, ta cała hucpa nie była winą Dobrosławy. Niemniej jednak grom uderzył, a mnie zawalił się świat. Skoro jakiś facet poczuwa się do bycia moim ojcem, mogło to oznaczać tylko jedno: mama nie pozostała dłużna ojcu, kiedy ten zabawiał się Blanką, i znalazła sobie kochasia.

    Nie tak zapamiętałam rodzinę, w której się wychowałam.

## Rozdział 38

### Dobrosława

Było mi bardzo niezręcznie, ale stało się.

Weronika zareagowała gwałtownie. Obserwowałam u niej fazy, przez które przechodziłam całkiem niedawno: szok, zdumienie, zaprzeczenie, wyparcie i absolutną pewność w kwestii uczciwości matki. Zadałam jej pytanie, czy zechce się spotkać ze Zborowskim, ale nie oczekiwałam natychmiastowej odpowiedzi. Zaznaczyłam tylko, że nie ma zbyt wiele czasu.

Musiała ochłonąć, być może przedyskutować sprawę z bliskimi. I podjąć decyzję.

– Dał mi kilka dni na poszukiwania, potem pewnie spróbuje na własną rękę. Bardzo mi przykro – zakończyłam misję i wstałam.

– Nie mam do ciebie pretensji – zatrzymała mnie Weronika. – Pogadam z Pawłem i dam ci znać wieczorem. Najpóźniej jutro rano. – Już nieco ochłonęła. – Teraz rozumiem, co czułaś... I przepraszam, jeśli kiedykolwiek byłam niemiła.

– Nic takiego się nie wydarzyło. – Położyłam dłoń na jej ręce. – Przejdziemy razem przez ten labirynt ojców i córek. Będzie, co ma być. Badania nie kłamią.

Weronika uczepliła się tej myśli.

– Przypuszczenia tego pana mogą być wyssane z palca – powiedziała. – Może nie było żadnego romansu, a gość na stare lata coś sobie imaginuje. Pogadam z ciotką Konstancją, akurat u nas jest. W końcu jako bliźniacza siostra mamy powinna mieć lepszą orientację ode mnie. Nie wyobrażam sobie mamy w objęciach innego mężczyzny niż ojciec...

Ten etap miałam już za sobą. Nie tylko potrafiłam wyobrazić sobie mamę z Samborem Jaremą, ale relacja cioci Magdy utwierdziła mnie w przekonaniu, że to prawda.

Podziękowałam za kawę i zmęczona emocjami czym prędzej opuściłam galerię. Ale skoro już byłam na starówce, zaszłam do BookMachera.

Moje przypuszczenia, że Zuza jak zwykle ujeżdża komputer, się nie sprawdziły. Jej sekretarka Andżelika wymownie spojrzała w kierunku drzwi do łazienki.

– Szefowa od samego rana źle się czuje – westchnęła ciężko. – Proponowałam jej, żeby poszła do domu, ale odmówiła. Mamy dzisiaj dostawę książek z drukarni i chce wszystkiego dopilnować.

– Kłopoty żołądkowe?

– Chyba tak. Podobno wczoraj byli z panem Olafem na sushi. Mogło jej zaszkodzić.

Nawojka miała dziś w szkole zaległą robotykę i basen, więc dysponowałam czasem do godziny siedemnastej. Wprawdzie książka czekała na redakcję, ale po spotkaniu z Weroniką byłam zbyt rozkojarzona, by do niej usiąść. A może tylko szukałam pretekstu do wagarów?

Usiadłam przy stoliku i zajęłam się przeglądaniem nowych folderów reklamowych. Andżelika przyniosła mi herbatę. Wypiłam ponad pół szklanki, a Zuza wciąż tkwiła w łazience.

Zaniepokojona chwyciłam za klamkę, ale natrafiłam na opór. Zapukałam, najpierw łagodnie, potem mocniej. Aż w końcu szarpnęłam gwałtownie. Za drzwiami zobaczyłam trupio bladą, ledwie trzymającą się na nogach przyjaciółkę.

Instynktownie ujęłam ją pod ramię, żeby się nie przewróciła.

– Matko jedyna, co ci jest? – zawołałam.

Wspólnie z Andżeliką zaciągnęłyśmy Zużę do gabinetu i usadziłyśmy w fotelu.

– Przynies wodę i mokry ręcznik – zadysponowałam i zapytałam Zużę, czy wezwać pogotowie.

Machnęła ręką.

– Nic mi nie jest. To tylko zatrucie. Zaraz przejdzie.

Andżelika położyła jej mokry ręcznik na czole i okryła ją kocem, by powstrzymać dreszcze. Nie raz reanimowałam Nawojkę przy kłopotach żołądkowych, ale widok kompletnie rozbitej Zuzy porażał.

Z trudem namówiłam ją na kilka łyków mięty. Zaczęła nabierać rumieńców, a ja nieco się uspokoiłam.

– Posiedzisz, popijesz – powiedziałam. – A potem zadzwonię po Olafa, niech cię zabiera. Żachnęła się.

– Nie mogę! Mam dostawę książek. I przyjdzie grafik z propozycjami kilku okładek – wyrzuciła z siebie. Jej czoło ponownie pokryły kropelki potu.

Moja przyjaciółka była chora. Nawet nie chciałam myśleć, jak poważnie. Przypomniałam sobie młodszą siostrę pani Klary, która miała podobne symptomy, gdy walczyła z rakiem jelita.

– Zostanę i cię zastąpię – zaofiarowałam się. – Przecież wiesz, że sobie poradzę.

W końcu od ładnych kilku lat miałam kontakt z firmą i przynajmniej pobieżnie ogarniałam zasady jej funkcjonowania. Przy pomocy Andżeliki załatwię, co trzeba.

Spanikowałam niepotrzebnie.

Zuza odmówiła i spróbowała wstać z fotela.

– Już lepiej – oświadczyła. – Mdłości ustąpiły i zawroty głowy też. Coś bym zjadła...

Doznałam olśnienia.

– A może ty jesteś...? – zaczęłam, ale przyjaciółka położyła mi dłoń na ustach.

– Nawet o tym nie myśl! Żadnej ciąży! Nie mam teraz czasu. Niedługo wydaję rynkowy hit, budujemy dom za miastem. A Arek dostał się do kadry pływackiej młodzików i Olaf będzie musiał go wozić na zawody.

To, co dla niektórych bywa błogosławieństwem, przeklinają inni. Wszystkim nie dogodzisz.

Zignorowałam ten atak paniki.

– Robiłaś test?

– Jeszcze nie. Bałam się – powiedziała cicho Zuza.

– To może pójde do apteki?

– Nie ma mowy! Ale gdybyś mogła zostać tu ze mną przez kilka godzin, byłabym wdzięczna. Zapłacę ci.

No, przesadziła.

– Zuza, czuję się obrażona – odparłam. – Przyjacielska przysługa nie wymaga rekompensaty. Powiedz, co mam robić.

Na pewno była w ciąży. Przekonałam się o tym, obserwując jej reakcje i działalność pół godziny później. Wszystkie dolegliwości żołądkowe poszły w zapomnienie, pojawił się wigor, a nawet apetyt. Zamówiliśmy dwie pizze. Patrzyłam, z jakim zacięciem moja przyjaciółka pochłania braccio di ferro, i czułam ulgę.

– Bardzo ci dziękuję – usłyszałam przy pożegnaniu. – Książki są w magazynku, a ja się wyrobiłam z formalnościami. Weź dla Nawojki. – Wręczyła mi egzemplarz *Zimy w krainie bałwanków*, której pełne kartony z poświęceniem ładowaliśmy na zaplecze przez ostatnią godzinę. – Weź jeszcze jeden, może komuś podarujesz – dodała uśmiechnięta.

– A ty jutro zrób test ciążowy – szepnęłam jej na pożegnanie, naraziwszy się na groźne spojrzenie.

– Nic mi nie jest!

Wiedziałam swoje. Widziałam charakterystyczny błysk oka. To musiała być prawda.

W drodze po Nawojkę zastanawiałam się, czy mam ochotę na kolejne dziecko. Może

i tak, ale czy z Mateuszem? Wprawdzie dogadywał się z moją córką, lecz nigdy nie wspominał o chęci posiadania potomstwa. Tak naprawdę nawet nie wspominał o małżeństwie. Owszem, była mowa o wspólnym zamieszkaniu, o budowie hacjendy za miastem, najlepiej nad jeziorem, o wyjazdach nad Morze Śródziemne, ale wyczuwałam, że nie chce podejmować zobowiązań.

Zupełnie inaczej niż Witek Niny. Ten oświadczył się po kilku miesiącach znajomości.

Nie widziałyśmy się od naszej babskiej imprezy. Mnie przytłoczyły sprawy potencjalnego podwójnego ojcostwa, ona nie dawała znaku życia.

Zadzwoiłam do niej natychmiast po powrocie do domu, czując, że to milczenie nie wróży niczego dobrego. Postanowiłam nic nie mówić o Zuzi. Teraz ważna była jej siostra.

– Cześć, co u ciebie? – zapytałam. – Z utęsknieniem czekam na informację o ślubie! – Udałam radosną.

– Przepraszam, mieliśmy ostatnio trudne chwile – odparła. – Sąd odmówił Witkowi opieki nad Lenką, więc przygotowania do ożenku przyspieszyły. Może razem nam się uda? W każdym razie zapraszam cię na świadkową. Ciebie i Zuzę.

– Chcesz mi powiedzieć, że pobieracie się ze względu na Lenkę? – zdumiałam się.

– To też. Dobrusia, przepraszam, ale nie mogę dłużej rozmawiać. Odezwę się.

Nie brzmiało to dobrze.

Nawojka wróciła z basenu wypłuskana i zadowolona. A kiedy dostała od Mateusza pluszowego śledzia znad morza, a ode mnie książkę, uciekła poczytać. A potem zasnęła szczęśliwa, zapewniając nam wolny wieczór.

Opowiedziałam Mateuszowi o testach.

– Będzie dobrze – uznał. – Jak nie ten tatuś, to inny. Obaj zamożni.

– Kochanie, ojcostwo to nie tylko finanse. – Próbowałam otworzyć mu oczy. – Powiedziałam ci już, że nie chcę żadnych pieniędzy od żadnego z nich.

– Dziecko – zawsze zwracał się do mnie w ten sposób, kiedy chciał okazać wyższość – najpierw zaczekajmy na wynik, a potem zdecydujemy, co dalej.

– Mati, chyba ja zdecyduję?

– Oczywiście, że ty. A teraz może napijesz się wina, które przywiozłem specjalnie dla ciebie? Włoskie primitivo z Apulii. Posmakujemy tutaj, a latem zabiorę cię do Bari i tam kupimy sobie cały karton. Znajomy pokazał mi pewną działkę nad jeziorem. Ma ponad pół hektara i bezpośrednio do wody. Sprzedaje ją jakiś biznesmen, któremu się ostatnio nie wiodło. Zaczął budowę dwustumetrowego domu z widokiem. Wystarczy kilkaset tysięcy, by go wykończyć i każdy weekend spędzać z kieliszkiem wina, patrząc na wodę. Co ty na to?

Odetchnęłam głęboko.

– A masz na to pieniądze?

– Kochanie, one zawsze się znajdują. Wystarczy tylko chcieć.

## Rozdział 39

Weronika

Po wyjściu Dobrusi nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Brakowało mi Anieli, a miało jej nie być do końca tygodnia albo i dłużej, jeżeli lekarz zaleci jej oszczędzanie się lub, co gorsza, leżenie. Znałam przypadki, że babki z zagrożoną ciążą były na permanentnym zwolnieniu aż do rozwiązania. Na myśl o takim scenariuszu włos mi się jeżył na głowie. Perspektywa wielomiesięcznej samotności w galerii nie była zachęcająca. A nawet niespecjalnie możliwa.

Często któraś z nas, zazwyczaj ja, jako ta bardziej mobilna, choćby dlatego, że posiadałam samochód, umawiała się z twórcami na starówce lub w ich pracowniach, nierzadko w innych miastach, załatwiała przyziemne sprawy rachunkowe, urzędowe. Ostatnio nawet dużo myślałam o poszerzeniu działalności o sprzedaż ręcznie robionych drewnianych mebli.

Pomysł wpadł mi do głowy, kiedy któryś z klientów zagadnął, czy może kupić regały, na których ustawiałyśmy nasze aniołki, ceramikę, oryginalną biżuterię ze szkła, bursztynu, rzemienia i innych naturalnych materiałów.

– Podobają się panu? – zagadałam, zanim Aniela zdążyła zaprzeczyć. – Te nie są na sprzedaż, ale być może niebawem będziemy mieć podobne. Stolarz, który je robi, to prawdziwy artysta – zachwalałam.

Wręczyłam klientowi wizytówkę galerii.

Po jego wyjściu dostałam burę od współpracownicy.

– Co ty wymyślasz? Od kiedy to sprzedajemy meble?

– A może to dobry pomysł? Sądysz, że Zenkowi nie przypadnie do gustu? – odparowałam. Nasz znajomy miał niewielki warsztat stolarski w nieodległej miejscowości. – Mebelki rzeczywiście są bardzo ładne i mimo prostoty niespotykane. A z malowidłami Jolki niepowtarzalne.

Żona Zenka uwielbiała dekorować drewno motywami ptaków, liści i gałązek. Często odwoływała się także do klimatów hinduskich strojów i kobierców.

Aniela trawiła nowo powstałą myśl. Po jej minie poznałam, że coraz bardziej się do niej skłania.

– No i? – zapytałam, oczekując aprobaty.

Milczała.

– Co nam szkodzi wziąć kilka mebelków w komis? – drażylałam. – Przecież mamy duży magazynek, wprowadzie nieco zagracony, ale kiedy się uprzątnie, możemy przygotować przestrzeń dla całkiem pokażnej kolekcji. Mówię ci, że pójdą jak święcona woda. Dzwonię do Zenka!

Opór Anieli słabł, choć wątpliwości pozostały.

– A jeżeli on się nie zgodzi na komis? Z czego mu wtedy zapłacimy?

Roześmiałam się.

– Jeżeli nie spytamy, to się nie dowiemy. Porozmawiam z nim przez telefon. Albo najlepiej pojadę. A jeszcze lepiej pogadam z Jolką jak kobieta z kobietą. Chyba nowy kanał dystrybucji im się przyda?

Oczami wyobraźni widziałam nasz poszerzony asortyment, a może i większe zamówienia.

Powróciłam do pomysłu, kiedy Aniela nagle wyautowała na zwolnienie. Nie mogłam co chwila zamykać galerii i biegać po okolicy, żeby pozałatwiać różne sprawy. W perspektywie czekało mnie również zwiększenie aktywności w mediach społecznościowych, które w postaci

Facebooka i Instagrama stanowiły o naszej reklamie. W końcu posty same się nie piszą.

Potrzebowałam kogoś do pomocy. Tylko skąd go wziąć?

Sprawy zawodowe pomogły mi zapomnieć na chwilę o decyzji, którą musiałam podjąć w sprawie kontaktu z Wojciechem Zborowskim. Najchętniej zamknęłabym kram i pognała do domu, by spytać ciotkę Konstancję o romanse mamy, ale pora była zbyt wczesna. Czas wolny, wobec małego ruchu klientów, spożytkowałam na telefon do Zenka.

– Mam do ciebie, a właściwie do was z Jolą pewną sprawę, która wiąże się z pieniędzmi – zaciekawiłam go na wstępie.

– A Jola ma dla ciebie prezent – usłyszałam od progu.

Oboje stali w drzwiach.

– Niemożliwe! Chyba ściągnęłam was myślami! – Wyskoczyłam zza biurka z ramionami otwartymi do uścisków. – Rozbierzcie się, przygotujcie coś ciepłego.

Dostałam przepiękną drewnianą szkatułkę na biżuterię, ozdobioną (a jak!) wizerunkami ulubionych rudzików Joli.

– Dziękuję bardzo, chociaż nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie cacko. – Obracałam w dłoniach uroczy drobiazg. – Potraktuję je jako początek naszej owocnej współpracy – oznajmiłam i pokrótce przedstawiłam pomysł na meble. – Mogą być regały, komódki, toaletki, stoliki kawowe. Cokolwiek wymyślicie.

Mój entuzjazm okazał się zaraźliwy.

– A wyroby z wikliny byś przyjęła? – Zenek zaproponował transakcję związaną. – Oprócz koszy Jola zaczęła wypłacać podkładowki pod filiżanki. A nawet wiklinowe ozdoby na ścianę, wzorowane na tych z lat sześćdziesiątych.

Wiedziałam, o czym mowa. W domu rodziców do tej pory wisiał wiklinowy pajak na pajęczynie, który według mamy przynosił rodzinie szczęście.

– Jasne! – zgodziłam się bez wahania.

Powróciła moda na dizajn z połowy ubiegłego wieku.

Konarscy przyszli do mnie z pewną prośbą. I wyjątkowo dobrze trafili, ponieważ ich potrzeby doskonale zgrały się z moimi. Można powiedzieć, że dosłownie spadli mi z nieba.

– No, powiedz, o co nam chodzi. – Zenek spojrzał na żonę, która do tej pory siedziała jak trusia.

– Może jednak ty? – Posłała mężowi błagalne spojrzenie. – No dobrze... – Skuliła się pod jego karcącym wzrokiem. – Potrzebuję pracy. Pomyśleliśmy, że ty w mieście masz większą orientację i nie zawadzi zapytać.

– A co chciałabyś robić? – Przeszłam do konkretów, nie wnikając w powody.

– Z mebli trudno wyżyć, a te z moimi malowidłami muszą dodatkowo trafić na swojego klienta. Jestem mało użyteczna, a potrzebujemy pieniędzy na życie. Chciałam już nawet iść do pracy w sklepie, niestety, nie było ofert. Może w mieście znalazłoby się dla mnie zajęcie, może w którejś z galerii? Znasz środowisko, może coś obilo ci się o uszy?

Czy się obilo? Słyszałam głównie anielskie pienia. Aniela nie była mi potrzebna do podjęcia decyzji. Najwyżej zapłacę Jolce z własnej części dochodów.

– Kochani, mam dla was dobrą wiadomość – powiedziałam. – Potrzebuję cię ja – zwróciłam się do Joli. – Moja współpracowniczka zaszła w ciążę i jest na zwolnieniu. Nikt nie wie, jak to długo potrwa, ale wzięwszy pod uwagę jej problemy z poprzednimi ciążami, muszę się liczyć z długą absencją. A jeśli szczęśliwie donosi, także z urlopem macierzyńskim, a może i wychowawczym. Potrzebuję cię. O ile, oczywiście, przyjmiesz warunki finansowe i godziny pracy.

Dobiłyśmy targu i sokiem pomarańczowym wznieśliśmy toast za nowy rozdział w życiu

galerii.

– To jak? Wszystkie ręce na pokład? – zapytałam.

– Kiedy tylko zrobię wymagane badania!

– Nie zwlekaj. – Nie potrafiłam ukryć radości.

Wystarczyło jedynie poinformować Anielę i – na co miałam nadzieję – uzyskać jej aprobatę.

Po wyjściu Konarskich z bólem serca zamknęłam biznes i pojechałam do przyjaciółki. Rozmowa nie nadawała się na telefon. W międzyczasie zadzwoniłam do ciotki Konstancji, która zapewniła mnie, że wizyta u lekarza nie będzie konieczna.

– Zosia trochę posypia, ale dla zdrowia. A Jasiek... Zresztą niech sam ci powie. – Podała telefon mojemu synowi.

– Mama, jest super! Gramy z ciocią w pokera, a zaraz będziemy uczyć się w tysiąca. I poznałem nowego pasjansa, ale on bardzo rzadko wychodzi. Kupisz nam nowe karty?

Obiecałam szczęśliwa i uspokojona.

– Może przywiezie pizzę? – zaproponowałam, czym naraziłam się Konstancji.

– Wy byście tylko tę pizzę jedli albo inne barachło! Starłam już ziemniaki i będę smażyć placki. I znalazłam w lodówce mięso na gulasz. Niebawem dojdzie. A ty zrób solidne zakupy. Potrzebuję kurczaka i wołowiny na rosół, włoszczyzny i sporo warzyw. Weź przy okazji drobny makaron, ryż, to ugotuję gar rosolu i risotto – usłyszałam rozkaz. – Dzieciaki mówiły, że dawno nie jadły. A wieczorem upieczemy chruściki, bo kiedy patrzę na te sterty sklepowych słodczy, to wątroba mi się wywraca!

Uśmiechnęłam się w myślach do tych złorzeczeń i zboczyłam z drogi. Ciotka uznawała wyłącznie warzywa ze straganu.

Mój dobry humor nie potrwał długo. Aniela powitała mnie marsową miną. Domyśliłam się, że chodzi o ciążę.

– Jesteś sama? – Rozejrzałam się po mieszkaniu.

– Jacek pojechał na rozmowę o pracę, chociaż najchętniej siedziałby ze mną przez cały czas.

– A jak się czujesz? Zrobić ci herbaty, mięty? Przyniosłam chruściki z naszej ulubionej cukierni przy rynku. – Zainspirowana pomysłem Konstancji, wstąpiłam po coś słodkiego.

Nie słuchała mnie. Ocierała oczy i pociągała nosem.

– Co się dzieje, Nela? – zapytałam zaniepokojona.

– Lekarz powiedział, że muszę bardzo uważać, a najlepiej leżeć. Kto wie, czy nie do końca – wyrzuciła z siebie. – Boję się o dziecko i naszą galerię. Jak ty sobie poradzisz?

Właśnie utwierdziłam się w przekonaniu, że Jolka pojawiła się w odpowiednim momencie.

– Naprawdę chce u nas pracować? – nie dowierzała Aniela. – A Zenek da nam meble w komis? Werka, nawet nie wiesz, jak mi ulżyło! Choćby na tym polu.

Było mi jej żal. Perspektywa leżenia plackiem przez osiem miesięcy, niepokój o dziecko. I jeszcze ten wiecznie szukający pracy Jacek! Dobrze, że przynajmniej opiekuńczy i kochający.

Zrezygnowałam ze zwierzeń na temat Wojciecha Zborowskiego. Może i Aniela nie przejęła się zanadto, ale była to jednak trudna sprawa. A tych moja przyjaciółka powinna teraz unikać.

– To znaczy, że się zgadzasz, bym zatrudniła Jolę? – zadałam pytanie wprost.

– Jasne! Rób, jak uważasz, i w tej sprawie, i w innych dotyczących galerii. Może kiedyś dołączę, ale na pewno nie teraz.

Właśnie o to mi chodziło. Aniela dała mi wolną rękę i pozwoliła działać. Od teraz miało

być tylko lepiej.

I było. Gdy zawitałam do domu pachnącego gulaszem i plackami ziemniaczanymi, zastałam ciepłą rodzinną atmosferę. Pawła wprawdzie nie było, ale przecież zapowiedział powrót z nowej firmy późnym popołudniem.

– Siadaj, bo zaraz podaję obiad. Ale najpierw umyj ręce – zakomenderowała Konstancja, udając się do kuchni.

Popołudnie minęło szybko i miło. Zośce i Jaśkowi posłużył dzień spędzony w domu, więc ostatecznie zrezygnowaliśmy z lekarza. Usmażyliśmy stertę chruścików i posypaliśmy je cukrem pudrem.

Nie mogłam się doczekać, kiedy dzieciaki pójda spać, a ja będę mogła wypytać ciotkę o pana Wojciecha. Nie stało się to jednak od razu; wieczorne kąpiele, czytanie przed snem i przytulanki ciągnęły się w nieskończoność. A potem przyszedł Paweł, którego trzeba było nakarmić. W pokoju dzieciaków dawno zapadła cisza, a mój mąż wciąż siedział w kuchni i nie zamierzał się wynieść.

Machnęłam ręką i zapoznałam ich z rewelacjami Dobrosławy.

– Co ty mówisz? – Paweł z trudem przełknął enty chruścik. – To jakiś nonsens!

– Też tak uważam, ale najpóźniej do jutrzejszego ranka muszę dać Dobrosławie odpowiedź, czy spotkam się z tym gościem. Bo on mnie znajduje i tak – dodałam zrezygnowana.

Zdawałam sobie sprawę, że nawet jak mu się uda, mogę odmówić badań DNA, ale zapewne poddam się im dla własnej pewności. Szlaki mamy przetarte, pomyślałam z sarkazmem.

– Rozumiem, Weroniko, że skłaniasz się do decyzji, by poznać tego człowieka i sprawdzić wasze powiązania? – usłyszałam głos ciotki.

– Chyba nie mam wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście! To chyba jakiś wariat! Nika, zamierzasz biegać na testy z każdym facetem, któremu się uroi, że jest twoim ojcem?

Dawno nie widziałam Pawła tak wzburzonego. W głębi duszy przyznawałam mu rację i może powiedziałabym to na głos, gdyby nie Konstancja.

Przerwała nam gestem i poprosiła o ciszę.

– Weroniko, naprawdę chcesz poznać prawdę? Czy może wolisz pozostać w nieświadomości? – zapytała. – Wprawdzie wiele ci nie wyjawię, bo nie znam szczegółów, ale wiem, że gdy Sambor przebywał w Paryżu, Marta utrzymywała kontakty z jakimś mężczyzną. Byłyśmy sobie bliskie, jednak nie aż tak, by mi się zwierzała z każdego kroku. Ale bywałam u rodziców, trochę pomagałam przy Krzesku i Jędrzeju, jednym słowem, widziałam co nieco. Pewnie nie powinnam o tym wszystkim mówić...

– Słyszałaś kiedykolwiek o Wojciechu Zborowskim?

– Oczywiście. Przecież to był pierwszy chłopak Marty, jeszcze w liceum. Ale potem, kiedy Sambor wyjechał, już mi się nie chwaliła, z kim przepada na długie godziny. No, może nie takie długie, ale kiedy wracała, wyczuwałam, że była z mężczyzną. Takie rzeczy rzucają się w oczy, nawet mnie, starej pannie.

– Ciociu...!

– Taka jest prawda, kochanie. Może nie mam doświadczenia z mężczyznami, bo mój pierwszy i jedyny zginął, zanim zdążyliśmy się związać na dobre... – odchrząknęła. – Ale oczy mi nie szwankowały. Marta nigdy mi nie zdradziła, skąd wraca do domu. Weroniko, szanowałam jej wolę i nadal szanuję. Jednak teraz ona nie żyje, a ty masz przed sobą całe życie i prawo do prawdy. Może rzeczywiście moja siostra ponownie zaczęła spotykać się z Wojciechem i ten człowiek ma podstawy, by prosić cię o spotkanie? Jednak od ciebie zależy, co postanowisz.

Konstancja pomogła mi podjąć decyzję. Wybrałam numer Dobrosławy.

– Jestem gotowa poznać Wojciecha Zborowskiego – powiedziałam oficjalnie. – Jak to zrobimy?

– Jeżeli możesz, to umówmy się jutro o szesnastej i pojedźmy razem do stadniny. Nawojka pójdzie na trening, ja zajmę się Weną. Nie będę wam przeszkadzać.

– Dobrze. Podjadę po was. Co ma być, to będzie – odparłam i wyłączyłam telefon.

## Rozdział 40

Weronika

Nie spodziewałam się, że Jola stanie w drzwiach galerii już następnego dnia, krótko po jedenastej, z orzeczeniem o zdolności do podjęcia pracy.

– Nasza sąsiadka ze wsi pracuje również jako lekarz medycyny pracy i przyjęła mnie po znajomości dziś rano. – Zaprezentowała pożądaną dokument. – I jestem.

Dostrzegłam w jej oczach niekłamana radość. Odwzajemniłam uśmiech.

– Już możemy podpisać umowę i przystępujemy do szkolenia, droga pani! – ćwierkałam zachwycona.

Nigdy dotąd nie zatrudniałyśmy pracownika. Dzieliłyśmy się zajęciami po przyjacielsku i ze zrozumieniem potrzeb, więc teraz czułam się trochę dziwnie. Ale zapoznałam Jolę z zakresem obowiązków.

– Pracujemy od dziesiątej do siedemnastej i w tym czasie ktoś musi być w galerii. Z Anielą często się wymienialiśmy, ale mam sporo obowiązków na zewnątrz i często wychodzę, więc twoja obecność będzie konieczna przez cały dzień. Czy jesteś w stanie zaakceptować godziny pracy? Wiem, że masz dzieci...

Przerwała mi.

– Niepotrzebnie się tłumaczysz. Jestem ci wdzięczna za pracę i wszystko mi odpowiada. A dzieciaki są już na tyle duże, że nie trzeba im zmieniać pieluch. Poza tym mają ojca. Mów, co mam robić.

Przedstawiłam jej naszą ofertę, pokazałam kasę fiskalną, nauczyłam wystawiania faktur, wspomniałam o wystawie prac studentów Jaromira Szczęsnego.

– Musisz przejrzeć Facebooka i Instagram galerii. Liczę na twoje podpowiedzi przy kolejnych wpisach. – Otworzyłam komputer. – Przy obsłudze klienta ważna jest nie tylko miła atmosfera, ale i dobra orientacja w temacie wystawianych przez nas twórców. W wolnej chwili przejrzyj ich notki biograficzne i katalog dostawców. Na ogół klienci kupują, kierując się własnym gustem, ale niektórym potrzeba więcej danych. I jeszcze jedno: ceny obrazów negocjujemy. Dopóki nie nabędziesz doświadczenia, zainteresowanych kieruj do mnie. Jakies pytania?

Jola wydawała się nieco spłoszona. Musiałam ją podnieść na duchu.

– Niczego się nie obawiaj. Jestem tutaj, a przynajmniej pod telefonem. A teraz zaparzę drugą kawę i podpiszemy umowę. Nie za mało ci proponujemy?

– Skąd! Zastanawiam się, czy nie za dużo...

Pierwszego klienta, w ramach szkolenia, obsłużyłam ja. Oglądał pastele, kobieta, z którą przyszedł, zainteresowała się biżuterią. Niczego nie kupili, ale czułam, że wróca.

– Dlaczego tak uważasz? – dopytywała Jolka.

– Trzy tysiące za ten format to dość drogo. A ta pani upatrzyła sobie bursztynowy wisior za półtora, czyli również niemało. Oglądają je już po raz drugi, czyli ochota im nie mija. Dojrzeją.

Kilka lat pracy w galerii zaowocowało doświadczeniem. Jola dopiero zaczynała. Była osobą inteligentną, więc się nie martwiłam. Pomyślałam, że najlepiej zrobię, jeśli zostawię ją samą i pozwolę jej przeprowadzić rozpoznanie bojem.

O trzeciej zaczęłam zbierać manatki.

– Będę uciekać. Mam coś ważnego do załatwienia – zakomunikowałam.

Nie kłamałam. Niebawem odbierałam Dobrusię i Nawojkę, by zawieźć je do stadniny.

I z każdą godziną targały mną coraz większe emocje. A nawet wątpliwości, czy nie zrezygnować ze spotkania, by nie szargać dobrego imienia mamy.

Jednak przypominałam sobie słowa ciotki Konstancji. Fakt, mama nie żyje, a ja mam prawo do prawdy.

Tylko do czego mnie ona doprowadzi? – rozmyślałam, wsiadając do samochodu.

Nacisnęłam pedał gazu i ruszyłam do Dobrosławcy.

– To moja Nawojka. – Powitała mnie w progę. Obejmowała ramieniem niewysoką dziewczynkę, której gęste, jasne, kręcone włosy niesfornie wysuwały się spod gumki.

Przedstawiłam się.

– Jestem Weronika. A ty masz pewnie tyle lat, co mój synek Jaś. Dobrze pamiętam, że siedem?

– Jestem w pierwszej klasie i już jeżdżę konno – odparła rezerwowo. – A mama ostatnio dostała Wenę i teraz mamy własnego konia. Umieję nawet czyścić mu kopyta kopystką!

– Kochanie, wystarczy. – Dobrusia ze śmiechem zakryła małej usta. – Ona może mówić bez przerwy – powiedziała z czułością i kazała córce włożyć buty.

W samochodzie włączyła jej bajkę na smartfonie i mogłyśmy zamienić kilka słów.

– Jeszcze raz przepraszam, że byłam heroldem złych wieści – sumitowała się. – Mam nadzieję, że to fałszywy alarm.

– Ja również. Naprawdę kochałam swojego tatę.

– Jak i ja swojego.

Zamilkłyśmy.

Dobrosława kierowała mnie przez całe miasto, na południe. Minęłyśmy rzekę, by po dwóch czy trzech kilometrach odbić w lewo, gdzie pojawił się już drogowy znak do stadniny. Uświadomiłam sobie, że nieraz tędy jeździliśmy z dziećmi nad podmiejskie jezioro. Od stajni zlokalizowanej na sporym terenie dzieliło nas zaledwie kilkaset metrów.

Zaparkowałam przed ogrodzeniem. Dobrusia uwolniła córkę od smartfona.

– Jeszcze nie skończyłam! – zaproponowała Nawojka, ale protest spacyfikowała perspektywa bliskiego spotkania z koniem.

Dobrusia przedstawiła mi trenerkę małej, panią Ludę. A kiedy obie zniknęły w ujeżdżalni, chwyciła mnie mocno za rękę.

– Zaprowadzę cię do właściciela stajni – wyszeptowała, jak gdyby imię i nazwisko nie mogło jej przejść przez gardło.

Czułam, że ten uścisk oznacza wsparcie.

Byłam zestresowana i w dziwnie nieprzychylny sposób ciekawa tego człowieka. Chyba miałam obawy, że dostrzegę w nim swoje cechy, a tego wcale nie chciałam. Oby okazał się mały, gruby i łysy, pomyślałam złośliwie o mężczyźnie, który czekał na mnie za drzwiami gabinetu, przed którym niebawem stanęłyśmy.

Kiedy Dobrusia je otworzyła, a zza biurka wyszedł Wojciech Zborowski, już wiedziałam, że szybko nie skreślę go z grona podejrzanych.

Zobaczyłam wysokiego mężczyznę z gęstą czupryną ciemnych włosów, które mimo wieku zaledwie przyprószyła siwizna. I to jego spojrzenie... Lekko opuszczona powieka nad prawym okiem przydawała mu, co stwierdziłam z niechęcią, sporo uroku.

Zupełnie jak mnie.

Z obawy i strachu musiałam popaść w paranoję, stwierdziłam. Cholera jasna, przecież po świecie chodzi mnóstwo brunetów i wielu z nich jest przystojnych! Nie każdy jednak musi być moim ojcem!

– To właśnie Weronika Jarema, panie Wojciechu – usłyszałam. – A to pan Wojciech

Zborowski. – Dobrusia zerknęła na mnie. – Czy życzą sobie państwo zostać sami?

Znalazłam się w jaskini lwa. Przysłałam na kolejną dzisiaj filiżankę kawy i zasiadłam w fotelu milcząca, nie zamierzając ułatwiać zadania właścicielowi stadniny.

On również wydawał się niepewny. Jednak wobec mojego milczenia nie miał szans. Musiał zacząć.

– Dziękuję, że zgodziła się pani przyjechać.

I zaoszczędziłaś na detektywie? – pomyślałam ze złością.

– Nie wiem, na ile jest pani zorientowana, o co mi chodzi, zatem zacznę od początku. Jeśli mogę. – Posłał mi pytające spojrzenie.

Czy człowieka pod ścianą pyta się o zgodę na rozstrzelanie?

Wciąż siedziałam bez słowa, wściekła, że ten człowiek próbuje zburzyć mi wyobrażenie o moim dotychczasowym życiu. On jednak potraktował to milczenie jak przyzwolenie na dalsze wynurzenia.

– Byłem z Martą, kiedy zaszła w ciążę z panią. Mam prawo przypuszczać, że pani jest moja córka. – Na szczęście wyartykułował to, co miał do powiedzenia, krótko i węzłowato, oszczędziwszy mi szczegółów. – Chciałbym poznać prawdę – dodał.

Na dźwięk ostatniego słowa aż mnie zmroziło. Francuskie „r”, moja wada wymowy, powoli pozbawiało mnie złudzeń, że nasze pokrewieństwo to jedno wielkie nieporozumienie.

Jednak nie poddałam się nawet wtedy. W końcu wiele osób może mieć taką przypadłość.

– Czego pan oczekuje ode mnie? – zapytałam.

– Testów DNA. Jadę na długo za granicę, a mam stadninę, którą chciałbym komuś przekazać, bo nie wiem, czy wrócę. Niestety, los pozbawił mnie rodziny.

– I dlatego postanowił pan zniszczyć moją?

Nie odpowiedział. Podeszedł do mnie z kartką i długopisem i poprosił, żebym się podpisała.

– Ale w jakim celu? – zachnęłam się, odsuwając świstek.

– To tylko podpis. Zresztą może pani napisać dowolne słowo – nalegał.

Nie wyglądał na wariata, ale w tym momencie pomyślałam, że nie jest zupełnie normalny. Dla świętego spokoju postanowiłam spełnić jego prośbę, zanim mnie zaatakuje. Kombinowałam, jak się wydostać z gabinetu.

Pochyliłam się nad kartką i skreśliłam kilka nic nieznaczących słów.

– Tak przypuszczałem. – Usiadł i odetchnął głęboko. – Jesteś leworęczna.

– Jestem. I co z tego? – Zignorowałam fakt, że zwrócił się do mnie po imieniu.

– Ja również piszę lewą ręką. Weroniko, czy nie za dużo tych przypadków? Zgodzisz się na test?

Najchętniej bym uciekła i schowała się w mysiej dziurze. Pan Zborowski nie musiał mi tłumaczyć oczywistości drukowanymi literami. Poza tym byliśmy do siebie podobni.

Nienawidziłam go za to, że mnie odnalazł, ale zgodziłam się na ten cholerny test.

– Może wypadnie po pana myśli – powiedziałam lodowato. – Proszę jednak nie liczyć na jakiegokolwiek uczucia z mojej strony ani na to, że przejmę po panu stadninę. Chcę tylko poznać prawdę – odparłam i nie oglądając się za siebie, wyszłam z gabinetu.

## Rozdział 41

### Dobrosława

Mateusz był tak rozentuzjzmowany perspektywą zakupu działki nad jeziorem, że niemożliwa była rozmowa na jakikolwiek inny temat. Przeczuwałam intencje jego przemowy i bardzo mi się nie podobały. Od kiedy dowiedział się o teście, który zrobiłam na okoliczność pokrewieństwa z Samborem Jaremą, wiązał duże nadzieje ze spadkiem.

Nie pojmowałam go. Nawet gdybym ni z tego, ni z owego stała się bogata, dlaczego on uzurpuje sobie prawo do pieniędzy? Nie byliśmy nawet małżeństwem. Najwyraźniej mój „chłopak” planował trzy kroki naprzód.

– To kiedy odbierasz wyniki? – dopytywał, dolewając po raz kolejny wina.

Stary, sprawdzony sposób, by mnie odurzyć i uzyskać, co się chce. Jednak nie tym razem. Zaledwie umoczyłam usta, żeby zachować jasność spojrzenia.

– Za trzy dni – odparłam. – Mateusz, czy ty masz jakieś plany związane z moim spadkiem po Jaremie? – zaatakowałam.

– Skądże. Po prostu jestem ciekaw i tyle.

Udałam, że oddycham z ulgą, bo nie wierzyłam w ani jedno słowo.

– To dobrze. Bo nawet jeśli wyjdzie na jaw moje pokrewieństwo z Samborem Jaremą, to i tak nie przyjmę **ani grosza** – zaakcentowałam.

Uderzyłam w stół i odezwały się nożyce. Mateusz nie był w stanie poskromić emocji.

– Co ty mówisz? Przecież to pieniądze, które ci się prawnie należą! – wypalił, ale zreflektował się i spuścił z tonu. – Kochanie, wiem, jak przeżywasz całą tę sytuację ze spadkiem. Kochałaś i ojca, i mamę, a teraz dopadła cię przeszłość. Ale skoro tak, powinnaś wziąć, co twoje.

A on tylko o jednym!

– Kiedy odbiorę wynik, podejmę decyzję, co dalej – odparłam pojednawczo, żeby się wreszcie odczepił.

O Szczęsnym nawet nie wspomniałam.

Mateusz wziął moje zapewnienie za dobrą monetę i dał mi spokój w kwestii rodzinnej. Za to przedstawił mi rzut upragnionej działki nad jeziorem.

– Przykro mi to przyznać, ale nie spodziewałam się, że Mateusz jest takim materialistą – usłyszałam od Zuzy, kiedy rankiem popędziłam do wydawnictwa, by porozmawiać z przyjaciółką. – Potrafi być przemiłym kompanem.

– Tego nie neguję. Mam jednak wrażenie, że ostatnio wszystkie nasze rozmowy kręca się wokół spadku po Jaremie. Niestety, sprawię mu zawód. Mam wyciągnąć łapę po kasę Weroniki i jej braci, bo Mateuszowi zamarzyła się chata nad jeziorem? A zresztą przecież sam zarabia i nie musi się na mnie oglądać.

Zuza usiłowała koncentrować się na rozmowie, ale dostrzegłam, że skupienie się przychodzi jej z trudem. Na biurku, co było do niej niepodobne, walało się mnóstwo papierów i stało kilka pustych filiżanek po kawie.

Skarciłam się w myślach za egoizm. Pewnie ma dużo pracy, a ja jej zawracam głowę swoimi sprawami. Zanim jednak zdążyłam zejść na ziemię i zapytać ją, jak się czuje po wczorajszych perturbacjach, zabiła mnie jednym zdaniem.

– Dobrusia, jestem w ciąży.

– Naprawdę? – Wyskoczyłam z niezbyt inteligentnym tekstem.

Wypadało pogratulować, ale znałam jej stosunek do posiadania drugiego dziecka. Postanowiłam nie okazywać zbyt wielkiego entuzjazmu.

– Zrobiłam z pięć testów i żaden nie pozostawił złudzeń – powiedziała zrezygnowana.

– To chyba nie tragedia?

Napomniałam się w duchu za kolejną beznadziejną reakcję.

– Jak dla kogo – syknęła. – Przecież ja niebawem kończę czterdzieści lat! A teraz mam dwie książki na głowie, które mają stać się rynkowymi hitami. O budowie domu i pływackiej karierze Arka już ci wspominałam. To najbardziej nieodpowiedni moment na dziecko, jaki sobie można wyobrazić!

Pomyślałam, że żaden nie jest odpowiedni. Albo odwrotnie, każdy trafia w punkt. Zależy od nastawienia i chęci.

W tej chwili moja przyjaciółka postrzegała przyszłość w czarnych barwach. Moim zadaniem było pocieszenie jej, nieważne, jakie gromy spadną na moją głowę.

– Wszystko da się ułożyć i zorganizować – zaczęłam dawkować mądrości. – Pomogę ci w BookMacherze na tyle, na ile potrafię. Na miejscu jest Andżelika, a zresztą ciąża to nie choroba. Miejmy nadzieję, że przejdiesz ją gładko. I urodzisz małą lub małego Kozłowskiego. Dacie radę z Olafem. A tak w ogóle co on na to?

Zuza pokręciła głową i wyróciła oczami.

– Jeszcze mu nie powiedziałam.

– Czego się boisz? Że będzie chciał tego dziecka czy wręcz przeciwnie?

– Nie wiem. I prawdę powiedziawszy, nie myślę o jego nastawieniu. Dobruśka, to ja nie mam ochoty chodzić z wielkim brzuchem, a potem karmić, przewijać, nie spać po nocach, latać z wózkiem po parku czy po lekarzach. Raz już to przerabiałam i wypełniłam swoje zobowiązania wobec męża, rodziny i populacji planety. A zresztą ty nie bądź taka mądra. Chciałabyś drugiego dziecka? – zażyła mnie pytaniem, na które odpowiedziałam zgodnie z sumieniem.

– Może i tak. Ale z odpowiednim facetem.

– Bzdura! Nawet najbardziej odpowiedni zrzuci na ciebie obowiązki i martw się, kobieto! Olaf jest w porządku, ale ceni sobie wygodę i własne pasje. Ja będę niańczyć młode, a on będzie rajdował z Arkiem po basenach i zawodach. To nie dla mnie, dzisiaj idę do ginekologa. – Zuza złapała równowagę. – Zobaczymy, co powie. I proszę cię o dyskrecję przed Olafem. Ninie też nie wspominaj o naszej rozmowie. Pewnie zaraz poleciałaby do mamy z dobrą nowiną.

– Co ty chcesz zrobić? – zapytałam z niepokojem.

– Powiem ci, kiedy zdecyduję – ucięła.

Przeszłyśmy do rozmowy o książce, którą dostałam do redakcji.

Zostawiałam przyjaciółkę w niezbyt dobrym nastroju. Nie potrafiłam jej pomóc. Przeszło mi przez myśl, że Zuzanna rozmyśla o usunięciu ciąży. To, oczywiście, nie była moja sprawa i nie czułam się upoważniona do jej pouczania. Sama nie należałam do osób nadmiernie religijnych, więc kwestie światopoglądowe nie wchodziły w rachubę. Obawiałam się jedynie o to, czy Zuza, jeśli zdecyduje się na tak poważny krok, udźwignie jego ciężar w przyszłości.

Może niepotrzebnie puściłam w ruch wyobraźnię. Ale cokolwiek mi podsuwała, i tak nie miałam prawa ingerować w cudze życie.

Maszerowałam ulicą Kasztanową do siebie, gdzie czekał komputer z rozpoczętą robotą, i próbowałam wypchnąć z głowy złe myśli. Zuza jest w szoku z powodu nieoczekiwanej, późnej ciąży, ale kiedy nieco ochłonie, podejmie właściwą decyzję, utwierdziłam się w przekonaniu, że nie zawiodę przyjaciółki.

Bez względu na wszystko.

Wieczorem napisała do mnie esemesa.

„Byłam u ginekologa. To już szósty tydzień. Nie mów nic Olafowi. Pogadamy później.

Z.”

Konspiracji ciąg dalszy. Zuzanna wciąż nie miała pojęcia, co zrobi z ciążą, a ja obiecałam milczenie, choć miałam wątpliwości, czy dobrze robię.

Nie wygadałam się w rozmowie z Niną, która zaprosiła mnie na kawę następnego popołudnia. Miała sprawę.

Przyszyliśmy do niej z Nawojką. Obie miałyśmy nadzieję, że zastaniemy Lenę, ale małej nie było.

– Witek ma widzenie dopiero w weekend – usłyszałam, kiedy zostałyśmy same. – Matka Lenki nie chce się zrzec praw rodzicielskich ani zabrać córki do siebie. A na rozprawie nagadała, że Witek na pewno jest pedofilem, i sędzia przełożył podjęcie decyzji. Ta kobieta chce od nas pieniędzy za zgodę na oddanie dziecka! – Nina opadła na fotel.

– Dużo? – zapytałam.

Oczywiście, matka Lenki postępowała wbrew prawu, ale czasami warto zapłacić.

– Bylibyśmy w stanie zgromadzić tę kwotę, jednak sąd nie odda małej Witkowi. Musimy się pobrać, i to jak najszybciej. Załatwiliśmy ślub cywilny za dwa tygodnie w weekend. Poświadkujesz?

Czy będę świadkową? Przecież zgodziłam się już dawno. Zaskakiwało mnie tylko tempo spraw.

– Oczywiście! Co mam robić? – zapytałam, próbując ukryć zdumienie.

– Przyjść do urzędu stanu cywilnego w sobotę, w przyszłym tygodniu, na czternastą. A potem zapraszamy na obiad do lokalu, tylko jeszcze nie wiem do jakiego. Załatwiamy rezerwację. A nie wiesz, co się dzieje u Zuzy? – Nina zmieniła temat. – Nie mogę się do niej dodzwonić.

Zobowiązana tajemnicą milczałam. A nawet skłamałam.

– Mam teraz dużo pracy i nieczęsto się z nią widuję. A pod koniec tygodnia odbieram wyniki testu – dodałam z premedytacją, by odciągnąć uwagę Niny od siostry.

– Przepraszam, ja tylko o sobie, a ty przecież czekasz... – Złapała się na haczyk. – Życzę, żeby wszystko poszło po twojej myśli.

Nie radziła, nie rozwłóczyła tematu. Wyciągnęłam wnioski. Powinnam w taki sam sposób podejść do ciąży Zuzy i jej wyborów.

– Dziękuję, kochana – powiedziałam. – Będę w urzędzie, by życzyć wam wspianą małżeństwa. I oczywiście Lenki. A może poproszę Mateusza, żeby wziął się za tę matkę szantażystkę?

– Tylko nie to! Żadnych prawników ani sądów! Zapłacimy jej i się odczepi. Czy mogę cię prosić o dyskrecję?

Miałam déjà vu. Po raz drugi zostałam dzisiaj zobowiązana do milczenia. Jak dobrze, że ja nie miałam powodów, by ukrywać cokolwiek! Wprawdzie niebawem miałam odkryć tajemnicę swojej przeszłości, ale nie planowałam życiowej rewolucji. Wiedziałam już o romansach mamy, jak również o tym, że nie byłam biologiczną córką taty Leszka. Mimo to on pozostał tym najważniejszym i ukochanym. To, kto mnie spłodził, miało niewielkie znaczenie. I tak niczego od niego nie oczekiwałam.

## Rozdział 42

Weronika

Po wyjściu od Zborowskiego nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Rozglądałam się za spokojnym kątem, w którym mogłabym przetrwać wrażenia. Miałam ochotę posiedzieć chwilę sama, ale po terenie kręciła się Dobrusia. Prawdopodobnie poszła odwiedzić swoją klacz w trakcie treningu Nawojki.

Przycupnęłam na drewnianej ławce w rogu ujeżdżalni i sięgnęłam po butelkę wody, którą zawsze miałam na podorędziu. Od nadmiaru galopujących myśli kręciło mi się w głowie. Nie pamiętałam, kiedy, może nigdy, odwiedzałam stadninę. Nie czułam atmosfery tego miejsca, zapachów, zwyczajów. I nie miałam zamiaru poznawać. Pewnie przez tego człowieka, z którym spotkałam się dzisiaj. I ku mojemu przerażeniu dostrzegłam nasze podobieństwo.

Nie chcę, nie chcę i jeszcze raz nie chcę pozytywnego wyniku testu! – wykrzykiwałam w myślach. Ale z drugiej strony wiedziałam, że tylko prawda może mi przynieść spokój i równowagę.

Umówiliśmy się z Wojciechem Zborowskim na jutrzejszy ranek. Chciałam to mieć za sobą, zanim zmienię zdanie albo ktoś mnie namówi, bym to zrobiła. Zastanawiałam się, czy wspominać o całej sprawie braciom, ale nie znalazłam odpowiedzi.

Sięgnęłam po komórkę i napisałam do męża.

„Paweł, ten facet chyba jest moim ojcem. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę”.

Mimo że wciąż siedział w pracy, odpisał niezwłocznie.

„Spokojnie, Nika. Umówiłaś się na test?”

„Na jutro rano. On pisze lewą ręką i ma francuskie «r», jak ja. Nie mam złudzeń, chociaż oczywiście muszę to sprawdzić”.

„Wróć szybko do domu, porozmawiamy. A może masz ochotę pójść ze mną na kolację? Konstancja posiedzi z dziećmi”.

Perspektywa była miła. Ale ponieważ i tak musiałabym zrelacjonować ciotce wizytę w stadninie, wybrałam opcję domową.

„Wróć i porozmawiamy u nas. A kiedy już będzie po wszystkim, dam się zaprosić na randkę”.

„Trzymaj się, mała! Damy radę wszystkim ojcom świata. Twój Paweł”.

Ulżyło mi niewiarygodnie. Mój mąż uświadomił mi po raz kolejny, że mam w nim oparcie bez względu na to, czyją jestem córką. Ale poczucie krzywdy i zawód, jakie czułam do mamy, nie chciały ustąpić. Jak ona mogła szlajać się z tym facetem, kiedy tato wyjechał do Paryża?

Złość na mamę zgasiła myśl związana z ojcem. Jak on mógł pieprzyć się z tą Blanką w Paryżu, kiedy w domu czekała żona i dwóch synów? No i się doigrał, mama urodziła mu córkę innego faceta!

Chwała Bogu, wkrótce przyszło opamiętanie. Kombinowałam bez jakichkolwiek dowodów. Może przedwcześnie skreśliłam mamę i niesłusznie ją oskarżyłam? Moje podobieństwo do Zborowskiego może okazać się nic nieznaczącym przypadkiem, a ja niepotrzebnie panikuję.

Właśnie jako panikę definiowałam swój obecny stan ducha. Bałam się prawdy, do której poznania namawiała mnie ciotka Konstancja. Chciałam kochać swojego tatę jak przed jego śmiercią, szanować go i wierzyć, że on mnie również kochał. Bo byłam jego córeczką.

I tak ma pozostać.

– Nawojka ma jeszcze piętnaście minut. Chcesz zobaczyć Wenę? – wyrwał mnie z zamyślenia głos Dobrosławy.

– Co? A, tak. Chętnie, tylko doleję sobie wody – odparłam i sięgnęłam po butelkę.

Dobrusia nie wypytywała o przebieg rozmowy ze Zborowskim, za co byłam jej wdzięczna. Zaprowadziła mnie do boksu, w którym stała jej przepiękna bułana klacz.

– Zabrałam moją księżniczkę na krótką przejażdżkę – powiedziała. – Co prawda na zewnątrz błocko, ale i tak była zadowolona.

Miałam ochotę zapytać, czy amazonka również, ale zobaczyłam rozanieloną twarz i spasowałam.

– Jest cudowna – przyznałam szczerze. – Ja jednak trochę boję się takich dużych stworzeń. Może zrzucić?

– Nigdy złośliwie. Ale kiedy się przestraszy czy poczuje zagrożenie...

Jazda konna najwyraźniej nie była dla mnie. Kiedy wyobraziłam sobie, że miałabym wdrapać się na górujący ponad moją głowę grzbiet, a potem z niego spaść, poczułam ciarki. Naprawdę nie było ważne, czy konisko zwałiłoby mnie złośliwie, czy ze strachu.

Mimo to zachęcona przez Dobrusię pogłaskałam wielkiego zwierzaka po chrapach i ostrożnie podałam mu kostkę cukru. I pomyślałam, że mój dystans do tych skądinąd piękności świadczy o tym, że nie mogę być spokrewniona z właścicielem stadniny i koniomaniakiem.

Ta refleksja podniosła mnie na duchu. Dojrzałam, by nawiązać do rozmowy ze Zborowskim.

– Idziemy jutro na test – oznajmiłam. – Kilka dni po tobie, ale... Może razem odbierzemy wyniki?

– Jasne. Był miły?

Domyśliłam się, o kim mowa.

– W porządku. Chciałabym to wszystko mieć już za sobą – wyraziłam życzenie. – Kiedy Nawojka kończy trening?

Dobrusia zrozumiała, że zakończyłam temat, i poprowadziła mnie na padok.

Do domu wracałyśmy w milczeniu, każda z nas zasłuchana we własne myśli. Zmęczona Nawojka nie zalewała nas słowotokiem.

– To co, widzimy się w najbliższy czwartek? – zapytała Dobrosława, kiedy zatrzymałam auto przed bramą jej kamienicy.

– Przyjadę po ciebie o dziewiątej – odparłam i nacisnęłam pedał gazu.

W domu czekała kolacja, wino i wiśniowa nalewka dla Konstancji. Paweł nie zapomniał.

– No i jak spotkanie? – zapytał, kiedy dołączyłam do obojga po odczytaniu kolejnego rozdziału *Harry'ego Pottera*, którego zażyczyły sobie dzieciaki przed snem.

Zrelacjonowałam wyprawę do stajni, nie ukrywając niczego, i dobrze się poczułam. Cokolwiek miało nastąpić za kilka dni, nie musiałam tłumić w sobie wątpliwości i żalów. I byłam gotowa spojrzeć prawdzie w oczy.

– Nie wiem tylko, co powiedzieć Krzeskowi i Jędrkowi...

– Na razie chyba nic, Weroniko – zabrała głos ciotka. – Poczekajmy na wynik testu.

– Nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem pazerna, ale jeżeli okaże się, że ten mamy... to znaczy pan Wojciech Zborowski jest moim ojcem, nie będę mogła dziedziczyć po tacie. Jakbym nigdy nie należała do rodziny.

– I bardzo dobrze – zareagował Paweł. – Przynajmniej nie będziesz musiała ratować firmy.

– A Krzesek?

Tym razem odezwała się Konstancja.

– Córciu – nazwała mnie najśladszym słowem, tym, którym obdarzała mnie w wyjątkowych chwilach. – Nie jestem prawnikiem, ale wybacz, za twoimi plecami skontaktowałam się z wujem Marianem i zasięgnęłam języka. No, nie patrz tak! Musiałam się dowiedzieć, na czym stoisz! – powiedziała dobitnie i gestem nakazała mi milczenie. – Ja ci, oczywiście, bardzo współczuję, że przez Sambora musisz odkrywać takie rewelacje, jak również przez tego nieszczęsnego Wojciecha Jak-mu-tam, ale przynajmniej w kwestii prawnej jest porządek. Sambor był formalnie twoim ojcem, więc należy ci się po nim spadek. Wiem! – uciszyła mnie ponownie. – Ojciec nie ojciec, to nie tylko kwestia pieniędzy i spadku. Staram się wczuć w twoją sytuację i emocje, ale to ty musisz zmierzyć się z prawdą. Pamiętaj, że my z Pawłem – zerknęła na mojego męża – zawsze ci pomożemy. Tak jak Krzeskowi i Jędrzejowi. Jesteśmy rodziną.

Napasała mnie dobrym słowem, a potem kluskami ziemniaczanymi z mięsnym farszem i skwarkami.

Wuj Marcin z pewnością miał rację, że w świetle prawa jestem córką taty i wszystko po nim mi się należy na równi z Krzeskiem czy Jędrzejem. Zatem dlaczego czułam się jak kukułcze jajo z nieprawego łoża?

Mamo, dlaczego mi to zrobiłaś? – rozmawiałam z nią w sercu, próbując zasnąć.

Zdawałam sobie sprawę, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zapoznam się z wynikami badań DNA. Dobrosława też pewnie o nich myślała.

Następnego dnia spotkałam się ze Zborowskim i pozwoliliśmy się przetestować.

Z Dobrusią zobaczyłam się dopiero w dniu, w którym postawiłam samochód przed jej domem. Dłuższą chwilę siedziałam z dłońmi na kierownicy i zastanawiałam się, czy wyjść i zadzwonić domofonem, czy też poczekać, aż ona zejdzie. Wybrałam drugą opcję.

Otworzyła drzwi od strony pasażera i wsunęła się na fotel.

– Jestem.

– To jedziemy – odparłam.

Poza tym zgodnie milczaliśmy.

Liczyłam na to, że przed samą kliniką nie będzie wolnych miejsc do parkowania i będę musiała trochę pokluczyć. Niestety, nic z tego. Chwila odebrania wyników nadeszła.

Zaparkowałam na pierwszym stanowisku z brzegu. Po chwili stanęliśmy przed właściwym okienkiem.

Rejestratorka zapytała o nazwiska i przez jakiś czas szukała właściwych dokumentów.

– Pani Dobrosława Kuszewska. Pani Weronika Schulz. – Przekazała nam do rąk własnych wiedzę o naszej przeszłości. – Proszę pokwitować. – Wskazała palcem stosowną rubryczkę.

Wróciłyśmy z kopertami do auta. Każda dzierżyła ostrożnie swoją jak najdroższy skarb.

Albo jak bombę zegarową, pomyślałam ponuro.

Kątem oka dostrzegłam, że Dobrusia gwałtownym gestem rozrywa kopertę i omiata wzrokiem jej zawartość. Nie obserwowałam jej reakcji, ponieważ pomieszana z obawą ciekawość także i mnie gnała do otwarcia.

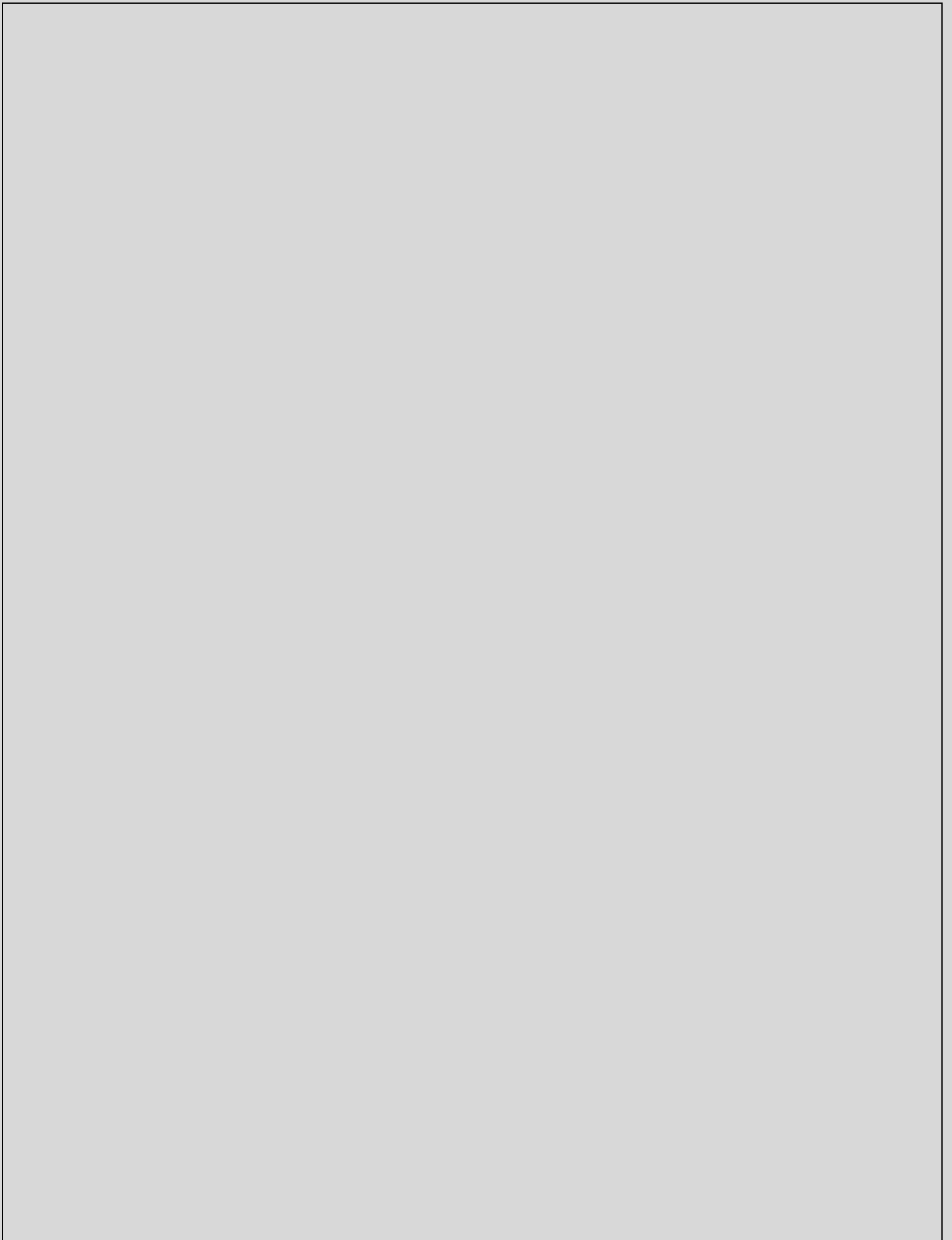
Przebiegłam wzrokiem kartkę i poznałam treść. Spojrzałam na Dobrosławę. Ona także już wiedziała.

– I jak? – zdobyłam się na pytanie.

– A u ciebie?

– Może pojedziemy do Czarnej Róży pogadać? – zapytałam.

A potem ruszyłam z kopyta.



## Rozdział 43

### Dobrosława

Jechałyśmy do Czarnej Róży w milczeniu. Obie znałyśmy już wyniki badania, jednoznaczne i niebudzące wątpliwości. Zastanawiałam się, czy powinnam być zadowolona, czy też lepsza byłaby przeciwna opcja. Do końca liczyłam, że mimo wszystko nie jestem spokrewniona ani z Samborem Jarewą, ani z Jaromirem Szczęsnym, a z mojego świata, w którym tato Leszek odgrywał główną rolę, wymaże ich czarodziejska różdżka.

Niestety, wynik pozbawił mnie wszelkich złudzeń, wskazując niezbitcie na ojcostwo jednego z panów profesorów. Jednak musiałam chwilę odetchnąć, zanim podzielę się swoją wiedzą z Weroniką. Ona również po otwarciu koperty zachowała twarz pokerzysty. Nie potrafiłam odgadnąć, czy poczuła ulgę, czy wpadła w przygnębienie.

– I znów mamy miejsce! – ucieszyła się, stawiając samochód przed lokalem. – Należy się nam po kieliszku czegoś mocniejszego – dodała.

– Przecież prowadzisz?

– Już nie. Po auto przyjedzie Paweł. Chodź, widzę wolny stolik przy oknie! – Przyśpieszyła kroku.

Kiedy rozsiadłyśmy się w przytulnym kącie, niezwłocznie sięgnęła po kartę.

– Wódka, dzin, jack daniel's czy może drink? – proponowała, odczytując kolejne pozycje.

– Muszę odebrać Nawojkę ze szkoły – wtrąciłam ostrożnie.

– Jak sobie chcesz. Ja na początek wezmę U-Boota. – Weronika wybrała szatański miks wódki z piwem.

Zorientowałam się, że skoro strzela z tak grubej rury, nie ma powodów do zadowolenia. Nie chciałam jej dobijać.

– Poczekaj, zadzwonię do Patrycji, mamy Marysi, i zapytam, czy przechowa mi dziecko do wieczora. – Znalazłam rozwiązanie i jednym telefonem załatwiłam sprawę.

Moja córka miała zapewnioną opiekę, a ja kilka godzin dla siebie. Wytłumaczyłam sobie, że niebawem się zrewanżuję i przygarnę na któreś popołudnie najlepszą przyjaciółkę Nawojki. Aż dziw, że do tej pory nie wpadłam na genialny pomysł sąsiedzkiej samopomocy.

– Dla mnie to samo – zadysponowałam, kiedy Weronika składała zamówienie kelnerowi. – Dobry ten drink?

– Chyba nie. Ale podejrzewam, że skuteczny – usłyszałam. – Mój tato ordynował go sobie w stanach wzburzenia. Przepraszam, człowiek, którego nazywałam tatą przez całe życie. – Weronika zakryła twarz dłońmi i stłumiła szloch.

Kelner szybko się uwinął i postawił przed nami dwa kufle piwa z pianą, na których dnie dostrzegłam kieliszki. W pierwszej chwili chciałam zainterweniować, ale on usłużnie wyjaśnił, że znalazły się tam celowo.

– Proszę pić powoli i nie potrząsać kuflem. Wódka musi się spokojnie wydobywać na zewnątrz kieliszka.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jaką bombę zaserwowała nam Weronika. Pewnie milej by się piło słodki wermut z lodem, ale widocznie liczył się szybki efekt.

Wychyliła kilka głębokich łyków, otarła łyzy i pianę z ust i wyartykułowała jedno krótkie zdanie:

– Zborowski jest moim biologicznym ojcem.

Nie pytała, co u mnie, jak moje pokrewieństwo. Przeżywała swoją porażkę. Miałam świadomość, że doznała ogromnego zawodu.

– Przykro mi – powiedziałam i sięgnęłam po kufel, by odwlec moją chwilę prawdy. Nie chciałam jej dobijać.

– Okej, tyle o mnie. – Weronika przeprosiła mnie spojrzeniem. – A jak ty? Pewnie mój ojciec okazał się twoim.

Dostrzegłam w jej oczach nadzieję, że zaprzeczę. Niestety.

– Owszem. Badanie potwierdziło pokrewieństwo – przyznałam. – Ale nie martw się. Nie interesuje mnie spadek po twoim tacie.

– O czym ty mówisz? Wydaje ci się, że dla mnie liczy się wyłącznie forsa? Właśnie straciłam ojca przez jakiegoś koniarza, byłego kochanka mojej matki, a ty mi wyjeżdżasz ze spadkiem? Wiesz, jak się czuję? Oszukiwana przez całe życie, okradziona z przeszłości, ze złudzeń, że byłam ukochaną córeczką tatusia! To ty powinnaś siadać na jego kolanach i słuchać bajek, które z taką miłością opowiadał mi przed snem!

Weronika wyraźnie się rozkręcała. Przerzucała na mnie cały swój ból, jak gdybym była winna niewierności jej matki. Może i wytrzymałabym ten atak, ale alkohol uderzył mi do głowy i dodał odwagi.

– Zaczekaj, bo czegoś tu nie rozumiem. To ja powinnam mieć pretensje do pana Sambora, że mnie spłodził i zostawił z kłopotem moją mamę. Znalazła sobie mężczyznę, który został jej mężem i moim wspaniałym ojcem. Nie wzięła od kochanka ani grosza, jeśli już mowa o pieniądzach. I to na kolanach taty Leszka słuchałam na dobranoc bajek, które mi czytał, opowiadał, a nawet dla mnie pisał. Nie potrzebowałam innych kolan. I gdyby nie ten nieszczęsny testament, o który się nie prosiłam, cała sprawa nie ujrzałaby dziennego światła! Ile jest mojej winy w tym, że jestem biologiczną córką twojego ojca?

Mój wywód nieco utemperował Weronikę. Przystopowałyśmy z wzajemnymi oskarżeniami, dopiłyśmy nasze U-Booty i zamówiłyśmy następną kolejkę.

W głowie zaczynałam mieć mętlik, emocje podgrzewały krew.

– Przecież nie mam pretensji do ciebie. – Weronika złapała drugi oddech. – Mam żal do losu. Zawsze byliśmy mocno związani z braćmi, jak zgrana drużyna. A teraz kim jestem? Półsiostką? Tak jak ty.

Tu ją bolało. Poprzez pokrewieństwo z Samborem Jarewą stałam się, choć tylko genetycznie, częścią rodziny. Mogłam uspokoić Weronikę, że nie zamierzam jej rozwalać, choć przeszło mi przez myśl, by poznać przyrodnych braci.

– Chyba powinnyśmy dać sobie czas – powiedziałam, odstawivszy niedopity kufel. – Jesteś wzburzona, ja również muszę pomyśleć. Znasz mój numer telefonu, dzwoń, kiedy będę potrzebna, żeby się spotkać albo w sprawach spadkowych. Możesz być pewna, że zrzeknę się wszelkich praw do majątku – zakończyłam i wyszłam z Czarnej Róży.

Weronika została przy stoliku.

Mimo pozornego spokoju i równowagi, którą udało mi się zachować mimo niemal dwóch kufli U-Boota, byłam roztrzęsiona. Rozumiałam Weronikę i ogrom jej zawodu. Sądziłam, że nasza znajomość właśnie dobiega końca. Już na zawsze zostanę zadrą w jej oku i przypomnieniem o zdradzie zarówno ojca, jak i matki. I z tego powodu, że według niej zajęłam jej miejsce.

Nie czułam się winna. Postanowiłam milczeć przed Mateuszem, a nawet mu skłamać, że test wypadł negatywnie. Na samą myśl o walce o spadek przechodziły mnie dreszcze. Ja, podobnie jak mama w przeszłości, odpuściłam, ale Mateusz nie był zdolny do takiej łaskawości. Zatem lepiej, żeby nie wiedział.

Dotarłam do domu po czwartej. Otworzyłam okna, żeby wywietrzyć, i zerknęłam do lodówki, czy zostało od wczoraj trochę zapiekanki. Zbyt mało dla nas obu, stwierdziłam

i przeczesalam kąty w poszukiwaniu produktów na nową. Nawojka z pewnością wróci od Patrycji najedzona, ale do kolacji zgłodnieje, pomyślałam i nastawiłam wodę na makaron.

Wyhodowałam na parapecie spory pęczek pietruszki, w plastikowej szufladzie lodówki przechowałam trochę parmezanu. Z dodatkiem masła wyjdzie całkiem smaczne pesto. Znalazłam również kilka koktajlowych pomidorków i suszone czarne oliwki kuru sele.

Ochoczo, by nie dopuszczać złych myśli, krzątałam się przy kuchennym blacie, raz po raz wypatrując Patrycji, która miała mi przyprowadzić Nawojkę. W końcu usłyszałam dźwięk domofonu.

– Jesteście! Dziękuję i zrewanżuję się w najbliższym czasie – powitałam obie. – Może zjesz z nami pesto? – Posłałam Patrycji pytający uśmiech.

– Muszę lecieć, bo odbieram Mikołaja z basenu – wspomniała o młodszym synu. – Ale pachnie wspaniale!

Miała rację.

Czułam błogość, kręcąc się po moim przytulnym mieszkaniu, słuchając szczebiotania córki i mieszając co nieco na patelni. Muzyka w tle, zupełnie jak trzeci członek rodziny, wypełniała dom, a dochodzące z kuchni zapachy zapowiadały dobrą kolację.

– Co robiłyście z Marysią? – spytałam, kiedy usiadłyśmy z Nawojką przy zastawionym stole.

– Lekcje. A potem wycinałyśmy stroje dla amazoнок i uprzęż dla koni. Bo Marysia też chce się zapisać do stadniny i jeździć. Powiedziałam jej, że będziemy się uczyć razem.

Nic dodać, nic ująć.

– Poczytasz mi dzisiaj na dobranoc? – zapytała moja córka, kiedy po kąpieli nareszcie udało mi się zmobilizować ją, by poszła do łóżka.

– Którą?

– *Kochaj mnie, mamo.* – Pamiętała tytuł. – O tych bocianach. Ostatnio nie dokończyłaś. Skończyłyśmy, jak bociany chciały wyrzucić swoje dziecko z gniazda. Ale chyba go nie wyrzucą? – Spojrzała zmartwiona.

– Absolutnie! – zaprzeczyłam.

Żałowałam, że w bibliotece natrafiłam na zbyt naturalistyczną dla dziewczynki w jej wieku książkę, w której zgodnie z prawami natury trzeci najsłabszy bocian był wyrzucany z gniazda. Po kilku pierwszych rozdziałach chciałam ją odłożyć, ale Nawojka nie odpuszczała, żadna wiedza o biednym bocianku. Niestety, żadne fortele typu „książka się zawieruszyła” nie trafiały. Schowałam ją pod stertę swoich, ale Nawojka ją odnalazła i właśnie przyniosła.

Przysiadłam na łóżku córeczki. Improvizowałam. Przecież nie mogłam pozbawić małej złudzeń.

– I widzisz? Bocianek wypadł z gniazda, ale rodzice przynieśli go z powrotem – podsumowałam. – A teraz śpij i niczym się nie martw, kochanie. Jutro wstajemy na ósmą – przypomniałam o szkole i pocałowałam córkę na dobranoc.

Niektóre dzieci nigdy nie trafiają do gniazda, a inne są z niego wyrzucane – powróciłam myślami do dzisiejszej rozmowy z Weroniką. I odepchnęłam je czym prędzej, żeby mieć spokojny wieczór.

Los chciał inaczej. Po dziewiątej zadzwonił domofon.

– To ja, Zuzanna. Wpuścisz mnie? – usłyszałam głos nieoczekiwanego gościa, a po chwili i ujrzałam w drzwiach przyjaciółkę.

– Wejdz. Coś się stało?

Nie odpowiedziała od razu. Otrzeпаła śnieg z butów, zdjęła płaszcz, przyczesала włosy przed lustrem i poprosiła o filiżankę kawy.

Czułam, że chodzi o coś ważnego. Nigdy mnie nie odwiedzała, a tym bardziej o takiej porze. Czyżby Nina miała jakieś kłopoty? Bo nie sądziłam, że Zuza pamięta o wynikach.

Rzeczywiście nie pamiętała.

Postawiłam na stoliku kawę i kilka ciasteczek. Natychmiast sięgnęła po jedno.

– Mam do ciebie prośbę, a nie chciałam przez telefon – zaczęła.

– Tak?

– Umówiłam się jutro na dziewiątą z ginekologiem. Na usunięcie ciąży. Pójdiesz ze mną?

## Rozdział 44

Weronika

Nie chciałam kłótni z Dobrosławą w Czarnej Róży. Ale wynik badania dotknął mnie tak bardzo, że nie utrzymałam nerwów na wodzy.

Miała rację, twierdząc, że nie jest winna pokrewieństwu z moim ojcem.

Wracając do domu taksówką, wyrzucałam sobie brak opanowania podlany tymi cholernymi U-Bootami, do których pchnął mnie sam diabeł. W głowie mi się kręciło od upojenia i żalu. Z uwagi na taksówkarza próbowałam opanować emocje, ale z marnym skutkiem. Sięgałam po kolejne chusteczki i pochłipywałam przez całą drogę.

W domu czekali Paweł i ciotka Konstancja. Po mojej minie zorientowali się w nieszczęściu. Bez słowa pomogli mi zdjąć płaszcz i doprowadzili do salonu.

– Usiądź, kochanie. Zrobię ci kawę – usłyszałam głos męża.

– Jej potrzebna jest melisa! – sprzeciwiła się ciotka. – Posiedź z Niką, ja zaparzę. – Gestem wskazała Pawłowi miejsce.

Byłam im wdzięczna, że nie dopytywali, nie utyskiwali, nie kopali leżącego. Jedyne dokładnie przeczytali dokument, jak gdybym ja źle go zinterpretowała. Niestety, drugiego dna nie było. Była naga prawda, czarno na białym.

– A co z Dobrosławą? – Konstancja zdobyła się na pytanie.

– Jest córką taty.

Moi bliscy posiadli pełną wiedzę o rodzinnych koneksjach, a ja poczułam ulgę, że przerzuciłam na nich mój ciężar.

Paweł otoczył mnie ramieniem i kołysał, ocierając łzy. O nic nie pytał. Ciotka siedziała wyprostowana na krześle, zapatrzona w okno przymrużonymi oczami. Założyła nogę na nogę i nerwowo poruszała stopą.

Znałam to jej skupione spojrzenie, zawzięte usta i wysoko uniesioną brodę. Była poruszona i myślała.

– Kochani, wiecie, że jestem bezpośrednia i to jedna z moich największych wad – odezwała się po chwili. – Ale nie potrafię udawać. Powiem, co czuję: Marta i Sambor bardzo nas wszystkich zawiedli, ale najbardziej ciebie. – Popatrzyła na mnie. – Wiem, że o zmarłych powinno się mówić dobrze albo wcale, jednak nie w tym przypadku. Marta miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby zabrać swoją tajemnicę do grobu, ale Sambor, oczywiście, musiał ją ujawnić! – prychnęła. – Mój szanowany, wykształcony szwagier stwierdził, że nie zaśnie w spokoju na wieki, jeśli nie zniszczy życia swojej rodzinie i swojej nieszczęsnej nieślubnej córce. Brawo! Nie usprawiedliwiam siostry, ale gdyby nie testament Sambora, jej tajemnica nie wysłaby na jaw. A zresztą oboje byli siebie warci. – Ciotka machnęła ręką i zaczęła się przechadzać po pokoju.

Bardzo precyzyjnie nakreśliła, co myśli. Tylko co z tego, jeśli nie było do kogo zgłaszać zażalenia.

– Co dalej? – Konstancja rzuciła pytanie w przestrzeń. – Z tego, co mówił mi Paweł, wywnioskowałam, że Dobrosława jest wam niezbędna do uruchomienia spadku. Ale pozostaje jeszcze Wojciech Zborowski. Czy on już wie?

– Jeżeli odebrał wynik, to pewnie tak – odparłam. – Znał termin.

Wszyscy troje zdawali sobie sprawę, że czeka mnie rozmowa z nowym „tata”. Bo jeżeli się powiedziało „a”...

Paweł, który do tej pory siedział jak mysz pod miotłą, wreszcie się odezwał.

– Powinniśmy chyba porozmawiać z Krzeskiem i Jędrkiem. Nie uważasz?

– Pozwól jej trochę się otrząsnąć! – zainteresowała ciotka Konstancja.

Powoli wracałam do siebie. Ostatecznie otarłam łzy, odstawiłam niedopitą melisę i poprosiłam męża o kawę.

– Ciociu, Paweł ma rację – powiedziałam. – Musimy zawiadomić moich braci o odnalezieniu się przyrodniej siostry i załatwić sprawy spadkowe. Dobrosława chce się rzec swojej części majątku.

Oboje zaczęli uświadamiać mi moją naiwność, więc zareagowałam ostro.

– Powiedziała, że nie przyjmie ani grosza ze spadku! A zresztą nawet gdyby, to i tak jej się należy! Niech to wszystko się wreszcie skończy! – zakończyłam bez sił.

W pokoju zapanowała cisza.

– No co tak patrzycie? Ja nie jestem córką swojego ojca, ona nie jest córką swojego, obu nam się poprzewracało w życiu. Zakończmy sprawę spadkową u notariusza, oddajmy, co boskie, Bogu, co cesarskie, cesarzowi i zacznijmy normalnie żyć. – Zaskoczyłam spokojniejszym tonem.

– A co to znaczy normalnie? – Konstancja nie przestawała głośno myśleć, zapatrzona w ślubne zdjęcie moich rodziców nad kominkiem. Wisiało tam wśród najważniejszych rodzinnych fotografii. – Przepraszam was, ale nie potrafię się z tym wszystkim pogodzić. – Zakryła usta dłonią i wybiegła do pokoju gościnnego.

Zostaliśmy z Pawłem sami.

– Kochanie, bardzo ci współczuję. A ciotka zaraz tu wróci. – Mój mąż próbował pocieszać. – Kiepski ze mnie psycholog, wiedz jednak, że postaram się pomóc, jak będę umiał. Nie musisz utrzymywać kontaktów ani z Dobrosławą, ani z tym gościem...

– Wojciechem Zborowskim – podpowiedziałam.

– Właśnie. Ze Zborowskim. Pogadasz z nim, potem załatwisz z Krzeskiem i Jędrzem sprawę spadku i zapomnimy o związanych z tym przykrościach. Kochanie... – Odgarnął mi kosmyk z czoła i spojrzał czule w oczy. – Masz mnie, masz dzieciaki, rodzeństwo. I oczywiście Konstancję. – Mrugnął porozumiewawczo. – I nic tego nie zmieni.

Ta deklaracja podniosła mnie na duchu. Nie byłam jednak pewna, czy zresetowanie przeszłości to właściwy krok. Nawet teraz, gdy miałam żal do całego świata, że mnie potraktował okropnie. Chyba nie potrafiłabym spuścić zasłony milczenia i udawać, że wydarzenia sprzed lat nie miały miejsca. Mimo że miłość męża dawała mi siłę.

Jak się za chwilę okazało, również uczucie ciotki Konstancji. Przyszła po kilku minutach i wzięła mnie w ramiona.

– Przepraszam za wybuch, Weroniko, ale nie mogę przeżyć, że zostałam podwójnie ugodzona. Bardzo mi przykro.

Chyba po raz pierwszy zobaczyłam jej łzy.

Ciotka tylko przez chwilę pozwoliła sobie na słabość. Po czym otarła oczy, zacisnęła dłoń w pięść i pogroziła całemu światu.

– A teraz róbcie, co uważacie za stosowne, a ja dokończę przygotowanie obiadu – powiedziała. – Zośka z Jasiem zamówili placki ziemniaczane.

Wieczorem zostawiliśmy dzieci z Konstancją i przyjęliśmy zaproszenie Darii i Krzeska.

– Tak właśnie wygląda sprawa – zrelacjonowałam im wyniki badań DNA przy kolacji. – Dobrosława będzie do naszej dyspozycji w sądzie.

– A jak ty się czujesz? – Krzesek przyglądał mi się z troską.

– Jako twoja przyrodnia siostra? – zażartowałam smutno.

– Daj spokój. Nie mogę uwierzyć. Żeby nasza mama...

– Żeby nasz tata... – podchwyciłam.

Zapanowała cisza, którą przerwał mój brat. Pewnie próbował mnie uchronić przed dalszym rozdrapywaniem ran.

– W firmie jest stabilnie – powiedział – ale musimy jak najszybciej sprzedać dom rodziców, żeby spłacić długi. Dobrze, że znalazłaś tę Dobrosławę, wreszcie przeprowadzimy postępowanie spadkowe. Niech bierze swoje, a resztę wydamy na wierzycieli. Zajmiesz się tym czy mam wziąć sprawę w swoje ręce?

Wiedziałam, że pyta o kontakt z wujem Marianem i Dobrusią.

– Poproszę wuja o zawiadomienie sądu, że odnalazła się czwarta spadkobierczyni – postanowiłam. – Z pewnością załatwi szybki termin rozprawy. A ty dasz znać Jędrzejowi?

Podzieliliśmy się zadaniami i spędziliśmy jeszcze kilka minut razem. Ale czas leciał, a jutro czekała praca.

Krzesek ubiegł Pawła, kiedy ten sięgnął po mój płaszcz. Podał mi okrycie.

– Nika, jesteś moją jedyną siostrą i tak będzie zawsze – wyszeptał słowa, które podziały na moje zbolełe serce jak miód. – A tamta niech bierze, co jej, i zmyka!

Chciałam zaprotestować, ale tylko wtuliłam się w brata z wdzięcznością.

Przed snem dostałam wiadomość od Jędrzeja, którego Krzesek zdążył już wprowadzić w temat.

„Siostra, nie przejmuj się tą drugą i swoim nowym «tatusiem». Nie dajmy się zwariować. Jesteśmy rodziną, a rodzina to jest siła. Zapraszam do Neapolu, kiedy tylko znajdziesz chwilę. Przyjeżdżaj sama, z dziećmi czy z kim tam chcesz. J.”

Zasypiałam spokojna, bo bliscy stanęli za mną murem, ale zdawałam sobie sprawę, że nie uda mi się zamieść przeszłości pod dywan. Mało tego, wcale nie miałam takiego zamiaru.

Gdzieś tam, w swoich domach, czekały dwie osoby, z którymi połączył mnie los. Wojciech Zborowski, mój biologiczny ojciec, po wielokrotnych próbach połączenia poprosił o kontakt. I Dobrusia, która po naszym spotkaniu milczała.

Przypomniałam sobie wizytę w stadninie i rozmowy z obojgiem. Wiedziałam, że czeka mnie konfrontacja z jej właścicielem i siłą rzeczy przedstawienie Dobrosławy rodzinie. Tak bardzo miałam ochotę przegadać sprawę z kimś z boku, na przykład z Anielą, ale nie mogłam jej narażać na emocje. Pisała, że z powodu zagrożonej ciąży trafi być może do szpitala na patologię.

Następnego dnia wyszłam do pracy dwie godziny przed czasem. Odwiozłam dzieci, postawiłam samochód na parkingu dosyć odległym od starówki, by zafundować sobie dłuższy spacer i przewietrzyć umysł. Robiłam plany na dzisiejszy dzień: skontaktować się z wujem Marianem, umówić ze Zborowskim, zadzwonić do Anieli.

Marcowe słońce wędrowało coraz wyżej po niebie, jego promienie lekko smagały policzki. Odetchnęłam chłodnym, ale już nie mroźnym powietrzem. Zamarzyłam o kawie i wpadłam na pomysł, by uporządkować nasze galeryjne patio i stworzyć w nim minikawiarenkę. Ta myśl tak mnie nakręciła, że przyspieszyłam kroku, by jak najszybciej podzielić się nią z Jolą. Kiedy chwyciłam za klamkę, okazało się, że moja nowa pracowniczka jest już na posterunku.

– Kawy, szefowo? – zapytała. Była w radosnym nastroju.

– Chętnie. Po drodze do galerii wpadłam na niezły pomysł – oznajmiłam, ale zanim się nim podzieliłam, przerwał mi dzwonek telefonu.

Na ekraniku zobaczyłam nieznany numer. Jak się okazało, połączył się ze mną Jacek.

– Zawiozłem Anielkę do szpitala. Właśnie tracimy dziecko – płakał mąż przyjaciółki.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytałam zaprawiona w bojach, bo nie po raz pierwszy przeżywałam żal po kolejnej, prawdopodobnie nieudanej próbie donoszenia ciąży przez Nelę.

– Tylko chciałem to komuś powiedzieć – odparł i się rozłączył.

Jolka wróciła z kuchenki z dwiema filiżankami kawy.

– Wszystko w porządku? – Zauważyła moje blade policzki.

– Anielka jest w szpitalu. Prawdopodobnie poronienie.

Pomyślałam o Zośce i Jaśku. O Pawle, o braciach, Darii, Konstancji. O całej rodzinie, również tej nowo nabytej. I dotarło do mnie, że los obchodzi się ze mną łaskawie. Problemy z przeszłości nagle straciły na znaczeniu i stały się sprawą do załatwienia.

W pierwszej kolejności odpisałam Zborowskiemu.

„Mam czas o dwunastej. Spotkajmy się w stadninie, jak pan proponuje. W.”

Potem zadzwoniłam do wuja Mariana i obiecałam odwiedzić go w kancelarii za trzy godziny. Poinformowałam go o odnalezieniu Dobrosławy.

Nad wiadomością do Anielki zawahałam się i zrezygnowałam. W takim momencie na pewno chciała być sama.

## Rozdział 45

### Dobrosława

Wieczorne wizyty Zuzy u mnie należały do rzadkości.

Na przestrzeni wielu lat naszej znajomości zdarzało się jej nieoczekiwanie wpaść z rozbawionym towarzystwem, by dokończyć jakże miło rozpoczęty wieczór w Czarnej Róży, czy nawet samej, nie pamiętałam jednak, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Na pewno wtedy, gdy wiedziała, że rodzice wyjechali na wieś, a ja mam wolną chatę. Z pewnością jeszcze przed narodzinami Nawojki.

Dlatego jej dzisiejsze najście zaskoczyło mnie całkowicie. Jeszcze bardziej jego powód – Zuza chciała usunąć ciążę, a ja miałam jej towarzyszyć u lekarza. Czyżby Olaf musiał pilnie wyjechać w sprawach zawodowych? – pomyślałam. Brałam również pod uwagę ewentualność, że moja przyjaciółka nie wspomniała mężowi o swoim odmiennym stanie.

Nie było na co czekać ani obchodzić się z nią jak z jajkiem. Musiałam mieć jasność, czego dokładnie oczekuje ode mnie przyjaciółka.

– Oczywiście, że z tobą pojedę – odparłam. – Ale dlaczego nie Olaf?

– Po prostu powiedz, że nie chcesz! – Zuza podniosła głos.

– Spokojnie. Napij się kawy. A może jesteś głodna? Została mi resztko kolacji – zmieniłam temat.

Zuzanna nie dała się zwieść.

– Nie powiedziałam Olafowi o ciąży.

Ukrywanie zdumienia słabo mi wyszło. Moja przyjaciółka poczerwieniała i zasypała mnie lawiną słów.

– Nie mogłam mu powiedzieć, bo on by mi zabronił aborcji! A ja nie chcę tego dziecka, rozumiesz? Mówiłam ci, że to nie jest dobry moment. Oboje mamy zobowiązania zawodowe i Arka na głowie. A poza wszystkim jestem za stara. Wiesz, że Kaśka Nowicka – wspomniała swoją koleżankę z liceum, którą także znałam – przed rokiem urodziła downa? Nie zamierzam dopuścić, by ten scenariusz się powtórzył. I nie pytaj mnie, dlaczego ukrywam ciążę przed matką i Niną. Chybaby mnie rozszarpały!

Widocznie byłam najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Postanowiłam darować sobie morały. Zuza była mocno dorosła i wiedziała, co robi, więc zamknęłam usta, mimo że oczami wyobraźni widziałam ją z drugim dzieckiem. A nawet uważałam, że dzięki niemu może odkryć szczęście na nowo.

Może dlatego, że zdarzało mi się myśleć o rodzeństwie dla Nawojki?

– Podgrzeję ci kolację, a potem pościelę u mnie.

Odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję. Prześpię się na kanapie.

Miałam na końcu języka, że w ciąży należą się jej specjalne względy, ale przypomniałam sobie, że ten stan nie potrwa długo.

Myśl o nieuchronności podjętej decyzji towarzyszyła mi przez cały wieczór. Przecież daliby radę, a Zuza kończy niebawem dopiero czterdzieści lat. Może niepotrzebnie się boi? – dumałam, ale znałam jej determinację, więc zrezygnowałam z perswazji. Jeżeli ktokolwiek mógłby wpłynąć na moją przyjaciółkę, był nim Olaf. Tyle że on nie miał pojęcia o ciąży.

Uczepiłam się tej myśli.

– Zuzka, a może jednak powinnaś powiedzieć mężowi? Będzie miał do ciebie pretensje, jeżeli prawda wyjdzie na jaw...

– Zamierzasz się wysypać? Bo ja mu nigdy nie powiem.

Z ciężkim sercem zapewniłam o swojej lojalności i zaczęłam zbierać talerze po kolacji.

Zuza przypomniała sobie o wynikach badań DNA.

– Byłaś w klinice? – zapytała. – Przepraszam, taka jestem zaabsorbowana swoimi sprawami...

– Jestem córką Sambora Jaremy – wywaliłam prosto z mostu.

– No i co dalej?

– Nie będzie żadnego dalej. Zrzeknę się spadku i po sprawie. Chciałabym jedynie zachować kontakt z Weroniką, bo ją polubiłam. Jak siostrę.

– Jesteście siostrami.

Nie zaprzeczyłam. To nie był czas na wyjawianie rodzinnych tajemnic.

– Co mam mówić, jeśli Olaf mnie o ciebie zapyta? – Powróciłam do zasadniczego tematu.

– Nie musisz się obawiać. Oficjalnie jestem w Warszawie na rozmowach o książce.

Wróć za dwa dni. A poza tym dlaczego miałby do ciebie dzwonić?

Tej nocy, mimo długiego i męczącego emocjonalnie dnia, długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o Weronice i jej konfrontacji z rodziną, ale przede wszystkim o Zuzannie. Robiła błąd, przed którym nie potrafiłam jej uchronić. Zdawałam sobie sprawę, że prawda zawsze wypływa, na dodatek w najbardziej nieoczekiwanym momencie. A po aborcji w kobiecej psychice pozostają szramy.

Byłam zła, że się poddałam, i czułam się winna. Może należało dosadniej przemówić Zuzie do rozsądku? Kątem oka zerkałam na telefon, w którym miałam numer Olafa, mimo to nie sięgnęłam. Zapewne nigdy sobie tego nie wybaczę...

Ostatnia myśl przed zaśnięciem rozmyła się w ciemności pokoju.

Wstałyśmy rano, by odwieźć Nawojkę do szkoły i przed dziewiątą stawić się pod gabinetem doktora. Wprawdzie niedaleko parkowało nowe auto Zuzanny, ale zdecydowałam, że tę wyprawę odbędziemy moim starym gruchotem. Przyjaciółka poprosiła mnie o przechowanie do czasu, kiedy od nowa będzie w formie.

– Pamiętam, kochanie, że po lekcjach masz zajęcia z ping-ponga – żegnałam się z córką przed szkołą, obiecując jej odbiór po piętnastej.

Zuza wysiliła się na uśmiech i pokiwała Nawojce dłonią.

– Czy ciocia dzisiaj też będzie u nas spać? – usłyszałam pytanie małej.

– Pewnie tak. A teraz biegnij, bo Marysia już czeka.

Wróciłam do auta i poprosiłam o adres lekarza.

– Wciąż chcesz tam jechać? – zadałam pytanie ostatniej szansy.

– Klonowa dwadzieścia dziewięć. Wiesz, gdzie to jest, czy mam cię poprowadzić?

Silnik zarzęził i ruszyłam z miejsca.

Sądziłam, że Zuza wynalazła jakąś szemraną opcję, jednak na budynku, przed którym stanęłyśmy, widniał szyld z nazwiskiem. Do ostatniej chwili liczyłam, że moja przyjaciółka zmieni zdanie, tak się jednak nie stało. Tyle że pozwoliła sobie towarzyszyć pod drzwi gabinetu.

– Zapraszam do środka – usłyszałam życzliwy głos lekarza, a potem kilka skierowanych do mnie słów: – Zabieg potrwa dziesięć, piętnaście minut. Po wszystkim poobserwuję pacjentkę przez godzinę i jeśli wszystko będzie w porządku, wypuszczę do domu. Sama nie może wracać.

– Oczywiście – bąknęłam. – Trzymaj się. – Mocno uściśnęłam dłoń Zuzy i oddaliłam się pośpiesznie, nie oglądając się za siebie.

Nie chciałam, żeby widziała moje łzy. Minęła dobra chwila, zanim otrząsnęłam się z emocji.

Nie było sensu siedzieć w samochodzie przez półtorej godziny, tymczasem w pobliżu nie

było żadnej kawiarni. Na szczęście przypomniałam sobie o kafejce kilka przecznic dalej. Ostatni raz byłam w niej z rodzicami wiele lat temu, gdy świętowaliśmy zakończenie roku szkolnego i moje dobre świadectwo. Miałam nadzieję, że lokal wciąż działa. Zamierzałam przy kawie przerzucić gazetę.

Pora była wczesna, więc w środku było niemal pusto. Nic dziwnego, że bez trudu zidentyfikowałam Olafa, który zajmował stolik w kącie sali. Zanim zdążyłam się wycofać, mąż Zuzanny cały się rozpromienił.

– Dobrusia? Co za przypadek! Przysiądziesz się? Byłem umówiony na rozmowę z kontrahentem, ale on odwołał spotkanie. Siadaj. Co ci zamówić?

Nie brał pod uwagę odmowy.

Przycupnęłam na krześle, kombinując intensywnie, jak tu się wyautować. Nie miałam odwagi spojrzeć Olafowi w oczy.

– Może być latte – wykrztusiłam. Na wszelki wypadek nie zdjęłam kurtki.

– I wuzetkę! – Olaf rozszerzył zamówienie. – Pozwól okrycie. Dobrze, że na ciebie wpadłem, bo mam do pogadania.

On chce ze mną rozmawiać? Chyba po raz pierwszy w życiu!

– Chodzi o Zużę – wyjaśnił. – Ostatnio jest jakaś dziwna i trudna. Pytałem, czy ma kłopoty w pracy, czy jest zdrowa, ale podobno wszystko jest w porządku. Może ty wiesz coś więcej?

Trafił w dziesiątkę, tylko co miałam mu powiedzieć?

Z opresji wybawił mnie dzwonek telefonu, choć numer, który się wyświetlił, podniósł mi włosy na głowie. Przeprosiłam Olafa i odeszłam kilka kroków, by spokojnie odebrać.

– Co się stało? – zapytałam szeptem.

– Wyszłam z gabinetu – usłyszałam głos Zuzy. – Gdzie jesteś?

O Boże, ona potrzebuje pomocy, a mnie indaguje jej mąż!

– W kawiarni na Jodłowej. Zaraz będę!

– Nie trzeba. Podejdę.

– Jak to podejdiesz? Powinnaś leżeć! Czekać na mnie!

Przerwała połączenie, a ja wróciłam do stolika.

– Wszystko w porządku? – zainteresował się Olaf.

Nic nie było w porządku. Zuzanna zrobiła skrobankę, po której natychmiast wyszła z gabinetu, a ja jej nie dopilnowałam. Powinnam tam siedzieć i ani drgnąć. A jeszcze wcześniej wybić z głowy ten nieszczęsny zabieg.

– Olaf – zaczęłam z ciężkim sercem – muszę ci o czymś powiedzieć.

Tym razem zadzwieczył jego telefon.

– To ten spóźniony kontrahent. Odbiorę. – Mrugnął przepraszająco i odszedł od stolika, jak ja przed kilkoma minutami.

Zyskałam na czasie, więc intensywnie myślałam, jak przygotować go na nadejście Zuzanny. Wysłałam jej wiadomość.

„Siedzimy w kawiarni z Olafem. Przypadek. Co robić? D.”

Nie odpowiedziała, za to po chwili ujrzeliśmy ją w drzwiach. Rozpromienioną, radosną.

Pomachała nam, puściła do mnie oko i wpadła w ramiona męża.

– Kochanie, właśnie wracam od ginekologa! Będziemy mieli dziecko! Co ty na to?

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby jakiś mężczyzna zareagował na wiadomość o ciąży tak jak Olaf. Byłam świadkiem filmowej sceny radości. Zuza wirowała w jego objęciach obsypywana mnóstwem pocałunków. Jej rzekomy wyjazd do Warszawy został zapomniany.

Stałam z boku zdezorientowana, nie chcąc przeszkadzać przyszłym rodzicom, i nie

rozumiałam, jaka była moja rola w tej mistyfikacji.

Dowiedziałam się, kiedy Zuza posłała męża do baru po solidne śniadanie.

– Nie planowałam, że się wycofam w ostatniej chwili – wyszeptała. – Nie byłam w stanie pozbyć się tego dziecka. – Ścisnęła moją dłoń. – Dziękuję ci za wszystko!

– Kiedy tu weszłam, myślałam, że zejde na zawał.

– Widać tak musiało być. Nigdy mu nie mów, co chciałam zrobić. Mogę na ciebie liczyć?

– Jasne. Będę milczeć jak grób.

## Rozdział 46

Weronika

Wojciech Zborowski potwierdził spotkanie w stadninie, wuj Marian zaprosił do siebie. Żeby uciec od myśli o Anielce, postanowiłam przegadać z Jolką pomysł z kawiarenką w patio.

Podeszła do niego z dużym entuzjazmem i dołożyła swoje.

– Mogłybyśmy również wprowadzić vouchery na nasz asortyment – zaproponowała.

– Że też wcześniej o tym nie pomyślałam! Nic nie kosztują, a mogą rozruszać sprzedaż.

Przygotowałabyś je graficznie?

– Bez problemu. Co byś powiedziała o czerpanym papierze i kopercie zdobionej niewielką szydełkową aplikacją? Mógłby być to kwiatek, ptaszek albo figura geometryczna.

– Jolka, kto będzie ślęczał nad szydełkowaniem? Za dużo zachodu.

– Nie masz racji – zaprzeczyła. – Mam w domu milion takich drobiażdżków. A jeżeli będzie trzeba, dorobię kolejne. Wieczorem przy telewizji lubię zająć czymś ręce.

Zawsze podziwiałam żonę Zenka, ale dopiero teraz dotarło do mnie, jaki dostałam skarb.

– Co jeszcze masz na sprzedaż w swoich przepastnych szafach? – zażartowałam, nie spodziewając się, że odpowie mi całkiem poważnie.

– Sporo swetrów. W latach osiemdziesiątych, kiedy byłam mała, mama robiła je na drutach i sprzedawała do butików. Szły jak ciepłe bułeczki. Nauczyłam się i dziergam w wolnych chwilach. Kilka pań u nas we wsi też miałyby sporo do zaoferowania. Do tej pory dłubiemy dla przyjemności i rodziny, ale jeśli ta twórczość nadała się na sprzedaż, to bardzo dobrze.

– Masz jakieś zdjęcia? – Poczułam ekscytację nowymi możliwościami.

Pokazała mi na ekranie komórki przepiękne artystyczne wzory kardiganów, golfów, poncho. Z grubym widocznym splotem, gładkie, a nawet w stylu glamour, którego osobiście nie lubiłam, ale w wydaniu Jolki i pań z koła gospodyń był cudowny. Zaakceptowałam błyszczące nitki i perełki.

– Śliczne! – pochwalałam. – A przede wszystkim unikatowe, jedyne, niepowtarzalne. Widzę dla nich miejsce w galerii. Ustalcie z paniami cenę i wystawiamy. A Zenek myśli już o meblowej ofercie?

Zapewniła, że przesiedział nad nią cały wieczór.

Gadałyśmy z Jolką, wykorzystując wolny czas między wizytami klientów, jednak z tyłu głowy miałam Anielę.

– Nie będę do niej dzwonić! – wyrwało mi się na głos. – Bardzo się martwię.

Jola okazała się domyślna.

– Bądźmy dobrej myśli – szepnęła. – Może Jacek da znać?

Miała rację.

Zegar na ścianie uświadomił mi, że powinnam jechać do stadniny. Dlaczego się nie umówiłam na starówce? – wyrzucałam sobie. Niestety, kiedy wybrałam numer Zborowskiego, żeby ściągnąć go do miasta, nie odpowiadał.

Pożegnałam Jolę, która bardzo dobrze sobie radziła, i zapowiedziałam powrót za kilka godzin.

Z głową pełną pomysłów przemierzałam kilometry, obserwując resztki śniegu na polach, rzekę wolną od kry, promienie słońca oświetlające bezlistne drzewa i brunatne poszycie. Trudno było w marcu wypatrywać wschodzącej trawy, choć kolor nadziei był mi teraz potrzebny jak nigdy.

Podobno, według meteorologów, wiosna tego roku miała nadejść późno.

Przed stadniną dostrzegłam kilka samochodów, a na padoku zaledwie kilku jeźdźców. Niewiele mnie to obchodziło. Przyjechałam rozmówić się z Wojciechem Zborowskim i raz na zawsze zakończyć temat naszego pokrewieństwa. Weszłam do budynku, gdzie miał gabinet, i zapukałam.

Musiał mnie dostrzec przez okno, bo otworzył natychmiast i zaprosił do środka. Miał na sobie tweedową marynarkę, kaszmirowy golf i sztruksowe spodnie, w których, co stwierdziłam bez przyjemności, prezentował się znakomicie. Jedyne cienie pod oczami zdradzały zmęczenie. A może troskę?

Nie przyszłam tutaj po to, by martwić się o jego kondycję, przypomniałam sobie.

Oddałam mu płaszcz i zajęłam wskazane miejsce w fotelu. Odmówiłam kawy, przystawszy na szklankę wody. Milczałam, by nie ułatwiać mu zadania. Skoro mnie tu zaprosił, niech zaczyna.

– Weroniko... Czy mogę się tak do pani zwracać?

– Bardzo proszę. Jednak ja pozostanę przy oficjalnej wersji – odparłam.

Skinął głową na znak akceptacji.

– Odebrałem wyniki. I jestem bardzo wzruszony...

Ja nieco mniej, pomyślałam. Nie zamierzałam przerywać mu wywodu, liczyłam jednak, że oszczędzi mi łzawej sceny powrotu ojca marnotrawnego.

– Też się z nimi zapoznałam – odparłam.

– Rozumiem, że dla ciebie to wstrząs, i nie oczekuję niczego. Pozwól mi tylko wyrazić radość z poznania córki.

Wyrażaj sobie, ile chcesz! – najeżyłam się. A teraz porozmawiajmy i sobie pójdę!

Usiłowałam nie patrzeć w oczy facetowi, z którym nic mnie nie łączyło.

– Weroniko, może powinienem prosić cię o wybaczenie, ale tego nie zrobię. Nie będę przeproszać za to, że kochałem twoją matkę. Usunąłem się, kiedy wybrała życie z Samborem. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z tego, kto jest twoim ojcem, i nigdy się tego nie dowiem. Ale teraz, dzięki testowi, sprawa się wyjaśniła. Mam córkę, i to najważniejszy, najwspanialszy podarunek, jaki zesłało mi życie.

– Zdaje pan sobie sprawę, jak ta wiadomość zszargała moje? – zapytałam.

– Przykro mi.

Przykro mu! Wtargnął nieoczekiwanie i zburzył moje wyobrażenie o przeszłości!

Postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce.

– Prosił mnie pan o spotkanie, więc przyjechałam. Przede wszystkim po to, by sprawę wyjaśnić raz na zawsze i jej nie ciągnąć. Faktycznie, jesteśmy spokrewnieni – oględnie nawiązałam do ojcostwa. – Ale to tylko biologia. To mój tato mnie wychowywał i to jego kochałam. Czego pan chce ode mnie?

Patrzyłam na Zborowskiego i niemal mu współczułam. Miał oczy zbitego psa. Rzeczywiście, byłam bezwzględna, ale czy on nie mniej, gdy prosił mnie o wykonanie testu? Czy myślał, jak się poczuje w sytuacji, w jakiej się właśnie znalazłam?

Potarł dłonią czoło i głęboko odetchnął. Był równie dobrym aktorem, jak koniarzem. Pewnie trenował przed moją wizytą, myślałam, świdrując go bezlitosnym spojrzeniem.

– Niczego, Weroniko. Jestem szczęśliwy, że cię poznałem. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy w tym momencie.

Rzeczywiście, przyda się córka przed podróżą dookoła świata! Niedoczekanie! Nie mam zamiaru doglądać końskiego stada pod jego nieobecność!

– Panie Wojciechu, wyjaśniliśmy sobie kwestię pokrewieństwa. Mam pretensje do mamy, że zdradzała ojca z panem, a ja jestem owocem waszej „miłości” – zadrwiłam. – Ale to mój

problem.

Opanowałam się i nie wspomniałam, że mój tato sprawił sobie Dobrosławę ze swoją kochanicą. Nie chciałam uzbroić Zborowskiego w argument o powszechnej niewierności.

– Rozumiem – odparł zmienionym głosem. – Powiem wprost: chciałbym cię poznać bliżej, ale to wymaga czasu, a ja go nie mam. Za tydzień wyjeżdżam i chciałbym zostawić ci stadninę. Jest sporo warta. Znajdziesz czas, żeby umówić się ze mną u notariusza?

Nie miałam najmniejszego zamiaru. Czyżby ten facet zamierzał mnie kupić?

– Nie sędzę. Dziękuję za propozycję, ale mimo pokrewieństwa jesteśmy dla siebie obcy mi ludźmi i nie zamierzam przyjmować od pana podarunków. I proszę o wykreślenie mojego numeru z listy telefonów. Wiadomość, że jestem pana córką, dość już namieszała w moim życiu. Pozwoli pan, że się pożegnám.

Wracałam do miasta poruszona i zdezorientowana. Chyba zbyt ostro potraktowałam tego gościa. Przed oczami wciąż miałam jego zmartwioną twarz, a w duszy wyrzuty sumienia. Bo właściwie czemu on jest winien? To mama namieszała, ukrywając przed nami prawdę.

Spróbowałam wczuć się w jej sytuację sprzed lat. Może nie wiedziała, kto jest moim ojcem? Albo nie chciała rozbijać rodziny i pozostała przy tacie? A pan Wojciech? Może gdyby wiedział, próbowałby zawalczyć o uczucie? O mnie?

Stare dzieje i nie do odgruzowania, stwierdziłam. Ale im bliżej byłam miasta, tym bardziej skłaniałam się do decyzji o kolejnym spotkaniu ze Zborowskim. Nie myślałam jeszcze o nim jak o ojcu, ale było mi go szkoda. Nie miał dzieci, a tu nagle pojawił się ja. Nie przypadkiem odziedziczyłam po nim francuskie „r” i leworęczność. A może łączy nas coś więcej? Rodzina? Mamy przed sobą całe życie. I nawet jeżeli on wybiera się w podróż, to kiedyś wróci.

Gdybym nie prowadziła, zapewne wysłałabym mu wiadomość, że jestem gotowa zobaczyć się z nim ponownie.

– Słyszałem, że zidentyfikowaliście Dobrosławę Kuszewską – powitał mnie w kancelarii.

– Owszem. I co teraz?

– Wszystkim się zajmę. Udostępnię jej dane sądowi i zaczekamy na termin rozprawy o potwierdzenie nabycia spadku. Przyjdzie?

– Na pewno. A wiesz, wujku, że widziałam się z moim biologicznym ojcem?

– I?

– Chyba powinniśmy to powtórzyć...

– Kochana, rób, jak czujesz – odparł mój żelazny prawnik o gołęmbim sercu.

## Rozdział 47

### Dobrosława

Po ostatnim spotkaniu z Weroniką dałyśmy sobie kilka dni oddechu.

Powoli przyzwyczajałam się do myśli, że to Sambor Jarema jest moim biologicznym ojcem, jednocześnie współczując Werce zawodu, jaki sprawiło jej to odkrycie. To i prawda o jej pochodzeniu. Wahaniami podzieliłam się z Zużą, która już okrzepła po wczesnościowych rozterkach.

– Nie musisz się czuć winna wobec Weroniki – usłyszałam. – Nie miałaś przecież wpływu na to, kto cię spłodził. Pomyśl o sobie, ona da sobie radę. Ma męża, dzieci, rodzinę. Pomogą jej pokonać demony przeszłości.

Wiedziałam, że Zuza pije do sytuacji mojej i Mateusza, który ostatnio poświęcał mi niewiele czasu. A już z pewnością nie mogłam od niego oczekiwać bezwarunkowego wsparcia.

Choć prawdę mówiąc, unikałam go. Nie potrafiłam kłamać prosto w oczy, a nie miałam ochoty powiedzieć mu o Jaremie, choć powinnam. Zdawałam sobie sprawę, że wyznanie pociągnie za sobą dyskusję o spadku, której sobie nie życzyłam. Nie mogłam jednak milczeć w nieskończoność, a już na pewno nie wtedy, kiedy Weronika zawiadomiła mnie o terminie rozprawy i zaprosiła do siebie, żebym poznała pozostałych członków rodziny.

Jak przewidywałam, Mateusza nadzwyczaj podnieciła myśl o moim zamożnym zmarłym ojcu. Natychmiast wziął mnie w obroty.

– Chyba nie pójdziesz na spotkanie z tymi ludźmi? – zaprotestował. – Mówię ci to jako twój facet i prawnik.

– A dlaczego nie? Chcę ich poznać. Jakkolwiek patrzeć, to moja rodzina – odparłam. – Poza nimi nie mam nikogo. Niestety, drogi z wujostwem z Gdańska się rozeszły.

– A mnie nie bierzesz już pod uwagę?

Formalnie nie jesteś moim mężem i nie wiadomo, czy w ogóle będziesz, pomyślałam.

– Mateusz, nieważne, jak się ułoży między nami, chcę się spotkać z rodziną Jaremów – powiedziałam na głos. – Zaprosili mnie, a ja sobie cenię ten gest.

– To bardzo nierozsądne! – Mateusz nerwowo przeczesał palcami włosy. – Nie możesz się zaprzyjaźniać, a potem walczyć z nimi o spadek. Jako prawnik odradzam ci wszelkie kontakty przed rozprawą.

Boże mój, jak on niczego nie rozumiał! Miałam ochotę pójść na zwanie i długą awanturę, lecz zamiast tego poczęstowałam Mateusza krótkim stwierdzeniem.

– Zamierzam odrzucić spadek.

Tak jak przewidywałam, spadły na mnie gromy.

– Ty chyba kompletnie zwariowałaś! Ten facet miał świetnie prosperującą firmę i kupę kasy! I sam chciał zapewnić godziwe życie czwórce swoich dzieci! Nawet o tym nie myśl, Pani Dumna! – pieklił się Mateusz. Jednak po chwili zorientował się, że zbyt mocno naciska, i zmienił taktykę. Podszedł i czule pogłaskał moje dłonie. – Kochanie, wiem przecież, jaką jesteś prawą i niewymagającą osobą. – Popłynęły aksamitne słowa. – I wydaje ci się, że wszyscy ludzie są tacy. I fajnie. Ale rodzinka Jaremów chce cię poznać z zupełnie innego powodu. Żeby cię wyczuć i zmanipulować. Nie sądzę, by kierowały nimi szlachetne pobudki. Gdy chodzi o pieniądze, ludzie robią się przebiegli.

Każdy mierzy własną miarką, miałam na końcu języka, ale milczałam. Z każdą chwilą traciłam resztki szacunku do Mateusza. A nawet zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem wmanewrowałam się w ten związek. I przypomniałam sobie: mój partner, mimo pazerności,

złapał fajny kontakt z Nawojką.

Czyżby tylko o to chodziło?

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał. – Walcz o swoje! Chcesz odpuścić, żeby wzięli wszystko?

Byłam znużona.

– Pomyślę, Mateusz. A co u ciebie? – zmieniłam temat.

Usłyszałam kilka interesujących opowieści o jego klientach i sądowe plotki.

Został na noc, i nawet poszliśmy do łóżka. Kochałam się z nim pełna poczucia winy, że nie zamierzam korzystać z jego rad, i z myślą o jutrzejszym spotkaniu z rodziną Jaremów z tyłu głowy.

Weronika zaprosiła wszystkich do swojego mieszkania w kamienicy, które z miejsca mnie zauroczyło. Owszem, żyliśmy z Nawojką w starym domu, niemniej jednak moje przytulne poddasze nijak się miało do przestronnego, wysmakowanego ponadstumetrowego wnętrza, w którym czuć było rękę projektanta i gust gospodarzy. Wysoko zawieszono sufity z belkami w salonie zapewniały pomieszczeniu przestrzeń, a ogromne okna wpuszczały mnóstwo światła. No i ta różnorodność materiałów! Nowoczesny kominek, wbudowany we fragment muru z cegły, betonowe schody prowadzące na antresolę, galeria grafik na ścianach. Do tego kilka starych mebli, do których doskonale pasował loftowy dizajn czarnych lamp i dodatków. Pośrodku królował olbrzymi drewniany stół z potężnym dębowym blatem, przy którym stały przezroczyste krzesła z pleksi. Atmosfery dopełniała istna orgia roślin. Zaopatrzone w przepastne kanapy „kącik” wypoczynkowy miał powierzchnię jakichś dwudziestu metrów.

– Pięknie tu u ciebie! – Już w przedpokoju wyraziłam swój zachwyt. – Czyżbyśmy przyszły pierwsze? – zareagowałam na ciszę.

– I dobrze!

Weronika odebrała kurtki ode mnie i nieco stremowanej Nawojki. Stremowanej do chwili, gdy gospodyni zawołała swoje dzieciaki.

– Zośka, Jasiu! Przyszła ciocia z waszą kuzynką!

Zrobiło mi się ciepło na sercu.

Po chwili zobaczyłam rezolutnego siedmiolatka i jego o dwa lata młodszą siostrę.

– Mam na imię Dobrusia, a to jest Nawojka. A wy to pewnie...

– Jaś – przedstawił się.

Zosia stanęła pod ścianą i przyglądała mi się spod rzęs. Przyszłam jej z pomocą.

– A ty pewnie masz na imię Zosia? Zaprosisz Nawojkę do swojego pokoju?

Usłyszałam krótkie „tak” i cała trójka zniknęła z mojego pola widzenia.

Rozejrzałam się za mężem Weroniki.

– Paweł pojechał po ciocię Konstancję – uświadomiła mnie Werka. – Na cmentarz, bo akurat wybrała się do swojej siostry, a mojej mamy. Rocznicą urodzin.

– To może ja nie w porę...? – Poczułam się niezręcznie.

– A skąd! Ciotka bardzo chce cię poznać. Jak my wszyscy. Nawet przygotowała na obiad swoją specjalność. Pomożesz mi w kuchni?

– Z największą przyjemnością!

Zanim nadeszli pozostali członkowie rodziny, ziemniaki dochodziły, a piekarnik pachniał kaczka w zalewie pomarańczowo-imbirowej.

Uwijałam się, nosząc na stół salaterki z sałatkami, jak gdybym robiła to przez całe życie. Pobłogosławiłam w duchu Werkę za miękkie wejście w ich świat.

Dopiero dzwonek do drzwi postawił mnie na baczność. Z wrażenia wyszłam do przedpokoju, zapomniawszy zdjąć fartuch.

W rozgadanej gromadce domyśliłam się Krzesimira z Darią i trójką dzieciaków oraz Pawła z ciotką Konstancją.

– Poznajcie Dobrusię – usłyszałam głos Weroniki.

Jako pierwsza podeszła do mnie Daria. Panowie skłonili uprzejmie głowy, dzieciaki zajęły zdejmowaniem ubrań. Starsza pani rzuciła mi uprzejme spojrzenie i wyjęła szczotkę, by ułożyć potargane pod kapeluszem włosy.

Nieśmiało wycofałam się do kuchni.

Wprawdzie Weronika miękko wprowadziła mnie w świat Jaremów, ale nie czułam się komfortowo. Oczywiście wszyscy starali się zachowywać normalnie, jak na zwykłym rodzinnym obiedzie, ale im także nie było łatwo. Pierwsze i drugie danie zjedliśmy, uprzejmie podając sobie półmiski i salaterki z jedzeniem, wymieniając uwagi o pogodzie i innych równie nieważkich sprawach. Aż zaczęłam się zastanawiać, co ja właściwie tutaj robię, i obmyślać plan ewakuacji.

Przełom nastąpił przy kawie.

Sprzątnęłyśmy z Weroniką i Darią, która chętnie się przyłączyła, ze stołu i przystąpiłyśmy do przygotowania podwieczorku.

– Powiedzcie, co ja mam robić? – Obserwowałam zgodną współpracę ręka w rękę.

– Usiądź, jesteś gościem – odezwała się bratowa Weroniki.

– Nie jest gościem, tylko domownikiem – zaprotestowała Werka. – Wyjmij filiżanki z szafki nad zlewozmywakiem i zanieś do pokoju – poleciła jak gdyby nigdy nic. – Paweł! – zawołała do męża. – Rozstaw talerzyki deserowe i przynieś mi tę prowansalską paterę do ciasta! I nie pytaj cioci, gdzie ona jest! – dodała tonem nieznośnym sprzeciwu.

Na ciotkę Konstancję nie musiałyśmy długo czekać.

– Dlaczego nikt mnie tu nie chce? – Stała w progu kuchni. – Może chociaż udekoruję galaretki?

I zaczął się taniec: Weronika komenderowała, starsza pani i Daria pracowały w milczeniu, ja miotałam się z gorliwością godną pomocy kuchennej walczącej o miejsce pracy. Ciotka Konstancja nie wydawała mi się przyjazna, już bardziej żona Krzeska. Najgorsze było to, że jak dotąd nie padło ani jedno słowo o moim pokrewieństwie z panem Jaremą. Czyżby rodzina zamierzała nieprzyjemnie mnie zaskoczyć?

Niewesołe myśli przerwała mi Weronika.

– Dobruśka, dla cioci kawa ze śmietanką, Daria, Krzesek i Paweł piją podwójne espresso, dla mnie cappuccino. A ty?

– Ja... Wszystko jedno – bąknęłam.

Ciotka Konstancja zniecała odzyskała głos.

– Chętnie dowiemy się, jaką kawę lubi nasz nowy członek rodziny.

Zakryłam usta dłonią, żeby się nie rozpląkać. Czyżbym miała u nich jakieś szanse?

– Nie słyszałaś, o co pytała ciocia? Espresso czy latte? – Weronika puściła do mnie oko.

– To może espresso – wykrztusiłam.

Na twarzy Darii zagościł uśmiech.

Byłam szczęśliwa. Te obce do tej pory kobiety najwyraźniej mnie zaakceptowały, a jednocześnie utwierdziły w przekonaniu, że i ja powinnam zachować się porządnie. Tak wobec nich, jak i reszty rodziny, do której wtargnęłam kuchennym wejściem.

To dzięki nim, kiedy już siedzieliśmy wszyscy przy kawie i cieście i rozmawialiśmy o niespodziance, jaką sprawił nam Sambor Jarema, mogłam dobitnie i z pełnym przekonaniem zapewnić, że nie zamierzam przyjąć spadku.

– Pamiętaj, że zawsze możesz zmienić zdanie – powiedziała Weronika, kiedy goście już dawno poszli, a jeszcze pomagałam jej przy sprzątanii. – Nie będzie dużo do podziału, pieniądze

po sprzedaży domu rodziców i niewielkie oszczędności. Ale może wystarczy ci na nowy-stary samochód. I jeszcze zostanie.

– Dziękuję za wspaniałe popołudnie i życzliwość was wszystkich – wyszeptałam. – Nawet nie mogłam marzyć, że moja rodzina okaże się tak wspaniałą... Widzimy się na rozprawie.

## Rozdział 48

Weronika

To kiedy ta rozprawa? – zapytała Daria, gdy następnego dnia po spotkaniu z Dobrusią świętowaliśmy u Krzesków urodziny Rysia.

– Za miesiąc, tuż po świętach. Wujowi Marcinowi udało się załatwić szybki termin – odparłam.

– To jest szybki termin? – Moja bratowa wyraziła zdziwienie.

– A co ty myślałaś? – wtrącił się Krzesek. – Sądy mają co robić, a wierzyciele firmy nie będą czekać bez końca. Spłacimy ich, gdy sprzedamy dom po rodzicach. Po przejściu spadku nareszcie będzie to możliwe.

– Jak myślisz, ile warta jest ta nieruchomość? – zapytałam.

– Biegły wycenił go na milion dwieście. Do podziału pomiędzy naszą trójkę i Dobrosławę. Jędrzej weźmie swoje trzysta tysięcy, ona zapewne też, bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że odrzuci. Tyle kasy piechotą nie chodzi, więc nikt o zdrowych zmysłach nie zrezygnuje z okazji – dodał przeświadczony o własnej nieomyślności.

– Brat, chyba przesadzasz. Nie znasz jej, a wypowiadasz się arbitralnie! – uniosłam się.

– A ty niby ją znasz? Bo parę razy pogadałyście i wypiliście kilka drinków? Sorry, gdybyś miała do spłacenia ponadmilionowy dług, inaczej byś gadała.

Tym razem dotknął mnie do żywego.

– A nie mam? Zostałam z tobą i nie uciekłam z tonącego okrętu! To tak samo mój dług, jak i twój. Oboje jesteśmy udziałowcami, a ty bierzesz dodatkowo pieniądze za swoją pracę. W pewnym sensie mogę powiedzieć, że ci płacę. Krzesek, co się z tobą dzieje?

Zdenerwowany wyszedł z pokoju, a Daria zaczęła go usprawiedliwiać.

– Ostatnio wierzyciele mocno go naciskają...

– Mnie mówił, że opanował sytuację i wychodzi na prostą.

– Walczy. Ale czasami puszczają mu nerwy.

– To niech je trzyma na wodzy! Mogłam zostawić go z całym tym bałaganem i poprosić o spłatę. Znalazłam Dobrosławę, niebawem rozprawa, ona nie chce pieniędzy, a temu wiecznie coś nie pasuje! „Nie-chce-mi-się-wie-rzyć” – przesylabizowałam z sarkazmem. – A żebyście wszyscy wiedzieli, że będę namawiać Dobrusię na ten spadek, bo tak samo jej się należy, jak nam wszystkim. Nie jest winna niewierności naszego ojca (a właściwie ojca Krzesimira i Jędrzeja, pomyślałam z goryczą)! Podobnie ja nie powinnam winić Zborowskiego, że chciał nawiązać kontakt ze mną, ze swoją córką. Czy możesz zawołać Krzesimira? – Spojrzałam na siedzącą w fotelu przerażoną moim wybuchem Darię.

Wstała i potulnie powędrowała do gabinetu męża.

– Nie za ostro? – zainterweniował Paweł. – Przecież zawsze można się jakoś dogadać.

– Właśnie to robię – odparłam i dolałam sobie wina.

Porozumienie to sztuka kompromisu, ale potrzebna jest dobra wola obu stron. Krzesek niepotrzebnie kombinuje, jak pozbyć się Dobrosławy, wzruszyłam ramionami.

Wczorajsze rodzinne popołudnie upłynęło nam całkiem miło. Mój najstarszy brat mało się odzywał, ale nie przykładałam do jego milczenia zbytnej wagi. Krzesek nigdy nie był duszą towarzystwa. Ale nie podejrzewałam, że Dobrosława – czy raczej jej pozycja w rodzinie – tkwi mu zadrą w sercu. A może tylko jej prawo do spadku?

Nadszedł czas, by powiedzieć, co myślę. I zrobiłam to, kiedy Daria sprowadziła swojego męża na dół.

– Mówisz, że dom sprzedamy za milion dwieście? – zaczęłam. – Czyli po równym podziale zostaje tobie i mnie sześćset tysięcy. Nie chcę żerować na Dobrusi, tak jak nie odbieralibyśmy jego części Jędrkowi. Krzesek, musisz powiedzieć prawdę o kondycji firmy. Czy podźwigniesz ją w realnej perspektywie? Tak żebyśmy mogli spokojnie spłacać kredyt na długi?

Zerknęłam na Pawła i wyczytałam w jego oczach poparcie. Może nie był specjalnie zachwycony, ale kiwnął głową z aprobatą.

Krzesimirowi chyba nie bardzo odpowiadał mój zdecydowany ton, ale nie miał wyjścia.

– Tak jak wam wcześniej wspominałem, dajemy radę w nowych okolicznościach. Udało się zachować większość klientów, pracujemy nad kolejnym produktem, zmniejszyliśmy koszty stałe. Po spłaceniu długów chyba odzyskamy równowagę.

W ustach mojego racjonalnego i asekuranckiego brata słowo „chyba” znaczyło „na pewno”.

Nie chciałam uzależniać przyszłości firmy od decyzji Dobrosławy.

– To dobrze, brat – powiedziałam. – Bierz zatem pod uwagę tylko nasze sześć stów. Bo to my mamy udziały w firmie i my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Wysłałam od Krzesków bez pewności, czy mój punkt widzenia został zaakceptowany, ale przynajmniej byłam w zgodzie sama ze sobą.

– Wiesz, Paweł, niech ta karuzela spadkowa się wreszcie skończy. Nie mogę się doczekać rozprawy i wyklarowania sytuacji. Będę namawiała Dobrusię, żeby wzięła pieniądze po ojcu. Robię błąd? – Posłałam mężowi pytające spojrzenie.

– Zależy mi, żebyś wreszcie złapała trochę spokoju. Pieniądze są nieważne. Obserwowałam cię ostatnio i widzę, że między tobą i Dobrusią dobrze się układa. To całkiem miła osoba. I jej córka też.

– Chociaż nie jesteście siostrami...

– Nie myśl o tym. Obie zostałyście nieźle zaskoczone po latach.

W domu położyliśmy dzieci spać i zasiedliśmy na kanapie z kieliszkiem wina. Paweł objął mnie ramieniem, drugą ręką włączywszy na Spotify moją ulubioną latynoską muzykę.

– Wiesz, że ja ją naprawdę polubiłam? – westchnęłam.

– Wiem. Bo dobry z ciebie człowiek.

– Ale ona mnie chyba też.

– Zauważyłem. Damy sobie radę, nawet jeśli przyjmie spadek – pocieszył.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Rozumiał mnie i dawał mi pewność, że przy nim nic złego nie może się stać.

Następnego dnia dostałam od Dobrusi podziękowania za miłe rodzinne popołudnie. Pytała, czy w najbliższy weekend pojedzie z dziećmiakami, nią i Nawojką do stajni.

„Rozumiem, że spotkanie z panem Zborowskim może być dla ciebie trudne, ale wczoraj ostatecznie pożegnał się ze wszystkimi i opuścił stadninę. Nie wnikam w wasze relacje, po prostu informuję, że już go tam nie zastaniesz. Pokazałabym Zosi i Jankowi Wenę i zamówiła kucyka na małą przejażdżkę na padoku. To jak? Propozycja przyjęta?”, pytała w esemesie.

Obracałam komórkę w dłoniach i zastanawiałam się, czy nie wystukać numeru Zborowskiego i nie poprosić o spotkanie. Nawet jeśli nie w stadninie, musiał być jeszcze w Polsce. Podróż dookoła świata wymaga całkiem sporo przygotowań i pozamykania bieżących spraw.

Jeszcze zdążę się z nim zobaczyć! – zdecydowałam i odłożyłam telefon.

„Chętnie się przyłączymy – odpisałam. – Dzieciaki z przyjemnością chętnie odwiedzą stajnię. Do soboty. W.”

Korciło mnie, by skontaktować się z Anielą, która szczęśliwie utrzymała ciężę, ale Jacek

jak cerber strzegł spokoju żony. Wreszcie pokonałam tę przeszkodę i zadzwoniłam do przyjaciółki w poniedziałek rano, kiedy tylko otworzyłam drzwi galerii. Specjalnie przyszłam przed Jolą, by w spokoju zamienić kilka słów.

– Gdzie jesteś, Anielko? Jeszcze w szpitalu? – zapytałam.

– W domu. Jacek wyszedł do sklepu i mam chwilę spokoju. Pilnuje mnie nieustannie i zamęcza troską. Zresztą go znasz.

– A dziecko? Co mówią lekarze?

– Na dwoje babka wróżyła. Na razie jest dobrze. Mam się oszczędzać, głównie leżeć do końca pierwszego trymestru. A potem, kiedy ciąża okrzepnie, się zobaczy. Werka, ja cię bardzo przepraszam, że nie mogę wrócić do pracy. Oczywiście na zwolnieniu nie będę brać żadnych pieniędzy, co najwyżej uzbierasz mi na ZUS i będzie dobrze. A jeżeli nie, to wyłożę ze swoich.

Ciekawe, jakich swoich, pomyślałam. Wyobraźnia podsunęła mi wizerunek Jacka przy łóżku żony. Oczywiście Jacka bez pracy.

– Poradzimy sobie – zbagatelizowałam. – Jolka bardzo dobrze się sprawnia, mamy kilka fajnych pomysłów na poszerzenie oferty sprzedaży. Meble Zenka, dziergane swetry Joli i jej koleżanek z koła gospodyń wiejskich, karty podarunkowe. A, i jeszcze jedno! Kiedy zrobi się ciepło, chcemy uruchomić dla klientów małą kawiarenkę na podwórku. Co ty na to?

Po dłuższej chwili milczenia Aniela chlipnęła.

– Szkoda, że mnie tam nie ma. Nawet nie wiesz, jak mi tęskno do pracy, do ciebie i naszych porannych kaw... – Wytarła nos.

– Wiem, wiem. Ale teraz skup się na sobie, kochana. I oczywiście na dzidziusiu. A Jacka pošlij do roboty, bo cię zagłaska na śmierć!

– Podobno ma na oku coś online – westchnęła Nela.

– Niech znajdzie inną, poza domem. Zwariujesz, przebywając z nim na okrągło. Wiem coś o tym – roześmiałam się. – Paweł w domu, ja wybywam. Chociaż bardzo go kocham. Higiena, koleżanko, małżeńska higiena. Słodkości w nadmiernych ilościach mogą zemdląć. Teraz jest okej, bo on biega przy tobie, ale kiedy staniesz na nogi... Będziesz podstawiać mu obiadki codziennie o pierwszej i będzie cię trafiał szlag, że pozwoliłaś się tak wmanewrować. Powodzenia!

– Wrócę do galerii, kiedy tylko będzie to możliwe. Na razie jednak kwitnę w domu. Wpadniesz do mnie kiedyś? Pewnie już jesteś po testach?

Niemal o nich zapomniałam.

– Tak – poinformowałam Anielę. – Ja i Dobrosława. Szczęsny nie jest jej ojcem, tylko mój tato. A moim ojcem okazał się Wojciech Zborowski. Przyswoiłam fakty i naprawdę je zaakceptowałam. – Uprzedziłam pytania.

– Współczuję.

– Nie ma czego, Anielko. Rodzina mnie wspiera, Paweł jest naprawdę świetny, a z Dobrusią dobrze mi się układa.

Kwestia została wypowiedziana szybko i pewnie, ale przyjaciółka jej nie kupiła.

– Na pewno?

– No dobra. Musiałam zaakceptować fakty w ekspresowym tempie. Niebawem mamy rozprawę spadkową, Krzesek walczy o przetrwanie firmy, a ja zastanawiam się, czy ponownie nie spotkać się z nowym ojcem. Można to jednak przeżyć. Ale dość o mnie – zmieniłam temat. – Przyszła Jola i muszę kończyć. Daj znać, kiedy będziesz wolna od męża. Pogadamy.

Tydzień minął niepostrzeżenie na realizacji nowych wyzwań. Zenek przywiózł do sklepu kilka mebelków, Jolka przytargała naręczne swetrów. W wolnych chwilach siedziałyśmy przy dekoracji kart podarunkowych i sprzątałyśmy zaplecze, by zrobić miejsce na kawiarenkę.

Nie zdziwiłam się, kiedy pewnego dnia odwiedził nas Jaromir Szczęsny i odwołał zgodę na wystawę. Zawiedziony wynikiem testu potencjalny tatuś Dobrosławy stracił serce do naszej galerii. Nie przydałam się jako kontakt, musiałam ponieść konsekwencje.

– Znaleźliśmy inne miejsce dla naszej kolekcji – obwieścił tonem, za który powinnam go wyrzucić. Zrezygnowałam z zamiaru odwołania się do umowy i tak dalej, marząc, by zszedł mi z oczu. – W takim razie nie będę zabierał więcej czasu. A swoją drogą nie wierzę w te ich wyniki! – prychnął.

Nie podjęłam tematu. Najchętniej wystawiłabym dziada za próg.

– Pana sprawa. Czy mogę jeszcze czymś służyć?

Na szczęście wyszedł bez mojej pomocy. Dobrze, że nie okazał się ojcem Dobrusi, bo nie było się kim chwalić.

Wspomniałam o jego wizycie w drodze do stadniny.

– Bardzo mi przykro, że was wystawił – westchnęła Dobrusia. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie twoja wina. To nieciekawy facet.

– Ale jednak moja mama się w nim kochała.

– Może kiedyś był inny?

– Nie sądzę. Chyba źle lokowała uczucia. Oczywiście do czasu, kiedy poznała tatę Leszka.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Obie nie mogłyśmy mówić po prostu „ojciec”, bo nie wiadomo było, o kim mowa. Musiałyśmy wspomagać się imionami. Tato Sambor, tato Leszek, tato Wojciech.

Dobrusia chyba pojęła sens mojego milczącego uśmiechu, bo jej twarz pojaśniała.

– Ja mam tylko jednego. I ty też, prawda?

Nie do końca miała rację.

Im bliżej było stadniny, tym większą miałam nadzieję na spotkanie z właścicielem. Uznałam, że bez względu na koleje losu powinniśmy porozmawiać z tatą Wojciechem. Może wpadł jeszcze przed wyjazdem?

Jednak gdy zaparkowałam, w oknach gabinetu panował mrok. Rozglądałam się wokół, szukając wzrokiem sylwetki właściciela, ale bezskutecznie. Dobrosława poprowadziła nas do stajni i pokazała dzieciakom swojego konia. Po chwili pojawiła się Luda, która zgarnęła Nawojkę na trening.

Moje potomstwo nie musiało długo czekać na panią Anitę.

– To dzisiaj mamy dwójkę nowych adeptów jeździectwa. – Wkroczyła, by zapoznać Jaśka i Zośkę ze stojącym opodal kucykiem. – Zapraszam was do stajni, a potem na padok.

Zdecydowałam się na pytanie.

– Czy pan Zborowski się dzisiaj pojawi?

– Niestety nie. Wyjechał na długo, ale niebawem powitamy jego następcę. Na razie wszystkie sprawy załatwia zarządca, pan Roman, a potem się zobaczy. Nie mamy pojęcia, kto przejmie interes. Dzieciaki gotowe? – zwróciła się do Zośki i Jaśka.

A zatem mój tato nie tracił czasu. Nie miałam po co dzwonić. Skoro nie podjął kolejnej próby porozumienia i ułożył sobie sprawy po swojemu, widocznie aż tak mu nie zależało na kontakcie ze mną.

Podążyłam za Dobrusią i przywitałam się z jej Weną. Tym razem już tak bardzo się nie bałam.

## Rozdział 49

### Dobrosława

Jak ci się podobało spotkanie z Zosią i Jaśkiem? – zapytałam Nawojkę po wizycie w domu Weroniki.

Na razie postanowiłam nie wprowadzać córki w arkana naszego pokrewieństwa, żeby w razie problemów uchronić ją przed zawodem. Może nie wszyscy przyjęli nas z otwartymi ramionami, niemniej jednak nie mogłam rodzinie Jaremów niczego zarzucić. Weronika jak zawsze była bardzo serdeczna, podobnie jej szwagierka Daria, a ciotka Konstancja, mimo początkowego dystansu, przełamała lody i przyjęła nas do rodziny. Mąż Weroniki Paweł okazał się spokojnym, wręcz niekonfliktowym mężczyzną o miłej aparycji, ale jej brat Krzesimir przyglądał mi się przenikliwie. Chyba nie uwierzył, że nie jestem zainteresowana schedą, ja jednak byłam pewna swojej decyzji i nikt ani nic nie mogło na nią wpłynąć.

Największym kapitałem, jaki zyskałam, była Weronika. Może resztę też z czasem przekonam do siebie? – marzyłam, wiele lat temu osierocona przez mamę i tatę. Nie chciałam pazernością zaprzepaścić szansy na rodzinę, którą nieoczekiwanie zesłał mi los.

– Było bardzo fajnie. Wiesz, ile oni mają zabawek? Ale najlepiej bawiliśmy się w Indian, w tym tipi. Pójdziemy jeszcze kiedyś do nich? – dopytywała Nawojka, z nadzieją patrząc mi w oczy.

– Na pewno, kochanie. A wcześniej zaprosimy ich do nas.

– Ale po co, mamooo? Ja chcę pograć w ping-ponga i w koszykówkę. Janek mówił, że w domu dziadka mają dużą salę do ćwiczeń, piłkarzyki, stół do tenisa, a nawet drabinki. Sama mówiłaś, że jeśli chcę być dobrą amazonką, to muszę dużo ćwiczyć. Ich dziadek kupił nawet maty do fikołków i skrzynie, takie, jakie są w sali do wuefu. Obiecałam, że pokażę im, jak się przez nie przeskakuje.

Najwyraźniej Nawojka świetnie dogadywała się z Jaśkiem.

– A ktoś cię tam zapraszał? – zapytałam.

– Jasiek. Mogę przyjść jutro.

Ech, dzieci i ta ich łatwość w nawiązywaniu kontaktów i podejmowania decyzji! – westchnęłam. Dlaczego nie spotkać się jutro, skoro dziś było tak fajnie?

– Zobaczymy, co przyniesie czas – powiedziałam. – Ale na razie to my musimy zrewanżować się cici Weronice za miłą wizytę. Mam pomysł. Zaprosimy ich do stadniny i pokażemy naszą Wenę. Co ty na to?

– Ale potem pójdziemy do domu ich dziadka? – Moja córka nie odpuszczała.

I twojego również, pomyślałam, ale pozostawiłam tę uwagę dla siebie.

– A przyjdzie dzisiaj Mateusz? Obiecał mi, że pogramy w uno – wspomniała jedną z bardziej ulubionych karcianych gier.

Nie miałam pojęcia, czy przyjdzie, a raczej bardzo w to wątpiłam. Po naszej ostatniej nocy zamilkł. Również ja nie miałam ochoty wybrać jego numeru.

– Mateusz jest bardzo zajęty – mruknęłam. – Ja z tobą zagram.

Tak, znałam to spojrzenie. Oczywiście byłam winna jego nieobecności. Na dodatek nie miałam zielonego pojęcia, w jaki sposób ją wytłumaczyć. Nie mogłam przecież powiedzieć: „Dziecko, mamusi nie układa się z Mateuszem i prawdopodobnie nasz związek znalazł się na równi pochyłej, ponieważ mamy różne priorytety”. Która siedmiolatka by to zrozumiała?

Najważniejsze było, że dotarł do mnie bezsens naszej relacji. Choć ceniłam sobie dobry kontakt Mateusza i Nawojki, nie mogłam na nim bazować.

– Ale ja chcę z Mateuszem! – usłyszałam błagalny głosik.

– Zadzwoń i zapytam, czy ma czas – odparłam pojednawczo i z westchnieniem sięgnęłam po telefon. – Jesteśmy z Nawojką w parku – powiedziałam. – Podobno obiecałeś jej, że wpadniesz i zagrasz z nią w uno? Nie? Daję ci ją do telefonu. – Przekazałam córce komórkę.

Rozmowa nie była długa, za to uspokajanie mojego dziecka już tak.

– Trudno, kochanie – pocieszałam. – Mateusz musiał wyjechać i nic na to nie poradzimy. Ale porozmawiam z ciocią Weroniką i może kiedyś wpadniemy do nich na tę salę gimnastyczną pograć w ping-ponga i poćwiczyć. A teraz zaprosimy ich do stadniny na padok, dobrze?

Pochlipała i wyraziła zgodę. A do mnie dotarło, że Mateusz zaczyna robić uniki. Może zostałby przy mnie, gdybym odziedziczyła majątek po Jaremie? – przemknęło mi przez głowę. A może dzięki swojej decyzji uniknęłam życiowej porażki.

Nowy tydzień przyniósł rutynę dnia codziennego. Siadając do redakcji książki, doznałam przyjemnego poczucia normalności. Nawojka była w szkole, ja siedziałam przy biurku, mając przed oczami okno z widokiem na park. Z zewnątrz od czasu do czasu dobiegały odgłosy przejeżdżającego tramwaju i ptasie śpiewy, które w obliczu zbliżającej się wiosny przybrały na intensywności, a nawet szum pierwszych listków rosnącej opodal brzozy.

Pieśń natury, pomyślałam, która towarzyszyła mi przy kolejnej książce. Której to już z kolei? Musiałabym policzyć. Mnóstwo ich było. Kilkadziesiąt, może nawet kilkadziesiąt. Nie moich, tylko redagowanych. Wiele z nich mi się podobało, a nawet pobudzało wyobraźnię. Zastanawiałam się, czy nie napisać własnej. Nie, jednak jeszcze nie teraz, kiedy muszę zarabiać, a nie próbować stąpać po niepewnym lodzie. Może kiedyś? – marzyłam.

Pracowałam, a w duchu szykowałam się na weekendowy wyjazd z Weroniką do stadniny. Jednak po raz kolejny okazało się, że życie nie znosi próżni.

Następnego dnia zadzwoniła Nina i poprosiła o spotkanie.

– Zaproszenie na ślub, dla mojej drużny. – Z uśmiechem na ustach wręczyła mi seledynową kopertę, kiedy zamówiliśmy kawę w jednej ze śródmiejskich knajpek.

Podziękowałam, pytając, co mam robić.

– Przyjdźcie z Mateuszem i Nawojką do urzędu, a potem na obiad do restauracji. Jestem szczęśliwa – dodała, chociaż dostrzegłam to już w jej oczach.

– A Lena będzie?

– Niestety – posmutniała. – Będziemy się o nią starać.

Powstrzymałam się z pytaniem o Zużę. Nie miałam pojęcia, czy ta poinformowała siostrę o ciąży. Ale Nina sama nawiązała do tematu.

– Cieszę się też szczęściem Zuzy i Olafa. Chciałabym być na jej miejscu...

– Będiesz – odparłam z przekonaniem. – Co chcecie w prezencie ślubnym?

– Nic szczególnego. Ciebie, Mateusza i Nawojkę. I zaciśnięte kciuki, żeby się nam udało z Lenką.

Będą tylko moje, pomyślałam, bo czułam, że Mateusza nie będzie na uroczystości. I nie pomyliłam się.

– Musimy porozmawiać – usłyszałam, gdy zadzwoniłam do niego z zaproszeniem.

Już wiedziałam, że raczej nie mamy o czym.

– Dobrze. Zadzwoń i umówimy się, kiedy oboje znajdziemy czas – odparłam.

– Zadzwoń – powiedział i zakończył rozmowę.

Tyle w temacie naszego związku.

Nie powiem, że nie obeszło mnie zawołane „nie”, bo ja również się nad nim zastanawiałam, ale jednak mieliśmy za sobą kilka miłych chwil, a nawet wspólnych planów przed sobą. Pewnie mama też wiązała swoje z moim ojcem Samborem, ale wyszło, jak wyszło.

Ona ułożyła sobie później życie z tatą Leszkiem, więc może i ja mam przed sobą jakąś szansę?

W drodze do stajni Weronika pokrótce przedstawiła mi historię rozmowy z panem Wojciechem.

– Mam do siebie pretensje, że potraktowałam go tak ostro – zwierzyła się. – Może dzisiaj go jeszcze zastanę?

Miałam wątpliwości. Z tego, co wiedziałam, przekazał już interes w ręce pana Romana. Tyle że chyba nie wyjechał jeszcze z miasta, więc mógł wpaść po raz ostatni przed podróżą.

– Zadzwoń i umów się – poradziłam. – Z pewnością się ucieszy.

– Pomyślę – odparła, a ja nie czułam się upoważniona, żeby ją przekonywać.

Mój biologiczny ojciec już nie żył, a teraz chętnie bym go poznała. Weronika miała swojego na wyciągnięcie ręki, ale wyłącznie od niej zależało, czy wykona odpowiedni ruch.

## Rozdział 50

### Dobrosława

Do ślubu Niny i Witka zostały niecałe dwa tygodnie, a Zuza domagała się przyspieszenia redakcji.

- Masz góra miesiąc. I kropka. – Posłała mi przenikliwe spojrzenie.
- Choć do świąt... – próbowałam negocjować.
- Właśnie to przed chwilą powiedziałam. Niebawem Wielkanoc.

Faktycznie, straciłam rachubę czasu. A tu jeszcze ślub Niny i Witka, wizyta w domu rodzinnym Jaremów, na którą nieustannie nalegała Nawojka, wyjazdy do Weny, żeby nie zapomnieć o wiosennych porządkach i przygotowaniu pyszności na święta. Wypadało też rozzejrzeć się za prezentem dla córki, a także dla dzieciaków Schulzów i Krzesimira.

– Będziesz miała tekst na czas – zapewniłam Zużę i zasiadłam do komputera od razu po powrocie do domu. Zrobiłam sobie tylko krótką przerwę na odebranie córki ze szkoły i szybki obiad.

W sukurs przysłała mi Marysia, która zawitała do Nawojki na całe popołudnie.

Po kolacji nie odczuwałam zmęczenia, ale skończyłam pracę z rozsądku, o trzeciej nad ranem, z nadzieją, że wena nie opuści mnie kolejnego dnia.

Miałam plan, żeby ruszyć z kopyta z samego rana, jednak moje myśli zaprzętnął podarunek dla Niny i Witka. Im szybciej to załatwię, tym lepiej, stwierdziłam i udałam się na starówkę, by obejść kilka sklepów w poszukiwaniu inspiracji. Przecież druhna nie może przyjść z pustymi rękami, tłumaczyłam sobie. Myślałam o ładnej ceramice, brałam pod uwagę oryginalną narzutę na kanapę ze sklepu indyjskiego. Odrzuciłam pomysł z kopertą, ponieważ nie mogłam do niej włożyć żadnej konkretnej sumy.

Po godzinie poszukiwań z zerowym skutkiem zaczynałam mieć dość. Wprawdzie czas gonił, ale zmęczenie powiodło mnie do kawiarni w rynku, gdzie serwowano moją ulubioną kawę z amaretto. Żeby nie rozsiadać się i nie tracić czasu, skierowałam się wprost do baru i zajęłam jeden z wysokich stołków.

Zobaczyłam go na kanapie w kącie sali. Siedział, obejmując ramieniem młodą brunetkę, której lśniąco i długie zadbane włosy, niczym grzywa mojej Weny krótko po wyczesaniu, opadały na plecy.

Mateusz, zajęty całowaniem swojej bułanki, nie zauważył mnie. A ja, kompletnie zaskoczona, tkwiłam za barem jak sparaliżowana, nie spuszczać wzroku z namiętnej pary.

Dopiero barman wyrwał mnie z odrętwienia.

– Kawa z amaretto dla pani. Cukier trzcinowy? – usłyszałam jak przez mgłę.

Pokręciłam przecząco głową.

– Mleczko – odparłam jak automat.

W tej samej chwili Mateusz odwrócił się do kelnera, by zamówić kolejny kieliszek wina. Na mój widok słowa ugrzęzły mu w gardle.

Przeprosił swoją towarzyszkę i podszedł do baru.

– Dusia, jestem na kawie z klientką. – Spróbował nieskładnego tłumaczenia.

– Właśnie widzę.

– Porozmawiamy w domu, dobrze?

Nie oczekiwałam od niego żadnej rozmowy. Może nawet dobrze się stało, że ich nakryłam i sytuacja się wyklarowała? Mimo to zabolalo.

– Zbiorę twoje rzeczy i po nie przyjedziesz – odparłam. – A teraz wracaj do swojej

klientki, bo możesz stracić intratny kontrakt. Panna odziedziczyła duży spadek? – zakpiłam, upijając łyk z filiżanki.

Dlaczego mam zostawić kawę nieruszoną? Zapłaciłam i miałam na nią ochotę.

– Dobrusiu, to nie tak...

– Miej trochę honoru, człowieku. Jesteś żaloszny. – Pokiwałam głową z politowaniem, dopiłam, co miałam dopić, i wyszłam z kawiarni.

Poszukiwanie ślubnego prezentu już nie wchodziło w rachubę. Skierowałam się na przystanek tramwajowy przed teatrem. Głowę wciąż miałam zajętą Mateuszem, a przed oczami chwile, które spędziliśmy razem.

Ślepa na świat i ludzi, wpakowałam się na przypadkowego przechodnia.

– Przepraszam – bąknęłam.

W tej samej chwili znajomy głos przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Co ty tu robisz? Jesteśmy przed moją galerią. Może wejdziesz? – Sprawiała wrażenie ucieszonej.

Próbowałam kręcić, że bardzo się śpieszę, że robota czeka, ale nie odpuściła.

Poległam i pozwoliłam się zaciągnąć do wnętrza, gdzie przedstawiła mi Jolę, swoją nową pracowniczkę, którą bardzo chwaliła.

– Zobacz, jakie piękne swetry własnej roboty dzisiaj przywiozła! Jeszcze ich nie wystawiłam.

Idealne na oryginalny podarunek! – zobaczyłam polo w warkocze, w wersji męskiej i damskiej. Dla Niny kremowy z granatową obwódką, dla niego w odwrotnej konfiguracji. Nie śmiałam zapytać, ile kosztują w tak eleganckim przybytku sztuki, ale oczy mi rozbłysły.

Weronika była spostrzegawcza.

– Chcesz? Weź je. Będziesz miała dla siebie i Mateusza – zaproponowała z uśmiechem.

Bóg mi świadkiem, że nie miałam ochoty płakać. Niestety.

– Co za człowiek! – pocieszała mnie Werka. – Nie martw się, żal przejdzie. Co ja mówię? – zreflektowała się. – Jak mogę ci pomóc?

– Już mi pomogłaś – wyszeptalam do siebie, wychodząc z galerii ze swetrami pod pachą. Miałam nadzieję, że uda mi się kiedyś zrewanżować.

Mateusz wydzwaniał co pół godziny, słał wiadomości z prośbą o kontakt. Żenada. Czego oczekiwał, rozdrapywania ran? Każdy metr drogi do domu utwierdzał mnie w przekonaniu, że rozstanie z Mateuszem to drugi najlepszy krok w moim życiu. Pierwszym było spotkanie go na imprezie nad jeziorem u Waldka i Patrycji.

Mimo to bolało. Nie potrafiłam przełknąć zwłaszcza tej młodej brunetki ze lśniącą grzywą. Na szczęście, gdy tylko przekręciłam klucz w zamku, dopadły mnie obowiązki.

– Pracujesz? Bo nie mogłam się do ciebie dobić – usłyszałam categoryczny ton Zuzy.

– Oczywiście – odparłam i wyprostowałam plecy.

– A to ciekawe. Bo Andżelika widziała cię w mieście.

– Owszem, byłam na kawie, spotkałam Mateusza z młodą laską i właśnie się z nim rozstałam – wywaliłam kawę na ławę. – Coś jeszcze?

Minęła dobra chwila, zanim moja przyjaciółka odzyskała głos.

– Bardzo mi przykro. Chcesz pogadać?

– Nie chcę gadać, bo muszę pracować. Mam bardzo wymagającą szefową.

– Dusia, przepraszam. Wiem, ile dla mnie zrobiłaś, a ja tak z grubej rury. Ale sama rozumiesz...

Rozumiałam i właśnie dlatego przerwałam połączenie. Przestałam być dla kogokolwiek i do końca tygodnia.

Strategia się powiodła. Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na pracę nad książką, więc na rezultaty nie musiałam długo czekać. Tekstu przybywało. Opędzałam się od innych obowiązków, z wyjątkiem tych najważniejszych, rodzinnych: Nawojka do szkoły, Nawojka ze szkoły, po drodze zakupy, skromny obiad, bajka na dobranoc.

Od wywiązania się z roboty zależało moje być albo nie być. Mateusz już się do niczego nie dołoży, stwierdziłam gorzko. Męczyła mnie obawa o przyszłość, więc pomyślałam o spadku po ojcu Samborze. Odrzuciłam tę myśl czym prędzej, ale...

Wątpliwości są rzeczą ludzką.

Była chwila, w której niemal się zламаłam. Nawojka spała, a ja sięgnęłam do lodówki po kabanosy, które ze względu na cenę kupowałam rzadko. Niestety, nie znalazłam ich w plastikowej szufladce na wędliny i sery. Nie spodziewałam się pustki, więc aż mnie skręciło z głodu.

Mając do sprzedania dom po rodzicach, myślałam, oszukując żołądek dymem z papierosa wynalezione w tajemnym miejscu, takim na czarną godzinę. Coś by z niego skapnęło... Na szczęście wkrótce nadeszło opamiętanie.

To scheda po obojgu rodzicach, uświadomiłam sobie oczywisty fakt. I nie mam do niego prawa. Do roboty! – zgasiałam fajkę w doniczce z prymulką i wróciłam przed komputer, wyrzucając sobie pazerność.

Na szczęście zawsze mogłam zaoszczędzić i przy okazji być eko. Dlatego przed ślubem przepatrzyłam szafy i wyciągnęłam kilka znoszonych sukienek, z których jedna była jeszcze całkiem przyzwoita. Kupiłam tylko Nawojce lakierki, ponieważ wyrosła ze starych, a sobie zafundowałam wizytę u fryzjera.

Ceremonia ślubna w USC została zaplanowana na czternastą. Obie z małą od samego rana chodziłyśmy podekscytowane i pełne dobrych emocji.

– Fryzurkę ci zrobię, ale paznokci nie będziemy malować – negocjowałam z córką zakres zabiegów upiększających. – Masz nowe butki i wyszywane bolerko. – Wskazywałam na inne atuty.

– Z lumpeksu. – Skrzywiła się z niesmakiem.

– W takim razie zdejmuj je i kończymy temat! Trzeba było się wcześniej zastanowić, zanim wydałam pieniądze!

– Dziesięć złotych – nie odpuszczała.

– Właśnie. Całe dziesięć złotych. Je też trzeba zarobić. Zakładasz lakierki czy mam je schować do szafy? – zapytałam stanowczo.

Na co dzień byłam wzorem łagodności, ale czasami mnie ponosiło, czego często później żałowałam. Nie była to wina małej, że Mateusz przynosił drogie prezenty. Jeszcze nie powiedziałam jej o naszym rozstaniu, ale te wieści postanowiłam zachować na potem. Zapewne dlatego, że obawiałam się rozmowy z córką.

Tyle że, jak się okazało za chwilę, mój były nie ułatwił mi zadania. Zadzwoił do drzwi, kiedy byłyśmy gotowe do wyjścia.

– Prosiłam, żebyś uprzedził mnie, kiedy chcesz zabrać rzeczy – wycedziłam, zobaczywszy go z bukietem kwiatów. – Idziemy na ślub Niny i Witka.

Jak się mogłam spodziewać, zza moich pleców wyskoczyła Nawojka.

– Mateusz! Już jesteśmy gotowe. Mama przygotowała twoją walizkę. Jedziemy gdzieś?

– O tym musisz porozmawiać z mamą – odparł, zerkając na mnie.

– Mateusz jedź sam, bo my mamy ślub cioci i wujka.

Nawojka pobiegła do pokoju po torebkę.

– Proszę, nie utrudniaj – powiedziałam, gdy znalazła się poza zasięgiem szeptu.

- Wyglądasz pięknie – czarował.
- Weź walizkę, idź i nie wracaj.
- Wiem, że macie rozprawę spadkową zaraz po świętach. Mogę pomóc.  
Zatrzęsęłam za nim drzwi.

## Rozdział 51

### Weronika

Kiedy na ulicy wpadłyśmy na siebie z Dobrusią, nie wiedziałam, że przed chwilą zaważyła się jej i tak już najeżone trudnościami życie. Chciała uciekać, ale po namowach dała się zaprosić na kawę do galerii. Poznała Jolkę i uprzejmie pozwoliła oprowadzić się po pomieszczeniach.

Powód strapienia, który wyrył zmarszczki na jej czole, poznałam później. Otóż w trakcie poszukiwań prezentu ślubnego dla przyjaciółki nakryła narzeczonego na namiętnej randce.

Współczułam jej, jak kobieta kobiecie. Nie wyobrażałam sobie podobnej sytuacji z Pawłem. Jeszcze nieświadoma niczego zaoferowałam Dobrusi ręcznie robione swetry dla niej i dla Mateusza. Dobrze chociaż, że znalazły inne zastosowanie, a ten mój drobny gest choć w minimalnym stopniu otarł jej łzy.

– Musicie koniecznie przyjechać do nas, do mojego rodzinnego domu – powiedziałam. – Dzieciaki nie mogą się doczekać, kiedy Nawojka poćwiczy z nimi na sali treningowej. A ty zobaczysz, gdzie się wychowałam z braćmi – zaprosiłam na kolejny weekend. – Zanim wszystko sprzedamy...

– Nie wiem, czy dam radę, Weroniko. Pracuję nad książką i goni mnie termin.

– To może w kolejną sobotę? – nalegałam. – Chyba że planujesz wyjazd do stadniny.

– To dobry pomysł – odparła po dłuższym namyśle. – Zrobię sobie wolny dzień. Przed południem odwiedzimy Wenę i Nawojka potrenuje, a po południu, jeśli mogę zaproponować czas spotkania, chętnie do was wpadniemy.

Miałam ochotę poprosić, żeby Dobrusia zasięgnęła języka o panu Wojciechu, ale zrezygnowałam. Przecież mogłam do niego zadzwonić sama albo czekać na telefon. Często o nim myślałam i jednocześnie miałam sobie za złe nieuzasadnione pretensje do Bogu ducha winnego człowieka, ale nie potrafiłam wybrać jego numeru.

– A może pojedziecie z nami do stadniny? – Dobrusia czytała w moich myślach.

– Zobaczą – odparłam trochę zbyt szybko, choć byłam niemal zdecydowana. Gdyby tak przed wyjazdem odwiedził stajnię, spotkalibyśmy się „przypadkowo”. I tak byłoby chyba najlepiej.

Po ostatniej rozmowie z Dobrosławą pochłonęła mnie praca w galerii, dom i opieka nad Zosią i Jaśkiem. Konstancja wyjechała, zapowiedziawszy powrót na krótko przed Wielkanocą. Zapraszałam ją serdecznie, bo nikt nie robił tak dobrego świątecznego żurku jak ona. Jej zapiekana, świetnie doprawiona biała kiełbasa i golonka w kapuście również nie miały sobie równych. Byłam pewna, że w tym roku ciotka postara się wyjątkowo, ponieważ zapowiedział się także jej ukochany siostrzeniec Jędrzej.

Przed kilkoma dniami dostałam od niego wiadomość.

„Siostra, przyjeżdżam na święta. Pizzę mają tu najlepszą na świecie, szczególnie z mozzarellą buffalo, ale zatęskniłem za naszą białą, za kaczką, kiszoną kapustą i żurkiem. I ciekaw jestem tej nowej panny. Tyle mi o niej pisałaś, że muszę osobiście obadać ten wzór cnót wszelakich. Przywiozę sporo zdjęć z Neapolu. J.”

– Może zostanie do rozprawy? – głośno myślał Krzesek. – To trzy dni po lanym poniedziałku. Nie musiałbym go reprezentować.

– Dam mu znać, bo pewnie niedługo będzie rezerwować bilety. Ma pieniądze? – zapytałam brata. – Spłaciłeś go już?

– Dostał całość. Na bilety wystarczy – zażartował. – I pewnie na życie też, bo nie sądzę, żeby te jego zdjęcia przyniosły mu jakiegokolwiek profity.

Racjonalny brat nie entuzjazmował się stylem życia, a właściwie zarabiania, swojego młodszego brata, ale ja wierzyłam w Jędrzeja. Los nie dzieli talentów i osobowości po równo, ale każdemu daje szansę, żeby odnaleźć powołanie. Niektórym udaje się to szybciej, inni muszą poczekać. Byłam pewna, że Jędrzek, choć najwyraźniej należał do tej drugiej kategorii, trafi na swojego konia i jeszcze na nim zarobi.

Uśmiechnęłam się w duchu do skojarzenia ze stadniną i Wojciechem Zborowskim. I nagle podjęłam decyzję, którą natychmiast zakomunikowałam Pawłowi.

– Zadzwoń do mojego biologicznego ojca, choć jeszcze nie teraz. Po świętach i po rozprawie.

– Weruś, widzę, że cię to męczy. Może zadzwoń wcześniej? Po co zwlekać?

Natychmiast znalazłam kilka powodów.

– Mam dużo pracy w firmie, zbliżają się święta, a więc zakupy i prezenty, niebawem przyjedzie Jędrzek, potem mamy sąd. Nie jestem gotowa na dodatkowe przeżycia, bo chyba nie wątpisz, że takie spotkanie wymaga czasu i skupienia?

Paweł tylko westchnął.

– Boisz się.

– Przecież nie jego! – wybuchnęłam. – Raczej rozdrapywania ran. Ale jednocześnie chciałabym go poznać. W końcu mam jego geny – dodałam ciszej.

– Jasne. Ale teraz może być go jeszcze zastała w mieście.

– Racja. Zadzwoń przed świętami, złożę mu życzenia i umówię się po rozprawie.

Wypowiedziana deklaracja mnie uspokoiła. Miałam plan i mogłam wrócić do codzienności. Najwyżej mój telefon złapie pana Wojciecha w drodze, stwierdziłam.

Uporządkowanie myśli pobudziło mnie do działania, co było mi bardzo potrzebne. Zenek przywoził coraz to nowe mebelki, my z Jolką upychaliśmy je w magazynku. Zdecydowałyśmy również, że odmalujemy galerię w stylu puebla. Na ściany wjechały ceglata czerwien i słoneczny oranż, barwy, które zdecydowanie rozjaśniły słabo doświetlone wnętrza. Na fragmencie za stolikiem pełniącym funkcję lady położyłam hiszpańską terakotę w kolorach kobaltowego błękitu i seledynowej zieleni. Barwne wzorzyste poduszki na dotychczasowych siedziskach wraz z glinianymi wazami, które przyniosłam z domu, uzupełniły obraz wnętrza, które z zacnego przybytku zmieniło się w ciepłą izbę meksykańskiej wioski.

Nasza oferta, w ostatnich dniach coraz bardziej rodem z polskiej wsi, zaczynała powoli wypierać szacowne, ale zalegające miesiącami dzieła lokalnych mistrzów.

Aniela była zachwycona metamorfozą.

– Nasza galeria zalatywała aż do teraz snobizmem – podsumowała, oglądając zdjęcia sklepu w nowej odsłonie. – Obrazy wisiały po kilka miesięcy, jeśli nie dłużej. Jak to dobrze, że ten nieszczęsny Szczęsny się wycofał!

– Zobaczymy, czy chwyci – studziłam, mile polectana zachwytem przyjaciółki.

– Na pewno! Tak bym chciała was odwiedzić... – Nela się nachmurzyła. I uprzedzając moje pytanie, wspomniała o zaleceniach lekarza. – Nic się nie zmieniło. Do końca pierwszego trymestru nie wychodzę z domu.

– Tak myślałam – odparłam i sięgnęłam do torby po prezent. – Świąteczny, dla ciebie i Jacka – powiedziałam.

Aniela niecierpliwie rozdarła papier i na widok zawartości otworzyła usta.

– Wspaniałe, cudowne, niezwykle! Są dziełem Jolki? – Przytaknęłam zadowolona z jej zachwyty na widok kolorowych swetrów w indiańskie wzory. – Dziękuję, ale nie będziesz robić mi tak drogich prezentów. Te swetry powinny zarabiać. Powiedz, ile kosztują?

– Stać mnie, kochana. Przecież wiesz, że niebawem odziedziczę spadek po ojcu moich

braci – zażartowałam.

– I po swojej mamie. A tak w ogóle to przestań gadać głupoty, bo w końcu uwierzysz, że Sambora Jaremy nie było w twoim życiu. Tymczasem on przeżył swoje w przeświadczeniu, że jest twoim ojcem. Kochał cię jak ojciec. Był nim.

Chyba potrzebowałam zimnego prysznica. Aniela miała rację. Ostatnio kompletnie poprzestawiały mi się priorytety i straciłam ostrość widzenia, za to zyskałam całe pokłady urazy zarówno do starego, jak i nowego ojca.

– Dzięki! – Spojrzałam na przyjaciółkę z uznaniem.

– Za co?

– Że otworzyłaś mi oczy. Chyba przejdę się dzisiaj na cmentarz, a potem do kogoś zadzwonię.

– Do kogo?

Machnęłam ręką. Nie chciałam drążyć tematu. Zbliżała się pora odbioru dzieciaków, a ja musiałam jeszcze zrobić zakupy. I ciągnęło mnie do galerii, gdzie fachowcy właśnie montowali belki sufitowe ze starej zagrody Zenków.

Pożegnałam Anielkę i życzyłam jej wesołych świąt.

W drodze do samochodu pomyślałam sobie przewrotnie, że od przybytku głowa nie boli, i wybrałam numer taty Wojciecha. Niestety, automatyczna sekretarka poinformowała mnie, że abonent jest niedostępny. Podobnie było przy trzech kolejnych próbach.

– Musiał zmienić telefon – żaliłam się mężowi. – Bo chyba się na mnie nie obraził?

– Daj spokój. Jutro odbierze – uspokajał.

Niestety, mimo prób w kolejnych dniach nie udało mi się uzyskać połączenia. Z bólem serca uznałam, że Wojciech Zborowski celowo zarzucił kontakt.

– Nie pojedę z wami – odmówiłam Dobrusi przed planowaną sobotnią wizytą w stadninie. – Ale wracacie do nas – zarządziłam. – Na popołudnie przygotuję coś smacznego. Czekamy o piątej.

Z dzieciakami dojechaliśmy godzinę wcześniej, zahaczywszy jeszcze o Krzesków, którzy mieszkali przez płot. Zaproponowałam Darii, by wpadła posiedzieć z nami i zjeść moją tartę ze wszystkim, co znalazłam w lodówce.

– Może nie jest tak smaczna jak twoja, ale całkiem niezła.

– Co ty mówisz? Nie będę wam przeszkadzać...

– Czekam na ciebie, Majkę i Michała. – Udałam głuchą. – To ostatnia okazja przed sprzedażą, żeby dzieciaki pobawiły się na sali gimnastycznej taty. Nie wiesz, czy Krzesek znalazł już jakiegoś chętnego?

Dobrusia przybyła punktualnie. Miałam obawy, jak zareaguje na ogromne domiszcze, ale tylko ciekawie rozglądała się wokół. Dzieciaki były jedynie pretekstem, żeby ją tutaj ściągnąć i uświadomić jej wartość majątku. Moim zdaniem powinna wiedzieć, czego zamierza się zrzec.

– Rozbierzcie się w przedpokoju. A tu można powiesić okrycia. – Wskazałam na pomieszczenie zwane przez nas szatnią, jako że pomieściłoby drużynę piłkarską.

Mama była minimalistką. Lubiła niewielkie, przytulne izdebki, kąciki, zakamarki, schowanka, zakątki. Tato wręcz przeciwnie, uwielbiał przestrzeń, duże okna, powietrze. W naszym domu to jego wizja wzięła górę. Nie gnieździliśmy się w małych pokoikach, a garderoba imponowała wielkością.

Teraz była pusta, podobnie reszta pozbawionej gospodarzy budowli. Jeśli nie liczyć kilku okryć taty, których nikt nie tknął od jego śmierci.

Widziałam, jak Dobrusia oddycha atmosferą domu. Pewnie próbowała wyobrazić sobie w nim tatę, swojego ojca, którego nigdy nie dane jej było poznać. Ale mogła poczuć jego

obecność poprzez zapachy, obrazy, klimat pomieszczeń.

Pokazałam jej wszystko, nie opuszczając ani jednego zakamarka. Chciałam, by jeszcze raz zastanowiła się nad rezygnacją ze spadku i przez chwilę pobyła blisko swojego ojca.

Mój nie odbierał telefonu.

– To jak? Kawa i coś do zjedzenia? – zapytałam po obchodzie. – Zaraz przyjdzie Daria.

Wzruszona Dobrusia milczała. Jednak w końcu doczekałam się reakcji.

– Piękny i wygodny. W sam raz dla dużej rodziny, jaką byliście. Współczuję ci, Weroniko, że straciłaś oboje rodziców. Sobie też współczuję. – Objęła mnie zniecka. – Naprawdę musicie go sprzedać?

– No tak. Firma, którą zostawił tato, wymaga reanimacji.

– To jedyne, co po nim zostanie? – zapytała, biorąc do ręki ślubne zdjęcie mojej mamy i taty.

– Owszem. Domu nie da się raczej uratować.

– Rozumiem... Ale wiesz co? Chyba jestem głodna. Wspominałaś coś o tarcie? – Zaskoczyła mnie nagłym przyływem energii.

– Jasne! Już włączam piekarnik.

Dotarliśmy do kuchni, której okno wychodziło na podjazd. Pracując przy blacie, zawsze zerkałam w stronę ulicy. I tym razem było podobnie.

– Możesz rozstawić talerze? – poprosiłam Dobrusię o pomoc.

Daria nie przysła, wytłumaczywszy się nagłą wizytą u dentysty, ale podrzuciła dzieciaki. Tak czy siak, pomysł przygotowania dwóch pełnych brytfanek pyszności był zbawienny.

Wstawiając je do piekarnika, usłyszałam dzwonek do drzwi.

– Kogo to diabli niosą? – wymamrotałam pod nosem. – Otworzysz? – zawołałam do Dobrusi.

W progu stał Jędrak.

## Rozdział 52

Weronika

Fajna ta nasza nowa siostra – skwitował, kiedy Dobrusia z Nawojką odjechały do domu.

Spędziliśmy razem dobre trzy godziny. Może nawet dziewczyny posiedziałyby dłużej, gdyby nie książka, której dzisiejszej nocy Dobrosława musiała poświęcić sporo czasu.

– Twoja szefowa powinna zmienić imię na zołza! – oświadczyłam. – Goni cię do roboty nawet w sobotni wieczór?

Dobrusia roześmiała się na te moje pofukiwania o żelaznej lady i mieczu Damoklesa nad głową uciemnionej redaktorki i nieco ociepliła wizerunek właścicielki wydawnictwa.

– To moja przyjaciółka od dzieciństwa – wyjaśniła. – I wcale nie jest taka zła. Od lat daje mi zarobić, ale czasami sprawy się piętrzą. I padło na mnie. Redaguję książkę znanej pisarki, która ma sporo zarobić na rynku, więc muszę się sprężyć i dotrzymać terminu. Drukarnia już zamówiona, ale jeśli się spóźnimy, nie zawaha się wpuścić na nasze miejsce kogoś innego. I z całej dogadanej promocji nici, bo nie będzie czego promować. Moje zarobki moimi zarobkami, ale wydawnictwo też musi mieć zysk.

– Jesteś wolnym strzelcem, o ile dobrze zrozumiałem? – wtrącił Jędrrek. – Zaczynj zatem pracować także u innych. Tak jak ja. Sprzedaję zdjęcia i artykuły na całym świecie.

Jestem ciekawa, ile z tego wyciągasz? – pomyślałam z ironią, ale zachowałam milczenie.

Dobrusia, która, jak odniosłam wrażenie, od pierwszej chwili złapała dobry kontakt z moim/swoim bratem, spokojnie wytłumaczyła mu sytuację.

– Nie stać mnie na bycie wolnym strzelcem. Muszę zarabiać regularnie, a Zuza mi to zapewnia. Nie raz ratowała mnie z kłopotów, więc i ja nie mogę jej zawieść. Zwłaszcza teraz, kiedy jest w ciąży.

– Poważnie? – zainteresowałam się. – To tak jak moja współpracowniczka Aniela. Jakiś baby boom w naszym otoczeniu!

– Kobiety! – Jędrzej dolał sobie wina. – Tylko ciąży, dzieci i pieluchy!

– Mężczyźni! – odgryzłam się. – Tylko praca, rozrywki i panienki!

Lubiłam te nasze przekomarzanki i wprost nie mogłam się doczekać, kiedy odwiozę dzieciaki Pawłowi, wezwę taksówkę i wyląduję w mieszkaniu Jędrka na nocnych Polaków rozmowach. Ostatnimi czasy żyłam osaczona przez sprawy o sporym ciężarze gatunkowym, ale dzisiaj była sobota i przyjechał mój braciszek, cieszyłam się jak dziecko. Pragnęłam nieskrępowanej rozmowy. Nie przerażała mnie nawet perspektywa kaca.

Pożałowałam, że Dobrusia musiała wracać, bo pasowałaby do kompanii, ale mówi się trudno. Przytaknęłam Jędrkowi, że nasza nowa siostra jest fajna, i umówiłam się z nim na wieczór.

Paweł nie oponował. Poprosił tylko, żebym nie wracała zbyt późno.

– Oczywiście! – zawołałam na odchodnym i wsiadłam do taksówki.

Jędrzej już na mnie czekał.

– Jak dawniej, jak zawsze! – Rozkoszowałam się swobodą w towarzystwie naszego rodzinnego niebieskiego ptaka. – Opowiadaj, co robisz w Neapolu i jak sobie radzisz!

– Kochana, raj, chociaż na razie jeszcze dość chłodno, ale wiosna już atakuje na wszystkich frontach. Uruchomiono już rejsy na Capri, byłem w uczipionym skał Amalfi, wybrałem się też do Pompei. Wiesz, historyczne cudo, antyczny świat uwieczniony i zakonserwowany w zastygłej lawie Wezuwiusza, ale to nie dla mnie. Za to w Neapolu rzeczywiście można się zakochać albo go znienawidzić. Nie jest to z pewnością miasto dla

panienek z dobrego domu.

– Bo?

– Na Garibaldi, centralnym placu przy dworcu, komunikacyjnym centrum, natkniesz się na kloszardów i innych łapserdaków, kupisz broń, dragi i co chcesz. Chociaż są też fantastyczne dzielnice z feerią cudownych pizzerii. Między domami powiewa pranie, autobusy nie mają rozkładów jazdy, motocykle lawirują po chodnikach. Ale jeśli uda ci się przeżyć i zaakceptujesz ten wieczny ruch i bałagan, powoli zaczynasz się zakochiwać. Ja przepadłem.

Słuchałam tego wywodu, próbując wyobrazić sobie siebie w tym wielkim, starym, tak zróżnicowanym mieście. I miałam ochotę tam pojechać.

Boże złoty, jak bardzo potrzebowałam odmiany!

– Przyjedź, zobaczysz i posmakujesz – kusił mój brat.

– Na pewno! – obiecałam. – Kiedy tylko zakończę remont galerii i rozprawimy się ze spadkiem. Realnie nastąpi to po zakończeniu roku szkolnego. Jeżeli jeszcze tam będziesz – dodałam.

– Jasne, że będę! Wyobraź sobie, że sprzedałem kilka artykułów w Ameryce i dostałem za nie całkiem dobre honorarium. Nawet niewiele naruszyłem z kasy, którą Krzesimir przesłał mi za udziały w firmie. I nie wezmę teraz pieniędzy ze sprzedaży domu. – Jędrzej spoważniał. – Wykorzystajcie je na podratowanie firmy. Rozliczymy się, kiedy staniecie na nogi.

Wysłałam od niego o jakiejś niestworzonej porze, z planami wyjazdu do Neapolu, podbudowana braterską energią.

A potem było już tylko lepiej.

Przyjechała ciotka Konstancja i obie przygotowywałyśmy święta. Ja biegałam po sklepach, realizując listy zakupów, ona działała w kuchni. Nawet Paweł wziął się za mycie okien.

Radosny, wiosenny, przedświąteczny czas!

– Szkoda, że tato nie żyje – westchnęłam. – Po raz pierwszy dzieciaki nie będą szukać prezentów od zajączka w ogrodzie – powiedziałam do Pawła.

– Będą, będą! Przecież Daria zaprosiła nas na śniadanie do siebie. Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć. Dzwoniła tydzień temu.

Cały mój mąż!

– Mogę przywieźć do was Dobrusię z Nawojką? – zapytałam szwagierkę, kiedy zadzwoniłam, by dograć szczegóły.

– Naturalnie. Będą mile widziane.

Ucieszyłam się, jednak Dobrosława wymówiła się innymi planami.

– Dziwisz się? Trzy dni po świętach mamy rozprawę spadkową. Głupio by jej było skorzystać z zaproszenia, a potem wziąć pieniądze. – Krzesimir pozostawał nieufny.

– Szkoda, że jej nie będzie – posmutniał Jędrzej. – Fajnie, kiedy jest dużo osób przy stole. Weselej.

Spróbowałam raz jeszcze, ale bezskutecznie. Podjechałam do niej dzień przed Wielkanocą.

– Skoro nie spotkamy się jutro, przywiozłam wam kilka drobiazgów. – Wręczyłam Dobrusi torbę wypełnioną pysznościami i prezentami.

– A to dla was! – Zrewanżowała się swoją. – Pozdrów wszystkich i życzy im ode mnie samych cudownych dni!

– A może jednak zmienisz zdanie? – Podjęłam ostatnią próbę.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale nie tym razem. Na pewno będzie jeszcze wiele okazji, może w kolejne święta? Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz, za to, jak wszyscy mnie traktujecie. Szczególnie pozdrowienia dla Jędrzeja, którego szczerze polubiłam – dodała. –

Wesołych świąt!

Były takie, jakich życzyła nam Dobrusia: miłe, rodzinne, serdeczne i smaczne. I chociaż pierwsze bez taty, nie pozwoliliśmy, by zdominował je smutek.

Po obfitym śniadaniu wyszliśmy z Darią do ogrodu, który sąsiadował z ogrodem rodziców.

– Zanedbany po zimie – powiedziałam, zobaczywszy chaszczę przy płocie.

– A nie chciałybyś w nim zamieszkać? – napomknęła mimochodem moja bratowa.

Wyczułam, że od dłuższego czasu czaiła się z tym pytaniem.

– Mamy piękne mieszkanie – odparłam.

– Ale tu jest sala gimnastyczna i ogród... I dom jest duży.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Czy moja trochę zahukana i zdominowana przez męża bratowa właśnie wyraziła swoje pragnienie? Chyba po raz pierwszy, odkąd się znałyśmy, zabrała głos w ważnej sprawie.

– Daria, wszyscy mamy sentyment do domu rodziców, ale trzeba pogodzić się z rzeczywistością i sprzedać go na długi – powiedziałam miękko. – Naprawdę przykro mi z tego powodu. Mam nadzieję, że trafią się wam fajni sąsiedzi.

Uciekła, próbując kryć łzy. A później już nie miałyśmy okazji pogadać.

Rozeszliśmy się do swoich zajęć, by po trzech dniach spotkać się ponownie na sali sądowej. Byłam zadowolona, że zamkniemy rozdział pod tytułem spadek i wreszcie rozpoczniemy nowy. Niezależne sprawy potrafią przytłaczać, nawet wtedy, kiedy pozornie się o nich nie myśli.

W święta nieraz wspominałam tatę Zborowskiego i żałowałam, że nie udało mi się z nim spotkać. Wprawdzie nie powinienam mieć do siebie pretensji, bo odrzucił moje próby nawiązania kontaktu, ale wcześniej warknęłam na niego, a on odpuścił przy pierwszej porażce. Pozostał niedosyt i poczucie krzywdy. Może i nie byłam dla niego zbyt miła, ale jeśli mu zależało, mógł nalegać. Jak widać, nie byłam tego warta. Teraz pewnie mój biologiczny ojciec podbija Amerykę czy inną Brazylię, a ja się niepotrzebnie gryzę, pomyślałam z przekąsem.

W sądzie stawiliśmy się całą ekipą: Krzesek, Jędrak, ja, Dobrusia i ciotka Konstancja, jak na siebie wyjątkowo cicha. Wymieniliśmy uściski, chociaż te Krzeskowe były nieco sztywne. Wiedziałam, że chodzi mu o Dobrosławę, ale nie zamierzałam go wspierać w tej kwestii.

– Dobrusia, pamiętaj, że możesz przyjąć spadek. Niczym ani nikim się nie sugeruj – szepnęłam jej do ucha, kiedy wchodziliśmy na salę. Mimo to do końca, do chwili wywołania jej przez sędziego, nie byłam w stanie przewidzieć jej decyzji.

Słowa: „Odrzucam spadek”, których nie chciała uzasadniać, dotarły do mnie jak z zaświatów. Zatem była konsekwentna.

– Nie musiałaś. – Ucisnęłam jej dłoń, kiedy po rozprawie szliśmy wszyscy na wspólną kawę.

– Chciałam – odparła i uśmiechnęła się. – Uważam, że tak jest sprawiedliwie.

Krzesimir, w humorze, w jakim dawno go nie widziałam, zamawiał szerokim gestem. Niedużo mi brakowało, żebym się na niego wściekła, ale przy kawie poprosił o głos. Kwestia, którą wypowiedział, kompletnie mnie zaskoczyła.

– Dobrosławo, do ciebie kieruję te słowa. Zrezygnowałaś ze spadku. Dziękuję ci w imieniu firmy, bo teraz pieniądze ze sprzedaży domu przeznaczymy, by spłacić jej długi. Pieniądze są nam bardzo potrzebne, ale chyba wszyscy mamy świadomość, że ci się należały. I dostaniesz je, jeśli trochę poczekasz. Niebawem odbuduję firmę i obiecuję przy świadkach zwrócić ci pełną kwotę, która jest ci należna ze sprzedaży domu. Czyli coś około trzystu tysięcy. Czy macie coś przeciwko? – Spojrzał na mnie i Jędrzeja.

Oboje pokręciliśmy głowami.

– Niczego mi nie jesteście winni – wyszeptała Dobrosława. – Zrobiłam tak, jak uważałam za stosowne.

– My również – podsumował Krzesek i zamówił po kieliszku wina.

Miałam na nie ogromną ochotę, ale łyknięcie uniemożliwił mi telefon, który zapomniałam wyłączyć.

Wstałam i odeszłam kilka metrów od stolika, by odebrać połączenie z nieznanego numeru. Obcy kobiecy głos upewnił się, czy rozmawia ze mną.

– Pani Weronika Schulz?

– Tak. Słucham – odparłam zaintrygowana.

– Dzwonię z hospicjum. Bardzo mi przykro, ale dostałam dyspozycję, żeby poinformować o śmierci pana Wojciecha Zborowskiego.

– To jakaś pomyłka! – zawołałam. – On podróżuje dookoła świata!

– Zmarł dwie godziny temu – ciągnęła kobieta. – Prosił, żeby powiadomić córkę. Czy trafiłam właściwie?

– Tak – wyszeptałam i osunęłam się na najbliższej stojące krzesło.

– Czekamy na panią i dyspozycje w sprawie pogrzebu. Podać adres?

Dalszą rozmowę kontynuował Jędrzej, który jako pierwszy zorientował się, że dzieje się ze mną coś niedobrego.

## Rozdział 53

### Dobrosława

Jędrzej pierwszy poderwał się z krzesła, zobaczywszy, że jego siostra nie jest w stanie utrzymać równowagi. Za nim podążyła pani Konstancja. Zajęła się siostrzenicą, podczas gdy Jędrzej przejął telefon i kontynuował rozmowę. Dołączył do nich Krzesek.

Ja zostałam na miejscu.

Musiło stać się coś strasznego, myślałam przerażona. Patrzyłam, jak ciotka rozpina Weronce bluzkę pod szyją, wachluje ją kartą i przywołuje kelnera, by przyniósł szklankę wody.

Tkwiłam na krześle jak trusia, ustąpiwszy pola rodzinie. Na szczęście Weronika powoli dochodziła do siebie. Mimo to wciąż siedziała pod oknem, w towarzystwie Konstancji, jeszcze blada i poruszona, ale w znacznie lepszym stanie.

Bracia powrócili do stolika. Jako pierwszy odezwał się Jędrzej.

– Dzwonili z hospicjum. Zmarł biologiczny ojciec Weroniki, Wojciech Zborowski.

Prosił, żeby zawiadomić naszą siostrę.

– O Boże! – Zakryłam dłońmi usta. – Przecież podróżował dookoła świata!

– Raczej na tamten świat. Będziemy musieli pomóc Werce z pogrzebem. – Jędrzek spojrział na Krzesimira.

– Jeżeli i ja bym mogła... – odezwałam się cicho.

Krzesek pochylił się nad stolikiem.

– Jedźmy wszyscy do Werki – zaproponował. – Zadzwoń do Pawła i powiem mu, co się wydarzyło. Wspólnie obmyślimy plan działania.

Weronika postanowiła, że pogrzebem zajmie się sama, i sprawiła się godnie. Rozumiałam, co czuje, gdy składano trumnę do grobu, a jeszcze bardziej, gdy po kilku dniach zwierzyła mi się ze swoich uczuć.

– Żałuję, że nie porozmawialiśmy dłużej – powiedziała. – To moja wina. Odrzuciłam go, nie dałam mu szansy, a potem było już za późno. Nie odebrał ode mnie telefonu. Nie wykorzystałam okazji...

– Skąd miałaś wiedzieć o jego chorobie? – pocieszałam.

– Może kiedyś poznam rodzinę swojego ojca? – zamarzyła.

Zwróciłam uwagę, że nie dodała przymiotnika „biologiczny”, i uczepliłam się tego.

– Właśnie. Tak jak mnie było dane poznać was.

– Wiesz, że zapisał mi stadninę i wszystko, co miał? – rozpląkała się. – A ja nigdy mu się nie odwdzięczę. Ale nie to jest najgorsze, a to, że przez własne zaciętrzewienie straciłam szansę na poznanie przeszłości.

Zdawałam sobie sprawę, że musi upłynąć jakiś czas, zanim Werka doszła do ładu z nieszczęściem, które stało się udziałem i ojca, i córki. On zmarł w samotności, jej zabrakło czasu na wyciągnięcie ręki.

– Pojedziesz ze mną do stadniny w następny weekend? – zadała mi pytanie, jakie zazwyczaj stawiałam jej ja. Pewnie chciała po załatwieniu spraw notarialnych przejąć majątek i zapoznać się ze stajnią.

– Oczywiście. Daj znać, gdy będziesz miała czas – odparłam i wróciłam do pracy, która aż krzyczała o moją uwagę.

Kiedy postawiłam kropkę na końcu ostatniego rozdziału, wpadli do mnie Nina z Witkiem, by pokazać ślubne zdjęcia.

– Spójrz i na te. – Wyjęła kilka wspólnych fotografii z Lenką. – Zrobiliśmy je tydzień

później w Krynicy Morskiej.

Dostrzegłam bałtycką plażę, szczęśliwą parę z roześmianą od ucha do ucha dziewczynką. Mała szeptała coś do ucha kobiecie, nie wypuszczając z ręki dłoni mężczyzny.

Nina z czułością przesunęła dłonią po zdjęciu.

– Będzie kiedyś nasza. Wierzę w to! – westchnęła.

– Na pewno, kochana! – powiedziałam z przekonaniem.

Moja przyjaciółka była szczęśliwa, a ja razem z nią, chociaż nie przestawałam myśleć o Weronice i panu Wojciechu. Jak również o całej rodzinie Jaremów i ich wspaniałomyślności wobec mnie.

– Pomogę Weronice po przejęciu stadniny – oświadczyłam Zuzie, oddając książkę.

Wyjęła z barku słodki likier i nalała kilka kropel do kryształowego kieliszka.

– To dla specjalnych gości – powiedziała. – Ja, niestety, nie mogę sobie pozwolić. – Znacząco wskazała na płaski jeszcze brzuch. – Ale ty sobie nie żałuj – zachęciła z uśmiechem. – Sądzisz, że Weronika zachowa stadninę? – zapytała, poruszając czułą strunę moich wątpliwości.

– Mam nadzieję, że tak. Nie wiem. Ty sądzisz, że będzie chciała się jej pozbyć?

Myślałam o Wenie i moim status quo. Z chwilą śmierci pana Wojciecha jego obietnica utrzymania mojego konia straciła ważność.

– Duśka, przecież Weronika nie zrobi ci krzywdy! Z pewnością się dogadacie, nawet jeśli ona zdecyduje o sprzedaży! – Moja przyjaciółka była pełna optymizmu.

Ja mniej. I nie chodziło o pieniądze, które zgodnie z deklaracją Krzesimira miałam kiedyś dostać. Skoro nalegał, tym razem nie zamierzałam się sprzeciwiać. Z pewnością by mi ich wystarczyło na utrzymanie konia przez kolejne trzydzieści lat.

Zawsze traktowałam stadninę jak drugi dom mój i Nawojki. Była stałym punktem w moim życiu, miejscem, w którym czułam się wśród swoich. A pan Wojciech stanowił oś tego świata. Nie mogłam jednak wpływać na decyzję Weroniki, co dalej, choć całym sercem pragnęłam, by podjęła decyzję po mojej myśli. Tyle że ona nie przejawiała nabożeństwa do koni, co kazało mi myśleć, że mój od dawna bezpieczny świat niebawem runie.

– To co? Jedziemy dzisiaj do koni? – W sobotni poranek Nawojka przypomniwała o treningu.

– Tak, kochanie. Zadzwoń tylko do cioci Weroniki i zapytam, czy do nas dołączy.

Werka jak zwykle zaproponowała podwózkę.

– Zgodziłam się przejąć spadek – zaczęła, kiedy wyjeżdżałyśmy z miasta. – Notariusz powiedział, że mój ojciec nie miał żadnej bliskiej rodziny, więc się zdecydowałam.

– Co zamierzasz?

– Pytasz, czy chcę sprzedać stadninę?

Wymruczałam pod nosem kilka niezrozumiałych dźwięków, ale ona chyba nie słuchała.

– Nie znam się na koniach, treningach ani na tym całym biznesie. Ale jeśli mi pomożesz, to może wspólnie damy radę.

Aż podskoczyłam.

– A co z twoją galerią?

– Mam Jolkę. A poza tym galeria to niezbyt wymagające dziecko. Oprowadzisz mnie dokładniej po tym końskim biznesie?

Zaproponowałam, by pogadała z panem Romanem i trenerkami. Nie chciałam wybiegać przed szereg.

– W takim razie poproszę zarządcę o spotkanie – postanowiła. – A ty leć teraz do tej swojej Weny. Tylko nie zapominaj, że będziesz tutaj moją prawą ręką! – Werka się uśmiechnęła, wchodząc do budynku. – Jak to siostra – dodała.

Miło było słyszeć z jej ust kolejne przyjazne i szczerze słowa, choć świadomość odejścia pana Wojciecha przygnębiała. Zazwyczaj był na miejscu, więc teraz tym dotkliwiej odczuwałam jego nieobecność.

Wszystko wydawało mi się szare i mroczne. Mimo słońca na niebie ptaki przestały śpiewać.

– Mamo, idzie pani Luda!

Niemal zapomniałam, że prowadzę Nawojkę na trening.

– Biegnij! – Klepnęłam ją leciutko. – Ja posprzątam u Weny i ją wyczyszczę. A potem zrobimy sobie krótką przejażdżkę. Uważaj na siebie! – przestrzegłam małą jak zawsze i skierowałam się do stajni.

Moje podenerwowanie musiało być wyczuwalne, bo moja ukochana klacz przywitała mnie niespokojnym rzeniem. A może miała pretensje, że nie zaglądałam do niej od kilku dni? Przymuliłam się do jej łba i czule pogłaskałam po grzywie.

– Wena, to ja. Już jestem – wyszeptalam. – Zaraz się wyczyszemy i pojedziemy do lasu. Dawno tam nie byliśmy, ale ostatnio miałam dużo spraw. Jednak od teraz wszystko się zmieni. Weronika przejmie stadninę i na pewno pozwoli mi cię zatrzymać. A latem będziesz już wozić Nawojkę. Zobaczysz, będzie lepiej. A teraz pozwól mi się wyczyścić.

Powinłam najpierw posprzątać boks, ale dopadła mnie niespotykana ochota na przejażdżkę, więc odłożyłam prace porządkowe.

Kiedy wyprowadzałam klacz ze stajni, w drzwiach pojawili się Weronika z panem Romanem. Ja w bryczesach, gumowych (bo nie było mnie stać na skórzane oficerki) sztybletach, czapsach na łydki i oczywiście w toczku prowadziłam Wenę za kantar. Skinęłam obojgu głową.

– Na błonia? – zapytał zarządca.

– Raczej do lasu – odparłam. – Jeszcze nie ma liści, można pędzić.

Oczywiście nie zamierzam szarżować, tym bardziej że zimą Wena niezbyt często bywała w terenie. Powinna od nowa przyzwyczaić się do odgłosów natury, by nie płoszyły jej niespodziewane dźwięki.

Kłusowałyśmy leśnym traktem. Anglezowałam, rytmicznie podnosząc się i opadając w siodle. Tempo było w sam raz. Zamierzałam je utrzymać, bo od naszej ostatniej wycieczki gałęzie przydrożnych drzew urosły i nie pozostawiały wiele miejsca.

W pewnym momencie Wena się zaniepokoiła, przyspieszyła i przestała reagować na moje ruchy. A po chwili dostrzegłam przyczynę.

W zagajniku stało stadko dzików.

Nie zdążyłam zareagować, bo poczułam silne szarpnięcie i wyleciałam w powietrze. Zanim upadłam na ziemię, pomyślałam jeszcze o Nawojce i zapanowała ciemność.

## Rozdział 54

### Weronika

Już niemal godzinę chodziłam z panem Romanem po terenie stadniny, poznając wszelkie jej zakamarki. Mężczyzna, namaszczony przez mojego ojca na zarządcę, mimo zewnętrznej szorstkości wydawał się całkiem przystępny. A może tylko chciałam go takim widzieć? Było jasne, że jeżeli zdecyduję się zachować ten biznes, będę potrzebować porad fachowca.

Od chwili przejęcia spadku po tacie Wojciechu nieraz rozmawialiśmy z Pawłem o stadninie. Mój mąż namawiał do jej sprzedaży.

– Kochanie, przecież ty się na tym w ogóle nie znasz. Nigdy nawet nie siedziałaś na koniu. I lepiej nie próbuj, bo możesz spaść – ostrzegął z autentyczną troską. – A nie daj Boże dzieciaki się zainteresują i pospadacie wszyscy!

Przesadzał. W pobliżu naszego miasta było kilka stadnin cieszących się podobno sporym zainteresowaniem. Nie słyszałam, żeby jeździectwo należało do sportów ekstremalnych.

– Uważaj, żebyś ty nie spadł z krzesła, kiedy bębnisz w ten swój komputer – odgryzłam się. – Zresztą przydałoby ci się trochę ruchu. Pracuj, pracuj, a garb ci wyrośnie! – Cmoknęłam Pawła w policzek, żeby złagodzić zbyt ostry ton.

– Zrobisz, jak uważasz. Ale pamiętaj, że ostrzegąłem.

Jak zawsze zachowawczy, jak zwykle ostrzegający. Znałam go od tylu lat, wiedziałam, że w końcu się złamie i będzie mnie wspierać bez względu na decyzję, jaką podejmę.

Miałam czas. Byłam jedyną spadkobierczynią taty Wojciecha i nikt mnie nie popędzał w żadnej kwestii. Do tej pory nie zdobyłam się jeszcze na odwiedzin w jego mieszkaniu. Zbierałam siły, żeby tam pójść, bo postanowiłam, że zrobię to sama. Zaraz po weekendzie.

– W tych boksach mamy własne konie, budynek obok to hotel... Przepraszam, czy to Wena? – Pan Roman przerwał oprowadzanie na widok bułanej klaczy biegającej po placu przed stajnią.

– Chyba nie – bąknęłam, zapatrzona na konia bez jeźdźca. – Dobrusia pojechała przecież do lasu.

– To jest Wena! Niemożliwe, żeby pani Dobrosława puściła ją wolno! Idziemy!

Wkrótce było już jasne, że klacz wróciła z przejażdżki sama. Jej właścicielki nie znaleźliśmy, mimo że przetrząsnęliśmy całą stadninę.

Poszukiwania, do których dołączyło kilka innych osób, trwały niemal godzinę. Powierzyłam Nawojkę opiece Ludy i pełna obaw popędziłam na leśny trakt.

Pan Roman znalazł nieprzytomną Dobrusię pod leszczyną opodal sosnowego młodniaka. Leżała dziwnie wygięta i sprawiała wrażenie martwej. Sekundy, zanim sprawdził jej tętno, ciągnęły się w nieskończoność. A słowo: „Żyje” sprawiło, że wszyscy poczuliśmy ulgę.

Wezwaliśmy pogotowie, ale nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej. Ruszać, nie ruszać? Ktoś okrył Dobrusię kurtką, ja próbowałam się z nią porozumieć. Bezskutecznie.

– Nic państwu nie powiemy, dopóki nie przeprowadzimy badań – usłyszałam od ratowników medycznych, którzy dość szybko przyjechali na miejsce.

Dowiedziałam się jedynie, do którego szpitala ją zabierają.

Zgarnęłam Nawojkę, która czekała na mamę w stadninie, i oględnie wytłumaczyłam jej, co się wydarzyło.

– Mamusia spadła z konia i lekarze muszą ją zbadać. Pojedziesz ze mną i pobędziesz z Zosią i Jaśkiem, dopóki mama nie wróci – poinformowałam małą.

Nie była świadoma powagi sytuacji. A zresztą czego się spodziewałam po siedmiolatce?

Perspektywa spotkania z kuzynami zadowoliła ją wystarczająco, a Paweł i Konstancja dodatkowo zadbali, żeby Nawojka dobrze się u nas poczuła. Zostawiłam ją pod ich opieką i pojechałam do szpitala.

Lekarze nie mieli dobrych wiadomości.

– Bardzo mi przykro, ale prawdopodobnie doszło do przerwania rdzenia kręgowego i pacjentka doznała trwałego urazu – poinformował doktor.

– Co to oznacza? – wykrztusiłam pytanie, choć domyślałam się, co ma na myśli.

– Nie wiemy jeszcze, czy zostały porażone tylko kończyny dolne, czy także górne...

– Czyli albo będzie jeździła na wózku, albo leżała? – przetłumaczyłam z języka lekarskiego na polski.

Pan doktor usiłował lawirować między słowami nadziei i otuchy, ale nie bardzo mu to wychodziło. Mówił o konieczności wykonania szeregu specjalistycznych badań, zwołaniu konsylium, o tym, że medycyna poczyniła ogromne postępy, więc należy wierzyć.

W tej ostatniej kwestii miał rację. Zrozumiałam, że tylko wiara nam pozostała, bo Dobrusia ma złamany kręgosłup i raczej nie wstanie o własnych siłach.

– Czy mogę się z nią zobaczyć? – zapytałam.

Nie mogłam opanować łez.

– Jest pani kimś z rodziny? – Doktor przypomniał sobie o obowiązujących procedurach.

– Tak. To moja siostra – powiedziałam. W moim głosie zabrzmiała granitowa pewność.

– Tylko proszę nie męczyć pacjentki.

Dobrze, że mnie ostrzegł, pomyślałam z sarkazmem, bo właśnie udaję się do izolatki po to, by ją dobić.

Była przytomna i poinformowana o swoim stanie. Kiedy przekroczyłam próg sali, odwróciła wzrok do okna, by ukryć łzy.

Usiadłam na taborecie przy łóżku i bez słowa sięgnęłam po jej dłoń.

– Nawojka jest u nas. Niczym się nie martw.

– Dziękuję. Rozmawiałaś z lekarzem? – zapytała.

Kiwnęłam głową.

– A zatem wiesz. I co teraz będzie?

– Najpierw musisz wydobrzeć, a potem się zrehabilitujesz i wszystko wróci do normy. – Próbowałam panować nad głosem.

– Przecież wiesz, że tak się nie stanie. – Spojrzała na mnie przez łzy. – Już lepiej by było, gdybym umarła...

– Dla kogo? Dla Nawojki?

Dobrusia spojrzała mi w oczy.

– Obiecuj, że jeśli mi się coś stanie, zaopiekujesz się moją córką – zażądała.

– Przecież nie umierasz! Sama się nią zajmiesz.

– Powiedz chociaż, że rozważysz moją prośbę – błagała.

Niepotrzebnie. Ja już podjęłam decyzję. Musiałam jedynie przegadać niektóre sprawy z Pawłem.

– Teraz wypoczywaj, bo jutro czekają cię kolejne badania – zmieniłam temat. – Przyjdę tu z pomarańczami i wszystkim, co się jeszcze przynosi do szpitala – zażartowałam, markując dobry humor.

Odreagowałam na korytarzu, od razu po opuszczeniu izolatki. Osunęłam się na podłogę, nie mogąc opanować szmacianych nóg.

– Dobrze się pani czuje? – Ocucił mnie głos salowego wiozącego do windy brudną pościel.

– Tak. Już mi lepiej. – Wzięłam się w garść. Powiew zimnego powietrza przywrócił jasność myślenia.

Z trudem trafiłam na parking, skąd skierowałam się do domu. Również tam, z uwagi na obecność Nawojki, przynajmniej do wieczora musiałam zachować twarz. Powiedziałam jej, że mama czuje się lepiej, ale kilka dni musi poleżeć w szpitalu.

– Zostaniesz z nami do tego czasu? – zapytałam.

– Tak. A gdzie będę spać?

Niestety, Konstancję musieliśmy zakwaterować w domu rodziców, a pokój gościnny udostępniłmy Nawojce.

Wieczorem, kiedy dzieci poszły do łóżek, zasiedliśmy z Pawłem do poważnej rozmowy.

– Nie brzmi to dobrze – podsumował, kiedy przekazałam mu diagnozę lekarza. – Bez względu na zakres szkód na kręgosłupie Dobrosława nie da sobie rady ze sobą, żeby nie wspomnieć o dziecku.

– I co ty na to?

– A ty? – Przerzucił odpowiedzialność na mnie.

– Nie wiem, Paweł. Ona nie ma nikogo bliskiego.

– Poza nami? – Dostrzegłam zawadiacki uśmiech w kącikach ust.

Chciałam mu się rzucić na szyję, ale na wszelki wypadek sprawdziłam przypuszczenia.

– Zgadzasz się, żebyśmy zajęli się dziewczynami?

Posłał mi posępne spojrzenie. Czyli nie. Jednak kolejne słowa dały nadzieję.

– Sama widzisz, że mamy za małe mieszkanie, by przyjąć Dobrosławę z Nawojką i jeszcze od czasu do czasu gościć Konstancję. Ale gdyby tak zamienić je na dom twoich rodziców? Dołożylibyśmy trochę z twojego spadku po tacie Wojciechu i mielibyśmy trzy sypialnie więcej, ogród, salę gimnastyczną dla dzieci...

– Nie szkoda by ci było naszej kamienicy? – zapytałam pro forma, bo serce mi się rwało do takiego rozwiązania.

– Szkoda. Ale czasami trzeba wyjść ze strefy komfortu – odparł.

Uwielbiałam mojego męża. Nie mogłam trafić na lepszego. Jednym zdaniem rozwiązał problem, który jak węzeł gordyjski pętał moją szyję. Mogłam pomóc Dobrusi i jej córce, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. Nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić. Ale skoro rozmawialiśmy z Pawłem o pomocy, musiałam i taką ewentualność brać pod uwagę.

– Dziękuję, kochanie – powiedziałam. – Porozmawiam z Krzeskiem. Nie powinno być problemu, skoro zapłacimy cenę rynkową.

Paweł mnie zaskoczył.

– Już z nim rozmawiałem. Oboje z Darią się cieszą, że będziemy sąsiadami.

Zasypiałam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony martwiłam się stanem Dobrusi, z drugiej widziałam światełko w tunelu. Niebawem mieliśmy zamieszkać w dużym domu, w którym znajdzie się miejsce dla nas wszystkich. Prawdopodobnie na początku nie będzie łatwo, myślałam, ale podejmiemy walkę o zdrowie siostry, bo tak myślałam o Duście. A pieniądze ze spadku po tacie Wojciechu, którego jeszcze zamierzałam odkryć i poznać, choćby po śmierci, mogły się do tego przydać. W końcu, jak wspomniał lekarz, medycyna robi postępy i czyni cuda. Chciałam w to wierzyć.

Na szczęście następnego dnia była niedziela i nie musiałam Nawojki posyłać do szkoły.

– Kochane dzieciaki, zostaniecie z tatą, a ja załatwię kilka spraw – oznajmiłam po śniadaniu.

W pierwszej kolejności zamierzałam podjechać do mieszkania Dobrusi po ubrania, zeszyty i inne rzeczy małej, a potem zajrzeć do szpitala. Zdawałam sobie sprawę ze stanu siostry,

ale miałam dla niej wspaniałą wiadomość, która z pewnością, jak sądziłam, doda jej sił.

Układałam sobie przemowę. „Kochana, niczym się nie martw. Zabieram cię, siostrzyczko, do siebie do czasu, aż staniesz na nogi”, brzmiała pierwsza wersja. „Wiem, że teraz widzisz świat w czarnych barwach, ale masz nas i Nawojkę. Kochamy cię i nie damy ci się pogryźć w rozpacz”, brzmiała druga. „Właściwie nic ci nie jest. Lekarze muszą zawsze przestrzegać i straszyć. Jesteś młoda, masz córkę i nas. Razem damy radę” – kolejna.

Jednak im bliżej byłam szpitala, tym bardziej wątpiłam w moją siłę przekonywania. Co miałam powiedzieć Dobrusi? Że w najlepszym przypadku będzie jeździć na wózku, a gorsza opcja to wegetacja w łóżku?

Wjechałam windą na trzecie piętro, ale zanim nacisnęłam guzik, który otwierał drzwi na oddział, zadzwoniłam do Pawła.

– Co tam u was? Dzieciaki nie broją zanadto? – zapytałam.

– Nic takiego. Konstancja nad wszystkim panuje, a ja zaraz biorę małe do zoo. A ty już byłaś u Dobrusi?

– Właśnie wchodzę na oddział. Paweł, boję się. Lekarz, który szczęśliwie jest dzisiaj na dyżurze, ma mi przedstawić wyniki wczorajszych badań, od których zależy wszystko.

– Będzie dobrze – usłyszałam. – Ale muszę kończyć, bo dzieciaki przywołują mnie z przedpokoju. Zadzwoni później – dodał i przerwał połączenie.

Na oddziale skierowałam się do pokoju lekarzy. Zapukałam, ale nikogo nie było.

– Doktor poszedł na izbę przyjęć – uprzejmie poinformowała mnie przechodząca pielęgniarka. – Proszę poczekać.

Równie dobrze mogłam czekać u Dobrusi. Poszłam do sali numer dwa i otworzyłam drzwi.

Rzut oka wystarczył, bym dostrzegła puste łóżko. Pościel leżała na miejscu, więc pomyślałam, że naprawdę stał się cud i Duśka wstała do łazienki. Przez myśl mi nie przeszło, że słowa wypowiedziane przez pielęgniarkę do salowej mogą dotyczyć mojej siostry.

– Sprzątnij łóżko po zmarłej. Zaraz mamy następną pacjentkę.

## Rozdział 55

Weronika

*Kilka miesięcy później, lato, Neapol*

Pośpieszcie się z tym śniadaniem, bo nie zdążymy na statek na Capri – popędzałam rodzinę, która rozparta przy wykładanym wzorzystą terakotą stole celebrowała poranny posiłek.

Prawdę powiedziawszy, także mnie nie chciało się ruszać z tego pięknego miejsca na szczycie neapolitańskiego dziesięciopiętrowca. Miałam stąd panoramiczny widok na wspaniałe, wielkie, historyczne, tętniące życiem miasto. Kiedy przyjechaliśmy na zaproszenie Jędrzeja, nie miałam pojęcia, że trafię do rajy dla oczu, duszy i podniebienia. Owszem, chciałam gdzieś się wyrwać, ale to coś, do czego trafiłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Wynajęliśmy mieszkanie z tarasem, z którego rozciągał się pejzaż na cztery strony świata. Od południa zamykał go masyw niemal tysięcznymetrowego Wezuwiusza, wulkanu chwilowo spokojnego, niemniej grożącego eksplozją, od morza zabudowania portowe, od zachodu wieżowce miejscowego city. Natomiast północna strona historycznego centrum, po włosku Centro Storico, lśniła kopułami kościołów, których podobno było tutaj czterysta pięćdziesiąt, i majestatem innych zabytków.

Oczywiście, że chciałam odwiedzić choć niektóre z nich, zahaczyć o pałac królewski i katakumby, o których istnieniu dowiedziałam się z przewodnika, ale przede wszystkim oddychałam, oddychałam i jeszcze raz oddychałam atmosferą miasta południowego słońca, pizzy i bryzy znad Morza Tyrreńskiego, jakże aksamitnej w ostatnim tygodniu sierpnia.

Brat mieszkał niedaleko Dworca Garibaldiego, którego niezbyt dobrą sławą straszyl mnie w swoich opowiadaniach, ale okazało się, że nie taki diabeł straszny. Miejscowi kloszardzi byli raczej niegroźni, a przynajmniej chciałam w to wierzyć. Za to Jędrzek po kilkumiesięcznym pobycie w Neapolu był nieocenionym przewodnikiem i wspaniałym gospodarzem. Zaprowadził nas do jednej z tysiąca pizzerii, przekonując, że jakość margarity jest tu taka sama jak w każdym innym miejscu stolicy włoskiej Kampanii.

Dzieciaki zajały się tym włoskim wynalazkiem bez opamiętania i z pewnością niewiele je obchodziło, że pierwsza pizza powstała właśnie w Neapolu, w tysiąc osiemset trzydziestym roku, i została nazwana na cześć ówczesnej królowej Włoch. Jej skład miał symbolizować kolory włoskiej flagi: czerwone pomidory, biała mozzarella i zielona bazylika. Pal licho patriotyzm, ale margarita smakowała nieziemsko. Maluchy najchętniej pasłyby się nią na okrągło, ale na śniadania na podniebnym tarasie serwowałam im inne menu: tosty z miejscowymi serami i sałatki ze szczęśliwymi pomidorami, dojrzewającymi w promieniach południowego słońca. Okraszone widokiem na stok Wezuwiusza.

Moje towarzystwo nie zamierzało jednak zagęścić ruchów, mimo że statek na Capri, wyspę, którą bardzo chciałam odwiedzić, z pewnością nie zamierzał czekać na maruderów.

– Jasiu, zbierasz talerze, Zośka sztucce, a Nawojka półmiski! Zrozumiano?

– Jesteś wspaniałym kapralem. – Paweł docenił moje zdolności do komenderowania. –

A ja mogę dokończyć kawę? – zapytał, przyciągając mnie do siebie.

– Dla ciebie wszystko – wyszeptałam czule.

Od wypadku Dobrusi był dla mnie wsparciem, przyjacielem, opoką. Był wszystkim. Nawojka trafiła do nas i została pełnoprawnym członkiem rodziny. Z mojego punktu widzenia nie mogło być inaczej, ale Paweł miał prawo mieć inny. Mimo wszystko mnie poparł.

Sprzedaliśmy mieszkanie w kamienicy, które z taką pieczołowitością urządzaliśmy przez

lata, i kupiliśmy dom po rodzicach. Musiałam trochę dołożyć ze spadku po tacie Wojciechu, ale zyskaliśmy przestrzeń i ogród. Konstancja stała się u nas częstym gościem. Czasami może nieco namolnym i zbyt natarczywym, niemniej jednak ostatnim członkiem poprzedniego pokolenia.

– Musimy koniecznie wysłać ciotce kartkę z Neapolu. – Siedząc na kolanach Pawła, odsunęłam go na długość ramion i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Obawiam się, że to może być trudne – mruknął. – Nie zauważyłem nigdzie kartek ani znaczków.

– Znajdziemy – pocieszyłam go. – Obiecuj, że poszukamy, mimo że świat już dawno przeszedł na esemesy i inne takie...

Zamknął mi usta pocałunkiem.

– Wiesz, że ożeniłem się ze świetną dziewczyną i dobrym człowiekiem? – zapytał.

Intymną chwilę przerwało nam wtargnięcie dzieci. Była najwyższa pora, by pogonić towarzystwo na statek na Capri.

– Widzę, że jesteście w gotowości bojowej – powitał nas w porcie Jędrzej. – Już kupiłem bilety, zaraz odpływamy. Ze stanowiska numer trzy. – Wskazał na barierkę oddzielającą nas od wejścia na pomost, przy którym czekał starek.

Czekało na nas Capri, jedna z najpiękniejszych włoskich wysp, słynąca z oszałamiających widoków i ostrych skał. Wyspa syren, kwiatów i artystów.

Weszliśmy na górny pokład i zajęliśmy wolne miejsca, których nie było zbyt wiele. Koniec sierpnia swoją nieskazitelną pogodą przyciągał wielu turystów z różnych stron świata.

– To co robimy? – zapytałam, kiedy po półgodzinnym rejsie przybiliśmy do portu na Capri. – Jedziemy na górę czy zostajemy nad morzem?

Moi najbliżsi zgodnie zrezygnowali z przejażdżki kolejką na starówkę i do jej niezliczonych kafejek i postanowili pozostać na plaży. Nie sprzeciwiałam się. Plaża była wprawdzie nieco (delikatnie mówiąc) kamienista, za to morze ciepłe i aksamitne.

Paweł z oddaniem zajął się dziećmi, a ja po pierwszej kąpieli opadłam na ręcznik i oddałam się słońcu we władanie.

Obok położył się Jędrzej.

– Często myślę o szoku, jakiego musiałas doznać, kiedy w szpitalu zastałaś puste łóżko. – Powrócił do sprawy sprzed kilku miesięcy. – Niezły hardcore.

– Żebyś wiedział. Omal zeszałam. Przepraszam, ale dzwoni telefon. – Zobaczyłam na wyświetlaczu znajomy numer. Wstałam z ręcznika. – Zaraz do ciebie wracam. Tak?

– Dzisiaj przeszałam samodzielnie kilka metrów. Lekarze mówią, że to ogromny postęp i z każdym dniem będzie coraz lepiej – usłyszałam głos Duśki.

– Naprawdę?

– Jasne. I to wszystko dzięki tobie. Nie wiem, ile książek będę musiała w życiu zredagować, żeby się wam odwdziżyć za to, co dla mnie zrobiliście. Przecież ta szwajcarska klinika musi kosztować fortunę!

Przełknęłam gulę wzruszenia, jaką zafundowała mi moja siostra. Radość zacisnęła mi gardło.

– A jak się ma Nawojka? – zainteresowała się Dobrosława.

– Wspaniale. Ale nie dostaniesz jej teraz do aparatu, bo akurat kapie się w morzu u wybrzeży Capri. Umówimy się na telefon wieczorem?

– Jasne! Kocham ciebie i was wszystkich. Nie mam pojęcia...

– Dbaj o siebie – weszłam jej w słowo.

Po zakończonym połączeniu odetchnęłam głęboko.

– Wszystko w porządku? – W głosie mojego brata brzmiał niepokój.

– Zaczyna chodzić. A wracając do szpitala... Dzień wcześniej przeniesiono Duśkę na salę monitoringu, żeby na OIOM-ie zrobić miejsce dla kobiety w stanie agonalnym. I bidula zmarła – wspomniałam.

– Siostra, jesteś wielka!

– Przyniesiesz mi butelkę piwa, zanim Paweł wróci z dziećmi z wody? – zapytałam.

– Mam w plecaku. – Sięgnął za plecy i wyjął dwie butelki. – Za rodzinę! – Uniósł jedną z nich, a ja pomachałam dłońmi przed oczami, żeby się nie rozpłakać.

## **Spis treści**

Prolog. Weronika Część pierwsza. Marta i Blanka Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4  
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12  
Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Część druga. Weronika i  
Dobrosława Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział  
24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31  
Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział  
39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46  
Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział 51 Rozdział 52 Rozdział 53 Rozdział  
54 Rozdział 55

